

W lesie zostaje znalezione brutalnie okaleczone ciało mężczyzny.

Morderczy plan ukartowany w dalekiej przeszłości.

Ponad 70 lat przygotowań do realizacji...



DOM JĘTKI

JAMES HAZEL

FILIA

JAMES HAZEL



Przełożył
Wiesław Marcysiak

FILIA

*Dla Jo
Bez ciebie słowa tracą znaczenie*

1

Grudzień. Okres poświąteczny. Zmarzniętą ziemię przykrywała cienka warstwa śniegu, który skrzypiał pod butami głównego inspektora Tiffa Rowlinsona. Domek z bali na polanie wyglądał, jakby wyjęto go z bajki, na dodatek miał wysoki kamienny komin i wyrżnięte nad drzwiami serduszka. Przed sześćdziesięciu laty miejscowy właściciel ziemski zbudował go dla swojej córki jako dom na lato, ale od dawna stał opuszczony, a teraz jeszcze obrósł pnączami i mchem. Ażyl powstały z miłości i niewinności, sprofanowany w najbardziej groteskowy sposób.

Z rękami założonymi na plecach i postawionym kołnierzem pod białym plastikowym kombinezonem Rowlinson powoli obszedł małą drewnianą budowlę. Śledczy kręcili się niepewnie, uważając, gdzie stawiają kroki. Niebiesko-białą taśmą otoczyli polanę. Rowlinson był już tu wcześniej, i to nie raz. Widział za dużo ciał, za dużo szlochających osób, które straciły bliskich, i zbyt wiele śledztw. Niewiele już czuł. Usypiał go niekończący się cykl.

Tylko nie w tych lasach.

W tych lasach Rowlinson znowu zaczynał czuć.

Podszedł do drzwi domku i zanurkował do środka. Wewnątrz powietrze było stęchłe i ciężkie. Rowlinson w kieszeni płaszcza poszukał inhalatora. Gdy natrafił dłonią na znajomy kształt plastikowej tuby i czubek metalowego pojemnika, ogarnęła go ulga. Nie zwracał już uwagi na przejmujące zimno.

W pokoju było pusto, jeśli nie liczyć ofiary. I rojących się much, które zjadały ciało, a raczej to, co z niego zostało. Głowa nieboszczyka spoczywała na oparciu drewnianego krzesła; usta i oczy miał szeroko otwarte. Skóra mężczyzny była żółta i wysuszona. To reakcja na truciznę, jak powiedziano Rowlinsonowi, ale teraz zrozumiał komentarz jednego z techników kryminalistyki, który usłyszał przed chwilą: „Biedaczyna wygląda, jakby ktoś wysał z niego całą duszę”.

Denat był nagi, a jego ręce pokrywały głębokie rany, ale to nic

w porównaniu z pierśią. Ciało z niej zwisało, odsłaniając szkarłatną sieć głębiej położonych mięśni. Podobne rany znajdowały się w dolnej połowie, ale wszystko tak przesiąkło krwią, że trudno było odróżnić, które części ciała pozostały nietknięte, a które nie.

– Jezu – rozległ się głos za plecami Rowlinsona.

Odwrócił się i zobaczył w wejściu Hardwicka, zasłaniającego dłonią usta.

– Cholera, szefie, co my tu mamy?

Sierżant był o trzydzieści centymetrów niższy od swojego przełożonego, ale i tak wypełniał mały domek swoją zażywną postacią. Był z niego mieszcuch o dziarskim kroku i porządny gliniarz.

– Sam to sobie zrobił – powiedział cicho Rowlinson.

– Co, szefie? Sam oderwał sobie ciało?

Rowlinson przyjrzał się uważniej. Ślinotok – wydzielanie pianistej śliny, ale w takim stopniu, że ofiara nie nadążała jej przelić. W pewnym momencie włożyła sobie pięść do ust, aby wywołać wymioty, ale skończyło się na tym, że mocno zacisnęła zęby i niemal odgryzła sobie rękę.

– Przez wiele godzin alkaloid wywoływał niewyobrażalny ból. Aby go zwalczyć, ofiara próbowała wyfiletować samą siebie.

– Dlaczego?

– Żeby dotrzeć do serca, Hardwick. Tylko tak można było skończyć z bólem.

Trzy godziny później sir Philip Wren siedział w gabinecie swojej rezydencji w Kent, z brzuchem wypełnionym kurczakiem i porto oraz głową pełną egzaltowanych fraz przygotowanych do przemowy z okazji przyjęcia Orderu Imperium Brytyjskiego. Telefon odebrał zaledwie wczoraj i odbył poufną rozmowę – komitet przyznający tytuły postanowił uznać zasługi obecnego prokuratora generalnego dla prawniczej profesji oraz dla rządu Jej Królewskiej Wysokości i umieścił go na noworocznej liście do odznaczenia. Ostatecznie całe życie poświęcone służbie publicznej doczekało się uznania i Wren spędził ostatnie dwadzieścia godzin w euforii.

Jednak jego radość trwała krótko i teraz znajdował się na południu Walii, zmarznięty i zdenerwowany, z ostrym bólem głowy.

Spodziewał się takiego widoku – polany rojącej się od techników. Błyszczących niebieskich świateł. Uczucia niepewności wiszącego w powietrzu. A w środku małego drewnianego domku z sercami

wyrzeźbionymi nad drzwiami.

To znowu się dzieje.

Powiedziano mu, że detektyw zajmujący się sprawą, Rowlinson, jest kompetentny. Nie wątpił, że to prawda, ale miejscowemu śledczemu prawdopodobnie odbiorą sprawę. Z pewnością, jeżeli ziszczą się obawy Wrena. Znalazł Rowlinsona przy drzwiach chaty, gdzie stał z innym mężczyzną i spojrzał na niego z takim samym wyrazem niepokoju jak wszyscy detektywi, których widywał przez lata. Nie obwiniał ich. Gdyby mógł postępować inaczej, pozwoliliby im wykonywać swoją robotę... ale nie mógł. Nie tym razem.

Wren przeszedł przez polanę, świadom śledzących go oczu.

– Philip Wren. – Podał rękę i poczuł mocny uścisk na powitanie.

– Główny inspektor Rowlinson. Nie spodziewaliśmy się prokuratora generalnego. Czy zaistniała jakaś jurysdykcyjna kwestia, o której powinienem...?

– Skądże. Inspektorze, nikt nie chce wchodzić tu w niczyje kompetencje. Pański autorytet jest niekwestionowany.

Kłamał. Na miejscu była już ekipa, aby przejąć śledztwo, pododdział Krajowego Zespołu ds. Ekstremalnych. Tajna grupa policji stołecznej.

– W takim razie nie rozumiem...

– Mogę zobaczyć ciało, inspektorze?

Rowlinson przestąpił z nogi na nogę. Prokurator przyjechał jaguarem XJ w towarzystwie grupki mężczyzn w ciemnych garniturach. Ci mężczyźni zebrali zdezorientowaną ekipę techników i podsuwali im do podpisania deklaracje poufności. Po dłuższej chwili wahania Rowlinson ustąpił.

Wren łąpczywie zaciągnął się chłodnym powietrzem, zanim wszedł do chaty. W żołądku mu się przewróciło. Nie chciał znowu oglądać tego kurczaka.

Inspektor stał w drzwiach, obserwując go z zaciekawieniem, z rękami wepchniętymi w kieszenie. Odchrząknął.

– Truciznę podano przez wenflon na przegubie, prawdopodobnie kiedy był nieprzytomny. Działa na całe ciało, paraliżuje każdy nerw z osobna. Ból jest nie do opisanego, ale mózg jest zbyt przeciążony, aby się wyłączyć. Najwyraźniej odczuwa się to godzinami, podczas których, jak widać, ofiara sama siebie poraniła.

– Inspektorze, czy on ma coś w ustach?

Rowlinson się zawahał.

– Co takiego?

Wren poczuł gulę w gardle, coś tamowało mu oddech.

– W ustach, inspektorze. Czy ma coś w ustach?

Detektyw spojrzął za siebie, jakby wziął to za jakiś sprawdzian, a potem zrobił dwa kroki po drewnianej podłodze i znalazł się tuż przy ofierze. Piana wokół rozwartych ust denata zaczęła zastygać, ale jej część spłynęła po boku twarzy niczym białko jajka. Wren patrzył, jak inspektor zagląda do środka.

– Nic tu nie ma. – Wyprostował się.

– Proszę sprawdzić dokładnie.

Inspektor znowu pochylił się nad ciałem i przyjrzał z bliska. Wren zacisnął dłonie w pięści. Może detektyw miał rację i rzeczywiście niczego tam nie było.

– Chwila – powiedział inspektor, wyciągając z kieszeni parę niebieskich nitrylowych rękawiczek i długopis. – Coś jest...

Wren poczuł w całym ciele napięcie, gdy Rowlinson ponownie się pochylił, wsunął długopis w usta ofiary i delikatnie go wyciągnął.

– Na Boga, co to takiego? – Podniósł do światła coś czarnego.

Za jego plecami Philip Wren pospiesznie wyszedł chaty.

6 kwietnia 1945

Obóz koncentracyjny Buchenwald, Niemcy

Kapitan Ainsworth stał przed główną bramą, z papierosem ledwo trzymającym się dolnej wargi. Deszcz przestał padać przed godziną, a słońce ośmielało się przeniknąć przez pokrywę chmur.

Osiemdziesiąta dziewiąta Dywizja Piechoty przybyła przed dwoma dniami. Byli przygotowani do walki, ale zamiast niej zastali obóz pod kontrolą więźniów. Wieści o nadejściu armii brytyjskiej i amerykańskiej dotarły do obozu z kilkudniowym wyprzedzeniem i Niemcy zaczęli pospiesznie się wycofywać. Gdy dowództwo rozpierzchło się i większość esesmanów albo uciekła, albo popełniła samobójstwo, grupa więźniów zaatakowała wieże strażnicze. Dzielni więźniowie – w większości komuniści – od lat ukrywali broń, którą wreszcie mogli wykorzystać. Mieli nawet odwagę wziąć jeńców, okazując łaskę nazistowskim strażnikom, którzy ich traktowali bestialsko.

Ludzie Ainswortha byli źle przygotowani na to, co czekało ich w Buchenwaldzie. Oczywiście, słyszeli o obozach, docierały do nich plotki o masowych mordach w komorach gazowych. Polsko-żydowski prawnik, niejaki Lemkin, nawet ukuł nowy termin, aby to opisać. Genocyd. Ludobójstwo. Jednak te słowa tak łatwo spowszechniały. Ainsworth nie był w żaden sposób przygotowany na widok człowieka, który ogarnięty ulgą po wyzwoleniu z piekła na ziemi padł martwy u jego stóp.

Wpierw spotkali Czechów. Tysiące ich stłoczono w miejscu przeznaczonym co najwyżej dla kilkuset. Byli nadzy, jeśli nie liczyć opasek na biodrach, zmarznięci, umierający. Ich ciała wyschły wskutek niedożywienia do tego stopnia, że wcale nie przypominali istot ludzkich. Chodzące trupy o pożółkłej skórze, która rwała się łatwo jak papier i była tak napięta, że Ainsworth mógł policzyć wszystkie żebra.

Więźniowie resztkami sił powitali 89. dywizję. Chociaż byli tak słabi, że sami ledwo mogli się poruszać, to jednak w jakiś sposób udało im się podnieść paru żołnierzy – smukłych i ciężkich chłopaków – aby w triumfalnym marszu obejść z nimi obóz. Żołnierze, zażenowani, ale nie chcąc nikogo urazić, niechętnie się na to zgodzili, chociaż niektórzy z więźniów padali przy tym z wysiłku.

Z tego, co widział Ainsworth, była to mieszanina narodowości. Czesi, Polacy, Sowietci, Francuzi, Chorwaci. Także kobiety. Wiele z nich zmuszano do niewolniczego seksu w obozowym burdelu. Może najbardziej satysfakcjonujący dla Ainswortha był fakt, że wyzwolił paru rodaków – amerykańskich lotników zestrzelonych nad okupowaną Francją – oraz Brytyjczyków. Nie pomogły im fałszywe dokumenty, w które ich zaopatrzone i dzięki którym mieli uciec z terytorium wroga. Kiedy zostali ujęci, naziści potraktowali ich jak szpiegów i wysłali do Buchenwaldu razem z Żydami.

Żydzi. Całą rasę naziści napiętnowali określeniem „uciążliwe istoty”.

Ktoś nieśmiało zakasłał. Ainswortha pochłonęły własne myśli i nie zauważył kaprała, który stanął za nim. Henderson był dobrym żołnierzem i bystrym, ale jak reszta chłopaków bladym i chorym.

– Kapitanie, pierwsza część harmonogramu dyżurów – powiedział Henderson.

Ainsworth wziął od niego papiery i spojrzał na horyzont, poza rozbite bramy, poza plac, gdzie oderwano od ściany szyld i wdeptano w błotnistą ziemię. *Arbeit macht frei*. Praca czyni wolnym.

– Kapitanie, nie mamy dosyć lekarstw dla tych wszystkich ludzi – dodał po chwili Henderson. – Nie zapobiegniemy śmierci wielu z nich.

Ainsworth ponuro skinął głową.

– Wprawdzie nie można powstrzymać krwawienia, nie ma powodu, żeby nie próbować. – W żołądku odczuwał jakieś sensacje; nie służyły mu tabletki z chlorem, które wrzucano do wody. Po krótkiej przerwie dodał: – To nie ma sensu, co, Henderson?

– Kapitanie?

– Już kilka miesięcy temu Hitler wiedział, że losy wojny się zmieniły. Inwazja na Związek Sowiecki skończyła się fiaskiem. Potrzebował zasobów, ale priorytetem były transporty Żydów do obozów śmierci, a nie zaopatrzenie własnej armii. Czołgi, żołnierze, broń, amunicja. Wtedy mogłoby być inaczej. To bez sensu.

– Niektórzy mówią, że składali ofiary nordyckim bóstwom, kapitanie.

– Tak uważasz, Henderson?

Kapral się zawahał.

– Może.

– Widziałeś dorę w drodze tutaj?

– Wszyscy widzieliśmy, kapitanie.

Chociaż załoga porzuciła dorę, podszli do potężnego działu kolejowego z dużą ostrożnością. Ważyło tysiąc trzysta pięćdziesiąt ton z lawetą i platformą kolejową i miało lufę długości ponad trzydziestu dwóch metrów. Technicy wątpili, czy jest gotowa do użycia, ale szacunkowa donośność wynosiła ponad czterdzieści pięć kilometrów.

– Uważasz, że naród zdolny wyprodukować tak zaawansowaną broń wierzy także we wskrzeszenie bogów poprzez ofiary z ludzi?

Henderson nie odpowiedział. Odwrócił się, usłyszawszy pracujący silnik. W oddali pojawił się samochód. Jego koła wzbijały tuman kurzu. Ainsworth spojrzał na Hendersona, który odwrócił się z powrotem i wydał rozkazy najbliższym żołnierzom. Ustawili się w bramie, wykorzystując wszelkie możliwe kryjówki, i przygotowali karabiny.

Kapitan stał nieruchomo na otwartej przestrzeni, z rewolwerem zwisającym luźno na biodrze. Bardzo wątpił, żeby naziści wrócili i chcieli coś uratować z mienia, a nawet gdyby, to na pewno nie zjawiliby się w rolls-roysie.

Samochód zatrzymał się przed Ainsworthem. Karoseria pochlapana była błotem, ale czyste fragmenty wyraźnie zdradzały dobre utrzymanie. Nie był to cywilny samochód. Ainsworth podniósł rękę, sygnalizując Hendersonowi i reszcie ludzi, aby się wycofali. Opuszczono broń.

Z tyłu samochodu siedział wysoki mężczyzna o kręconych blond włosach. Wsiadł, włożył kapelusz i naciągnął trenaż na garnitur w prążki; poły marynarki trzepotały gwałtownie na wietrze. Był młody jak na osobę jeżdżącą z szoferem po wrogim terytorium.

– Kapitan Ainsworth, jak mniemam.

Ainsworth uniósł brew, zanim ujął dłoń przybysza. *Co, do diaska, tu robi ten Anglik?* Kapitan zwrócił uwagę na mocny uścisk dłoni przybyłego. *A zatem to nie reporter ani polityk.*

– Witam w Buchenwaldzie – burknął Ainsworth. – Pan...

– Ruck. Pułkownik Ruck.

Gość wręczył Ainsworthowi jakieś dokumenty, a ten przeczytał je dokładnie. Kiedy skończył, spojrzał sceptycznie.

– Wywiad brytyjski?

– Nie inaczej. Wywiad Wojskowy, Sekcja Piąta. – Ruck uśmiechnął się uprzejmie, cienki wąsik nad górną wargą uniósł się niczym drugie usta. Wojskowy miał głos tak gładki jak maniery.

– Pułkowniku, w jaki sposób mogę pomóc?

– Po pierwsze, czy mogę pogratulować panu, kapitanie, doskonałej operacji?

– Tak. Kilka lat wcześniej może faktycznie dokonaliśmy czegoś dobrego.

– Kapitanie, proszę nie pomniejszać swoich osiągnięć. Dzięki samej pana obecności szkopy czmychały, prawda? Moim zdaniem odniósł pan bardzo satysfakcjonujące zwycięstwo.

Ainsworth oparł się pokusie i nie powiedział: do rzeczy. Ten człowiek był biurokratą. Gryzipiórkiem. Nie przeżyłby na polu bitwy.

– To żadne zwycięstwo. Proszę mi wybaczyć, pułkowniku, ale co pana sprowadza?

Ruck gestem nakazał Ainsworthowi ponownie przejrzeć papiery.

– Z tyłu znajdzie pan list, który wszystko wyjaśnia.

Ainsworth znalazł list i przeczytał go uważnie.

– Nigdy nie słyszałem o tych ludziach – oświadczył.

– Może byłby pan tak dobry i zrobił rozeznanie.

Ainsworth odwrócił się i spojrzał na Hendersona, który stał z obojętną miną. List był podpisany przez admirała floty Williama D. Leahy – szefa sztabu Roosevelta. Pieczęć wyglądała na oryginalną. Podpis też. Potem, po raz pierwszy, kapitan spojrzał na rolls-royce'a i dwóch jankesów w mundurach z czerwonymi grotami na ramionach, stojących po obu stronach lśniącej maski. Black Devils. Komandosi. Eskortujący brytyjskiego tajnego agenta z listem od oficera najwyższej rangi po samym prezydencie, z rozkazem dla Ainswortha, aby przekazał im grupę ludzi pozostających pod jego pieczęcią, o ile zastaną ich żywych w Buchenwaldzie.

Ainsworth się zawahał. *Pora wziąć się w garść.*

– Pułkowniku, jeszcze nie mamy pełnej listy więźniów – wyjaśnił, oddając list Ruckowi. – Zanim znajdziemy tych ludzi, może minąć wiele dni.

Ruck uśmiechnął się cierpko.

– Proszę przeczytać list uważnie, kapitanie. Szukam nazistów, nie Żydów. W zasadzie to lekarzy.

– Lekarzy? – Ainsworth nie mógł opanować śmiechu. – Pułkowniku, tu nie ma żadnych lekarzy. To miejsce nie miało służyć przedłużaniu ludzkiego życia. To jest... był... obóz zagłady. Za tymi murami zamknięto dziesiątki tysięcy ludzi, trzymano ich w gorszych warunkach niż drób. Tym, którzy jeszcze nie umarli, wiele nie brakuje. Tu nie ma lekarzy.

Ruck wzruszył ramionami i zapalił papierosa, którego wyciągnął z małej paczki ukrytej w płaszczu. Jeden z komandosów przy samochodzie przeniósł ciężar ciała z nogi na nogę.

– Znalazł pan tu jakiś gabinet lekarski? – spytał Ruck.

– Gabinet? Tu nie ma nic takiego. Widzieliśmy tylko przestronne sale, w których zgromadzono setki przerażonych ludzi, aby ich zagazować. Potem ci, którzy nie zostali zagazowani, musieli wyciągać ciała i rzucać je na gigantyczne stosy. Tak tu jest. Jeżeli spodziewa się pan przytulnej poczekalni z akwariem i czasopismami na stoliku, to poniosła pana fantazja, pułkowniku.

Ruck wciągnął powietrze przez nos i przez chwilę Ainsworthowi przyszedł na myśl drapieżnik szukający ofiary.

– Poza tymi salami, coś mniejszego. Może narzędzia. Piły, skalpele, maski. Tego rodzaju rzeczy.

Ainsworth pokręcił głową.

– Tylko śmierć i...

– Kapitanie? – wtrącił Henderson. Zakasłał nerwowo. Ruck i Ainsworth odwrócili się do niego. – A pokoje o nazwie Piekło?

3

Charlie Priest smażył na patelni solę. Jak dotąd nie najlepiej mu to wychodziło. Patelnia była za gorąca, a masło wrzało po bokach. Ryba marszczyła się na brzegach i zwijała na jego oczach niczym papier w ogniu.

– Za wysoka temperatura – mruknął.

Wyrzucił do kosza swój nieudany eksperyment, gdzie już spoczywały dwie poprzednie ryby, a patelnia wylądowała w zlewie. Zasycała gniewnie. Nawet naczynia kuchenne buntowały się przeciw jego wysiłkom.

Zastanawiał się nad zamówieniem jedzenia na wynos, ale jego uwagę zwróciło pukanie do drzwi.

W holu znajdował się mały monitor wideofonu, wszystkie penthouse'y były w niego wyposażone. Gdyby ktoś chciał, to przez judasza mógłby wbić szydełko. Priest zerknął na ekran. *Wspaniale. Z każdą minutą wieczór robi się coraz ciekawszy.*

Odryglował i otworzył drzwi.

– Dobry wieczór, panie władzo. – Westchnął.

Gość się uśmiechnął, ale jedynie kącikami ust, reszta mięśni twarzy nie drgnęła.

– Pan Priest?

Policjant trzymał pudełko. Tekturowe, nic nadzwyczajnego. Trochę większe od pudełka po butach. Mężczyzna był mniej więcej w wieku Charliego, może kilka lat starszy, z kosmykami przetłuszczonych czarnych włosów wystającymi spod wysokiego policyjnego hełmu. Ośmioramienna srebrna gwiazda połyskiwała w świetle padającym z wnętrza mieszkania.

– Czy mogę wejść? – zapytał mundurowy.

– Czy jest w tym coś do jedzenia? Umieram z głodu.

– Jeśli mógłbym wejść...

Priest wzruszył ramionami i przepuścił policjanta. *Czemu nie?* Sztuczny uśmiech pojawił się powtórnie na chwilę na twarzy gliniarza, zanim Priest

wprowadził go do kuchni. Policjant postawił ostrożnie pudełko na boku. Jego mundur był nieskazitelny. *Pewnie nowicjusz.*

– Ładne mieszkanie – zauważył mężczyzna, rozglądając się dookoła.

Kuchnia była jak z żurnala. Blaty z czarnego granitu na jasnych drewnianych szafkach. Limonowe pasemka na ścianach nad urządzeniami, powtarzające się na wysokich, barowych stołkach. Zapach spalonej ryby unosił się w powietrzu.

– Ten zapach...? – zagadnął oficer.

– Sola.

– Rozumiem. Łatwo się przypala.

– Niezupełnie. W zasadzie to trudno ją zepsuć.

Uśmiech współczucia, ale mało przekonujący.

– W czym mogę pomóc?

– Przełożony mnie przysłał. Sprzątają archiwa i trafili na sporo pańskich starych rzeczy. W zasadzie nigdy o panu nie słyszałem, ale szef mówi, że był pan szychą w londyńskiej policji, więc powinienem to osobiście doręczyć.

– Odszedłem z dochodzeniówki dziesięć lat temu.

– Naprawdę? Najwyraźniej wywarł pan wrażenie.

– Na to wygląda. Jakoś niczego mi nie brakuje z tamtego okresu.

– Hm, zobaczmy, co my tu mamy.

Mundurowy uniósł wieko i wyciągnął długi metalowy przedmiot.

– Amerykańska pałka policyjna – powiedział Priest. – Z lat dziewięćdziesiątych, tak na oko. Nigdy takiej nie miałem.

– Naprawdę? – Mundurowy spojrzął na tonfę, najwyraźniej zaskoczony. Ponownie ją obejrzał, jakby mógł odkryć jakiś ukryty sekret. Sprawdził jej wagę w dłoni, lekko kiwając głową.

– Mówi pan, że szef pana przysłał?

– Tak.

– Pritchard?

– Tak.

– Nadinspektor Pritchard?

– Tak.

Priest, padając, wyrznął w narożnik blatu. Tym samym dostał w głowę dwa ciosy. Jeden czubkiem pałki, która gwałtownie spadła, trafiając go w skroń – niewiele brakowało i zdołałby się uchylić. Drugi, gdy uderzył o róg granitowego blatu. Ten drugi pozbawił go przytomności.

Charlie otworzył oczy i przez moment nie było nic. Tylko szum krwi w uszach.

Pritchard przeszedł na emeryturę przed trzema laty. Mundur był prawdziwy, ale człowiek, który go nosił, nie był policjantem. Powinien się być tego domyślić. Facet miał na głowie wysoki hełm. Najbliższy posterunek policji oddalony był o pięć kilometrów. Hełmy nosili policjanci na obchodzie – funkcjonariusze w samochodach mieli czapki z daszkiem. Ten człowiek nie mógł przejść pięciu kilometrów w hełmie, niosąc pudełko ze zbiorem jego starych rzeczy.

Cholerny idiota. Jakby nie wystarczyło spalić ryby...

Z początku nie wyczuwał nikogo w pokoju, ale był pewien, że fałszywy gliniarz jeszcze gdzieś tu jest. Rzucił go na krzesło. Przywiązał mu ręce do oparcia kablem, podobnie nogi. Plastik wrzynał się w skórę. Kiedy Charlie był nieprzytomny, porobił sobie głębokie rany na kostkach. Pierś obwiązano mu taśmą klejącą, która trzymała go na krześle. Mógł ruszać głową, ale niczym innym.

Głowę miał przykrytą mokrą ścierką do naczyń, która ograniczała pole widzenia. Mógł być wszędzie, ale smród spalonej ryby podpowiadał mu, że nadal jest we własnej kuchni.

Szarpnął pętami na rękach, ale ból w odpowiedzi powędrował aż do ramienia. Na razie nigdzie się nie wybierał. Jak dotąd przewagę miał facet w mundurze. Priest pomyślał, że zostało mu tylko kilka minut, aby zmienić sytuację. W normalnych okolicznościach wynik mógłby być tylko jeden. Fałszywy gliniarz nie miał nawet metra osiemdziesięciu i nie wyglądał na potężnie zbudowanego. Charlie miał metr osiemdziesiąt osiem i ważył dziewięćdziesiąt trzy kilogramy, z czego większość stanowiły mięśnie. Napastnik powalił go dzięki łutowi szczęścia.

Siedział unieruchomiony chyba całe wieki, chociaż domyślał się, że to tylko kilka minut. Kilka minut, podczas których myślał o szumie w głowie i cuchnącej spalonej rybie.

Nagle zerwano ścierkę z *jego* twarzy i zobaczył własną kuchnię oraz uśmiechniętego policjanta.

– Ha! – rzucił fałszywy glina.

Charlie nie odpowiedział, tylko spoglądał na intruza tak obojętnie, jak tylko

mógł.

– Priest, czemu się tak martwisz? Nie spodziewałeś się? – Uśmiechnięty fałszywy gliniarz cisnął ścierkę na bok i cofnął się o kilka kroków, zakładając ręce na piersi. – Za ten mundur wybuliłem dwa kawałki, więc nie bądź taki zły.

Pewnie nie kłamał co do ceny. Tak dobra replika musiała słono kosztować. Priest zaczął rozważać własne szanse.

Fałszywy policjant kontynuował:

– Ale było warto. Domyśliłem się, że nie otworzysz drzwi nikomu innemu. Dozorca na dole też był bardzo pomocny.

– Czego chcesz?

– Tylko porozmawiać. Na razie. Troszkę. Abyś mnie lepiej poznał.

– A ty mnie znasz?

Fałszywy glina się uśmiechnął.

– Jesteś Charles Priest, ale wszyscy nazywają cię Charlie. Rozwodnik. Bezdzienny. Czterdzieści trzy lata. Najpierw Cambridge. Do policji stołecznej wstąpiłeś w dziewięćdziesiątym czwartym, dwa lata patrolowałeś ulice. W dziewięćdziesiątym siódmym awansowałeś w dochodzeniówce na sierżanta, w dwa tysiące pierwszym na inspektora. W dwa tysiące czwartym odszedłeś z policji w niełasce i przekwalifikowałeś się na prawnika. Pracowałeś w dziale sporów handlowych międzynarodowej firmy, zanim założyłeś własną kancelarię w City specjalizującą się w tropieniu oszustw. Teraz zarabiasz pół miliona rocznie i jesteś jednym z najbardziej szanowanych adwokatów w Wielkiej Brytanii. Twoi rodzice nie żyją, ale masz siostrę, Sarah Boatman, laty trzydzieści dziewięć, współwłaścicielkę agencji PR, i brata, Williama, lat czterdzieści sześć, obecnie przebywającego decyzją Jej Królewskiej Wysokości w zamkniętym szpitalu psychiatrycznym poza miastem po orzeczeniu niepoczytalności pięć lat temu. Cierpisz na rozszczepienie osobowości, co oznacza ciągłe oderwanie od rzeczywistości, od czasu do czasu doznajesz ataków, czegoś w rodzaju wyjścia poza ciało. Mam mówić dalej?

Charlie pociągnął nosem. W zeszłym roku zarobił więcej niż pół miliona, ale reszta się zgadzała.

– Najwyraźniej przeczytałeś mój profil na Facebooku.

Błada cera i rozszerzone źrenice intruza sugerowały, że jego wątpliwy urok bierze się z czegoś więcej niż tylko z naturalnej buty. Priest dostrzegł coś

w jego oczach poza kokainowym hajem. Coś, co martwiło go bardziej niż ręce i nogi spętane kablem. Coś śmiercionośnego.

Fałszywy gliniarz zaczął przekopywać się przez stos papierów na biurku. Nie było ich wiele – rachunki, zestawienia, pokwitowania. Instrukcja obsługi drogiego ekspresu do kawy, który kupiła mu siostra na gwiazdkę w zeszłym roku, ale z którego jeszcze nie korzystał. Jednak mimo wszystko grzebał w jego rzeczach.

– Priest i Spółka – mruknął fałszywy glina. Przyglądał się wizytówce. – Pewnie, że to przesłał tobie. – Schował wizytówkę do kieszeni i odwrócił się do Charliego.

– Powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi? – Charlie sam się zdziwił, z jakim spokojem się odezwał, chociaż wzbierała w nim wściekłość.

– Wszedłeś w posiadanie czegoś, co należy do mnie. Czegoś, co jest dla mnie bardzo ważne.

– Adres twojego dermatologa? Powinieneś zaskarżyć gnoja.

– Nie, Priest. Czegoś nieskończenie cenniejszego.

Priest w doskonały sposób odgrywał faceta, który wzrusza ramionami, będąc przywiązany do krzesła.

Kiedy nic nie odpowiedział, fałszywy gliniarz kontynuował:

– Hm, w takim razie pomogę ci trochę. Szukam pendrive'a. Pamięci USB. Chcę go odzyskać. Potem spalę twój dom, Priest. Od tego, czy oddasz mi ten pendrive dobrowolnie, czy nie, zależy, czy pozostaniesz przywiązany do krzesła, kiedy zapłonie zapalka.

Były inspektor nic nie powiedział, ale dalej się przyglądał. Patrzył, jak mężczyzna podchodzi do pudła stojącego na kuchennym stole i szpera w środku, a następnie wyciąga wiertarkę.

– Chcesz tu montować półki? – zażartował.

Tym razem intruz się nie uśmiechnął.

– Priest, mam całą noc. A ty nigdzie się nie wybierasz. Wiesz, ile dziur mogę w tobie wywiercić, zanim stracisz przytomność?

– Nie.

– Ja też nie. Może dowiemy się razem.

Fałszywy glina wyciągnął wiertło z pudełka i zamocował. Kilka razy nacisnął spust, patrząc, jak wiruje bęben. Charliego ogarnęła panika. *Straciłem te kilka cennych minut.* Przełknął ślinę, ale w gardle nadal miał sucho. Zaczął poruszać ramionami, chcąc coś zrobić, lecz był bezradny.

Intruz wziął wiertarkę i przyłożył bęben do ucha ofiary. Charlie miał zamknięte usta, starał się kontrolować napływ tlenu przez nos. To nie mogło być prawdą – nigdy nie było. Ale tym razem wyglądało na prawdziwe. Musiał wystrzegać się hiperwentylacji. Kiedy był przytomny, miał cień szansy przekonać faceta, żeby go uwolnił. Chociaż ta szansa malała z każdą sekundą.

Mężczyzna nacisnął spust. Charlie szarpnął głową w bok, gdy bęben otarł mu policzek. Usłyszał maniackalny śmiech. *Skurwysyn ma ubaw!* Brakowało mu pomysłów, więc postanowił zyskać na czasie.

– Dobra, dobra. USB jest tam. – Ruchem głowy wskazał mroczny salon.

Gość odsunął się niechętnie.

– Gdzie?

– Przeniosłem dane na komputer w rogu pokoju i zniszczyłem pendrive.

– Dlaczego?

Dobre pytanie.

– Po prostu.

Facet spojrzał na niego. Potarł dłonią wiertarkę. Pochylił się bliżej. Priest wyczuwał woń papierosów i alkoholu.

– Jeżeli kłamiesz, najpierw wydłubię ci oczy.

4

Uznał, że fałszywy glina będzie potrzebował przynajmniej trzech minut, aby zorientować się, że to błąd. W świecie Priesta druga szansa rzadko się trafiała. *Zapytaj moją byłą żonę.* Tej nie zmarnuje.

Nie mógł pochylić się do przodu, ale dał radę zgiąć kark. Na tyle, aby sięgnąć do zapalniczki schowanej w kieszeni koszuli na piersi. Wciągnął brzuch i wygiął plecy, aż usłyszał, jak coś pęka, dzięki czemu zdołał ustami chwycić metalowy koniec zapalniczki. Kiedy już ją dobrze trzymał, uniósł głowę. Obrócił prawy nadgarstek tak, że spodnia część dłoni była skierowana ku górze. Wtedy uspokoił się i wypluł zapalniczkę.

Przez chwilę zdawała się wisieć w powietrzu, jakby zawieszona na niewidzialnej pajęczynie. Trajektoria lotu wyglądała na niewłaściwą. Grawitacja była jakby za silna. Najwyraźniej nie doleci. Priest zamrugał i w tej chwili scena znowu się zmieniła.

Zamknął palce na plastikowym cylinderku, ale chwyt był niepewny. Wstrzymał oddech. Obracał zapalniczkę między palcem wskazującym a kciukiem. W końcu ustawiła się pionowo w dłoni. Westchnął ciężko. Minęło dwadzieścia pięć sekund, może trzydzieści. Zakręcił kółkiem. Płomień zatańczył niepewnie i się ustabilizował. Jeszcze trochę manipulacji palcami i udało mu się przesunąć zapalniczkę w stronę nadgarstka, a potem pchnąć ją palcem dalej po dłoni.

Natychmiast poczuł ogień. Ramię się naprężyło. Ból przeszył całe ciało, wysyłając do mózgu sygnały, aby puścił zapalniczkę. Był nie do zniesienia, ale Priest wytrzymał.

W końcu płomień natrafił na plastik. Charlie mocno zagryzł wargę, pozwalając sobie tylko na stłumiony wydech. Ręka potwornie go bolała. Z początku plastik nie reagował. Płomień jedynie go obejmował, parząc skórę. Ramię ogarnęło drżenie przechodzące aż do nadgarstka. Wiedział, że więcej nie wytrzyma. Splunął i zaklął; ciało wygrywało, chęć ucieczki była nie do

zniesienia. Czuł słabą woń mięsa powoli opiekanego na rożnie.

Pomyślał, że będzie musiał zrezygnować ze swojego planu ucieczki, ale gdy doszedł do wniosku, że więcej nie znieś, zauważył chemiczną zmianę w strukturze plastiku. Miękł – powoli, boleśnie wtapiając się w skórę. Charliemu napłynęły łzy do oczu.

Dłużej nie mógł tego znieść. Rękaw koszuli zaczął się tlić. Gdyby się zapalił, Priest miałby słabe szanse na ugaszenie samego siebie. *Teraz wiem, jak się czuła moja ryba...*

W końcu opaska pękła i spadła na podłogę. Końcówki plastiku świeciły, uniosła się smużka dymu. Bał się spojrzeć na nadgarstek. Czuł się, jakby miał wbity w rękę nóż.

Zapalniczka spadła na podłogę, ale to nie miało znaczenia. Wolną ręką sięgnął do szuflady w stole kuchennym i wyciągnął nóż do rozcinania papieru. Należał do jego zmarłego ojca – proste ostrze z inicjałami ojca, FP, wyrzeźbionymi na łukowatej kościanej rączce.

Wsunął nóż między nadgarstek a kabel i piłował nim plastik, aż się uwolnił. To samo z nogami, potem z taśmą na piersi. Kiedy skończył, wstał z krzesła, dysząc i sapiąc, a później pochylił się nad stołem kuchennym. Minęły dwie minuty, może mniej. *Nieźle, Houdini. Chociaż pewnie już nigdy nie zagrasz na pianinie.* Miał czas. Zmrużył oczy. Pokój wirował dookoła. Przyszło mu do głowy, że pewnie ma wstrząśnienie mózgu. Czuł się dziwnie. Jednak to nic nowego. *Piętnaście sekund.* Pozwoli sobie na piętnaście sekund powolnego, kontrolowanego oddechu, zanim zrobi następny ruch.

Piętnaście sekund później ruszył.

Pudełko nadal stało na stole, obok niego leżała tonfa. Sięgnął po nią. Ramię przeszył mu ból, gdy dłoń ujęła pałkę, ale wytrzymał. Krótco zastanawiał się nad nożem o kościanej rękojeści lub czymś większym z kuchennej szuflady. *Nie.* Noże robią bałagan i rzadko szybko unieszkodliwiają zdeterminowanego przeciwnika. Jeden dobrze wymierzony cios pałką może zakończyć sprawę.

Ujął ją za poprzeczny uchwyt, tak że długa część sterczała do przodu i osłaniała mu przedramię. Gdyby chwycił ją za rękojeść, byłaby jak każde inne tępe narzędzie. Natomiast w ten sposób stanowiła przedłużenie przedramienia.

Przez chwilę stał nieruchomo, nasłuchując. Żadnego stukania w klawiaturę ani klikania myszą. Ani warkotu starego wentylatora. Czy intruz ciągle był w mieszkaniu?

Zsunął buty, żeby poruszać się bezgłośnie po kuchennej podłodze. Buty narobiłyby dużo hałasu, nawet gdyby uważał. Drzwi do salonu były uchylone. Widział wycinek pokoju, ale nie pod takim kątem, żeby dojrzeć biurko. Nie miał pojęcia, czy intruz nadal tam siedzi. Nasłuchiwał, ale bez rezultatu.

Drzwi nie zaskrzypiały, gdy powoli otworzył je na zewnątrz, używając końca pałki. Odsłonił trochę więcej pokoju. Czerwona skórzana kanapa stała przy stoliku do kawy ze szklanym blatem. Pięćdziesięciodwucalowa plazma wisiała na ścianie nad sztucznym kominkiem. Półki zajmowały całą jedną ścianę, wypełnione różnymi książkami od podłogi po sufit. Kryminały, horrory, klasyka. Akademickie wydawnictwa z zakresu psychologii i hipnozy oraz sztuki wojennej. Biografie wielkich przywódców, powieści graficzne. Różnorodny i najwyraźniej przypadkowy zbiór.

Jedyne światło dochodziło z konstelacji punktowych lamp nad kanapą i z akwariem – zaprojektowanego dla nastroju, nie oświetlenia. Ściana naprzeciw półek była cała ze szkła. Zaciągnięte zasłony przysłaniały panoramę miasta. Drzwi prowadziły do innych pomieszczeń: dwóch sypialni, toalety, gabinetu i klatki schodowej wiodącej do prywatnego ogrodu na dachu wychodzącego na Covent Garden. Fałszywy glina mógł być wszędzie.

Otworzył drzwi trochę szerzej. Wszystkie mięśnie miał napięte, był gotów walnąć tonfą przez łeb tego sukinsyna. Każde uderzenie serca wydawało odgłos armii maszerującej unisono po twardej ziemi. To nie był jedyny dźwięk. Na wysokości dziewięciu pięter nawet wzmocnione szkło nie blokowało odgłosów tłumów w dole, ludzi odwiedzających domy towarowe i kawiarnie, warkotu silników i dudnienia ulicznych grajków, których melodie kłóciły się ze sobą. W nocy siadywał w ogrodzie na dachu i słuchał połączonych dźwięków, jakby perkotania jakiejś gigantycznej maszyny bez końca obracającej się na ulicy w dole.

Komputer na biurku stał nietknięty. W pokoju panował całkowity bezruch. Przez kilka sekund Charlie czuł się, jakby pozostawał w próżni. Wyszedł na środek pokoju, trzymając pałkę przed sobą. Wszystkie drzwi były zamknięte. Wyprostował się. Minęło sporo czasu, od kiedy w mundurze chodził na patrol, ale przeistoczenie się w detektywa, a potem w prawnika w żaden sposób nie pomniejszyło jego sprawności fizycznej. Nadal był urodzonym sportowcem, szerokim w ramionach i szczupłym. Teraz jednak miał wstrząśnienie mózgu, a broń trzymał w koszmarnie bolącej ręce. Właśnie z tego powodu znowu zareagował ułamek sekundy za późno.

Uniósł pałkę, aby zasłonić twarz, ale poleciał na bok, kiedy fałszywy glina skoczył mu na plecy i zarzucił sznur na szyję. Próbował złapać oddech, lecz z przerażeniem się zorientował, że napastnik miażdży mu tchawicę. Ogarnęła go panika, gdy odciął mu dopływ powietrza. Dławił się. Uruchomił się odruch wymiotny. W niczym nie pomógł, a tylko pogorszył sytuację. Bardzo. Wykonali piruet w gwałtownym uścisku, gdy Priest starał się zrzucić napastnika. Uderzyli w regał. Wgniał faceta w mebel, ale tamten trzymał się mocno i zaciskał sznur.

Charlie poczuł gorący oddech na karku, usłyszał cichy krzyk triumfu. Przed oczyma pojawiły mu się błyski, gdy zmęczony i niedotleniony mózg zaczął się wyłączać. Obrona słabła, kiedy po kolei słabły mięśnie. Przez chwilę pomyślał o ojcu. Jego olśniewającym uśmiechu i ciemnobłękitnych oczach. Miał takie same. Staruszek bezczelnie patrzył na niego, przyzywał go. Mówił mu, żeby się nie poddawał. *Nigdy nie ustępuj. Nie ulegaj. Nie pozwól się popychać, Charlie. Bez względu na wszystko.*

Uderzył rękojęścią pałki w żebra napastnika. Czuł, jak ciało ugina się pod naporem metalu, i fałszywy glina na chwilę poluzował sznur. To wystarczyło, aby Charlie nabrał powietrza. Uderzył ponownie w to samo miejsce, tym razem mocniej. Mężczyzna krzyknął z bólu. Odskoczył w bok, ale dalej go trzymał, Charlie zyskał jednak na tyle swobody, że mocno wbił tonfę w bok intruza. W końcu rozległ się miły dla ucha trzask pękającej kości.

W jednej chwili Charliemu udało się obrócić w prawo i przy użyciu pałki ściągnąć w dół bark fałszywego gliny, odsłaniając jego głowę. Wtedy uderzył lewą ręką tak mocno, jak nigdy dotąd. Następnie podrzucił pałkę i złapał ją zgrabnie za rękojęść. Dość zabawy. Przez moment górował nad mężczyzną. Tamten krwawił – wyglądało na to, że pałka zdarła skórę z części twarzy. Teraz mógł łatwo z nim skończyć, wystarczyło zdzielić go pałką w głowę, aby pękła jak arbuz. Uniósł tonfę, ale coś go powstrzymało. Zawahał się.

Dosyc, Charlie, powiedział ojciec. Nie jesteś jak twój brat.

Opuścił rękę. *Nie jesteś jak twój brat, Charlie.* William Priest by się nie zawahał – rozłupałby głowę intruza, aby sprawdzić, co jest w środku.

Dlatego William nigdy nie wyjdzie z zamkniętego szpitala w Fen Marsh.

– Kim jesteś?

– Co za różnica?

– Okłamałem cię. Nie mam żadnej twojej pamięci USB.

– Kurwa! – Intruz odkasłał zabarwioną na czerwono ślinę. – On mówił, że tu

jest.

– Jaki on?

Kiedy fałszywy glina nie odpowiadał, Charlie zrobił krok w jego stronę. Zamierzał go podnieść i wycisnąć odpowiedzi. Ale intruz jeszcze był skory do bitki. Kiedy Priest zbliżył się ponownie, rzucił się i złapał go za nogę, zatapiając zęby w kostce. Przez chwilę Charlie myślał, że przegryzł się przez nią, gdy fala bólu przeszła mu nogę. To wystarczyło, aby stracił równowagę. Gdy uderzył o podłogę, intruz uciekł przez kuchnię i chwilę później Priest usłyszał, jak otwierają się drzwi frontowe. Na zewnątrz uliczni muzykanci nadal grali bluesa.

24 marca 1946

Odosobnione gospodarstwo w środkowej Anglii

Dwóch szeregowców z przewieszonymi przez ramię karabinami posadziło nazistowskiego rzeźnika na krześle naprzeciw Rucka. Ręce skuli mu za plecami i ściągnęli worek z głowy. Wtedy wycofali się, jakby jeniec cierpiał na jakąś chorobę zakaźną.

Ruck obserwował, jak jego gość rozgląda się po pomieszczeniu – stodołę, z której usunięto pługi i maszyny niegdyś tu magazynowane. Poza stołem, przy którym siedział Ruck i jego więzień, były tu tylko łańcuchy zwisające z krokwi i kołyszące się upiornie w podmuchach wiatru wpadającego przez szczeliny w ścianach.

Ruck odgarnął włosy z oczu. Były starannie przycięte, chociaż kilka luźnych blond kosmyków nadal opadało na twarz. Garnitur miał nieskazitelny, szyty na miarę na Savile Row. Do nędznej stodoły, częściowo oświetlonej promieniami światła padającymi na podłogę, zdecydowanie nie pasował.

Nazista miał na sobie łachmany jeńca wojennego, bardziej worek niż ubiór, ale siedział sztywno wyprostowany, z podniesioną głową, pełen godności i patrzył Ruckowi prosto w oczy. Ruck zastanawiał się, ilu ludzi spoglądało w te niebieskie oczy Niemca, błagając o litość. Zetknął się już wcześniej z taką desperacją, jaką teraz wykazywał się nazista.

Kurt Schneider był wyższy od Rucka, ale przeraźliwie chudy. Nie przypominał tych szkieletów, które wyzwolili z obozu koncentracyjnego, ale Ruck pozbawił go snu i żywności przez kilka tygodni, a ten stres uwidaczniał się na jego bladej skórze. Mimo to pułkownik jeszcze nie skończył ze Schneiderem. Głębokie bruzdy na twarzy Niemca i kosmyki siwych włosów, które zaczynały się wysoko nad pooranym zmarszczkami czołem, nienaturalnie go postarzały. Jedno oko spoglądało przenikliwie i wyzywająco

na Rucka, podczas gdy drugie uciekało gdzieś w bok. Pułkownik zapalił papierosa. *Patrzę na szaleństwo.* Unikał zbyt długiego kontaktu wzrokowego. Podsunął paczkę Schneiderowi, potem spojrzął na związane ręce doktora. Wzruszył ramionami i zabrał papierosy. Posiedzi i poczeka chwilę, aby sprawdzić, czy Schneider przemówi pierwszy. Podejrzewał, że nie.

Nie, nie szaleństwo. Zło.

Okazało się, że był w błędzie. Schneider nagle się poruszył, unosząc całe ciało, zanim ciężko usiadł z powrotem. Nie była to próba ucieczki. Frustracja. Gniew. Znak protestu. Trudno powiedzieć. Ruck uniósł brew.

– Myślisz, świnió, że sprowadzenie mnie do stodoły to poniżenie? – zapytał Schneider. Dobrze mówił po angielsku – tego Anglik się spodziewał – ale z wyraźnym akcentem.

Szorstki ton rasy panów. Język diabła.

Ruck pozwolił, aby cisza zapadła i trwała.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał Schneider.

– Na wsi. Daleko od Londynu. I bardzo daleko od Berlina.

– Nigdy szczególnie nie lubiłem żadnego z tych miast.

– To dobrze. Oba są tak okaleczone, że nie można ich poznać. Chociaż jedno płonie trochę jaśniej niż drugie. – Ruck dostrzegł zainteresowanie w oczach Schneidera. – Nie wiedział pan, doktorze? Wojna się skończyła. Hitler nie żyje. Związek Sowiecki pozostaje komunistycznym zaściankiem.

– To w zasadzie bez znaczenia. Jeżeli pan kłamie, wkrótce dojdzie do inwazji i zostaną zabity. Jeżeli mówi prawdę, także zginę.

Ruck zauważył błysk w błędzącym oku Schneidera, kiedy powiedział mu o śmierci Hitlera. Zastanawiał się, czy Niemiec w jakiś sposób wyćwiczył oko, aby patrzyło w drugą stronę. W sumie odpowiadał za dziwniejsze wypaczenia.

– Dlaczego nie uciekł pan z innymi, kiedy była okazja? Wiedział pan, że Amerykanie się zjawiają, zanim przybył Ainsworth ze swoimi ludźmi. Dlaczego pan się nie ratował?

– Gdybym to zrobił, nie zaznałbym przyjemności spotkania pana. – Ciągłe wpatrywał się w Rucka. Najwyraźniej wyćwiczył to cholerne oko, aby również nie mrugało.

Ruck oparł się wygodnie i zaciągnął papierosem. Przez dwa lata pracował w tym miejscu odosobnienia w Kensington znanym jako Klatka, tajnym więzieniu, gdzie torturowano hitlerowskich jeńców wojennych, aby

wyciągnąć z nich informacje. Odpowiadał bezpośrednio przed szefem Sekcji Przesłuchań Jeńców Wojennych, oddziałem Zarządu Wywiadu Wojskowego, który oficjalnie nie istniał. Ruck był specjalistą w szybkim wyciąganiu informacji. Skoro wojna się skończyła, mógł służyć swoimi umiejętnościami MI5 i sprawdzić, czy wśród wojennych popiołów znajdują się jakieś cenne klejnoty.

– Nazywam się Ruck. Pracuję dla rządu Wielkiej Brytanii, dla Sekcji Piątej Wywiadu Wojskowego. Mam stopień pułkownika, chociaż rzadko go wykorzystuję. Specjalizuję się w przesłuchaniach, zbieraniu informacji pod przykrywką i szpiegostwie. Nie powstanie żaden zapis, że ta rozmowa się odbyła, poza raportem, który przygotuję do wiadomości wybranych, a który zostanie zniszczony zaraz po odczytaniu. Jeżeli podczas procesu, lub w jakichkolwiek innych okolicznościach, wspomni pan o naszych spotkaniach, zaprzeczę, że do nich doszło. Rozumie pan?

Schneider milczał i zastanawiał się.

– Herr Ruck, słucham uważnie. Przynajmniej teraz.

Za Schneiderem otworzyły się drzwi stodoły. Wlało się światło. Ruck patrzył, jak dwóch żołnierzy wprowadza kobietę. Innych dwóch wniosło małe biurko i krzesło. Ustawili je w pobliżu drzwi. Na biurku spoczęła maszyna do stenografowania. Kobieta usiadła. Przez cały ten czas Schneider się nie poruszył.

– Perfumy – powiedział doktor, wciągając głęboko powietrze i zamykając oczy. – Jakieś francuskie. – Otworzył oczy i spojrzał na Rucka w podnieceniu. – Nasza osobista protokolantka. Żeby napisać pański raport, Herr Ruck! Mam rację, prawda?

Ruck nic nie odpowiedział. Kobieta podniosła wzrok. Była dużo młodsza, niż Ruck się spodziewał – najwyżej dwudziestoletnia. Nie chciał, aby rzuciła się w oczy, ale nie mógł się oprzeć i zerknął za siebie, żeby sprawdzić, czy za pierwszym razem dobrze ją ocenił. Po kilku sekundach wiedział wszystko. Lśniące kasztanowe włosy i okulary w grubych czarnych oprawkach. Drobną, trójkątną twarz. Śliczną. Sznur pereł na szyi. Prosta spódnica. Kobieta całkowicie tu niepasująca. Wyglądała, jakby zaraz miała przespacerować się Oxford Street do banku, a nie spisywać zeznania w stodole.

Ruck skinął do niej głową, a ona zaczęła pisać.

– Jakie zadanie wyznaczono panu w Buchenwaldzie, doktorze Schneider?

– Byłem lekarzem dyżurnym w tamtejszym szpitalu.

– Szpitalu? Tak to nazywaliście?

Schneider zamilkł.

– Powołano sąd, doktorze Schneider. W Norymberdze. Nazywają to pierwszym prawdziwym Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym. W październiku tego roku zostanie przedstawiony akt oskarżenia. Będzie na nim pańskie nazwisko. Co pan na to?

– Norymberga? Herr Ruck, widział pan Norymbergę? To złomowisko. Bombowce Churchilla ją zniszczyły.

– Amerykanie odbudowali. Powinien pan zobaczyć dzisiaj Pałac Sprawiedliwości.

Schneider prychnął.

– Nie popełniłem żadnych przestępstw. Nie mam się czego obawiać.

– Pańska przynależność do SS wystarczy do skazania na karę śmierci.

– Nigdy nie byłem członkiem SS.

– Skoro pan tak twierdzi, doktorze. Zresztą pańskie polityczne powiązania nie mają teraz dla mnie większego znaczenia. SS zostało uznane za nielegalną organizację. Może mądrze pan robi, wypierając się przynależności do niej, ale Amerykanie bez problemu powiążą kilka papierków ze sobą i pana oskarżą.

Schneider zastanawiał się przez chwilę albo chciał, żeby stenotypistka nadgoniła pisanie. W każdym razie przez dłuższą chwilę słychać było jedynie uderzanie w klawiaturę. Wreszcie spojrzął z ożywieniem na Rucka.

– Herr Ruck, jeżeli spogląda pan na trupa, to czemu nie spełni pan jego ostatniego życzenia i nie powie, czego właściwie sobie życzy?

Ruck skinął głową i uśmiechnął się kącikiem ust. Nazista był poruszony. Poranna praca została wykonana. Wyciągnął z torby stos papierów i położył na stole.

– Doktorze, chociaż twierdzi pan, że był lekarzem w szpitalu, obaj wiemy, że angażował się pan w różne eksperymenty na ludziach. Zgadza się pan z tym?

– Nie do końca.

– Dobrze.

Ruck ułożył starannie fotografie przed Schneiderem. Przedstawiły pomieszczenie pod różnymi kątami. Metalowy stół operacyjny pośrodku. Skórzane pasy zwisały z boków. Wszędzie wały się instrumenty medyczne. W pokoju panował bałagan. Czarne plamy znaczyły podłogę.

– To pańska sala operacyjna. Zgadza się pan?

– Tak.

– Tak zwane Piekło. W każdym razie tak ją nazywają Amerykanie. Uważam, że to dobra nazwa. Żadna z pańskich ofiar nie wyraziła zgody na tortury, które im pan zadał. Co pan powie sądowi w Norymberdze? Że pracował dla dobra ludzkości?

– Czy przydzielą mi adwokata, Herr Ruck, jak pan sądzi? Jakie dowody będą uznawać na tym waszym procesie?

– Zniszczył pan całą papierową dokumentację swoich eksperymentów przed tym exodusem z Buchenwaldu. Osobiście został pan z rozkazu Himmlera, aby spalić te papiery. Chyba dlatego złapano pana po wyzwoleniu obozu. Mam rację?

Podmuch wiatru zatrzęsł drzwiami stodoły. Ruck zauważył, że stenotypistka ciśniej otuliła się marynarką. Było w niej coś, czego nie potrafił nazwać. Może sposób, w jaki siedziała albo wyraz skupienia na jej twarzy. Cokolwiek to było, zaniepokoiło go.

– Były trzy Piekła – kontynuował Ruck. Mina Schneidera pozostawała obojętna. – W dwóch pierwszych znaleźliśmy dowody na przeprowadzanie operacji chirurgicznych na więźniach... głównie przez pana, ale również przez innych pod pańskim nadzorem. Usuwaliście kończyny, chociaż nigdy nie ustaliłem, w jakim celu. Wykonywano też eksperymenty z gazem musztardowym i różnymi truciznami. W jednym przypadku znaleźliśmy dowód na to, że kobiecie strzelono z bliska w udo, abyście mogli obserwować skuteczność różnych metod leczenia ran postrzałowych. Większość osób, które wprowadzono do tych sal, nigdy z nich nie wyszła.

– Herr Ruck, zaczyna pan mnie nudzić.

– Nie chce pan rozmawiać o swojej pracy, doktorze? To niezwykle jak na takiego pioniera, nie sądzi pan?

Schneider prychnął, jakby odganiał natrętną muchę.

– Herr Ruck, mam zaspokoić pana ciekawość. Niby dlaczego? Amerykanie osądzą mnie i skazą na śmierć. Ale to, co osiągnąłem, przetrwa wieki. Nie wiem, jak zapamięta mnie historia. Jako mordercę? Naukowca? Rewolucjonistę? Przypuszczam, że to zależy od tego, kto napisze podręcznik. Tak czy inaczej historia mnie zapamięta. I moją pracę. Czy jest coś ważniejszego? Zastanawiam się, jak historia zapamięta pana, Herr Ruck. Jako nazwisko? Numer? Stopień wojskowy? Albo wcale pana nie zapamięta. Stanie się pan pyłkiem na stronach należących do mnie. Niczym więcej. Więc niech pan mówi, póki może. Wykorzysta swój czas. Niech inni to usłyszą. Proszę

przeprowadzić mnie przez każdą procedurę, jaką wykonywałem. Po kolei, jeśli łaska. Nie obchodzi mnie to. A za kilka lat nikogo innego też to nie będzie obchodzić.

Zapadła cisza. Słyszać było jedynie stukot maszyny. Ruck pogłaskał się po brodzie w zamyśleniu.

– Jak powiedziałem, doktorze, były trzy Piekła.

Schneider otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował.

Ruck zauważył, że nazista zmienił pozycję.

– Wie pan co, Herr Ruck? – Schneider pochylił się do przodu, na tyle, na ile pozwalały mu kajdanki. – Przypomina mi się dzień, kiedy lustrowałem szeregi nowo przybyłych. Myśleli, że nic mnie nie obchodzi, że nie uważam ich za ludzi. To nieprawda. Każdemu przyglądałem się uważnie. Każdej ranie, każdemu znamieniu, każdemu skrzywieniu. Byłem drobiazgowy przy wyborze pacjentów. Podchodziłem do tego z pewną czułością. Oczywiście wiedzieli, kim jestem. Pozwalałem, aby pogłoski o mojej pracy rozchodziły się po obozie, jak fala po wrzuceniu kamyka do stawu. Wzdrygali się, gdy przeglądałem szereg, wybierając kilkoro z nich.

Ruck strząsnął popiół z papierosa i zaciągnął się mocno. Zauważył, że dziewczyna nadal uderza w klawisze z absolutną precyzją, ale wolniej. Ruck zastanawiał się, jakie myśli przychodzą jej do głowy. Co takiego w niej niepokoiło Rucka? Tak, już wiedział, co jest nie tak. Ona się nie bała. Niewystarczająco.

– Doktorze Schneider, proszę opowiedzieć o eksperymentach z trucizną. W tym się pan specjalizował, prawda? – rzekł Ruck, odrywając oczy od kobiety w narożniku.

– O, jest pan chemikiem, Herr Ruck?

Ruck ponownie się zaciągnął.

– Słyszeliśmy dość intrygujące plotki, że eksperymentował pan z trucizną, czymś tak silnym, że ofiary okaleczały się, aby tylko powstrzymać ból, który ogarniał całe ciało.

Schneider nie odpowiedział, ale spojrzał na Rucka dość obojętnie.

– Znalaziono więcej dowodów na to, że oficerowie SS i strażnicy obozowi zbierali się, aby oglądać podawanie trucizny. Dlaczego tak się działo?

– Nie zrozumie pan.

– Proszę mi wyjaśnić.

Schneider się zaśmiał.

– Herr Ruck, schlebia pan sobie. Jak miałyby pan zrozumieć coś, czego nigdy nie był świadkiem?

– Co to było, doktorze? – zachęcał go Ruck. – Co widownia wynosiła z pańskich zabiegów? Przyjemność? Oświecenie?

– Chce pan wiedzieć, jak wyprodukować tę truciznę? Dobrze... pokażę panu. Poproszę pióro. I kartkę papieru.

Schneider odwrócił głowę tak daleko, jak dał radę, i wskazał kobietę. Ruck poczekał chwilę, przygryzając papierosa. Nie zamierzał rozkuć więźnia i nieopatrznie uzbroić go w pióro. Po chwili skinął na dwóch strażników. Pierwszy mierzył do nazisty z karabinu, drugi rozpiął mu kajdanki i położył kartkę na biurku. Schneider wyczekująco spojrział na Rucka, który zawahał się, zanim pchnął pióro w stronę doktora. Ten wziął je i napisał coś, a potem odsunął pióro.

Ruck wziął kartkę.

– Modyfikuje pan strychninę. Dlaczego? Ona i tak już dobrze zabija, nieprawdaż?

– Może za dobrze.

Ruck się skrzywił. Miał to nieszczęście, że był świadkiem śmierci spowodowanej przez strychninę, alkaloid uzyskiwany z nasion kulczyby wroniego oka rosnącej w Indiach. Trucizna działała szybko, ale śmierć następowała w męczarniach – ofiary doznawały skurczów mięśni i wykręcały się dziwnie, jakby były opętane.

– Jaki był cel tych modyfikacji?

– Całkiem prosty: zatrzymać śmierć przy drzwiach i nie wpuszczać jej, nie otwierać drzwi.

– Kiepski sposób przeprowadzania przesłuchań – zauważył Ruck. – Skoro taka była intencja.

– Nie była.

– W takim razie jaki był cel?

Schneider był lekko rozbawiony.

– Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne[1].

– Ewangelia według świętego Jana, rozdział trzeci werset szesnasty.

– Zna pan Biblię. Niezwykłe.

– Mój ojciec był pastorem. Dobrym, uczciwym człowiekiem, aż zabiła go hitlerowska bomba.

Schneider wzruszył ramionami. Twarz miał jak maskę. Skóra wokół oczu i ust była tak naciągnięta, że nie pozwalała na jakąkolwiek ekspresję.

Pochylił się i powiedział ściszym głosem:

– Herr Ruck, jak dobrze zna się pan z Nim? – Wskazał ku górze.

– Z Bogiem?

– Oczywiście. Z Bogiem.

– Na tyle dobrze, aby wiedzieć, że nie było go w Buchenwaldzie, kiedy pan tam rządził.

– Nie. – Schneider zdecydowanie pokręcił głową. – To naiwne. To, co osiągnąłem, dawało wierzącym w Jego istnienie okazję, aby odejść z tego świata tymczasowo i ujrzeć Trójkę Świętą.

– Widział pan Boga? Poprzez torturowanie ludzkiej istoty?

– Uciążliwej istoty. Nie człowieka.

Zamyślony Ruck odchylił się na oparcie krzesła. Spojrzał na stenotypistkę. Po raz pierwszy jej palce ześlizgnęły się z klawiszy. Strażnicy przestąpili z nogi na nogę. Powiew wiatru na zewnątrz zatrzęsł drzwiami stodoły... nadciągała burza.

[1] Biblia Tysiąclecia, wydawnictwo Pallottinum, Poznań 1991

6

Biura Priest i Spółki zajmowały cztery piętra wąskiego segmentu ujętego na liście zabytków. Znajdował się on niecałe piętnaście minut piechotą od Królewskiego Pałacu Sprawiedliwości przy ulicy nazwanej stosownie The Nook – zakamarkiem. Ulica była tylko przedłużeniem Strandu, a biuro Charliego Priesta stanowiło jedyny wyraźny obiekt zainteresowania, poza absurdalnie małym przybytkiem naprzeciw znanym jako Piccolo Cafe, który Priest regularnie odwiedzał. Przeważnie zamawiał tam jedynie herbatę ku zniesmaczeniu baristy.

Charlie pokonał schody po dwa stopnie naraz, mijając małą tablicę z brązu, która identyfikowała zajmujących budynek, po czym wpadł do recepcji. Woń starej skóry wisiała w powietrzu. Wyposażenie wykonano z ciemnego mahoni i dębu. Jedna ze ścian była w całości zakryta karykaturami w tuszu przedstawiającymi słynnych prawników i sędziów. Pod drugą stała biblioteka od podłogi po sufit wypełniona prawniczymi raportami. Był też wyblakły plakat reklamujący słynną Carbolic Smoke Ball.

Charlie nienawidził biura – nie wyłączając sztucznych kwiatów nad kominkiem – ale ta dekoracja była dla klientów, nie dla niego.

Maureen zza biurka rzuciła mu spojrzenie, które wyrażało pytanie: „Gdzieś ty był, do cholery?”. Rano miał spotkanie w banku, ale poprosił, żeby je przełożyła. Najwyraźniej w banku nie byli uszczęśliwieni. Priest nie brał pożyczek pod zastaw budynku i nigdy nie przekraczał stanu konta. Zdecydowanie nie stanowił problemu dla banku.

Spojrzał na Maureen, przekazując jej wzrokiem wiadomość: „Przepraszam, ale poranek był skomplikowany”, i zniknął w gabinecie, zamykając za sobą drzwi, zanim zdążyła się odezwać.

Miał największy gabinet w budynku, chociaż wybór wynikał raczej z przypadku niż z premedytacji. Przypadkiem to on miał najwięcej akt do przechowywania.

Padł na fotel za wielkim, nowoczesnym biurkiem, na którym stały dwa monitory i leżała sterta dokumentów. Na ścianie po jego lewej stronie wisiał telewizor plazmowy wyświetlający Sky News bez fonii. Przyjrzał się kubkowi ukrytemu między dwoma monitorami i odkrył, że zadomowił się w nim niezidentyfikowany grzyb, który przybrał postać piennej warstwy.

Muszę porozmawiać ze sprzątaczką. Może wprowadzę system motywacyjny i będę płacił według wyników.

Kliknął myszą. Oba monitory ożyły, zawarczały i ukazały się przed nim ekrany logowania. Leniwie i mechanicznie wpisał hasło. Musiał pomyśleć. Ktoś zadał sobie wiele trudu zeszłej nocy, próbując go zabić, aby zdobyć coś, czego on nie miał. A może nie zdawał sobie sprawy, że ma. Rezultatem tego była kiepska noc. Co więcej, jego napastnik był gdzieś w stolicy, czaił się. Priest zadrżał. Ledwo mógł poruszać przypaloną ręką.

Rzecz jasna powinien zadzwonić na policję. Wiedział o tym. Ale tego nie zrobi. Przez osiem lat był policjantem, zanim zdaniem swoich dawnych kolegów dopuścił się zdrady i został prawnikiem. Niechęć stróżów prawa do tych, którzy nim manipulują, była czymś naturalnym, a Priest dodatkowo pogłębił byłych kolegów, zarabiając ogromne pieniądze.

Na szczęście mam gdzieś to, co ludzie o mnie myślą. Przynajmniej ci, którzy nie próbują mnie zabić.

Wątpił, aby przypisanie numeru przestępstwu wiele pomogło. Poza tym miał do dyspozycji o wiele lepszych ludzi niż miejscowi mundurowi. Gdyby chciał kogoś znaleźć, sam by to zrobił. *Ból głowy poważnie przeszkadza w myśleniu, więc może zacznę od gorącego kubka herbaty.*

Energiczne pukanie poprzedziło otwarcie drzwi. Pojawił się olbrzymi Murzyn w błyszczącym szarym garniturze, bez krawata. Miał na sobie też szytą na miarę limonkową koszulę, z której kieszeni na piersi wystawała chusteczka tej samej barwy. Eleganckiej całości dopełniał rolex.

Kariera Vincenta Okoro, wewnętrznego doradcy w Priest i S-ka, była równie imponująca jak on sam. Przyjęty do palestry w 1995, urodzony w Nigerii adwokat, zajął się prawem późno, podobnie jak Charlie. Wcześniej przez dziesięć lat prowadził własną firmę deweloperską, zanim się wycofał i ostatecznie wstąpił do stowarzyszenia prawniczego w Lincoln's Inn. Specjalizował się w złożonych sporach handlowych i zasłynął z bezwzględnych przesłuchań krzyżowych i przemysłanej taktyki.

Okoro zamknął drzwi i usiadł naprzeciw Priesta. Fotel pod nim zastękał.

Gość nie był tłusty, tylko umięśniony. Charlie podejrzewał, że Okoro to jeden wielki mięsień. A tego ranka był jednym wielkim, ponurym mięśniem.

– Ostatnią godzinę spędziłem na rozmowie przez telefon z Monroem – oznajmił Okoro wyniosłym tonem, z miękkim, nigeryjskim akcentem.

– Z kim?

– Monroe to dyrektor naszego banku. – Okoro cierpliwie pokiwał głową.

– Ach, z nim.

– Dopytują się o prognozę kolejnego przyływu gotówki.

– Co było nie tak z ostatnią, jaką wykonałem?

– Nie wykonałeś. W zasadzie to przez wszystkie lata naszej znajomości nigdy żadnej nie wykonałeś.

– Więc nie chcą kolejnej. Chcą tylko... jedną.

Okoro uśmiechnął się i pokiwał głową, jakby słuchał uspokajającej muzyki.

– Priest, kiepsko wyglądasz.

– Miałem paskudną noc.

Okoro uniósł brew z zaciekawieniem.

– Paskudną noc w środku tygodnia. Wow. Więc do tego doszło?

– Minęła już dwunasta? – zapytał Priest, spoglądając na nadgarstek, ale ujrzał tylko straszną ranę po oparzeniu. Pospiesznie ją zakrył.

– Co?

Charlie pogrzebał w szufladzie i wydobyl butelkę dobrej szkockiej. Nie miał pojęcia, w jaki sposób znalazła się na dnie szuflady – pewnie podarunek od zadowolonego klienta – ale był wdzięczny własnej pamięci, że nie zapomniał o niej. Nalał trunku do dwóch szklanek i pchnął jedną w stronę Okoro. Opróżnił swoją i nalał kolejną porcję. Tę także wypił i spojrzał wyczekująco na Okoro.

Okoro przyjrzał się szklance podejrzliwie.

– To nowa polityka firmy? Picie w południe?

Priest opróżnił kolejną. Nie pił ani nałogowo, ani dla przyjemności. Z całym prawdopodobieństwem trzynastoletnia dziewczynka miała mocniejszą głowę od niego, ale teraz musiał jakoś ukoić swój niepokój.

– Coś cię męczy?

Charlie pokręcił głową, ale nadal trzymał butelkę.

– Coś się stało w nocy?

– Nic specjalnego. Normalna noc. Powtórki *Świętego*, KFC, nakarmiłem rybki, pograłem na pianinie. Potem ktoś próbował rozłupać mi czaszkę. Jak

się ocknąłem, byłem przywiązany, kurwa, do krzesła, a facet wymachiwał mi wiertarką przed twarzą.

Zapadła cisza, kiedy Priest pocierał tył głowy w miejscu, które weszło w kontakt z tonfą. Były tam dwa guzy wielkości piłki golfowej – to cud, że czaszka mu nie pękła.

– Priest, ty nie grasz na pianinie.

– Czy ten szczegół ma znaczenie?

– Będiesz bełkotał czy opowiesz mi dokładnie, co cię spotkało?

W przyszłym tygodniu muszę stawić się w sądzie.

Charlie westchnął i wypił kolejną porcję whisky. Bursztynowy płyn palił go w gardle i uderzyła go pewna myśl. *Nienawidzę whisky*. Odpędził ją i zaczął opowiadać zdarzenia zeszłej nocy, krok po kroku, starając się nie pominąć żadnego szczegółu. Kiedy skończył, zapadła cisza.

Okoro oddychał ciężko.

– I nie znasz tego gościa?

– Nie.

– Nigdy wcześniej go nie widziałeś?

– Nie. – Pokręcił głową.

– Nie wiesz, czego chciał? – Okoro uniósł brew, a on wyczuł sceptycyzm.

– Pendrive’a.

– Z czym?

– Nie mam pojęcia.

– Uhm. Dlaczego myślał, że go masz? – Okoro potarł łysą głowę, jakby go coś bolało.

– Podobno ktoś mu powiedział, że go mam, ale nie zdradził, kto taki.

– I nie rozpoznałeś go?

– Nie.

Okoro powoli kiwał głową.

Wielka kariera Okoro zaczęła się w 2003 roku, kiedy zaproponowano mu stanowisko zastępcy prokuratora w nowo utworzonym Międzynarodowym Trybunale Karnym. Założono go po to, aby po raz pierwszy sędzić winnych ludobójstwa, zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości, ponieważ do tej pory takie sprawy nie były w jurysdykcji sądów krajowych lub sędziom brakowało odwagi. Okoro znalazł się w samym centrum elitarnego towarzystwa prawniczego, którego zadaniem było stać na straży prawa na obszarach, gdzie takiego pojęcia nie znano, gdzie różne kreatury resztę

ludzkości miały za nic, a w najlepszym razie odnosiły się do niej z absolutną pogardą.

Bezwzględność w żadnej mierze nie była mu obca.

– Nic ci nie jest? – zapytał w końcu Okoro.

– Ledwo ruszam nadgarstkiem i cały tabor cyrkowy wędruje po moim płacie czołowym. Oczy mnie boją. Rano dwa razy poleciała mi krew z nosa. Jak coś biorę do ust, dziwnie to smakuje.

– Ale czy dobrze się czujesz?

Charlie patrzył na niego przez dłuższą chwilę. Lekki uśmiech nie zamaskował szczerzej troski w spojrzeniu prawnika. Okoro trzymał fason – zachowywał spokój, utrzymywał kontakt wzrokowy, nie ruszał się zbyt. Priest zawsze czuł się dziwnie zrelaksowany w towarzystwie łagodnego olbrzyma, a dzisiaj szczególnie był wdzięczny za wsparcie.

– Tak, dobrze – odparł wreszcie. – Trochę mnie wkurzyło, że dałem się zaskoczyć. Facet miał jednak dobrze podrobiony mundur. Ciekawe, gdzie go dostał.

– Możesz dostać wszystko, jeżeli znasz właściwych ludzi. Wiesz o tym. A to oznacza, że ma dobre kontakty. Czyli musisz uważać. Jeszcze raz się zastanów, czy nie lepiej powiadomić policji.

– Skąd wiesz, że postanowiłem tego nie zgłaszać?

– Bo znam wielkiego Charliego Priesta lepiej niż on sam siebie.

– Hm. – Charlie wyglądał, jakby się zastanawiał, ale w rzeczywistości nie zamierzał zmieniać decyzji. – Pomyślę o tym.

Okoro skinął głową.

Komputer zasygnalizował, że przyszedł kolejny mail. Na szczęście tydzień był spokojny. Priest i S-ka pracowali tylko dla kilku wybranych, bardzo dochodowych klientów: międzynarodowych firm próbujących wykryć korupcję w swoich szeregach średniego szczebla zarządzania, firm istniejących tylko w Internecie z wrednym dyrektorem biorącym łapówki, firm oskarżających konkurencję o nielegalne praktyki, łapówkarstwo, zмовy. Czasami trafiał się skorumpowany członek parlamentu.

Dla Priest i S-ka najważniejsze były rezultaty. Zapewnij to, co twierdzisz, że zapewnisz, kiedy już się na to zdecydujesz. A klucz do stuprocentowego sukcesu też był prosty. Staranne dobieranie spraw. W konkretnym momencie można było prowadzić co najwyżej dwie sprawy. Alokacja zasobów była decydująca. Tak więc Priest brał tylko to, z czym mógł sobie poradzić i co mógł

wygrać.

W pewnym sensie dopisywało mu szczęście. Wizyta fałszywego policjanta zbiegła się z przejściowym zastojem, który pojawia się między sprzątaniami po dużym procesie a początkiem nowego. Głęboki oddech przed kolejnym nurkowaniem. Poprzednia sprawa dotyczyła Theramere International Plc, firmy z setki FTSE. Sprzedawali wakacje z wyjątkowymi zdarzeniami – przejażdżką po torze wyścigowym, lotem balonem, obiadem ugotowanym przez kucharza celebrytę. Firma rozwijała się i przeobrażała tak szybko, że założyciele pogubili się i zatrudnili dyrektora naczelnego podkradzionego konkurencji, a potem zastanawiali się, dlaczego wzbogacił się ponad miarę. Trzy tygodnie przed sędzią w czerwonej toczce i Priest i S-ka wykazali, że powodem takiej sytuacji było kontrolowanie przez dyrektora trzech innych spółek oferujących podobne usługi w Maroku, Niemczech i Holandii, które ustawiał jedną przeciw drugiej dla własnego zysku. Teraz ze swojego lewego dochodu spłacał Theramere i zajmie mu to resztę życia.

Okoro poruszył się w fotelu, przenosząc ciężar ciała na jedną stronę fotela, który zaskrzypiał głośno.

– Więc ten facet wydał dużo pieniędzy i zainwestował sporo czasu w zorganizowanie operacji, której celem było odzyskanie czegoś od ciebie... danych zapisanych w elektronicznej formie... i zrealizował plan, ale nie zdobył tego, co chciał...

– Tak. – Charlie pokiwał głową. – Spróbuje jeszcze raz.

– Musisz uważać.

– My musimy uważać – poprawił go.

– Dlaczego my?

– Okoro, dużo o mnie wiedział. Prawdopodobnie wie też, kim ty jesteś.

Vincent parsknął.

– Potrafię o siebie zadbać. To raczej o ciebie się martwię. Chcesz powiedzieć innym, co się dzieje?

Priest pozwolił, aby to pytanie wybrzmiało. Przez „innych” Okoro rozumiał dwoje pracowników spółki – Simona „Solly’ego” Salomona i Georgie Someday. Priest od razu postanowił, że powie Georgie. Dwudziestopięciolatka była najmłodsza w zespole, ale to, czego brakowało jej z racji wieku, nadrabiała lotnością umysłu. Rzadko miał sposobność natrafić na tak wyrafinowany umysł prawniczy jak u Georgie.

Solly, księgowy firmy Priest i S-ka, stanowił bardziej skomplikowaną

kwestię. Był społecznie nieprzystosowany, beznadziejny w rozmowie i prawdopodobnie chorował na autyzm. Solly był człowiekiem od liczb i w rzadkich momentach przytomności lubił mówić: „Priest, ludzie to nie liczby”. Solly potrafił dostrzec funta przemieszczającego się między ośmioma kontami w czterech jurysdykcjach, ukrytego w sześciusetstronicowym audycie.

Gdyby ludzie byli liczbami, wówczas Simon Solomon byłby największym na świecie znawcą ludzkiej natury, skoro jednak nie byli, Priest nie chciał martwić go rzeczami takimi jak maniacy wymachujący wiertarkami.

– Wspomnę o tym Georgie. O Sollym pomyślimy później.

– Wspomnisz? Tak jakbyś właśnie pomyślał o nowym przepisie na babkę cytrynową?

Charlie wzruszył ramionami. Okoro wstał, gabinet wypełniła nagle wielka chmura burzowa.

– Zacznę się rozglądać w twoim imieniu. Tymczasem, jeżeli chcesz gdzieś przeczekać...

Odgonił go machnięciem ręki.

– Nie, nie. Nic mi nie będzie. Poza tym twoja żona mnie nienawidzi.

– Moja żona nienawidzi twojej społecznej niezdarności, twoich kiepskich manier przy stole i intelektualnej arogancji. Nie żeby nienawidziła ciebie, per se.

– To długa lista.

– Tak, to też moja cholerna lista. Uważaj na siebie. – Okoro wyszedł sprężystym krokiem.

Charlie odwrócił się do okna i wbił wzrok w drzwi Piccolo Cafe. Zastanawiał się, czy nie przydałyby mu się wakacje. W jakimś ciepłym miejscu, ale nie w spiekocie. Złota plaża, przejrzysty ocean. Koktajle serwowane przez skąpo odziane dziewczyny. Może jak uda mu się przekonać siebie, że nocny gość nie wróci na kolejną sesję z wiertarką, przejdzie się po biurach podróży i wybierze kilka folderów. *Tak wpływa bliskość śmierci. Każe ci myśleć o rzeczach, które cię ominęły w życiu.*

Alkohol szumiał mu w głowie. Nie czuł się tak zdezorientowany od rozwodu. Wydawało się, że minęło już sporo czasu od tego wydarzenia, ale wyszło mu tylko na dobre. Głównie dlatego, że był upośledzony towarzysko, a Dee Auckland to niezła wariatka.

Nie było zimno, ale on drżał.

Spod papierów w szufladzie, gdzie leżała butelka whisky, wyjął stare zdjęcie

– postrzępione na brzegach, z zagięciem pośrodku. Musi bardziej o nie dbać. Troje Priestów: William, on i Sarah. Tyle potencjału, twarze pełne naiwnej ciekawości. Wszystko się skończyło, kiedy William przyznał się do serii morderstw, a oni przeczytali gazety nazajutrz po procesie: *Brat wysokiego rangą policjanta współczesnym Kubą Rozpruwaczem*.

Wtedy pojawiły się pytania. Jak William, z doktoratem z psychologii, przeistaczał się w tak okrutnego mordercę? Jak unikał wykrycia przez tak długi okres? Dlaczego zabijał? Dlaczego żaden z profilerów go nie wytypował? Co pchnęło go do szaleństwa? Czy był wykorzystywany jako dziecko albo mocno uderzył się w głowę?

A może zło tkwiło w nim samym?

Priest spojrział na swój nadgarstek, gdzie oparzył go płomień; czarna, jątrząca się masa, na której zaczynały pojawiać się pęcherze, bolała przy każdym ruchu dłonią. Ale pod spodem była pajęczyna żył z płynącą krwią... tą samą krwią, która...

Ponownie rozległo się pukanie do drzwi. Wsunął zdjęcie z powrotem do szuflady. Znowu pojawiła się łysa głowa Okoro.

– Jakiś człowiek do ciebie.

– Kto?

– Nie wiem. Ale ma dość paskudną odznakę.

Neville McEwen był grubszy, niż Charlie go pamiętał. Rudowłosy Szkot rozrósł się we wszystkich kierunkach i ledwo mieścił się w źle dopasowanym garniturze. Wyraźnie się postarzał. Lata picia nadały jego twarzy odcień głębokiego fioletu.

Okoro wskazał mu fotel naprzeciw Priesta i zajął miejsce w rogu pokoju. Charlie skrzywił się, gdy Szkot ciężko usiadł. *Ten fotel więcej nie wytrzyma.*

Chociaż McEwenowi przybyło sporo kilogramów, rozpoznał go. Był detektywem w stopniu sierżanta, kiedy Priest awansował w szybkim tempie na inspektora. Żadna tajemnica, że McEwen pragnął tego stanowiska i długo na nie czekał. Patrząc, jak człowiek dziesięć lat młodszy, jedynie z częścią jego doświadczenia, przeskakuje go, musiało zasmucić McEwena. Priest spodziewał się wrogości... prawdopodobnie cofnął karierę grubasa o pięć, sześć lat.

– Charlie Priest – mruknął McEwen. – A niech mnie.

Charlie pochylił się nad biurkiem, aby lepiej słyszeć. Połączenie braku snu, whisky i prawdopodobnego wstrząśnienia mózgu wywoływało zawroty głowy, a przypomniał sobie, że McEwen na ogół mamrotał.

– Sierżant McEwen.

– Teraz inspektor McEwen.

– Och. Brawo, stary.

– Ile to czasu minęło? – burknął McEwen.

– Dużo.

– Tak. Dużo.

– Co możemy dla pana zrobić, inspektorze? – zapytał Okoro siedzący za policjantem.

McEwen się nie obejrzał.

– Przyszedłem rozmawiać z katarzyniarzem, a nie z małpką.

Charlie zwrócił uwagę na dobór słów. Dwadzieścia lat temu Okoro pewnie

by zareagował, ale się przyzwyczaił.

– Nie wyglądasz za dobrze, Priest. Zeszła noc? – zagadnął McEwen.

– Mam kłopoty ze skórą. Czasami sprawiaam wrażenie zmęczonego.

– Tak. Zmęczony. Racja. Chcę ci zadać kilka pytań, jeśli wolno. Gdzie byłeś zeszłej nocy?

– Nie ma z tobą sierżanta – zauważył Charlie.

– Więc?

– To wydaje się dziwne. Tylko tyle.

McEwen głośno wciągnął powietrze. Zabrzmiało to, jakby ruszała turbina wiatrowa.

– Gdzie byłeś zeszłej nocy, Priest?

– W domu.

– W jakimś towarzystwie?

– O co tu chodzi, inspektorze? – wtrącił Okoro.

McEwen go zignorował.

– Słyszałeś o Ellinder Pharmaceuticals International?

– Producentie leków? – spytał Priest.

– Tak. Podpowiedź kryje się w nazwie, co? Szef... to Kenneth Ellinder... słyszałeś o nim?

– Nie.

– Jego syna, Milesa, znaleziono martwego w jednym z magazynów firmy.

– Okej.

– Słyszałeś o Milesie, Priest?

– Nie.

– Hm. – McEwen głośno pociągnął nosem i wytarł go w rękaw. Położył na stole... zdjęcie ukazujące głowę mężczyzny po trzydziestce o gładko zaczesanych włosach i martwych oczach.

Priest przełknął ślinę. Mężczyzna na fotografii nie miał na sobie munduru policyjnego, ale przypominał gościa z poprzedniej nocy.

– To jest Miles Ellinder – powiedział McEwen. – Czy jego twarz jest ci znajoma?

– Obawiam się, że nie. Skończyliśmy?

– Nie, jeszcze daleko do końca. Ciało Milesa Ellindera znalazł dozorca wczesnym rankiem. Zupełnie przypadkiem. Drzwi prowadzące do piwnicy były otwarte, więc tam wszedł. I znalazł go martwego. Uznaliśmy tę śmierć za podejrzaną.

Priest wzruszył ramionami.

– Okej.

– A wiesz, dlaczego uznaliśmy tę śmierć za podejrzaną?

– Nie.

– Na pewno nie wiesz.

McEwen wyciągnął kolejne zdjęcie z wewnętrznej kieszeni marynarki. Rzucił je na biurko. Priest przyglądał mu się długo i uważnie. Musiało minąć trochę czasu, aby obraz nabrał sensu. Wtedy dotarło do niego, że to, co zarejestrował za pierwszym razem, jest dokładnie tym, co przedstawiało zdjęcie. *Dobry Boże*. Priest ledwo zauważył, że Okoro wstał i pochylił się nad biurkiem. Chciał to zmienić. Chciał, aby pokazał się prawdziwy obraz, ale im dłużej patrzył, tym bardziej ta scena się krystalizowała. Nie dało się uciec przed rzeczywistością. Przez chwilę zbierało mu się na wymioty.

– Jakies przemyślenia? – zapytał szyderczo McEwen.

– Człowiek nie powinien tak umierać – cicho powiedział Okoro.

McEwen podniósł zdjęcie. Leżało na stole tylko chwilę, ale to wystarczyło, aby odcisnęło się piętnem w umyśle Priesta.

– Skąd wiesz, że to Miles Ellinder? – zapytał Charlie. Obraz był wyraźny, ale ciało znajdowało się dobre trzy metry od aparatu, a głowa była lekko odwrócona na bok. Priest nie potrafił powiedzieć, czy ten człowiek to ten sam, który przebrał się za policjanta, a nawet czy to on widniał na pierwszym zdjęciu McEwena.

– Rodzina go zidentyfikowała. Nie ma wątpliwości – burknął McEwen. – Został wbity na pal. Do podłogi w magazynie przyspawano metalowy słup. Wszedł mu w odbył i wsunął się aż do karku, chociaż zabójcy prawdopodobnie tylko trochę go nawlekli, reszty dokonała grawitacja. Mógłby umrzeć szybko, gdyby miał szczęście. Ale nie miał. Patolog twierdzi, że prawdopodobnie konał prawie godzinę. Pal ominął większość głównych narządów. Było to całkiem starannie zaplanowane. Niezły show.

McEwen pochylił się do przodu i zmierzył Charliego przenikliwym spojrzeniem.

– Priest, czy jego twarz wygląda znajomo? Hm? A może pal w jego tyłku?

Charlie nie odpowiedział.

McEwen nie wyglądał na zachwyconego.

– Jeżeli nie znasz Ellindera, to może powiesz, skąd u niego się wzięła twoja wizytówka?

McEwen wyciągnął przezroczystą torebkę na dowody i rzucił ją Priestowi, który od razu dostrzegł niebieską czcionkę i wiedział, że to jego. Przypomniawsobie, że fałszywy glina wziął jedną z jego wizytówek i schował do kieszeni, zanim wydobyl wiertarkę.

– Nie mam pojęcia. – Pokręcił głową.

– Nie masz pojęcia?

– Inspektorze, prowadzę wiele interesów. Rozdaję sporo wizytówek.

– Może to twój klient? Któryś z pracowników?

– Znam wszystkich klientów naszej kancelarii. On do nich nie należał.

– Priest, nie jesteś szczególnie pomocny.

– Odpowiadam na pytania. Skąd wiesz, że miał ją przy sobie?

– Jego ubranie leżało w kącie. Wygląda na to, że włożył mundur policjanta. Prawdopodobnie podróbkę. Nic poza tym... żadnego portfela, telefonu. Dozorca go rozpoznał. Teraz jedyny ślad prowadzi do ciebie.

– Przepraszam, ale nie mogę ci pomóc.

– Wiesz, że załatwienie nakazu chwilę potrwa. Świstek papieru, który pozwoli przejrzeć wszystkie twoje dokumenty, każdą szufladę, każdy sejf i każdą muszlę klozetową. Wstyd, że muszę to zrobić. Będzie kurewski bałagan.

– Inspektorze, proszę dać spokój, obaj wiemy, że to strata czasu – odezwał się Okoro. – Na razie pan prowadzi, ale ile czasu minie, zanim media się o tym dowiedzą? Pewnie kilka godzin. Może powinien pan pokierować śledztwo w innym kierunku?

– Ciekawa rada. – McEwen odwrócił się do Okoro. – Ale nowy zastępca komendanta chciał, abym podążał właśnie w tym kierunku.

Charlie westchnął.

– McEwen, zapewniam cię, że ten zastępca mną się nie zainteresuje.

– To zależy, kim jest. – McEwen wykrzywił się w półuśmiechu. Był to niepokojący widok. W jego wąskich ustach kryło się coś gadziego.

– McEwen, od dziesięciu lat nie miałem kontaktu ze stołeczną policją. Nie mam pojęcia, kim jest obecny zastępca komendanta.

McEwen się zaśmiał.

– Ona zna cię doskonale, Priest. W zasadzie to osobiście kazała mi tu przyjechać i cię przemaglować. Wiedziałaś, że jest w Manchesterze. Ale teraz wróciła. Wskoczyła szczebel wyżej i założę się, że nadal nie brakuje jej zapachu. Dee Auckland.

Charlie poczuł gulę w gardle.

– Cieszę się z jej awansu – powiedział. To był kłopot. Rzadko zanosilo się na szczęśliwe zakończenie, gdy w grę wchodziła była żona.

– Jasne. A ona cieszy się, że wróciła. Interesuje się tą sprawą osobiście. Oczywiście z piarowskich powodów. Chyba rozumiesz.

– Doskonale.

– Cóż, muszę ruszać. – McEwen wstał. – I spotkać się z sędzią w sprawie nakazu. Uważajcie na siebie, chłopcy.

Okoro także wstał i gdy McEwen odwrócił się do wyjścia, nastąpił krótki moment, kiedy obaj zawodnicy wagi ciężkiej spoglądali na siebie, potem Okoro otworzył drzwi i gestem zaprosił inspektora do wyjścia.

– Dziękujemy, że pan nas odwiedził, panie McEwen – powiedział uprzejmie.

Charlie siedział nieruchomo w fotelu. Gdyby wstał, pewnie by się pod nim ugięły nogi.

McEwen już wychodził, kiedy odwrócił się do Priesta.

– Co wiesz o jętkach? – zapytał.

Charlie zamrugął.

– To jakieś muszki, tak?

– Nie żyją zbyt długo. Raczej krótko.

Priest zastanawiał się, czy dać sobie spokój, ale ciekawość wzięła górę.

– Dlaczego pytasz o jętki?

Na twarzy McEwena pojawił się szeroki uśmiech zadowolenia z siebie, przez co inspektor upodobił się do ropuchy.

– Zmusili go do połknięcia jednej, zanim nadziali go dupskiem na pal.

Priest patrzył z okna, jak McEwen wlewa się do swojego volvo i rusza The Nook w stronę rzeki. Z oddali dochodził odgłos narastającego ruchu na Strandzie – warkot silników na jałowym biegu akcentowany klaksonami wciskanymi przez zirytowanych londyńczyków i rykiem syren. Charlie czuł, jak się osuwa. Zupełnie jakby w jego głowie spotkały się naraz wszystkie duchy, a ich głuche krzyki niosły się echem w pustce. *Nie należę do realnego świata. Jestem duchem.* Próbował znaleźć oparcie, ale w głowie mu pulsowało.

Okoro znowu zajął miejsce przed biurkiem Priesta.

– Nie powiedziałaś mu – stwierdził Okoro.

– Nie.

– Trochę to ryzykowne.

– Dlaczego?

- Coś w rodzaju utrudniania śledztwa policji.
- Hm. Zyskaliśmy na czasie. Miejscowa ława nie da mu zgody, więc go spowolniliśmy. Zyskaliśmy na starcie kilka dni przewagi.
- Żeby co zrobić?
- Żeby dowiedzieć się, co się, do cholery, dzieje.
- Będzie miło na nowo poznać twoją eks.
- Nie, nie będzie, Okoro.
- Nadal jest na ciebie wściekła?
- Zdaje się, że tak.
- Od tej pory będą śledzić twoje ruchy.

Charlie skinął głową. Już wziął to pod uwagę. Czuł się zmęczony, kompletnie pozbawiony energii. Martwił się o Sarah. Sam nie wiedział dlaczego, ale uważał, że powinien ją odwiedzić. Choćby po to, aby powiedzieć, że jego była żona wariatka wróciła do miasta. Nie dziwił się, że awansowała i znowu została przeniesiona. *Ciekawe, kogo tym razem wkurzyła.*

Jeszcze kilka minut temu był przekonany, że Dee szefuje w Manchesterze, piastuje stanowisko, dla którego zostawiła go przed pięciu laty. Wtedy uznała go za umysłowo chorego, z czym nie mógł się spierać. W końcu miał rozszczepienie osobowości, co było odchyłką od normy. Próbował jej to wyjaśniać; uczucie oddzielenia mogło pojawić się w dowolnym momencie. W najlepszym razie było to jak nagłe przeobrażenie otoczenia – jak przyście migreny, w której rzeczywistość trzyma się mniej więcej mocno, ale w zniekształconej, chaotycznej postaci. Sen, w którym śniący dobrze wie, że śpi. W najgorszym razie mógł doświadczać momentów całkowitego odrealnienia, jakby wystrzelono go z ciała w dziwny, obcy świat, w którym obserwował siebie, albo własną udręczoną karykaturę, starającego się bezskutecznie odnaleźć w nowym otoczeniu. Takie momenty, chociaż rzadkie, mogły trwać minuty lub godziny; koszmar, w którym śniący nie ma pojęcia, czy śpi, czuwa, a nawet czy żyje.

Trudno było funkcjonować w świecie, który często był tylko półrealny, a czasami całkowicie nierealny. A co by było, gdyby on pozostał już zawsze niedostosowany, niepoważny i momentami wprost niegrzeczny? Nie chciał nikogo obrażać. Wielkie kawałki jego istnienia mogły przesuwać się jak rozmazane kadry w starym kinematografie; czasami czuł się tylko człowiekiem za sprawą reakcji, jakie prowokował u innych.

Nie żeby Dee miała z tym związek. Zdaniem Charliego skorki miały

znacznie więcej empatii niż ona.

Jej ostateczne szyderstwo – *jesteś umyślowo chory* – wciąż do niego powracało i uświadomiło mu to, o czym w głębi duszy zawsze wiedział: *mężowie z rozszczepieniem osobowości są wstrętni, ale socjopatki ze skłonnością do kontrolowania to coś jeszcze gorszego.*

Grzeczne chrząknięcie spowodowało, że Charlie popatrzył na stojącą w drzwiach Georgie. Jak długo tu była? Z miny Okoro – który przywykł do jego milczących kontemplacji – wynikało, że przynajmniej kilka minut. Miała na sobie plisowaną spódnicę i białą bluzkę; rude włosy upięła z tyłu. Stała trochę niezdarnie, co zdradzało oczywistą niepewność.

– Przepraszam – odezwała się. – Pukałam, ale nie byłam pewna, czy mnie poprosiłeś, czy...

– W porządku, Georgie – powiedział Okoro. – Wejdz. Priest znowu odfrunął z wrózkami.

– Dziękuję. – Weszła do gabinetu i spojrzała na Priesta. – Och, Charlie, nie wyglądasz za dobrze.

Priest powoli pokiwał głową. Podejrzewał, że dziewczyna ma rację. Dzisiaj rano nie wziął prysznic. Garnitur miał wymięty i nie założył krawata. Prawdopodobnie wyglądał jak statysta z filmu o zombie.

– Tak, miałem trudny poranek. Słuchaj, Georgie, wiesz, że potrafisz szybko przyswoić dużo niepokojących informacji? Hm, to będzie ci potrzebne przez następne kilka minut.

– Świetnie! – Wydobyła prawniczy notes i pióro, po czym wyczekująco podniosła wzrok.

Jest za bardzo chętna. Priest przekazał jej zredagowaną wersję ostatnich dwudziestu czterech godzin, nie pomijając wiertarki i wizyty McEwena, ale wyłączając naturę śmierci Milesa Ellindera. Były pewne szczegóły, o których teraz nie musiała wiedzieć. Kiedy skończył, nastąpiła krótka przerwa, podczas której nie potrafił odróżnić odgłosów ulicy od szumu krwi w uszach.

Po krótkiej chwili Georgie odłożyła pióro.

– O mój Boże! – Była najwyraźniej zaszokowana, ale nie potrafiła ukryć rosnącej ekscytacji.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się – po raz pierwszy od kilku dni. Georgie wyróżniała się zdecydowanie wśród innych kandydatów, którzy przeszli z nim rozmowę kwalifikacyjną przed rokiem. Na papierze niespecjalnie różniła się od innych młodych ludzi pełnych nadziei. Porządny licencjat

z Oksfordu, magisterka z filozofii na King's College – jak Priest – wyróżnienie w zawodowych kwalifikacjach. W kancelarii była pomysłowa i oddana. Lecz coś ją odróżniało, czego Charlie się uczeplił – zasoby energii kryjące się za szmaragdowymi oczami.

– Z oczywistych powodów to obecnie poufne informacje. Zgadzasz się?

– Oczywiście! Tajemnica. – Zamilkła, a on widział, jak nurtuje ją ciekawość.

– Ale jak uciekłeś z krzesła?

– Przepaliłem więzy zapalniczką. – Priest uniósł nadgarstek, który przypominał źle upieczony kebab.

– Boli? – zapytała Georgie szczerze zatroskana.

– Jak cholera, Georgie. Co nie jest niczym zaskakującym.

Georgie skinęła głową i zanotowała: *Boli jak cholera.*

– Dobrze, skoro ustaliliśmy, że poparzenie się podczas ucieczki przed szaleńcem z wiertarką to stresujące doświadczenie, możemy zabrać się do pracy. Co wiemy o Ellinder Pharmaceuticals International?

– Głównie produkują antydepresanty – odezwał się Okoro. – Słyszałem, że na lekach się sporo zarabia, co też robi cała rodzina Ellinderów.

– Ellinder – powtarzała Georgie. – Ellinder. – Wyciągnęła z kieszeni iPhone i zaczęła dotykać ekranu.

Priest czekał cierpliwie, aż znajdzie to, czego szukała. Ciągle dudniło mu w głowie, ale przynajmniej myśli zaczynały się układać.

W końcu Georgie podniosła wzrok, najwyraźniej zadowolona z tego, co znalazła.

– W dwa tysiące jedenastym była sprawa w Sądzie Ochrony Konkurencji dotycząca firm z Ellinder Group. Zsyntetyzowali antydepresant o nazwie Meilopain, który pakowali, opatrywali swoją marką i sprzedawali Narodowej Służbie Zdrowia za dziesiątki milionów. Patent miał wygasnąć po piętnastu latach. Potem inne firmy farmaceutyczne zaczęłyby o wiele taniej produkować własny Meilopain. Ten Ellinderów nie byłby skuteczniejszy od tych tańszych, a kosztowałby sześć razy więcej. Zalanie rynku tańszą wersją pomniejszyłoby dochody Ellinderów o siedemdziesiąt pięć procent, więc płacili innym producentom za późniejsze wprowadzenie tańszych wersji, nawet o kilka lat, żeby Ellinder mógł dłużej doić służbę zdrowia.

– Co się stało? – zapytał Priest.

– Dostali karę w wysokości piętnastu milionów funtów.

– Czy rodzina Ellinderów figurowała w aktach procesowych?

– Nie wiem, mam tu protokół, więc przejrzę i się dowiem.

– Dobrze. Czy Theramere już nam zapłaciło? – zwrócił się Priest do Okoro.

– Wczoraj dostaliśmy transzę na sto i mamy dostać ostatnią płatność w wysokości dwustu pięćdziesięciu pod koniec miesiąca.

Całkowita opłata wynosiła blisko milion. Nieźle jak na dwa lata pracy. Nieuczciwy dyrektor miał nakaz pokrycia większości kosztów Theramere, ale warunki Priesta i Spółki pozwalały im odzyskać swoje pieniądze bezpośrednio z samej firmy. W żadnym razie Priest nie zamierzał ściągać należności od prywatnej osoby, której aktywa są ukryte za granicą.

– Mogę już iść? – zapytała Georgie.

– Tak. Aha, Georgie, McEwen wspominał coś o jętkach.

– Jakich jętkach?

– Pojawiają się w sprawie. Rozejrzyj się, proszę.

– Dobrze. Rozumiem. – Uśmiechnęła się szeroko.

Priest poczekał, aż dziewczyna wyjdzie z gabinetu, zanim odetchnął głębiej. *Mogę jej ufać.* Spojrzał na Okoro, który także wstał i z założonymi rękami górował nad jego biurkiem.

– Myślisz, że sobie z tym poradzi? – spytał.

Charlie machnął ręką.

– Georgie? Nie ma problemu. Jest najlepsza.

– I do tego ładna.

– Nie zwróciłem uwagi.

Okoro parsknął.

– Oczywiście. Więc jaki jest twój kolejny ruch?

Priest odchylił się na oparcie fotela i spojrzał w sufit, który zdawał się powoli wirować.

– Posiedzę tutaj i zastanowię się.

– Dobrze. To nie zaszkodzi. Co potem?

Pomyślał chwilę.

– Załóżmy, że McEwen mówi prawdę – powiedział. – To znaczy, że odwiedził mnie niepoczytalny, ale najwyraźniej zdesperowany osobnik, który wierzył, że mam u siebie pamięć USB z danymi niewiadomej natury. Ten zdesperowany osobnik później jest torturowany i zamordowany w groteskowy i okrutny sposób. Dlaczego zginął?

– Może dlatego że nie odebrał ci danych, a może dlatego że wpierni je zapodział.

– Obie sugestie godne podziwu, ale wyczuwam bardziej skomplikowany spisek, Okoro.

– Co przez to rozumiesz?

Charlie otworzył usta, ale nie potrafił odpowiedzieć. Spojrzał na rękę. Jakby nie należała do niego. *Znowu się zaczyna.* Zdawał sobie sprawę, że Okoro patrzy na niego, ale kolega był niewyraźny, rozmazany. W głowie słyszał znajomą rozmowę.

– *Czułeś to?*

– *Co czułem?*

– *Rozdwojenie, Charlie.*

– *Nie wiem, o czym mówisz, Willie.*

– *Wątpię. Jesteś moim bratem, moja krew. Kiedy widzę, jak spoglądasz w lustro pustym wzrokiem, wiem, że to nie jest sen na jawie.*

– *To nic takiego.*

– *Charlie, jesteście tacy sami. Wiem, o czym myślisz, kiedy patrzysz w lustro.*

– *Przestań, William.*

– *Myślisz sobie, kto, do kurwy nędzy, na mnie patrzy.*

Priest doskonale wiedział, co mu dolegało. Przez większość czasu funkcjonował jak normalny człowiek. Resztę czasu spędzał w innym świecie. Derealizacja – alternatywny przejaw rozszczepienia osobowości – pojawiała się, kiedy percepcja Priesta zniekształcała się, a on sam istniał w zamglonej parodii swojej zwykłej percepcji. Takie epizody, czy też zrywanie połączeń, mogły trwać dłuższą chwilę lub kilka dni.

– Priest? – Nagle zauważył zatroskaną twarz Okoro. – Doznałeś jednego z tych... specjalnych momentów?

Charlie pokręcił głową.

– Nie, nic mi nie jest.

– Jak zwykle kłamiesz wyjątkowo nieudolnie. – Okoro westchnął ciężko. – Popytam dyskretnie w twoim imieniu. Tymczasem wróć do domu i doprowadź się do porządku, dobrze?

Priest skinął głową, a Okoro wyszedł. Usłyszał odgłos kapania, jakby przeciekał kran. Spojrzał w dół i zobaczył plamę ciemnej cieczy na biurku przed sobą. Znowu leciała mu krew z nosa.

Było zimno. Mgła zgęstniała – wilgotny całun zawisł w powietrzu – ale to nie zniechęciło Charliego do przejścia czterech kilometrów do domu Sarah. Ludzie uprawiali jogging. Ci, co mieli świra na punkcie zdrowia, szkodzili własnym płucem, wdychając smog, mała przebieżka tego nie rekompensowała. Uważnie przyglądał się ich twarzom. Śmierć Milesa nie oznaczała, że niebezpieczeństwo minęło. Świeże powietrze trochę przewietrzyło mu głowę, ale spacer nie sprawiał przyjemności.

Fotografia Milesa Ellindera nadzianego na pal była koszmarna. Nie miał okazji przyrzeć się zdjęciu dokładnie, ale zarejestrował sieć sznurów zwisających z sufitu magazynu, które z pewnością jakoś wykorzystano do zapanowania nad Ellinderem, gdy nabijano go na natłuszczony pal. Wzdrygnął się.

Jednak w tym zdjęciu niepokoiło go coś jeszcze poza przerażającym obrazem. Coś, czego nie potrafił określić.

Starał się myśleć racjonalnie, stawiać jak najprostsze pytania. Co było na pendrivie, którego szukał Miles Ellinder? *Najwyraźniej coś ważnego. Na tyle ważnego, by zabić.* Kto mu podsunął informację, że on to ma? *Ellinder powiedział: „przesłał ją tobie”.* Kto miałby to mi przesyłać i w jakim celu? Dlaczego Ellinder był torturowany i zabity w ten sposób? Jaki sens miała taka wymyślna zbrodnia? Co mordercy chcieli przez to powiedzieć? Kto go zabił? *Więcej osób musiało być zaangażowanych w ten numer.* Dlaczego moja eks znowu się pojawiła, i to teraz?

Charlie skręcił w cichą uliczkę, z samochodami parkującymi po jednej stronie. Stały tu wiktoriańskie szeregowce odgródzone czarnymi metalowymi parkanami, a dolna kondygnacja do połowy schodziła poniżej poziomu chodnika. Dom był wynajęty, a gospodarz Sarah był wyjątkowym zdziercą. Wielokrotnie Charlie oferował, że pokryje koszt depozytu gdzie indziej, ale ona zawsze odmawiała z wdzięcznością i godnością. Sprawy komplikował

mąż Sarah. Ryan Boatman nadal był bezrobotny i z całym prawdopodobieństwem to się nie zmieni w najbliższej przyszłości. Jego ostatni pomysł na szybkie wzbogacenie się padł tak spektakularnie, jak Charlie przewidywał. Priest traktował swojego szwagra z taką czułością, jak wrzód żołądka, i chociaż miał nadzieję, że to nie wpływa na jego relacje z siostrą, to jednak się mylił.

Zapukał i po chwili Sarah otworzyła drzwi. W niebieskich oczach, typowych dla ich rodziny, pojawiło się miłe zaskoczenie.

– To nieco spontaniczne jak na ciebie – zauważyła.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Dobrze wiesz co. Potrzebujesz pieniędzy? – Zaśmiała się i pocałowała go w policzek, gdy wszedł do korytarza. Charlie uważał, że dom jest za mały, ale był nienagannie utrzymany. Buty stały starannie ustawione pod płaszcami wiszącymi na kołkach z tabliczką dla każdego członka rodziny, dywan został ostatnio odkurzony, w powietrzu wyczuwało się jakiś sztuczny zapach. *Może maskuje woń męża idioty.*

– Ryan wszedł.

– Och, tak. Kolejne długie posiedzenie zarządu?

– Kiepski dowcip – odparła, wprowadzając go do kuchni, gdzie w rogu perkotał ekspres. – Zdaje się, że nie mam tej twojej dziwnej herbaty.

– Może być kawa.

Wziął od siostry kubek i usiadł przy blacie. Przyglądał się chwilę, jak sprząta rysunki Tilly i umieszcza je w skoroszybie przeznaczonym na twórczość córki. Uśmiechnął się w duchu – wszystko miało swoje miejsce w świecie Sarah. Priest zawsze podziwiał styl siostry, jej elegancki kostium i krótkie, faliste blond włosy. Sarah współzarządzała nowo założoną firmą PR, specjalizującą się w naprawianiu szkód wizerunkowych. Jej praca obejmowała zarówno sporządzanie oświadczeń cudzołożących członków boys bandu, jak i planowanie powrotu zdyskredytowanych firm. Jako szefowa mogła pracować z domu, kiedy jej to pasowało.

– Skąd ta nagła wizyta? – zapytała, siadając naprzeciw niego.

– Chciałem upewnić się, że wszystko w porządku.

– Wielki Charlie Priest nie wpada ot tak, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Nawet jeżeli dotyczy to jego siostry. W każdym razie to całkiem szczęśliwy zbieg okoliczności, że mój starszy brat kawaler odwiedza mnie akurat dziś. – Uśmiechnęła się psotnie.

Nie odpowiedział, ale uniósł brew z udawaną ciekawością. Wiedział, co się stanie.

– Moja przyjaciółka...

– Och, Sarah, nie zaczynaj znowu.

– Nie, wysłuchaj mnie.

– Sarah...

– Nie, spodoba ci się, na pewno. Mieszka przy twojej ulicy. – W tym momencie zazwyczaj Charlie przerywał jej, mówiąc, że niczego nie potrzebuje i że powinna przestać robić zamieszanie, ale teraz był zbyt zmęczony, żeby się kłócić.

– Ma trzydzieści sześć lat – kontynuowała pomimo jego błagającego spojrzenia – oczywiście jest samotna. Przeszła paskudny rozwód przed paru laty. Jest księgową, partnerem w dobrej firmie. Lubi tenisa, filmy, muzykę alternatywną, teatr. Jest bardzo kulturalna. Jak ty, naprawdę.

– Nie jestem kulturalny. Lubię filmy o zombie.

– Świetnie gotuje.

– A ja nie.

– Właśnie. Uzupełniacie się.

– Mogę oglądać horrory, jak ona będzie gotować.

Sarah westchnęła.

– Naprawdę nie chcesz się wczuć w sytuację, co?

Uśmiechnął się szczerze, ale nie potrafił ukryć niepokoju.

– Co cię trapi, Charlie? – spytała, mrużąc oczy. Widziała wszystko, tak jak ich świętej pamięci matka.

– Sarah, ten twój pomysł, to umawianie randek. Nie rozumiem tego. Dlaczego się tym nie zajmiesz?

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Zmieniłeś śpiewkę.

– Hm, no wiesz. Dobra, to wspaniały pomysł.

– Ostatnim razem, kiedy o tym mówiliśmy, powiedziałaś – jak to było? – poroniony pomysł, romantyczne bzdury.

Tak powiedziałem?

– Mogłabyś się tym zająć. – Kilka miesięcy wcześniej Sarah wpadła na pomysł stworzenia nowej strony randkowej. Był z tym jednak pewien problem, ale Charlie nie mógł sobie przypomnieć jaki. Pamiętał jedynie swoją mało entuzjastyczną reakcję. W świetle ostatnich wydarzeń postanowił się

poprawić. *Inna reakcja na otarcie się o śmierć. Wpierw był brak umiaru, teraz pokuta. Może jest trzecia faza – oświecenie, chociaż teraz to bardzo nieuchwytnie pojęcie.*

– Mówiłeś, że nigdy nie należy zamieniać hobby w biznes – wytknęła mu Sarah.

– Może byłem trochę za surowy – przyznał.

– I szorstki.

– Może. Ale jak to było? Dziesięć procent wszystkich związków zaczyna się w Internecie?

– Dwadzieścia.

– Dobra, dwadzieścia. Tak więc masz duży rynek i świadczysz zindywidualizowaną usługę, której ludzie pragną. No i masz siebie.

– Jejku, prawisz mi komplementy! Chory jesteś?

– Trochę boli mnie łepetyna.

Pokręciła głową i wstała, aby nalać kawy. Z góry dochodził odgłos jakiejś kreskówki. Uznał, że Tilly coś tam ogląda.

– Charlie, dbasz o siebie, prawda? Wiesz, co będzie, jeżeli...

– Sfinansuję to – wtrącił.

– Charlie...

– Nie. Sfinansuję. Czego potrzebujesz na początek? Możesz zbudować stronę, ale będzie ci potrzebna pomoc z kodowaniem i optymalizacją wyszukiwarki. Będziesz potrzebować kogoś od marketingu. My zajmiemy się stroną prawną. Jakieś małe biuro w mieście. Sto tysięcy wystarczy na pierwszy rok?

– Charlie, nie o to chodzi, że nie jestem wdzięczna. Naprawdę, ale to dużo pieniędzy.

– Sto pięćdziesiąt?

Spuściła wzrok, położyła mu rękę na ramieniu. Nagle przemieniła się znowu w ich matkę.

– Ryan nie zapalił się do tego pomysłu – wyjaśniła.

– Więc?

– Więc? Takie decyzje podejmujemy razem. – W obronnym geście założyła rękę na piersi.

– To ty jesteś żywicielem rodziny. Ty dyktujesz warunki.

– Nie tak funkcjonuje małżeństwo, Charlie. Powinieneś o tym wiedzieć. Dlatego twoje się rozpadło.

– Czemu mu się nie podoba?

– Ma swoje powody.

Milczeli przez chwilę. Priestowi znowu dudniło w głowie. Chciał opowiedzieć Sarah o ostatnich dwudziestu czterech godzinach, zrzucić ciężar z barków, ale to nie byłoby wobec niej w porządku. Odpędził tę myśl i ukierunkował swój gniew na Ryana, którego powody, by nie chcieć, aby rzuciła dobrze płatną pracę, były oczywiste. Zarobione przez nią pieniądze wydawał na, jak to nazywał, „korporacyjną gościnność”. Faktycznie oznaczało to zakłady bukmacherskie i picie z przygłupimi koleśkami. Nie chciałby ryzykować tego dochodu na założenie biznesu.

– Wiesz co, Sarah? Tu nie chodzi o niego, tylko o ciebie.

– Tu chodzi o nas. To nasza decyzja – zaprotestowała.

– To jakieś głupie kontrolowanie.

– Nie... – Zawahała się. – Charlie, po prostu... zostaw to. Proszę.

– Hm, może gdyby nie potrzebował pieniędzy na zaspokojenie swoich ciągot do hazardu...

– Proszę, Charlie.

– Jedynie dbam o twoje dobro.

– A myślisz, że jak ja się przez to czuję?

– Przez co?

– Przez te bzdury z „jedynie dbam o twoje dobro”.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Dobrze wiesz. Nie potrzeba mi opieki i twojej jawnej niechęci do Ryana... naprawdę. Charlie... to mi przeszkadza. Zastanawiałeś się kiedyś nad tym? Jak się mam czuć, kiedy mój brat nieustannie oczernia mojego męża.

– Hm, gdyby nie był dupkiem...

– Dbam o nas.

– On dba o siebie, Sarah. Zawsze tak było.

– Charlie, nie musisz tego robić.

– Czego?

– Odgrywać ojca.

– Nie odgrywam. Mówię tylko, że twój mąż to dupek.

– Charlie...

– Pijak i nierób.

– Charlie...

– Z mniejszą charyzmą niż warzywo.

– Charlie!

Odstawiła zdecydowanie kubek i zmierzyła go wzrokiem z mieszaniną niedowierzania i złości. Ruchem głowy wskazała drzwi. Priest podążył wzrokiem w tamtą stronę i zwiesił ramiona. Tilly stała tam i wpatrywała się w niego. Wyglądała na zmieszaną.

Chciał coś powiedzieć, ale wydobył z siebie jedynie ledwo słyszalny odgłos. Coś na kształt przeprosin.

– Przyszedł wujek Charlie, kochanie – powiedziała Sarah, zmuszając się do uśmiechu. – Normalnie nie przychodzi w dzień powszedni, prawda. Przywitaj się.

– Cześć, wujek.

– Cześć, Tilly. Dobrze dzisiaj poszło w szkole?

Podbiegła do niego i położyła na stole kilka obrazków, aby się przyjrzał. Podniósł je ostrożnie, jakby mogły w jego ręku rozsypać się w pył.

– Jejku, są świetne – zwrócił się siostrzenicy, pomagając jej wspiąć się na jego kolana. Sarah wymamrotała, że mała powinna się umyć, i wyszła z kuchni. Priest miał nadzieję, że zaraz wróci. Chciał ją przeprosić. Nagle zrobiło mu się głupio.

– To mamusia. – Tilly wskazała na zbiór kresek w przypadkowo dobranych kolorach, ułożonych jedna na drugiej.

– Tak. Widzę. Czyż nie jest śliczna?

– Mmm. Tak. – Tilly wyciągnęła komplet kolorowych pisaków z piórnika z Hello Kitty i zaczęła udoskonalać rysunek, podśpiewując po cichu. Priest spoglądał jej przez ramię.

– To są chmury? – spytał.

– To ptaki, głupi.

– Och.

Dobrze, że Ryana nie było w pobliżu. Nie pozwoliłby Tilly siedzieć mu na kolanach. Zabrałby ją szybko i wyprowadził z kuchni, jakby Charlie stanowił dla niej jakieś zagrożenie. Przypuszczał, że Ryan chce udowodnić, jak bardzo jego szwagier nie potrafi nawiązać kontaktu z dziećmi, że nie umie zapanować nad sobą. Prawdopodobnie miało to związek ze słabym rozumieniem zakłóceń dysocjacyjnych. „To samo co ma William Rozpruwacz”, lubił powtarzać.

– A co to? Strach na wróble?

– Nie, to mamusia.

Zachichotała i on też się zaśmiał.

– Podobają mi się jej włosy – zauważył Charlie. – Mogę ci pomóc kolorować?

Skinęła głową i podała mu niebieską kredkę, a potem pokazała, że ma zacząć od nieba.

– Mamusia mówi, że wszyscy powinniśmy mieć niebieskie niebo – zaśpiewała Tilly, rysując czerwone jabłka na jednym z drzew.

– Mama ma rację, kochanie – wyszeptał Priest, przypominając sobie, jak te słowa wypowiadała jego własna matka. Sarah też musiała je sobie przypomnieć.

– Wujek, gdzie twoje niebo? – zapytała nagle Tilly.

Priest wyduł usta i dalej kolorował. *Gdzie moje niebo?* Patrzył, jak Tilly przeszła do innego miejsca na kartce.

– Chyba teraz ukrywa się za kilkoma czarnymi chmurami, kochanie – powiedział. – Może dowiem się jutro.

9

Robiło się naprawdę ciemno. Nacisnął włącznik w ścianie. Godzina grzania, żeby było trochę cieplej. Potem zajął się zamykaniem drzwi, szarpał za klamkę kilka razy, aby się upewnić, że są zamknięte. Znowu wydawało mu się, że to nie jego ręka, ale to mu nie przeszkadzało.

To wrażenie, które psychiatra nazywał derealizacją, było znajome. Świat rozplywa się w zamglony pejzaż senny. Przedmioty tracą swój kształt i wielkość; ludzie mogą przekształcać się w przedziwne ludzkie karykatury albo, co gorsza, w roboty. Psychiatra ostrzegał, że początek migreny to przy tym spacer po parku. To jest nieuleczalne i nieprzewidywalne.

Charlie był u psychiatry tylko raz. Wystarczyło.

Trochę nieśmiało przeprosił Sarah, gdy wyszła z pokoju gospodarczego. Przyjęła przeprosiny, pocałowała go i obiecała nie kontaktować się ze swoją koleżanką księgową w sprawie randki, skoro jeszcze nie jest gotowy.

Nie był pewien, co go najbardziej rozzłościło – własna skłonność do denerwowania Sarah czy nieograniczona zdolność siostry do wybaczenia mu. Miał tyle wad, że nie zasługiwał na jej wybaczenie i bezgraniczną miłość. Jednak od kiedy usunęła Williama ze swojego życia – wyrwała go i odrzuciła – najwyraźniej nie umiała długo się gniewać na drugiego brata, nawet kiedy na to zasługiwał.

W drodze do domu zastanawiał się, czy nie za szybko odrzucił ofertę Sarah, która chciała go skontaktować ze swoją koleżanką. Był sam od pięciu lat, ale nie stracił apetytu na seks. Sarah pewnie lepiej od niego wybrałaby mu potencjalną towarzyszkę. Od samego początku była przekonana, że Dee to zły wybór. Na czym więc polegał problem? Strach przed porażką? Raczej nie. Miał dosyć doświadczeń z kobietami, aby być ekspertem.

Nie, to jest bardziej skomplikowane. Strach przed samym sobą. Strach przed duchami we własnej głowie.

Rodzice Charliego zginęli w 2002 roku. Ich lot z Berlina został opóźniony,

a musieli pilnie wrócić do Anglii. Skończyło się na tym, że wynajęli prywatny odrzutowiec na koszt znajomego biznesmena. Mały samolot natrafił na sztorm nad kanałem La Manche i nie udało mu się przelecieć. Wrak nadal spoczywał gdzieś na dnie morza. Od tamtej pory Priest próbował – bezskutecznie – wypełnić pustkę po rodzicach w życiu Sarah.

William został osądzony w roku 2010, rok po narodzinach Tilly. Z jego ręki zginęło osiem osób. W każdym razie o tyłu wiedziano. Ze względu na niepoczytalność nie mógł odpowiadać za swoje winy, zapadł „specjalny werdykt”. Od tego dnia William gnił w zamkniętym szpitalu psychiatrycznym, nie istniał dla Sarah – haniebna plama na nazwisku rodziny. Nic dziwnego, że tak bardzo chciała się jej pozbyć. Tilly nigdy nie słyszała o wujku Williamie i tak miało zostać. Sarah usunęła go z własnego życia... podarła zdjęcia, spaliła nieotwarte listy, które do niej wysłał, wyrzuciła prezenty, które jej kupił, i rzeczy przypominające mu o nim. Całkowicie wymazała go ze swojego życia.

Spodziewała się, że Charlie zrobi to samo, i to nie bez powodu. Ale nie potrafił. Złośliwe ziarno wątpliwości zostało zasiane w jego umyśle; dotyczyło jego stanu i psychicznego defektu, który dzielił ze swym bratem mordercą. Priesta nękały duchy wątpliwości.

Nie, nie jestem gotowy na znajomość. Dopóki duchy nie zostaną wygnane.

Sięgnął do szafki po puszkę kukurydzy i otworzył ją. Przez moment chciał coś z niej zrobić, ale uznał, że to za duży kłopot, więc zjadł ją prosto z puszki.

Włączył wiadomości. Mówili coś o śmierci Milesa i po chwili głos prezentera Sky News wypełnił pokój:

Dzisiaj wczesnym rankiem ciało Milesa Ellindera – syna milionera Kennetha Ellindera i jednego z następców w Ellinder Group – zostało znalezione w piwnicy magazynu w południowym Londynie, rzekomo należącego do jednej z firm ojca. Policja ujawniła niewiele szczegółów dotyczących śmierci Ellindera, głównie to, że uważają ją za podejrzaną.

Kilka godzin temu Kenneth Ellinder, prezes Ellinder International, wydał oświadczenie, w którym stwierdził, że Miles był ukochanym synem i szanowanym samodzielnym przedsiębiorcą, prosił też wszystkich, by zastosowali się do prośby rodziny i uszanowali jej żałobę. Okoliczności śmierci Ellindera nie opisano, ale źródła bliskie rodzinie Ellinderów spekulują, że Miles miał wiele kłopotów i nie pojawiał się publicznie już ponad rok...

Wyłączył dźwięk. Nie chciał tego już słuchać. Włączył czajnik i po chwili zalał wrzątkiem torebkę earl greya, po czym przeszedł do sypialni z kubkiem w ręku. Spod łóżka wyciągnął karton po butach. Zdjął pokrywkę i pogrzebał w środku. W końcu wyjął glocka i sprawdził, czy magazynek jest pełen. Załadował go i trzy razy upewnił się, czy jest zabezpieczony. Zostawił karton na łóżku, sięgnął po kubek z herbatą, wyrzucił torebkę do śmieci i przeszedł do salonu. Pokój się poruszał. Nie wirował, ale delikatnie przechylał się do przodu i do tyłu, niczym statek na morzu. Upił łyk herbaty. Gorąco było przyjemne – wszystko nabierało znowu realności, choćby na moment. Nakarmił skrzydlice i znowu musiał usiąść.

Z trudem odsunął fotel z czerwonej skóry od telewizora, żeby siedząc, widzieć przez drzwi kuchnię. Położył pistolet na kolanie. Po godzinie zasnął; nic mu się nie śniło.

Charliego obudził telefon. Z początku nie rozpoznał dźwięku, ale w końcu zorientował się, że to jego komórka. Znalazł telefon na podłodze przed sobą. Podniósł go i odebrał.

– Priest? – Usłyszał znajomy głos.

– Okoro?

– Dobrze spałeś?

Potarł grzbiet nosa.

– Nie.

– To źle. Będziesz później w biurze?

– Może. Która godzina? – Wstał, a pistolet spadł na podłogę. Przestraszył się, ale broń nadal była zabezpieczona. Odetchnął z ulgą.

– Wpół do dziesiątej – odparł Okoro. – Będziesz później w biurze czy nie?

– Odsyłam cię do wcześniejszej odpowiedzi.

– Dwoje ludzi chce się z tobą tutaj widzieć. Wyglądają na ważnych.

– Dobra... Wezmę prysznic. Będę za godzinę.

Ledwo zwrócił uwagę na dwoje ludzi w recepcji. Starszy mężczyzna i kobieta około czterdziestki. Jęknął w duchu. Gdy tylko wszedł do budynku,

mężczyzna wstał, aby się z nim przywitać. Goście byli elegancko ubrani, co sugerowało, że prawdopodobnie są z banku.

Doszedł do wniosku, że najlepiej udawać, iż nie dostrzegł wstającego starszego mężczyzny. Maureen posłała mu pełne nagany spojrzenie, kiedy przemknął obok. Udawał, że tego też nie widzi. I tym razem także kiepsko mu wyszło to udawanie. Ruszył schodami do swojego biura.

– Charlie...! – zawołała za nim Maureen.

– Dzień dobry! – krzyknął. Drzwi gabinetu zatrzęsły się za nim.

Otworzył komputer i rzucił wzrokiem na skrzynkę z pocztą. Sto siedem nieprzeczytanych wiadomości. Nowy rekord. Zaczął przysyłać je do Solly'ego. To wydawało się trochę nie fair, zważywszy na to, że Solly zajmie się każdą wiadomością z osobna, żeby jego skrzynka nie była zapchana. Potem włączy program antywirusowy osiem razy, a po nim pełną defragmentację, po czym wyciągnie RAM i potraktuje antyseptyczną chusteczką. Jak mus, to mus.

Wykręcił numer Georgie i poprosił ją do siebie. Zjawiła się w jego drzwiach prawie natychmiast. Włosy miała rozpuszczone, opadały jej na ramiona; pomyślał, że woli, gdy ma je upięte z tyłu.

– Jest taki facet, Ryan Boatman – zaczął, zanim Georgie zdążyła choćby się przywitać. Podał jej adres. – Dowiedz się o nim wszystkiego.

– Okej. Czy to ma związek z Ellinderem?

– Nie.

– Czego potrzebujesz?

Zastanowił się, zanim odpowiedział.

– Wszystkiego.

Przez chwilę wyglądała na zaskoczoną. Priest zajął się papierami na biurku, aby powstrzymać ją przed dalszymi pytaniami. Zniknęła, zanim podniósł wzrok.

Zadzwoił telefon. Zerknął na numer. Poczekał chwilę, zanim go odebrał.

– Cześć, Maureen.

– Czeka na ciebie dwoje ludzi.

– Wiem.

Rozłączył się i natychmiast znowu podniósł słuchawkę – wykręcił numer, który przeczytał na swoim iPhone. Dzwonił całe wieki, aż rozległ się gburowaty głos.

– Kurwa, Charlie Priest.

– Giles, potrzebuję przysługi – powiedział od niechcenia.

– Powtórz?

– Potrzebuję przysługi.

– Ty potrzebujesz przysługi ode mnie? – Giles wydawał się zarówno podejrzliwy, jak i nieco pijany.

– Tak.

– Odpierdol się.

– Giles, bądź rozsądny.

– Rozsądny? Ostatnim razem, kiedy oddałem ci przysługę, zostawiłeś mnie na łodzi i skończyłem, odsiadując trzy miesiące w ruskim więzieniu – wycodził Giles przez zęby.

– Giles, to był areszt na komisariacie w Rosji, a siedziałeś najwyżej kilka dni.

– Śmierdziało wódką.

– W takim razie to było kilka trudnych dni. To jak będzie?

Na moment zapadła cisza. Do Priesta dochodził jakiś szum, ale nie wiedział, czy to przez kiepskie połączenie, czy trybiki wirujące w głowie Gilesa.

– Dobra – powiedział w końcu Giles.

– W porządku. Miles Ellinder został wczoraj w nocy zamordowany w Londynie. Wiesz coś o tym?

– Słyszałem plotki. Wygląda na to, że odchodzi jakieś wariactwo. I co?

– Potrzebuję wszystkich dokumentów, jakie wpadną ci w ręce. Zeznań świadków, raportów z sekcji zwłok, akt. Czegokolwiek i wszystkiego.

– Co? Wiesz, że tego nie mogę zdobyć, nawet dla ciebie, Priest.

– To ważne.

– Tak jak moja praca.

Giles należał do SO15 – Jednostki Antyterrorystycznej stołecznej policji. Kiedy Charlie poznał go przed dwudziestu laty, był z niego drobny diler hery. Aż dziw pomyśleć, że teraz należał do tych nielicznych, którzy chronili Londyn przed ISIS. Priest i Giles mieli wspólną historię, a Charlie uważał, że Giles zalega mu z przysługami.

– Tylko zobacz, co uda ci się zrobić dla mnie, dobra?

– Priest! – Giles się zdenerwował. – Podaj mi jeden powód, dla którego...

– Bo nadal mogę powiedzieć Rosjanom prawdę.

Nastąpiła krótka przerwa po drugiej stronie linii, zanim Giles uległ.

– Dobra, zobaczę, co da się zrobić.

Rozłączył się.

Przyszedł mail od Maureen. W nagłówku widniało: „Ludzie na ciebie

czekają!”. Reszty nie czytał. *Bank może poczekać. Wszyscy, kurwa, mogą poczekać.* Znalazł jakieś tabletki przeciwbólowe w szufladzie i wziął trzy. Prawdopodobnie wyprodukowane przez firmę Ellindera. Poczł się gorzej niż wczoraj, a jeszcze nawet nie wypił filiżanki herbaty, ale był skupiony i zaskakująco pełen energii jak na człowieka, który z ostatnich czterdziestu ośmiu godzin przespał mniej niż osiem. Nie był pewien, co to takiego, ale coś niwelowało obezwładniający ból, który narastał w tyle czaszki. Cokolwiek to było, nadszedł czas, aby przestać siedzieć i użalać się nad sobą.

Znowu zadzwonił telefon. Tym razem był to Solly. Wyraźnie panikował, ale on zawsze tak reagował.

– Priest. Te wszystkie maile!

– Wiem, Solly, przepraszam. – Priest silił się na cierpliwość.

– Dużo ich jeszcze?

– Kilka.

– Możesz je przynajmniej rzadziej przesyłać? Jakoś dam radę zająć się nimi po kolei.

– Oczywiście, Solly.

Dzięki Bogu.

Priest odłożył słuchawkę i wysłał całość za jednym razem. Czekał na ponowny telefon, ale nie zadzwonił. *Dobrze. To zajmie Solly’ego przez resztę dnia.*

Zadzwonił do Georgie.

– Halo? – Odebrała telefon w połowie sygnału.

– Georgie – rzucił od niechcienia. – Ten facet, którego wczoraj zabito... Miles Ellinder... czy wspomniałem, że został nadziany na pal?

– Jak ... dosłownie... nadziany na pal?

– Tak.

– Naprawdę? – Wydawała się dziwnie podekscytowana. – Mam sprawdzić tego znaczenie?

– Chyba tak. Dlatego dzwonię.

– Pewnie!

Rozłączyła się.

Patrzył na telefon dłuższą chwilę, zanim odłożył słuchawkę. Georgie sprawiała wrażenie entuzjastycznie nastawionej. To pewnie dobrze.

Nagle na fotelu przed nim pojawił się Okoro. Charlie podskoczył. Ani nie widział, ani nie słyszał, jak kolega wszedł.

– Czy ty...?

– Pukałeś? Tak. Pukałem, odkąd tu się zjawiałeś, Priest. W końcu znudziło mi się i po prostu wszedłem.

– Przepraszam. Trochę jestem rozkojarzony.

– Najwyraźniej.

– Czy herbatę już dają, czy...

– Ludzie w recepcji.

– Chyba bank. Okoro, nie korzystamy z debetu. Mamy zapasy gotówki na ponad milion funtów i jesteśmy właścicielami budynku. W czym problem?

– To nie bank.

– Ubezpieczenie od odpowiedzialności?

– Ojciec i siostra Milesa Ellindera.

Charlie potarł podbródek. Przypomniało mu się, że nie golił się od kilku dni, co z kolei oznaczało, że wczoraj wyglądał okropnie i dzisiaj raczej nie nastąpiła poprawa.

Ojciec i siostra Milesa Ellindera. Przyszli się ze mną zobaczyć. Poważny i niespodziewany obrót wydarzeń. Cholera. Nakarmiłem rybki przed wyjściem?

– Powiedz coś – poprosił Okoro.

– Och.

– Jak dotąd udawało mi się to wyjaśnić. Nie spodziewałeś się ich, byłeś zajęty zmianą terminów spotkań, żebyś mógł się z nimi zobaczyć dzisiaj rano, ale oni nie będą dłużej czekać. Podejrzewam, że Kenneth Ellinder nigdy w życiu dłużej na nikogo nie czekał.

– Tak. To pewnie ma związek z tymi jego wszystkimi pieniędzmi.

– Bez wątplenia. – Okoro się wyprostował. – To teraz wstanę. A potem wprowadzę ich tu i zamknę drzwi. To daje ci pół minuty, żebyś doprowadził się w miarę do porządku i nie wyglądał jak jeden z ostatnich, którzy widzieli syna Ellindera żywego.

10

Z bliska Kenneth Ellinder bardziej przypominał profesora uniwersytetu niż dyrektora banku. Począwszy od cienkich kosmyków siwych włosów sięgających ramion, a skończywszy na tweedowej marynarce do kompletu z łątami na łokciach – brakowało jeszcze okrągłych okularów.

Wysoka, elegancka kobieta towarzysząca Ellinderowi na moment spojrzała Priestowi prosto w oczy, zanim usiadła przed nim bez zaproszenia. Nie tyle weszła do gabinetu, ile zawładnęła nim w sposób iście królewski. Rodzinne podobieństwo do Milesa Ellindera na pierwszy rzut oka nie było oczywiste. Miała bujne kasztanowe włosy, które okalały ascetyczną twarz, wyraźnie wyrażającą niezadowolenie z powodu zbyt długiego czekania. Była zdecydowanie córką swego ojca.

Georgie usiadła po lewej stronie Priesta, zakładając nogę na nogę. Charlie nie chciał sprawiać wrażenia za surowego i Georgie dołączyła, gdy Okoro wyszedł do swojego biura.

– Panie Priest, dziękuję, że nas pan w końcu przyjął – odezwał się starszy pan. – To moja córka, Jessica.

Kobieta nie uśmiechnęła się, nie wyglądało na to, że potrafi, chociaż gdyby nie ta kwaśna mina, byłaby atrakcyjna.

Charlie odchrząknął nerwowo. Próbował złożyć kondolencje, ale utknęły mu w gardle.

– Miło mi państwa widzieć – powiedział zamiast tego. – To moja współpracowniczka, panna Someday. Mam nadzieję, że nie przeszkadza państwu jej obecność.

– Oczywiście, że nie.

Georgie uśmiechnęła się, ale goście jakby to zignorowali.

– Przejdę wprost do rzeczy, jeśli wolno – powiedział Ellinder. – Wydaje się, że mojego syna spotkał niefortunny incydent, panie Priest. Jest pan tego niewątpliwie świadom.

Priest skinął głową, powoli. *Niefortunny incydent*. Kenneth Ellinder ma dar do niedomówień.

– Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało. To naprawdę szokujące. Muszą państwo przechodzić piekło. – Przez chwilę myślał, że w pokoju znajduje się ktoś jeszcze, ale potem zorientował się, że te słowa wypowiedział on sam.

– Panie Priest, w piekle przynajmniej ma się pocieszenie ze świadomości, że nie jest się jedyną cierpiącą duszą – odparł Ellinder.

– Tak... tak. – Trudno było prowadzić rozmowę na ten temat, więc Charlie nie próbował. Podejrzewał, że Kenneth i Jessica Ellinderowie poznali groteskową naturę śmierci Milesa, ale czy zdawali sobie sprawę, że on też? *Założę tymczasem, że nie.*

– Niezręcznie jest prać własne brudy publicznie – kontynuował Ellinder. Spojrzał wyczekująco na Charliego, chociaż nie było jasne, czego właściwie chce.

– W tym pomieszczeniu nie musi się pan o to martwić – cicho zauważył Priest.

– Z pewnością.

– Rozumiemy, że policja odwiedziła pana wczoraj, panie Priest – odezwała się kobieta.

Pozwolił, by słowa Jessiki Ellinder wirowały mu w głowie przez kilka chwil, gdy osądzał ich ton i czającą się w nich groźbę. Jej głos zabarwiała niezwykła chrypka.

– Tak.

– W związku ze śmiercią mojego brata?

– Tak.

– Pańską wizytówkę znaleziono w wewnętrznej kieszeni marynarki Milesa.

– Nie, powiedziano mi, że znaleziono ją w jego rzeczach leżących w kącie magazynu.

Jessica Ellinder zmarszczyła brwi. Wystarczyło zasugerować, że McEwen skłamał Charliemu o miejscu znalezienia wizytówki, żeby podkreślić znaczenie faktu, że w ogóle znaleziono ją u nieboszczyka. Wyczuł, jak Georgie przesuwa się na krześle.

– Inspektor McEwen powiedział, że nie był pan zbyt pomocny – zauważyła. Była trudna do rozszyfrowania, ale i tak się zorientował, że jest bardzo ostrożnie oceniany.

- Odpowiedziałem na jego pytania.
- Dość oszczędnie, jak mniemam.
- Zwięźle.
- W ich fachu określają to słowem „wymijająco”.

– Byłaby pani bardzo dobrym detektywem, panno Ellinder.

Brak obrączki na tych smukłych palcach oznaczał, że rzeczywiście jest panną i w istocie nie próbowała go poprawić.

– Zdecydowanie – przyznał Ellinder. – Moja córka to mój najbardziej zaufany pomocnik. Oczy i uszy staruszka. Ufam, że moja firma zostanie w bezpiecznych rękach.

– Przechodzi pan na emeryturę?

– W pewnym sensie. Raczej ze względu na okoliczności niż z wyboru. Jeżeli moi lekarze się nie mylą... a rzadko tak jest... zostało mi pół roku życia, najwyżej rok.

Georgie odetchnęła lekko. Charlie przyjrzał się uważnie Kennethowi Ellinderowi. Nie wyglądał na chorego, ale to nic nie znaczyło. Jego wodniste oczy patrzyły jednak stanowczo. Prawdopodobnie mówił prawdę.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie. Zmęczyło mnie życie, a moje sprawy są w zasadzie poukładane. Aż do wczoraj zmarłbym jako względnie zadowolony człowiek. Jednak sprawy przybrały nowy obrót. Zmieniają się priorytety. Ludzie się zmieniają. Zważywszy na moje dotychczasowe życie, nie jestem zaskoczony, że Bóg uznał za wskazane rozdać karty po raz ostatni.

– Trudno mi pojąć, jak wielką stratą jest dla pana śmierć Milesa.

Ellinder tylko machnął ręką.

– Bez przesady. Na początek, Miles to nie mój syn, tylko pasierb. Dziecko mojej żony z poprzedniego związku; cena, jaką zapłaciłem za jej miłość. On potrafi... potrafił... schrzanić wszystko, czego się dotknął. Mogłem przekazać mu najbardziej stabilne firmy, a on rozwał je w kilka tygodni. Był chodzącą katastrofą.

– Panie Priest, Miles i ja nie byliśmy blisko – wtrąciła się Jessica Ellinder.

Skinął głową. *Nie byli blisko. Rozumiem.*

– Przez ostatnie pół roku – kontynuował Ellinder, ciężko wzdychając – ani razu nie widziałem Milesa. Jessica też nie. Zniknął bez śladu. Uznaliśmy, że nie żyje.

To wydało się dość dziwnym założeniem.

– Nie mieliście pojęcia, gdzie się podziewał? – zapytał Priest.

– Mój przyrodni brat był zaangażowany w coś podejrzanego, panie Priest – oznajmiła Jessica. – Nie wiemy w co. Ale było to niebezpieczne. I to go zabiło.

– Miles nigdy nie potrafił się długo na czymś skoncentrować – wyjaśnił Ellinder. – Całymi tygodniami żył jak pustelnik, gnijąc w domu. W izolacji od świata. Najwyraźniej coś zażywał, a ja byłem świadom ironii, że jako właściciel firmy farmaceutycznej mam pasierba narkomana, ale to było jeszcze bardziej skomplikowane. Zasadnicza zmiana nastąpiła kilka lat temu.

Charlie wrócił myślą do uśmiechniętego wariata pochylonego nad nim, wpychającego mu wiertarkę do ucha. *Źrenice jak szpilki, martwe oczy. Oczy narkomana.* To miało sens.

– Jak długo był narkomanem? – zapytał Priest.

– Od osiemnastego roku życia – powiedział Ellinder, pocierając głowę. – Nie potrafił sobie poradzić z przywilejami, które stały się jego udziałem. Niektórzy z nas po prostu tacy są. Pieniądze psują, a to zepsucie może przeżreć młody umysł znacznie szybciej niż stary. Staralem się odzwyczaić go od narkotyków. Wydałem niewielką fortunę na terapię, praktycznie zbudowałem dla niego ośrodek rehabilitacyjny. Nie był zainteresowany. Tylko forsa i kobiety, wóda i prochy. Taki był Miles.

– Obojgu wam musiało być ciężko.

– Naturalnie. Ale wszystkie rodziny mają czarną owcę, prawda, panie Priest?

Charlie skinął głową. Staruszek ustalał reguły gry. Chyba dawał mu do zrozumienia, że wie o Williamie. Ustalał osobisty punkt odniesienia, od którego będzie negocjował. *Hm, to chyba wcale nie jest wizyta towarzyska.*

– Powiedział pan, że Miles zmienił się zdecydowanie kilka lat temu?

– Rzeczywiście. Zanim zrobił się krzykliwy, ekscentryczny... to krępujące. Potem odseparował się od nas. Zamknął się w sobie. Zerwał wszelkie kontakty z nami, nawet z matką. Gardził naszą rodziną, co samo w sobie może nie dziwić, odciął się nawet finansowo. Oczywiście pomagałem mu. Córka uważa, że podtrzymywałem jego nałóg. Pewnie ma rację. Ale co jeszcze mogłem zrobić? Kiedy się odizolował, próbowałem nawiązać z nim kontakt, ale trafiałem jedynie na mur.

– Jest was tylko czworo?

– Mam też siostrę – odpowiedziała Jessica. – Scarlett. Pracuje za granicą i nie ma prawie nic wspólnego z Milesem.

– Dlaczego Miles zerwał z wami kontakt? – zapytał Priest.

Ellinder nie odpowiedział od razu.

– Zdaje się, że czegoś się przestraszył, a z pewnością nie była to śmierć – odpowiedział. – Było to coś o wiele gorszego. Wplątał się w coś wysoce niebezpiecznego. Coś, co wykraczało daleko poza jego obskurny świat narkotyków i prostytucji.

– Nie ma pan pojęcia, co takiego?

– Że to było coś przestępczego, nie mam wątpliwości, ale mówimy o narkomanie milionerze, panie Priest. Ludzie angażują się w przestępcze działania z paru powodów. Pieniądze to najbardziej powszechny. Miles nie potrzebował pieniędzy, co musiało wyeliminować wiele wysoce ryzykownych przestępstw: handel narkotykami, stręczycielstwo, handel narządami, oszustwa, bo ich podłożem jest chęć zdobycia pieniędzy. Jego motyw był znacznie bardziej złożony.

– Może coś bardziej osobistego. Zadowolenie?

Ellinder odetchnął głęboko i przeczesał dłonią siwe włosy. Spojrzał na córkę.

– Chociaż to dla nas wielki ciężar, panie Priest – powiedziała – jest to możliwe. Nadal nie wiemy, co to takiego, i zmęczyło nas już spekulowanie. Cokolwiek to było, zabiło go.

– W dosyć spektakularny sposób – rzucił Charlie.

Jessica posłała mu lodowate spojrzenie.

– Dosyć.

– Przekazano mi szczegóły – powiedział Ellinder, wbijając wzrok w biurko. – Rozumiem, że śmierć mojego pasierba była powolna i nikczemna. Miles był łotrem, ale nikt nie zasługuje, żeby umierać w taki sposób.

– Zatem są granice pańskiej nietolerancji wobec Milesa? – Charlie zastanawiał się, czy jego pytanie mogło zabrzmieć impertynencko, ale Ellinder nie przejął się nim.

– To moja rodzina. *Czy mi się to podoba, czy nie.*

Priest skinął głową. William należał do rodziny. Czy mi się to podoba, czy nie.

– W każdym razie – kontynuował Ellinder – moje osobiste odczucia w tej kwestii nie są istotne. W imię rodzinnego interesu potrzebuję szybkiego rozwiązania tej kompromitującej sprawy. Także ze względu na moją żonę, Lucię.

– Zostały panu miesiące życia. Pański pasierb został wczoraj nadziany na pal w pańskim magazynie. Media traktują jego śmierć jako sensację. Kiedy poznają okoliczności jego śmierci... a tak w końcu się stanie... będzie to największa historia tego roku. Akcje pańskich zakładów już spadły. Firmy mogą splajtować. Ale pan tu siedzi i z nami rozmawia.

– Potrafi pan operować słowami – odparł staruszek. – I ma pan rację. Jednak to spotkanie ma dla nas wielką wagę.

Ze spojrzenia Jessiki wnioskował, że ona niekoniecznie podziela ten pogląd.

– Może być pan rozczarowany...

Ellinder uniósł rękę, zamknął oczy. Najwyraźniej koncentrował się na czymś.

– Oficer prowadzący sprawę morderstwa Milesa... McEwen... zna go pan?

– Tak. Kiedy dawno temu służyłem w policji, przez krótki czas z nim pracowałem.

– Zatem wie pan, że to intelektualny impotent, niekompetentny, opóźniony umysłowo. Niewydarzony błazen, którego jedynym osiągnięciem jak dotąd jest niepuszczanie bąków na każdej konferencji prasowej.

Kenneth Ellinder zyskał kilka punktów w ocenie Charliego.

– To duża sprawa dla każdego – powiedział ostrożnie.

– Bardzo dyplomatycznie, ale obaj wiemy, że to kretyn. Próbowałem odsunąć McEwena od tej sprawy, ale bez powodzenia... Nie jestem wszechwładny. Jak wszystkie służby publiczne policja jest niedofinansowana i musi się liczyć ze związkowcami. Cała przyszłość mojej rodziny i spuścizny ważą się w tej chwili, a wie pan, gdzie inspektor McEwen jest teraz?

Charlie pokręcił głową.

– Składa podanie o nakaz przeszukania pańskich biur. Całkowita strata czasu! To nic mu nie da. Nie, panie Priest. Nie będę liczył na to, że ktoś taki jak McEwen nas uratuje. Potrzebuję kogoś o wiele zdolniejszego. Kogoś z mózgiem i jajami. Kogoś takiego jak pan.

– Ja? – Był zaskoczony, ale coś w tych wodnistych oczach mówiło mu, że Ellinder jest śmiertelnie poważny. – Dlaczego akurat ja?

– Dobrze pytanie. To był przede wszystkim pomysł mojej żony, Lucii. Istnieją trzy powody. Po pierwsze, i najważniejsze, już jest pan w to wplątany. Gdyby pan sądził, że pańskie zaangażowanie jest marginalne, proszę się zastanowić, McEwen tym się zajmie. Może spotkał pan Milesa, może nie. To pańska sprawa. Ale istnieje powód, dla którego miał przy sobie pańską wizytówkę.

Musi się pan tego dowiedzieć i dowie się pan. A ja tylko proszę, niech pan też odkryje, w co, do diabła, wplątał się mój pasierb.

Priestowi zrobiło się niedobrze. Tak pewnie czuł się Atlas, kiedy spoglądał w niebo, zastanawiając się, z której strony ma je podnieść.

– Po drugie – ciągnął Ellinder – słynie pan z bezwzględności. I sprytu. Jest pan pomysłowy i wszechstronnie utalentowany. Wspiera pana uznany zespół. Jest pan obeznany ze śledztwem... to pana zawód. Wkracza pan do firm i rozwała je od środka. Znajduje pan gnijący element i wycina. Na tym polega tropienie oszustw finansowych. Tutaj mamy kolejne wykorzystanie tej techniki, tylko że może pan nie zdemaskować oszustwa, ale coś innego.

– A po trzeciej?

– Znałem pańskiego ojca. Byliśmy przyjaciółmi. Może pan o tym nie wiedzieć. Są takie kluby w Londynie, gdzie nie krzyczy się o sojuszach. Nie ma w tym nic złowrogiego; tak po prostu jest. Gdyby Felix żył, wtedy od razu poprosiłbym go o znalezienie zabójcy mojego pasierba. Ale nie żyje, zatem został mi pan.

Charlie odchylił się na oparcie fotela. Ellinderowie nie znaleźli się pośród zaproszonych gości na żadnym rodzinnym przyjęciu, o ile się nie mylił, ale to nie znaczyło, że staruszek próbował go oszukać. Kiedy był młody, jego rodzice wyjeżdżali w interesach na całe miesiące. Całkiem prawdopodobne, że znali Ellinderów.

– Ich śmierć była tragedią – powiedział cicho Kenneth Ellinder. – Ale wiem, że byliby z pana dumni i z tego, co pan osiągnął po ich odejściu.

Zastanawiał się przez moment, czy byliby dumni z jego rozwodu albo pracy w barze, gdzie starał się odzyskać kontrolę nad własnym życiem. Jednak nigdy nikogo nie zabił, co znaczyło, że trochę lepiej mu się układało w życiu niż Williamowi.

– Rozumiemy, że to ciężkie zadanie – odezwała się Jessica. Nie patrzyła na niego. W jej zachowaniu dostrzegał dziwną formalność, która u kogoś innego mogłaby się wydawać nieprzyjemna, jej natomiast dodawała godności. – Ale mój ojciec liczy na pozyskanie pana do współpracy.

– Będzie pan miał pełen dostęp do wszystkiego, co potrzebne – zapewnił go Kenneth Ellinder. – Moja firma będzie dla pana otwarta. Jessica będzie panu pomagać. Jest wykształconą i samodzielną bizneswoman.

– Oczywiście – odparł. *Jest też osobą, od której nie mogę oderwać wzroku, chociaż sam nie wiem dlaczego.*

– Rzecz jasna zapłacimy.

Co do tego Priest nie miał wątpliwości, chociaż wolałby, aby starszy pan nie wspominał o pieniądzach. Wiedział, że do tego dojdzie, ale kiedy siedział w biurze, spoglądając w zdesperowane oczy umierającego człowieka, który oferował mu zapłatę za dojsie, dlaczego jego pasierb został nadziany na pal w magazynie, czuł się... zbrukany.

Priest zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Nie jestem pewien, czy potrafię pomóc – oznajmił w końcu.

– Jaka jest pana stawka godzinowa?

Zawahał się.

– Pięćset.

– Podwoimy ją. Potroimy, jeżeli powie mi pan, w co wplątał się mój pasierb. Georgie głośno wciągnęła powietrze.

– Zapewniam, że nie chodzi o pieniądze.

– W takim razie o co? – nagle wtrąciła Jessica, a on nieporadnie szukał przekonującej odpowiedzi.

O co w tym tak naprawdę chodzi? Nie mogę im powiedzieć, że chcę wziąć udział w tym wyścigu, tylko nie wiem, na którego konia postawić. Gładził się po nieogolonym podbródku. Widząc to, Ellinder nagle wstał i podał mu rękę.

– Rozumiem, że wiele spada na pańskie barki, nawet jak na pana możliwości, panie Priest. Ufam, że przynajmniej zastanowi się pan nad moją propozycją. Felix z pewnością by poparł tę decyzję.

Charlie wstał i podał mu dłoń.

– Oczywiście. Pomyślę o tym.

Starzec zdołał się uśmiechnąć, zanim cofnął rękę.

– Proszę zadzwonić do mnie rano i dać odpowiedź.

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Charlie zdał sobie sprawę, że Jessica Ellinder tylko raz przelotnie spojrzała mu w oczy.

25 marca 1946

Odosobnione gospodarstwo w środkowej Anglii

Bertie Ruck jadł jajka. Dwa. W koszulkach. Tylko tyle udało mu się znaleźć rano po pierwszym przesłuchaniu doktora Schneidera. Na farmę przyjechał w minionym tygodniu i pierwsze dwa dni przeglądał zapiski, dokumenty, fotografie, raporty. Wszystko, co mogło mu pomóc.

Niemiec był tu od trzech miesięcy, ukryty przed światem. Przede wszystkim ze względów bezpieczeństwa. Zabudowania gospodarcze zostały przerobione, aby dało się go tu przetrzymać. Kraty w oknach, masywne rygle i zamki w drzwiach. Niewiele trzeba było, żeby zamienić gospodarstwo w więzienie. Wyznaczono oddział sześciu żołnierzy, ale ich praca nie była trudna. Schneidera nie interesowała sztuka ucieczki. Zostanie niemieckim uciekinierem w Anglii po przegranej wojnie nie miało sensu. Martwili się początkowo, że może odebrać sobie życie – jak uczynił Himmler – ale Schneider nie wykazywał wielkiego zainteresowania tym wyjściem.

Ruck nie sypiał za dobrze. Nadal było chłodno, zima nie chciała ustąpić. Łóżko było niewygodne i wilgotne, ale przynajmniej kuchnia na farmie spełniała jego oczekiwania. Kamienna podłoga, gorący piec, garnki i patelnie na półkach. Wszystko skąpane w świetle.

Starszy szeregowiec Fitzgerald opierał się o otwarte drzwi, paląc papierosa. Był wysoki i chudy jak tyczka. Przez cały czas zdawało się, że jest wygięty. Jak dotąd Ruck ignorował go, chociaż piskliwy głos Fitzgeralda zaczynał mu działać na nerwy.

– No, dalej, panie pułkowniku – powiedział radośnie, spoglądając na Rucka, jakby spodziewał się, że wykona magiczną sztuczkę. – Jak było?

Ruck westchnął ciężko. *Jeszcze tydzień tego nonsensu i wrócę do Londynu, byle dalej od nazistów i idiotów.*

– Jak wiecie, szeregowy, nie wolno mi zdradzać jakichkolwiek szczegółów rozmów z doktorem Schneiderem...

– Schneider? – Fitzgerald był szczerze zaskoczony. – Nie. Chodziło mi o Evę. Ruck przełknął to, co miał w ustach, zanim podniósł wzrok.

– O kogo?

– O Evę Miller. Tego kociaka z seksownym tyłeczkiem!

Fitzgerald uśmiechnął się głupkowato. Zęby miał długie i krzywe, jak i resztę ciała. Wszystko w nim nieustannie denerwowało Rucka. Nie powinien pozwalać temu bezczelnemu gnojkwowi odzywać się do siebie w taki sposób; powinien wzbudzać szacunek, utrzymywać dyscyplinę. Ale Ruck był zmęczony tym systemem, a jakie to miało znaczenie tutaj, w operacji, która oficjalnie nawet nie istniała?

– Mówicie o tej stenotypistce? – Ruck westchnął.

– Tak. O niej. Niezła jest, co? Nie wiem, jak pan pułkownik wytrzymuje, kiedy jest w pobliżu. Wie pan, że tu mieszka. Po drugiej stronie drogi. Ma kwatery obok mojej. Przyjechała wczoraj prywatnym samochodem.

– Wystarczy.

– Nieźle, co? Taki kociak w pobliżu. Jest o czym myśleć, kiedy robi się zimno w nocy. Założę się, że ciepło jest między tymi jej wielkimi cycuszkami. – Fitzgerald przerwał, słysząc dyskretne kasznięcie za sobą. Odskoczył od drzwi jak oparzony.

Na szczęście Eva nie okazała ani zażenowania, ani zdenerwowania, przechodząc obok niego. Fitzgerald próbował coś powiedzieć, ale wydał z siebie jedynie świst wyrażający zaskoczenie. Ruck dalej jadł jajka. W końcu Fitzgerald wymamrotał coś i czmychnął.

Ruck zerknął na Evę. Miała niezwykle piękną twarz. Biała, przejrzysta skóra, soczyście czerwona szminka. Kasztanowe włosy w nieskazitelnych lokach. Lecz było coś jeszcze. Widział to wczoraj, ale tylko z daleka. Coś, czego nie umiał dokładnie opisać. Dostrzegał to nawet w jej postawie, lekką niepewność, kiedy stała przy stole. Była elegancka i pełna wdzięku. Każda plisa w jej spódnicy idealnie się układała. Wyglądała jak lalka świeżo wyjęta z opakowania.

– Pułkowniku Ruck. – Kiwnęła głową.

– Jest pani Amerykanką.

– Po części. Skąd pan wie?

Ruck znowu podniósł wzrok, chciał się upewnić.

– Po tym, jak pani się ubiera.

Eva spojrzała po sobie.

– Jestem z Bostonu – przyznała. – Chociaż moja mama pochodzi z Cheltenham.

Wyjęła z torebki papierosa.

– Ma pan ogień?

Ruck pogrzebał w wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął pudełko zapalek. Zapalił jedną dla niej. Osłoniła dłonią płomień. Dym połyskiwał we wschodzącym słońcu.

– Nie jest pan zbyt rozmowny – zauważyła.

– Nie – przyznał Ruck.

Usiadła, zakładając nogę na nogę. Ruck wrócił do jedzenia jajek, ale nagle wydały mu się nieapetyczne. Poprawił się na krześle i napił z filiżanki herbaty, chociaż była lodowata. Naziści to jedno, ale kobiety należały do innego gatunku. Myślał, żeby coś powiedzieć, ale żadna sensowna uwaga ani spostrzeżenie nie przychodziły mu do głowy. Ostatecznie zdecydował się na pytanie.

– Jak kwatery?

– Dobrze – odpowiedziała. – Trochę zimna, ale pościel jest czysta. Postarali się, aby było nam wygodnie, chociaż nie mam pojęcia w jakim celu.

– Rzeczywiście.

– Dlaczego pije pan zimną herbatę?

Ruck zerknął na filiżankę. Na dworze był mróz, a w kuchni wcale nie ciepłej pomimo słonecznej poświaty. Mimo to z filiżanki nie unosiła się para. *Słuszne spostrzeżenie, panno Miller.*

– Czyż to nie amerykański nawyk? – zapytał. – Zamawiać napoje tradycyjnie spożywane na ciepło, a potem pić je zimne?

To przywołało uśmiech na ustach Ewy, który przemienił jej twarz. Była uosobieniem elegancji i klasy, ale coś się kryło za tymi zielonymi oczami. Coś niepokojącego. Ponownie upił herbaty.

– Pułkowniku, gdy mnie tu skierowano, powiedziano mi, że mam nie zadawać żadnych pytań o... to, co robimy.

– To proszę nie zadawać.

Eva skinęła głową.

– Jak pan sobie życzy. Kolejne przesłuchanie chyba za godzinę.

Wyszła z kuchni. Ruck rozejrzał się – bez niej zrobiło się nieciekawie.

Pułkownik przeszedł przez podwórko do stodoły, gdzie miał kontynuować przesłuchanie Schneidera. Kazał doktorowi trochę czekać, a ludziom mocno przywiązać go do krzesła; nie dlatego że w jakiś szczególny sposób czerpał przyjemność z widoku cierpiącego nazisty, ale dlatego że to mogłoby nieco pomóc w otwarciu się Schneidera albo chociaż opóźnić jego powrót do celi.

Ruck zamierzał zadzwonić do Londynu i poprosić o przysłanie innej stenotypistki, ale coś go powstrzymało. Wydawało się to ekstrawagancją... żądać zamiany, ponieważ... co? Eva wytrącała go z równowagi? Śmieszne.

Już był blisko drzwi stodoły, kiedy przypomniał sobie, że zostawił pióro w prowizorycznym biurze, które urządzili mu nad kuchnią. Zaklął pod nosem, zawrócił i pomaszerował do głównego budynku. Gdy pokonywał podwórko, zauważył tyczkowatą postać Fitzgeralda przyczajoną w drzwiach kuchennych i smugę dymu papierosowego wznoszącą się, zanim porwał ją wiatr.

Fitzgerald pstryknął niedopałek na bruk i schował się do środka. Ten człowiek działał Ruckowi na nerwy; nie miał ochoty słuchać teraz jego biadolenia. Na szczęście starszy szeregowy znikł, zanim Ruck dotarł do kuchni.

Pułkownik po cichu wszedł po schodach. Pierwszego dnia zarejestrował każdą trzeszczącą deskę w domu, aby poruszać się w miarę bezgłośnie. Był to zbędny środek ostrożności – położenie farmy było tajne i mocno strzeżone – ale Ruck już taką miał naturę. Lata patrolowania korytarzy Klatki przygotowały go na najgorsze.

Kiedy znalazł się przy drzwiach biura, zastał je uchylone. Zatrzymał się, nasłuchiwał; ręka mimowolnie przesunęła się do pistoletu w kaburze. Doszedł go jakiś odgłos z drugiej strony, ale nie był pewien.

Ostrożnie pchnął drzwi i zajrzał do środka.

Eva stała pośrodku pokoju z rękami za plecami. Nie wyglądała na zaszokowaną albo zmartwioną, że ją przyłapano. Twarz miała obojętną, gdy na niego spoglądała. Po prostu czekała.

– Co pani tu robi? – zapytał. Zamknął za sobą drzwi i założył ręce na piersi.

– Potrzebuję taśmy do maszyny.

Ruck zerknął za jej ramię na biurko, pospiesznie lustrując blat. Wszystko wydawało się na miejscu. Szuflady nieruszone, środkowa lekko otwarta.

Taśma do maszyny.

– Są w magazynie. Po drugiej stronie podwórka. – Ruchem głowy wskazał okno za biurkiem.

– Oczywiście – powiedziała, nie odwracając się.

Zrobił krok w jej stronę. Stała nieruchomo, z dłońmi nadal schowanymi za plecami, posłuszna. To go rozwścieczyło. Jej uległość była fasadą... przejrzał ją, jej udawaną nadąsaną minę, czerwone usta, policzki i oczy, w których skrywała się niezaprzeczalna inteligencja.

Była zbyt ciekawa jak na stenotypistkę.

– Jest pan młody jak na pułkownika – zauważyła.

– A pani bezczelna jak na sekretarkę.

– Przepraszam. – Obserwowała go z chłodnym zainteresowaniem, tak badawczo, że aż przeszły go ciarki. – Nie chciałam pana obrazić, ale pan nie... nie wiem. Nie wygląda pan na kogoś, kto lubi przesłuchania.

– Wszyscy robimy dla kraju, co trzeba – odparł, chociaż bez przekonania. Dziewczynie zabrakło słów i powinien jej to wytknąć, ale tego nie zrobił. Może miała w tym jakiś cel.

Podeszła do niego na tyle blisko, że poczuł jej zapach. Zesztywniał, starając się nie reagować na jej bliskość i zbytnią zażyłość, ale nagle uświadomił sobie, że jest podatny na jej działania, poczuł, że ona w jakiś sposób zdoła dostać mu się do głowy i przejrzyć myśli, wtargnie w jego osobistą przestrzeń. Widziała wszystko, tego był pewien; znała każdy intymny zamiar, każde niestosowne pragnienie.

– Dosyć – rzekł, odwracając się od niej.

– Czego?

– Tego. Mamy pracę.

Wyciągnęła rękę. Z taką łatwością mógł ująć jej dłoń i poprowadzić ją... dokąd? Do biurka? Na podłogę? Zmieszany wziął się w garść, otworzył drzwi, wyprowadził ją i przekreślił klucz.

Kiedy schodziła schodami, zawołała za nim głosem gładkim jak jedwab:

– Pułkowniku, nie możemy uciec przed tym, kim jesteśmy, prawda?

12

Charlie wcześniej wrócił do domu. Przesiadanie w biurze i wpatrywanie się w przepełnioną skrzynkę mailową nie miało większego sensu.

Wrzucił do mikrofalówki gotowe danie i czekał, gdy talerz się obracał. Wynik końcowy nie był zbytnio zachęcający: wyglądał jak połączenie psiej karmy z suchym prowiantem dla astronautów w srebrnych paczuszkach, ale to pomogło mu nie zemdleć.

Nakarmił rybki, a potem zapalił papierosa w ogrodzie na dachu. Pomyślał, że nikotyna może przyćmić obrzydliwe uczucie przerażenia zżerające go od środka, ale jedynie przyczyniła się do kolejnej migreny. Wrócił do środka i spojrzał na butelkę piwa z tyłu lodówki, ale ostatecznie zdecydował się na filiżankę earl greya. Zabrał herbatę do salonu i osunął się na fotel obok akwarium. *Cholera, co teraz mam zrobić?* Jedna ze skrzydlic podpłynęła, aby przyjrzeć się mu z ciekawością. W odpowiedzi popatrzył na nią.

– Nic, kurwa, nie pomagasz.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

Priest wyciągnął glocka i wsunął za pasek na plecach. Obraz z kamery wideodomofonu był ziarnisty, ale wystarczał.

– Wiesz, gdzie mieszkam? – zdziwił się, otworzywszy drzwi.

– Wiem – odpowiedziała Jessica Ellinder.

Niczego mu nie wyjaśniała... po prostu wyminęła go i stanęła wyczekująco w kuchni.

– Napijesz się czegoś? – zapytał, zamykając drzwi.

– Tak – odparła po krótkiej pauzie. – Czarnej kawy.

W rogu stał ekspres, chociaż rzadko go używał. Subtelnie przetarł ścierką jego brzeg, aby usunąć kurz przed napełnieniem.

Zapadła niezręczna cisza, kiedy robił kawę. Poczuł się nieswojo, ale najwyraźniej Jessice to nie przeszkadzało. W końcu podał jej kubek, któremu ona uważnie się przyjrzała. *Cholera. Ona nie pije z kubka. Powinienem wybrać*

filizankę ze spodkiem.

– Zastanawiasz się, dlaczego przyszłam – zauważyła.

– Teraz akurat zastanawiam się nad wieloma rzeczami – odparł Priest. – Ale zacznijmy od tego.

– Przyszłam, żeby zapobiec farsie.

Uniósł brew.

– W porządku.

– Już zdecydowałeś, żeby nie wziąć zlecenia. Przyszłam namówić cię do zmiany decyzji.

– Skąd wiesz, że nie chcę go wziąć?

– Nie powiedziałaś „tak” – odparła Jessica.

– Nie powiedziałem też „nie”.

– Bardziej wymowne było niepowiedzenie „tak”.

– Masz wykształcenie prawnicze?

Parsknęła, dmuchnęła na kawę i upiła łyk. Charlie zaczął sobie uświadamiać, że ta noc będzie długa. Zmienił zdanie co do piwa i wyciągnął je z lodówki. Kiedy wrócił, Jessica była już w salonie.

– *Pterois!* – zawołała. Zastał ją, jak wpatrywała się w akwarium. – Skrzydlice. Niektórzy mówią na nie ognice. – Przesunęła dłonią po akwarium z jednego końca na drugi. Ryby nie okazały zainteresowania.

– Ukłuła mnie jedna w Gordon's Bay, jak miałem dwanaście lat – dodał dla wyjaśnienia. – To mnie prawie zabiło.

– To w Afryce Południowej.

Priest skinął głową.

– Rodzinne wakacje.

– Więc teraz masz trzy takie uwięzione w szklanej klatce w salonie. Opanowałeś własny strach. Ofiara stała się oprawcą. Gratulacje.

Jessica odwróciła się do niego i zmierzyła go spojrzeniem. Po raz pierwszy popatrzyła na niego dłużej.

– Odnoszę wrażenie, że twój ojciec chce, abym wziął to zlecenie. Ale ty chyba nie.

– Chcę tego samego co ojciec.

– Nie. Nie sądzę. – Przerwał. – Widziałaś, co zrobili bratu? Kimkolwiek byli.

– Priest czekał na jej odpowiedź. Chciał zobaczyć jej reakcję. Niepokoilo go coś w śmierci Milesa Ellindera, rzecz jasna poza ekstremalnym okrucieństwem.

Zanim odpowiedziała, zastanowiła się.

– To nie ma znaczenia. Za pół roku, może mniej, ojca nie będzie. Rak krwi. Ta poranna wizyta to prawdziwe katusze. Ojciec ma obsesję na punkcie poznania prawdy i powodów, dla których straciliśmy Milesa... w taki sposób. Osobiście uważam, że Miles nie dał nam nic poza niewyobrażalnym cierpieniem, od kiedy po raz pierwszy wziął do ręki fikę do cracku. Zasłużył na to, co go spotkało. Jednak przez pół roku mogę grać dla ojca. Tyle jestem mu winna. On uważa, że jesteś ważny. A zatem ja też.

Charlie zastanawiał się, czy poczęstować ją herbatnikiem, ale ten moment najwyraźniej minął. Piwo dziwnie smakowało. Szybko zerknął na nalepkę; okazało się, że przydatność do spożycia minęła cztery miesiące temu. Upił kolejny mały łyk i odstawił butelkę na stolik obok akwarium.

Ona nie widziała żadnych zdjęć, ani jej ojciec, który oznajmił, że szczegóły im zrelacjonowano. Prawdopodobnie McEwen to zrobił. Priest odsunął tę myśl jako nieważną. Z doświadczenia wiedział, że większość ludzi chciała zobaczyć ciało, nie zdjęcia z miejsca zbrodni. *Naprawdę musiał ich mało obchodzić.*

Był świadom, że Jessica przygląda mu się uważnie, jakby nagle miały mu wyrosnąć skrzydła. Zrobił kilka kroków w jej stronę, a ona cofnęła się o jeden. Pochylił się nad nią. Wyczuwał zapach perfum – miły, dojrzały i lekki, chociaż go nie rozpoznawał. Była ubrana stylowo w płaszcz w jesiennych barwach, długi i elegancki, i prostą bluzkę, rozpiętą u góry, co odsłaniało fragment pięknej białej skóry.

– Co robisz? – spytała zdziwiona.

Nacisnął włącznik za nią. Rozległ się warkot i zasłony rozsunęły się na wilgotne, mgliste londyńskie popołudnie. Podszedł do środkowej części okna i spojrzał na miasto.

– Przykro mi – rzekł.

– Nie ma potrzeby – odparła, chociaż jej ton sugerował coś innego. – Nie żał mi Milesa. Nikt nie będzie za nim tęsknić, najwyżej matka.

– Z powodu twojego ojca.

Kiedy Jessica milczała, odwrócił się i spojrzał na nią. Nie tylko ona patrzyła pytająco.

– Powiedziałaś, że przyszłaś zapobiec farsie. Jak zamierzałaś to osiągnąć?

– Na początek, wiem, że okłamałaś mojego ojca, McEwena i mnie, mówiąc, że nie widziałeś mojego brata wcześniej.

Nie po raz pierwszy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin Charlie był zaskoczony.

– Skąd?

– Wiem, że niedawno cię odwiedził. Może nawet w noc przed śmiercią. Może byłeś jednym z ostatnich ludzi, którzy widzieli go żywego – mówiła obojętnie, bez cienia oskarżeń.

– Jak to?

– Powiedział mi – wyjaśniła. – Twierdził, że zamierza cię odwiedzić. Odbyliśmy krótką rozmowę przez telefon. Oboje byliśmy źli. Ja byłam zła na niego za to, że zniknął i gównie go obchodzi choroba ojca, a on był zły na mnie, że udało mi się go odnaleźć. W ostatnich słowach mówił, że zamierza zobaczyć się z księdzem[2]. Pomyślałam, że chce się wypowiedzieć. Lecz kiedy znaleziono przy nim twoją wizytówkę, zdałam sobie sprawę, że nie chodziło mu o księdza.

– Był katolikiem?

– Wielki Boże, nie.

– Ale nie wspomniałaś ojcu o tej rozmowie – domyślił się.

– Nie.

Uśmiechnął się.

– To oboje jesteście bardzo niegrzeczni.

Jessica założyła ręce na piersi, nie dzieląc jego wesołości. Priest zauważył, że jej dekolt lekko się zaczerwienił – stres uwidaczniał się na skórze. Zastanawiał się, jak bardzo Jessica Ellinder udaje.

– To nie jest gra, Priest. Dlaczego Miles cię odwiedził?

Teraz to rzeczywiście było oskarżenie. Widział to, gdy wreszcie przestała udawać i stała w salonie, patrząc na niego z wyrzutem.

– Szukał czegoś. – Uległ w końcu. – Czegoś, co według niego miałem. Pendrive'a, pamięci USB. Prawdopodobnie z jakimiś danymi. Nie wyjaśnił szczegółowo, co to takiego.

Jessica się zamyśliła. Spodziewał się, że zrobi aferę, iż nie podzielił się z nią tą informacją wcześniej, ale, o dziwo, była zaskakująco niewzruszona.

– Dlaczego uważał, że masz te dane?

– Nie wiem.

– Jaki się wydawał?

– Poruszony. Kiedy przywiązał mnie do krzesła i przyłożył mi wiertarkę do oka, domyśliłem się, że jest nieco zdenerwowany.

Priest myślał, że to może sprowokować reakcję, ale się rozczarował. Zamiast tego Jessica skierowała się do drzwi.

- Dziękuję za kawę – rzuciła.
- To wszystko?
- Tak. Przemyślisz swoją decyzję co do propozycji ojca?
- Przemyśle, ale nie jestem pewien, czy mogę ją przyjąć.
- Wręcz przeciwnie – powiedziała, otwierając drzwi i wychodząc na korytarz. – Wdepnąłeś w to zbyt głęboko i potrzebujesz naszej pomocy tak samo, jak my twojej.

[2] *priest* (ang.) – ksiądz

13

Twarz ochroniarza była znajoma, ale Charlie nie mógł skojarzyć imienia. Chciał powiedzieć Karl lub Conrad, albo Percy. To prawdopodobnie nie miało znaczenia. Facet i tak nigdy się nie odzywał, a Priest od miesięcy zadowalał się co najwyżej obcesowym uśmiechem z jego strony.

Karl, Conrad czy Percy obserwował, jak Priest umieszcza telefon i portfel w przezroczystej szafce i chowa do kieszeni kluczyk. Żadnej takiej kontrabandy nie wolno było wносить poza punkt kontrolny. Charliego wprowadzono za ciężkie metalowe drzwi, które bezceremonialnie za nim zatrzaśnięto. Przez chwilę był tylko on i ponury strażnik w pomieszczeniu wielkości szafy pozbawionym powietrza, aż odchyliły się kolejne ciężkie drzwi do głównego kompleksu szpitalnego.

Po tej stronie drzwi był inny świat – spokojna dzicz. Ogarnęło go uczucie zagrożenia. Powietrze wydawało się nieco inne, ciężkie i stęchłe. Słyszał, jak strażnicy nazywali to „Strefą Mroku”. Rozumiał dlaczego. Pokój dla odwiedzających znajdował się w bloku po drugiej stronie podwórka upstrzonego polaciami trawy i piachu – małe działki dla więźniów, gdzie hodowali warzywa.

Przy drzwiach bloku Charliego powitano uściskiem dłoni.

– Doktor Wheatcroft – powiedział ciepło.

– Panie Priest, miło pana widzieć.

– Mnie pana również.

Jak na człowieka, który całymi dniami zajmuje się seryjnymi mordercami, gwałcicielami i wariatami, Wheatcroft emanował nadzwyczajnym spokojem.

– Jak on się czuje, doktorze?

Wheatcroft westchnął i przecesał dłonią włosy. Należały do tych, których żadne przeczesywanie nie mogło wyrwać.

– Nieźle. Nieźle. W tym tygodniu jest trochę bardziej rozkojarzony. Opuścił też kilka sesji. Twierdzi, że ogłupia go kontakt z innymi pacjentami.

– Znowu po staremu jest sobą – zauważył Charlie.

– Tego się obawiam. Postęp jest powolny, ale zauważalny. Bez wątpienia pańska wizyta nieco go pobudzi. – Wheatcroft dotknął ramienia Priesta i usunął się na bok, aby go przepuścić.

Doktor William Priest miał minę człowieka zaprzątniętego jakimś problemem nie do rozwiązania. Dwóch pielęgniarzy przyprowadziło go do stołu, przy którym czekał brat, i posadziło na krzesła. Charlie usiadł naprzeciw Williama na plastikowym krzesle. Rodzinne podobieństwo było wyraźne – te same gęste kasztanowe włosy i przejrzyste błękitne oczy. Jednak pięć lat spędzonych w szpitalu zamkniętym w Fen Marsh ujęło blasku ujmującym rysom Williama Priesta. Ciemne worki podkreślały jego oczy. Skórę miał ziemistą. Charlie czuł, że przy każdej wizycie bratu ubywa trochę z człowieczeństwa.

– Mój brat – powiedział William, ledwo spoglądając na Charliego. – Jakże pokrzepiające, że mnie odwiedzasz.

– Jak się czujesz, Wills?

Ich spojrzenia się spotkały, gdy William zastanawiał się nad pytaniem; potem wyciągnął rękę, a jego dłoń odnalazła twarz brata. Jeden z pielęgniarzy, najwyraźniej zaalarmowany, schwycił Williama za ramię i przytrzymał za kark. Stało się to tak szybko, że Charlie nawet nie zdążył się ruszyć.

– Czekaj! – polecił. Pielęgniarz znieruchomiał, spojrzął na Charliego i zwolnił chwyt. William najwyraźniej nie zwrócił uwagi na tę interwencję. – Puść go.

– Zaciąłeś się przy goleniu, bracie? – zauważył William, delikatnie przesuwając palcem po małym zadrapaniu na szczęce Charliego. – Nie goliłeś się ze dwa dni. Co cię skłoniło do odstąpienia od porannego rytuału?

Priest skinął głową do pielęgniarza, który wycofał się, wymieniając z kolegą niespokojne spojrzenia.

– Kilka trudnych dni – odparł w ramach wyjaśnień.

– Jakże porywający musi być świat na zewnątrz.

– Brakuje ci go?

– Po części. – William przekrzywił głowę jak zaciekawiony ptak. – Bracie,

coś cię martwi. Coś więcej niż „kilka trudnych dni”.

– Bo się nie ogoliłem?

– Bo zdradzają cię twoje oczy.

Charlie westchnął ciężko.

– Wills, zawsze potrafiłeś czytać w ludziach.

William wydał triumfalny okrzyk.

– Rzeczywiście! Wizyta wypada dwa dni wcześniej niż nasze planowane spotkanie. Masz worki pod oczami. Tę koszulęnosisz już ze dwa dni. Czuć od ciebie kawę, którą pijesz sporadycznie, kiedy nie masz dostępu do earl greya, więc albo ci się skończył... co mało prawdopodobne... albo wyszedłeś rano w pośpiechu i w drodze musiałeś walnąć sobie kofeinę. Tę marynarkę też wybrałeś w pośpiechu.

– Skąd wiesz?

– Twoje pióro... drogie pióro wieczne, które kupiła ci siostra na trzydzieste drugie urodziny... brakuje go w wewnętrznej kieszeni – oznajmił William. – Zauważyłem, kiedy odsuwałeś krzesło, aby usiąść. Wszędzie chodzisz z tym piórem, a to znaczy, że zostało w kieszeni marynarki, którą nosiłeś w zeszłym tygodniu. Zapomniałeś przełożyć je do tej marynarki, co sugeruje niedbałość wynikającą nie ze zmęczenia, bo to by nieodwołalnie skończyło się na poprawieniu tego błędu później, ale z pośpiechu, w którym przygotowywałeś się dzisiaj rano.

– A fakt, że spotykamy się dwa dni wcześniej niż zwykle, jest znaczący, ponieważ...?

– To proste. Dwa dni temu przytrafiło ci się coś traumatycznego i zamierzasz podjąć się czegoś w rodzaju kampanii, aby naprawić jakieś zniszczenia albo odkryć jakiś sekret, więc zwyczajową wizytę nieco przesuwasz, zanim wypadniesz na krótko z obiegu.

Charlie zauważył, jak mniejszy z dwóch pielęgniarzy przenosi ciężar ciała z nogi na nogę. Za nim na tle błyszczących białych ścian świeciła się czerwona lampka kamery monitoringu.

– Teraz ty – rzucił William podekscytowany.

Charlie znowu westchnął; ta gra go męczyła, ale grali w nią, od kiedy zaczęli mówić. Przyjrzał się Williamowi od stóp do głów, a potem zerknął za niego na pielęgniarza, który wcześniej szurał nogami.

– Ten człowiek jest nowy. Nazywa się Harry Clarke i od niedawna ma kota, prawdopodobnie ze schroniska. Nie ma dzieci, chociaż niedawno się rozwiódł.

Regularnie gra w golfa, ale prawdopodobnie niezbyt dobrze, i ma cukrzycę typu pierwszego.

Spojrzał na pielęgniarza. Mężczyzna otworzył usta ze zdziwienia. Ostatecznie skinął głową i spojrzał na kolegę w nadziei na jakieś wyjaśnienia.

William odwrócił się do pielęgniarza.

– Brawo, Charles. Wszystko to jednak informacje całkiem podstawowe. Niech no spojrzę. Jest nowy, bo nigdy wcześniej go nie widziałeś. Nowy kot, ze względu na zadrapania na ramieniu, które zauważyłeś, kiedy przed chwilą interweniowałeś, zbyt głębokie, jak na młode zwierzę. To także wyjaśnia brak dzieci, bo wtedy kocię byłoby bardziej prawdopodobne. Dorosły kot, więc prawdopodobnie ze schroniska, nie ze sklepu zoologicznego. Rozwiedziony, widoczny lekki ślad na serdecznym palcu, bo obrączki pozbył się całkiem niedawno. Golf, bo jedna dłoń jest nieco mniej opalona od drugiej, ta, na której nosi się rękawiczkę, a że niezbyt dobrze, wynika to z faktu, że sporo czasu nosi rękawiczkę, a oczywiście tak się dzieje podczas wykonywania uderzenia. Im więcej uderzeń, tym gorszy gracz. Cukrzyca typu pierwszego, trochę strzał, ale ma na szyi łańcuszek. Pielęgniarsom tutaj nie wolno nosić biżuterii, chyba że z konkretnych powodów, takich jak wisiołek, jaki może nosić cukrzyk z instrukcjami, gdyby zapadł w śpiączkę. Ale skąd wzięłeś nazwisko?

Priest wzruszył ramionami.

– Jest na identyfikatorze.

– Ach, typowe. – William klasnął entuzjastycznie. – Sprytne, bracie.

Zmiana była szybka – przerażająca rzecz, kiedy ktoś to widzi po raz pierwszy, ale Charlie do tego przywykł. Pięć lat wizyt raz w miesiącu zobojętniło go na nagłe zmiany nastroju u Williama. Kiedy więc William położył dłonie na krawędzi stołu i pochylił się konspiracyjnie, szepcząc głosem obniżonym niemal o całą oktawę, Charlie nawet nie drgnął.

– Mam go na oku, bracie. Dyrektora. Obserwuje mnie w nocy. Myśli, że śpię, ale to iluzja. Od miesiący unikam fazy REM, żebym nie przegapił nocnych wizyt. Myśli, że zapanował nade mną, ale nie docenił zaangażowania swojego szczura laboratoryjnego.

Priest westchnął. Urojenia brata sprawiały mu ból. „Dyrektorem” William nazywał doktora Wheatcrofta. Wierzył, że Wheatcroft w jakiś sposób odpowiada za jego szaleństwo i poświęca czas na badanie swego dzieła.

– Doktor Wheatcroft to dobry człowiek...

– Nie wypowiadaj tego nazwiska! – rzucił William. – Wypróbuj mnie, Charles. Chce mnie zepchnąć na krawędź psychicznych możliwości. Chce, abym znowu zabijał!

– To są sny, Wills. Po prostu głupie sny.

– Nie popełniaj błędu i nie zakładaj, że moje uwięzienie w tej instytucji oznacza, że nie potrafię odróżnić zjawy od rzeczywistości. – William zaczął się denerwować i dwóch pielęgniarzy przesunęło się o kilka kroków, żeby w razie czego szybko zakończyć wszelkie kłopoty.

– Nie jestem doskonały, Charles. Mózg mi wadliwie funkcjonuje. Ale to nie jest schorzenie naturalne. To ziarno zasiał tam Dyrektor. Ziarno, które teraz podlewa. Sprawdza, czy znowu może mnie pchnąć na krawędź.

Starszy z pielęgniarzy położył rękę na ramieniu Williama. Koniec wizyty.

– Chodź, William. Nie zatrzymujmy twojego brata.

– W końcu mnie dostanie, Charles! Zobaczysz.

– Chodź, William – powtórzył opiekun.

Charlie patrzył ze smutkiem, jak chwytają Williama za ręce. Pięć lat temu William Priest uwolniłby się od nich bez trudu. Teraz, rozmemłanego i zdezorientowanego, opanowali z łatwością.

– Do zobaczenia za miesiąc, Wills – pożegnał się cicho.

– Charles, to wielki manipulator. Nie może wygrać!

Dwaj pielęgniarze podnieśli Williama. Ledwo z nimi walczył, gdy nieśli go do drzwi.

– Jeszcze nie skończyłem! – protestował. – Charles musi poznać prawdę. Powiem ostatnie słowo.

Starszy pielęgniarz uniósł brew w stronę Charliego, który skinął głową. Zatrzymali się przy drzwiach i zezwolili Williamowi na tyle ruchu, aby odwrócił głowę do brata.

– W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym sowieccy naukowcy odkryli pole gazu ziemnego w Turkmenistanie. Bojąc się trującego metanu, postanowili go wypalić. Myśleli, że potrwa to kilka dni. Po czterdziestu latach gaz nadal się pali. Miejscowi nazywają to Drzwiami do Piekła... wielki dół ognia na pustyni. Umysł jest jak ten dół, Charles. Zapal go... a on się pali. I pali. I pali.

William miał rację. Charlie przyszedł do niego z comiesięczną wizytą wcześniej, aby mieć ją z głowy. Spotkanie zamieszało w koktajlu znajomych emocji – winy, smutku, niechęci. Winy, ponieważ nie przychodził wystarczająco często, a Sarah nie przychodziła wcale. Smutku, ponieważ kochał swojego brata. Brata, nie seryjnego zabójcę, Williama Priesta, zdziżale stworzenie, jakim się stał. I niechęci. Do siebie, za to, że go zawiódł.

Wyszukał w Internecie Drzwi do Pieła, aby sprawdzić, czy to prawda.

Maureen uniosła brew, kiedy wszedł; najwyraźniej zapamiętała jego ostatnie zachowanie. Dzisiaj rano pofolgowała sobie z makijażem i pomalowała usta mocną czerwienią, co jej nie pasowało. W zasadzie to nie pasowałoby nikomu. Charlie uznał, że nie może przekraść się obok niej kolejny raz. Było z niej zbyt spostrzegawcze babsko.

– Dzień dobry – przywitał się, zwalniając, ale nie zatrzymując.

– Zaraz, zaraz – burknęła – to pan Priest, prawda?

– Tak. Twój hojny pracodawca.

– Hm, rzeczywiście.

Uśmiechnęła się, gdy podszedł do schodów. Zerknąwszy na swoje ręce, zauważył, że rękaw marynarki podsunął się do góry i wredny ślad po oparzeniu na nadgarstku błyszczał niczym bekon na patelni. Pospiesznie obciągnął rękaw, ale wiedział, że to zauważyła.

Maureen westchnęła.

– Charlie, wiesz, będziesz musiał doprowadzić się do porządku.

Zatrzymał się na chwilę, słowa zawisły w powietrzu. Potem ruszył dalej schodami.

Vincent Okoro zjawiał się w gabinecie Priesty ubrany w kremowy garnitur, który został skrojony tak idealnie, że pasował niczym druga skóra. Charlie

dostrzegł niewielki diamentowy kolczyk w uchu kolegi, choć bez wątpienia Vincent włożył więcej biżuterii.

– Masz później przesłuchanie? – zapytał Charlie.

– Ustny wniosek o apelację. – Okoro jak zwykle usiadł naprzeciw niego.

– Twój?

– Mojego przeciwnika.

– Ma jakieś szanse?

– Żadnych. To głupek. Ale jego klient wściekł się, że skopałem mu tyłek.

– To zrozumiałe.

– Dosyć gadania. Co nowego? Ktoś próbował cię zabić wczoraj wieczorem?

Charlie wspomniał o wieczornej wizycie Jessiki Ellinder. Okoro pokiwał głową w zamyśleniu, ale mu nie przerywał. Kiedy Priest skończył, podał mu list.

– To przyniósł kurier dzisiaj rano. Podpisałem za ciebie. Wygląda na ważne. Lepiej otwórz.

Kiedy Charlie przyglądał się kopercie, do gabinetu weszła Georgie. Włosy znowu upięła w koński ogon. Włożyła czarną spódnicę sięgającą kolan i marynarkę z ciemnoczerwoną podszewką. Każdy źle by wyglądał w okularach w grubych oprawkach, ale nie Georgie Someday.

– Cześć – powiedziała i machnęła ręką na powitanie. – Właśnie zastanawiałam się...

– Co chcę ci teraz zlecić? – dokończył Charlie.

– Tak!

Cmoknął.

– Poczytaj o nabijaniu na pal jako metodzie egzekucji. Znaczenie religijne i społeczne, historia, koncepcje... tego rodzaju rzeczy.

– Już poczytałam – odparła Georgie. Odchrząknęła. – Nabijanie na pal najczęściej wiąże się z rumuńskim tyranem z piętnastego wieku, Władem Palownikiem. Lepiej znanym jako Drakula.

– Drakula? Jak u Brama Stokera? – spytał Okoro.

– Tak, Drakula Stokera był oparty na realnej osobie, której ulubioną metodą egzekucji było nabijanie na pal. Czytałam sporo gotyckich horrorów – dodała.

– Niezbyt miła śmierć – stwierdził Charlie.

– Tak, Wład był jednym z najokrutniejszych. Siedział przy stole, jadł i pił, gdy jego nabijani na pal wrogowie zwijali się w agonii dookoła. Preferował ostrze penetrujące odbyt lub, w przypadku kobiet, pochwę.

– W przeciwieństwie do...? – Priest wzdrygnął się nie tyle na opis Georgie, ile na entuzjazm, z jakim to relacjonowała.

– Powieszenia ofiary głową w dół i wprowadzenia pala do gardła – oznajmiła radośnie Georgie. – Ten sposób szybciej zabijał.

Priest skinął głową.

– Oczywiście. Dlaczego o tym nie pomyślałem?

Georgie mówiła dalej, najwyraźniej nie wyczuwając sarkazmu.

– Przypuszczam, że wbić na pal można z dwóch powodów. Pierwszy jest taki, że to bardzo bolesna i upokarzająca śmierć. Drugi wiąże się z człowiekiem, który czerpał radość z torturowania i zabijania.

– Miał z tego frajdę? – spytał Okoro.

– Według większości źródeł. Szczególnie gdy zabijał kobiety. Okaleczał ich narządy płciowe i zmuszał matki do zjadania własnych dzieci. Naprawdę nie był zbyt miły.

Charlie z trudem przełknął ślinę. Gdyby miał szansę, z radością walnąłby Milesa Ellindera. Ale jakim trzeba być sadystą, żeby popełnić okrucieństwa opisane przez Georgie.

Priest spojrział ponownie na kopertę, którą trzymał. Nie miała żadnego znaczka czy stempla. Białe tło z jednym słowem napisanym piórem.

Priest.

– Kto ją dostarczył? – spytał Vincenta.

– Fastlink. Prywatna firma kurierska.

Charlie trzymał kopertę jeszcze chwilę, wreszcie ją rozerwał i wyciągnął odręcznie pisany list na grubym, kremowym papierze. Przeczytał go. Potem jeszcze raz. Następnie spojrział na współpracowników.

– To list od prokuratora generalnego.

– Jak w...? – zaczął Okoro.

– Tak. Sir Philip Wren. Mój ojciec chrzestny.

Hayley Wren usiadła ciężko przed lustrem i przyjrzała się własnej zmęczonej twarzy. Miała worki pod oczyma, a skórę wysuszoną i pokrytą plamami. Wykrzywiła się.

Przyjrzała się zbiorowi przedmiotów przed sobą, ułożonych starannie na toaletce. Większość z nich to podarunki od matki – perfumy i kremy firmowane przez celebrytów, o których nigdy nie słyszała, tego rodzaju rzeczy. W ten sposób rodzice próbowali zachęcić ją do włączenia się w życie realnego świata.

Hayley, przestań chodzić z głową w chmurach.

Głos ojca dzwonił jej w uszach. Jak w ogóle mogła sprostać jego oczekiwaniom? Była córką wielkiego Philipa Wrena. Prokuratora generalnego. Prawnika prawników. Zapisła się na prawo, tak jak jej polecił, ale wytrzymała tylko pierwszy tydzień. To było prawie osiemnaście lat temu. Za trzy lata skończy czterdziestkę, a nie miała czego świętować poza dwiema niedokończonymi powieściami graficznymi i pracą w sklepie charytatywnym.

I to wszystko. Całe życie w jednym żalonym incydencie, kiedy zrezygnowała z pełnej edukacji. Wszystko w jej życiu było „nie całkiem”. Dziewczyna, która była nie całkiem ładna, nie całkiem mądra, nie całkiem jak wszyscy inni. *Nie całkiem taka, jak jej tata chciał. Może nie całkiem męska.* Ojciec był dla niej wyjątkowo szorstki podczas ostatniej rozmowy. Namawiał ją do powrotu do domu. Jeszcze raz próbował wyrwać ją Jezusowi. Nienawidził jej zaangażowania w Kościół Stworzenia, ale jej to nie obchodziło. W końcu znalazła coś namacalnego w małym zgromadzeniu wielebnego Matthew. Coś, czego mogła się trzymać.

Dlatego też poszukała wsparcia wielebnego Matthew, kiedy tydzień wcześniej na swojej wycieracze znalazła kopertę. Wewnątrz nie było żadnego listu, żadnego adresu, tylko jej nazwisko napisane na kopercie. *Ktoś podszedł pod moje drzwi i wrzucił ją przez otwór na listy.* Zadrzała na samą

myśl.

Kiedy wysypała zawartość na łóżko, niemal zwymiotowała.

Po godzinie od jej otwarcia siedziała roztrzęsiona przy stole w pokoju na zapleczu domu zgromadzeń, gdzie odbywały się nabożeństwa i lekcje tańca country oraz mityngi Anonimowych Alkoholików.

– Czy ma to dla ciebie jakieś znaczenie? – zapytał wielebny Matthew. Był łagodny i miły, ale jego spojrzenie i to, jak przykrył jej dłonie swoimi... mówiły, że jest równie zakłopotany jak ona.

Pokręciła głową. Nie miała pojęcia, kto przysłał jej... to.

– Zostaw mi tę kopertę – poradził. A ona z wdzięcznością przesunęła ją po stole.

Hayley starała się zapomnieć o przesyłce, ale nie mogła. Odrzuciła pościel, na którą spadła zawartość koperty... była sprofanowana, nieczysta. Jednak ten widok nadal ją prześladował i to złe przeczucie, że ta ostatnia rozmowa z ojcem i koperta są w jakiś sposób powiązane.

Może powinnam wrócić do domu, kiedy mi kazał.

Przezesłała szczotką włosy i spojrzała w lustro. Za sobą widziała pokój, wszystko było jak zawsze starannie poukładane.

Jednak coś wydawało się inne.

Spowolniła ruch ręki ze szczotką i przyjrzała się odbiciu w lustrze. Wszystko było na miejscu. Ale coś tu nie grało.

Drzwi na korytarz.

Wcześniej były otwarte, a teraz same się zamykały, czemu towarzyszyło lekkie skrzypienie zawiasów.

Natychmiast poczuła, jak krew ścina się jej w żyłach.

Jezu, nie opuszczaj mnie.

Za drzwiami stał mężczyzna, ręce trzymał sztywno przy bokach, twarz skrywał biały kaptur, przez który widziała jedynie dwoje obserwujących ją ciemnych oczu.

16

– Twój chrzestny jest prokuratorem generalnym? – Georgie wyglądała na podekscytowaną.

– Philip Wren był przyjacielem rodziny – wyjaśnił Priest. – On i mój ojciec przeszli długą drogę. To starzy kumple.

Obiady u Wrenów zawsze stanowiły trudną próbę. Priest tak naprawdę nigdy nie polubił Philipa Wrena. Należał do tych zbyt pewnych siebie ludzi, którzy mieli prawo być zbyt pewni siebie. Sarah raz nazwała go „plugawą, samolubną świnią”. I powiedziała mu to prosto w oczy. William podchodził do tych spotkań obojętnie.

Terri, żona prokuratora, była mała i delikatna – przeciwieństwo męża. Mieli jedną córkę, Hayley, jeszcze bardziej zamkniętą w sobie niż matka. Priest właśnie skończył czterdziestkę. Hayley była parę lat młodsza od niego, ale należała do tych ludzi, którzy zawsze wyglądają, jakby się nie starzeli. Pewnie wciąż wyglądała na dwadzieścia kilka lat. Może to był jeden z powodów, dla których Sarah nigdy nie miała dla niej czasu... ale z drugiej strony Sarah była chłopczycą i młodość spędziła, wspinając się bosą na drzewa. Hayley w tym czasie oddawała się lekturze w swoim pokoju. Było oczywiste, że Hayley nie spełniała oczekiwań ojca, za co automatycznie ponosiła winę.

– To musi być naprawdę świetnie – odezwała się Georgie.

– Co?

– Mieć prokuratora generalnego za chrzestnego.

– Dlaczego?

Zająknęła się.

– Hm... mój chrzestny jest miejscowym pastorem...

Priest patrzył, jak dziewczyna skubie sobie włosy. Jeżeli w ogóle się malowała, to dyskretnie. To mu się podobało.

– Priest, czytaj ten cholerny list – ponaglił Okoro.

Drogi Charlie,

piszę w pośpiechu i z ciężkim sercem. W tę czarną godzinę niewiele jest osób, do których bym się zwrócił. Zwróciłem się do Ciebie.

Proszę wybaczyć zwięzłość tego listu. Nie ma czasu. To kwestia życia lub śmierci. Ostatnie oświadczenie skłamałem z pełną świadomością, wiedząc, że moje kolejne kroki mogą ściągnąć na Ciebie zagrożenie. Za to mogę jedynie przeprosić, aczkolwiek nie spodziewam się, że przyjmiesz te przeprosiny.

Osobną pocztą wysłałem do twojego domu małą paczkę z elektronicznymi danymi. Mam nadzieję, że będziesz wiedział, co z tym zrobić. Dla mnie już wszystko stracone.

Przepraszam

*Szczerze oddany,
Christopher Wren*

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

– Ale ty nie otrzymałeś takiej przesyłki – stwierdził Okoro, przerywając milczenie.

– Nie. Ale te elektroniczne dane, o których pisze Wren, z pewnością są na pendrivie, którego szukał Miles Ellinder.

– Mówi, że może narazić cię na niebezpieczeństwo? – Georgie się spieszyła.

– Próbowano mi wywiercić oczy. Miał rację.

Priest sięgnął po telefon.

– Nie możesz po prostu zadzwonić do prokuratora generalnego? – zapytała Georgie.

– Możesz zadzwonić do każdego, jak masz jego numer. – Dzwonił, ale nikt nie odbierał. Spróbował pod inny numer.

– Nigdy nie byłam pewna, co takiego w zasadzie robi prokurator generalny – nieśmiało powiedziała Georgie.

Z punktu widzenia Priesty nie było to głupie pytanie. W sprawach natury prawnej takie pytania nie istniały.

– Potraktuj go jako głównego prawnika rządu – wyjaśnił Okoro. – Radcy Ministerstwa Finansów działają w imieniu rządu i reprezentują rząd w sądzie. Prokurator generalny jest ich szefem. Philip Wren musi być przed emeryturą.

– Nie, nie będę czekać – rzucił Priest do słuchawki. – Próbuję skontaktować się z Philipem Wrenem. To pilne... proszę mu powiedzieć, że Charlie Priest chce z nim rozmawiać. Natychmiast.

Po chwili zakończył rozmowę.

– Nie ma nikogo w domu – oburzył się. – W biurze nie wiedzą, gdzie jest. Radca generalny też nie jest dostępny.

– Radca jest zasadniczo zastępcą Wrena – szepnął Okoro do Georgie. – Raz spotkałem go w sądzie. Nie pamiętam, jak się nazywa, ale nie potrafi dobrać krawatów.

Priest znowu zastanowił się nad listem. *Czarna godzina*, Wren oświadczył w liście pisany *w pośpiechu*, ale wiecznym piórem, i to starannie. Każda litera skrupulatnie doprowadzona do perfekcji. Zupełnie żadnych śladów pośpiechu. Nic z tego nie miało sensu.

A pendrive, który Miles Ellinder tak bardzo chciał znaleźć. *Mam nadzieję, że będziesz wiedział, co z tym zrobić.*

– To może być pożegnanie samobójcy – zauważył Priest, uważnie przyglądając się listowi, jakby sam papier mógł kryć tajemnicę.

Okoro otworzył usta, ale Priest nie wiedział, czy aby się zgodzić, czy zaprzeczyć. Wtedy drzwi otworzyły się na oścież i to z taką siłą, że aż ze ściany spadł obraz.

Znajoma postać wypełniła wejście. Za nim Maureen próbowała przedostać się do środka.

– Przepraszam, Charlie – powiedziała ochryple. – Ten pan nie pozwolił mi cię powiadomić. Uparł się...

– W porządku, Maureen. – Uniósł rękę. – Co możemy dla pana zrobić, inspektorze?

McEwen był podekscytowany. Na szyi miał paskudną wysypkę, a czoło wilgotne od potu pomimo zimna na dworze. Wyglądał, jakby biegł całą drogę.

– McEwen, lepiej usiądź – zaproponował Okoro, wstając. – Nie chcę, żebyś tu zemdlął.

McEwen zignorował Okoro i Georgie i podszedł wprost do biurka Priesta. Pochylił się do przodu. Smród jego ciała wręcz dławiał.

– Priest, wczoraj tu byli Jessica i Kenneth Ellinderowie.

– Tak – odparł od niechcienia Charlie.

– No i...? Czego chcieli? – dopytywał się McEwen.

– Może ich zapytasz?

McEwen odwrócił się gwałtownie od biurka, o ile mężczyzna jego postury mógł zrobić coś gwałtownie. Złapał fotel zaproponowany przez Okoro i usiadł ciężko. Okoro podniósł ręce.

– Priest, nie pogrywaj ze mną. Twój udział w tym bałaganie już przyciąga uwagę osób stojących wyżej ode mnie. Zrób sobie przysługę i zacznij mi pomagać.

Charlie uznał, że McEwen ma na myśli zastępczynię komendanta Auckland. Bez wątpienia chciała zemścić się na swój sposób, a jego związek ze sprawą Ellinderów wydawał się idealną okazją.

Nie żeby według Charliego Dee miała się za co mścić. To przecież nie jego wina, że William okazał się seryjnym mordercą, która to okoliczność była wyjątkowo niedogodna dla jego ambitnej żony. *Nigdy nie zostałaby zastępczynią komendanta, gdyby mnie się trzymała.* Najwyraźniej kwestię tę potęgowały jego społeczne niedostosowanie i tendencja do halucynacji na przyjęciach. Ta toksyczna mieszanka ostatecznie detonowała, kończąc ich krótkie, bezdzielne małżeństwo.

– Wiesz co, McEwen? Nudzisz mnie. Na wolności jest morderca. Nieźle popierdolony. Może spróbujesz go znaleźć?

McEwen go zignorował.

– Czego oni chcieli, Priest? Czy tylko wpadli, żeby odnowić testament, czy może sam ich zaprosiłeś?

– To rodzina ofiary, na dodatek wpływowi ludzie. Mają prawo odwiedzać każdego, kto przyjdzie im do głowy.

– Ale dlaczego ciebie? Chcieli porady prawnej?

– Gdyby tak było, i tak bym ci nie powiedział.

– Och! – McEwen klasnął drwiąco. Najwyraźniej miał kłopoty z utrzymaniem całej przeżuwanej w ustach śliny, która czasami ściekała mu po brodzie. – Tajemnica zawodowa. Więc teraz prawnik chowa się za swoim cennym kodeksem.

– To nie ma nic wspólnego z dochowaniem tajemnicy, McEwen, bo to nie moi klienci. Nie powiedziałbym ci, bo to nie ma związku z twoim śledztwem, a ty po prostu jesteś narzędziem, co oczywiste. – Charlie wiedział, że ten komentarz sprawi mnóstwo kłopotów, ale wydawał się stosowny. Po tych słowach zuchwa Georgie opadła tak nisko, że groziła odpadnięciem.

Okazało się, że McEwen potrafił rozpoznać, kiedy skazany jest na przegraną. Wstał i popatrzył na Priestę, mrużąc oczy.

– To jeszcze nie koniec. Wplątany... czy nie. Nie obchodzi mnie. Znajdę sposób, aby przeczołgać cię w błocie tak bardzo, że nawet twoi zmarli rodzice cię nie poznają. – Przepchnął się obok Okoro i odwrócił, zanim dotarł do drzwi. – A jak tam twój brat? Wciąż jest popieprzonym seryjnym zabójcą?

Charlie milczał, choć wzmianka o rodzinie go dotknęła.

– Może w przyszłości będziesz miał okazję widywać go częściej, Priest. – McEwen splunął, wychodząc.

Nikt nie odzywał się przez chwilę. Jedyнным odgłosem było zgrzytanie zębów Charliego.

Około godziny po burzliwej wizycie McEwena Charlie zszedł do samochodu. Musiał wrócić do domu, aby spokojnie zebrać myśli. Miał już wsiąść do auta, kiedy zobaczył, że ktoś idzie do niego z parkingu pod biurem. Pewnym, zdecydowanym krokiem. Poranne słońce rozświetlało mgłę i przedzierając się przez szczeliny na wysokości chodnika, rzucało snopy żółtego światła na beton. Kroki zbliżały się, a w rozproszonym świetle pojawił się cień postaci. Zatrzymał się i czekał, aż ona dojdzie do samochodu z drugiej strony. Pochyliła się nad dachem. Zastanawiał się, jak długo będzie musiał spoglądać w jej oczy, zanim zamieni się w kamień.

– To naprawdę twój samochód? – zapytała Jessica Ellinder tonem niespodziewanego rozbawienia.

– Tak. – Spojrzał na stare volvo i nagle przyjął postawę obronną. – Jest ekonomiczne.

Skinęła głową i nawet oschle się uśmiechnęła.

– Produkują jeszcze do takich części zamienne?

– Ma swój czar – odparł, wruszając ramionami. – Czym jeździsz?

Nie odpowiedziała. Choć próbował z tym walczyć, czuł się niezdarnie.

Odezwał się, kiedy było oczywiste, że ona nic nie powie.

– Dzisiaj rano otrzymałem to. – Sięgnął do kieszeni marynarki i podał jej list od Wrena, który Jessica przeczytała.

– Wren przysłał paczkę do twojego domu. Pendrive? – zainteresowała się, oddając list.

– Niewątpliwie.

Wsiadł do samochodu i zamknął drzwi, potem poczekał, aż ona zajmie

miejsce dla pasażera. Kiedy w końcu usadowiła się, spojrzała z zaciekawieniem na deskę rozdzielczą.

– Ten samochód ma beżowe wnętrze – zauważyła.

Uruchomił silnik... który, co przyjął z ulgą, zaskoczył za pierwszym razem.

– Dlaczego prokurator generalny miałby przesyłać ci ten list?

– To mój chrzestny – wyjaśnił, włączając się do porannego ruchu.

– Faktycznie nie otrzymałeś przesyłki, inaczej Miles by ją znalazł.

– Ano nie.

– To dziwne, że wysłał list do biura, pisząc, że paczkę wysłał do domu – powiedziała zamyślona.

Wzruszył ramionami, ale jego też to martwiło.

– Może chciał się upewnić, że będę szukał paczki – rzekł, chociaż sam nie był co do tego przekonany.

– Kiedy ostatni raz widziałeś chrzestnego?

– Chyba na rozprawie Williama.

– William Priest to twój brat. Ten seryjny morderca.

– Tak.

– To musi być trudne.

Spojrzał na nią kątem oka.

– Cóż za spostrzegawczość.

– Jakie miał... motywy?

Westchnął. W przeciwieństwie do Sarah on zasadniczo nie miał oporów, żeby wyjaśniać postępowanie brata. Jednak teraz nie wiedział, czy Jessica traktuje go protekcjonalnie. Faktycznie, nie potrafił jej rozgryźć.

– Myślał, że... – Potarł brodę, starając się dobrać właściwe słowa. – Myślał, że stracił duszę i odbierając ludziom życie...

– Weźmie część ich duszy i zastąpi swoją?

Skinął głową zaskoczony.

– Tak. Chwytasz... całkiem szybko.

Wzruszyła ramionami.

– To nie było trudne.

– Rozumiem. A ty? Jacyś mordercy w rodzinie?

Kierowali się na południowy wschód przez miasto, aż dotarli do boiska pokrytego szronem. Spacerowały pary z psami i biegali zapaleńcy, których oddechy skraplały się na zimnie. Po drugiej stronie ulicy majaczyły rzędy willi z początku dwudziestego wieku. Szeregi białych okien obserwowały ich drogę

niczym prostokątne oczy zapadnięte w ścianach z czerwonych cegieł.

– Masz jeszcze inną rodzinę? – zapytała po chwili Jessica.

– Siostrę. Rodzice zmarli w dwa tysiące drugim.

– Przykro mi. W jakich okolicznościach?

Przez chwilę zastanawiał się, czy powinien jej o tym opowiadać, ale nie znalazł powodu, żeby tego nie zrobić.

– To była katastrofa samolotu. Ojciec zajmował w policji wysokie stanowisko, ale to mama zarabiała pieniądze. Byli w interesach w Niemczech i lecieli do domu prywatnym odrzutowcem. Z partnerem biznesowym. Natrafili na burzę i nie pokonali kanału La Manche. William obwiniał pilota... ja – los.

Jessica poważnie pokiwała głową. Nie rozmawiali przez kilka minut.

– Jesteśmy – odezwał się w końcu Charlie. – À propos, nie pytałaś, dokąd jedziemy.

– Do domu prokuratora generalnego. To oczywiste.

W Eden Park wysokie ceglane mury graniczyły z działkami o idealnie przystrzyżonych trawnikach wokół olbrzymich domów z kolumnami ze sztucznego marmuru przy wejściu. Był to sztuczny raj, gdzie nikt z nikim nie rozmawiał, ale wszyscy wiedzieli, co inni robią. Takich miejsc Charlie nienawidził. Stare volvo nigdy nie wyglądało tak niestosownie jak teraz, obok maserati i range roverów zaparkowanych przy ulicy.

Volvo jechało między rzędami pozbawionych liści drzew, chrzęszcząc na zwirowym podjeździe. Dom Wrena był jak cała reszta – nazbyt duży i pozbawiony charakteru – chociaż odróżniało go kilka istotnych rzeczy: biało-niebieska policyjna taśma oznaczająca granice wewnętrznego ogrodu, cztery wozy patrolowe stojące na dziedzińcu, nadal z błyskającymi kogutami, oraz furgonetka kryminalistów w pobliżu stajni.

Przepuścił ich mundurowy kurczowo trzymający czapkę. Na oko nie skończył jeszcze osiemnastu lat. Priest zaklął pod nosem i zaparkował między drzewami w miejscu, gdzie podjazd przechodził w szeroki dziedziniec. Wymienił spojrzenia z Jessicą, zanim otworzył okno.

– Przepraszam – powiedział mundurowy. – Nie może pan dalej wjechać. Jeśli wolno zapytać: co pan tu robi?

– Miałem nadzieję porozmawiać z sir Philipem Wrenem – wyjaśnił.

Policjant zlustrował wnętrze samochodu. Tylne kanapa zarzucona była skoroszytami i papierami. Na moment zawiesił wzrok na Jessice.

– To niemożliwe – rzekł w końcu. – Powinni państwo odjechać.

– Co się stało?

– Przepraszam, ale to sprawa policji. Powinien pan odjechać.

Charlie otworzył usta, ale się powstrzymał. Jessica nagle przechyliła się, podpierając dłonią o jego kolano.

– Nazywam się Jessica Ellinder. Kto tu dowodzi?

Chłopak już zamierzał coś powiedzieć, ale w tym momencie jego wątłą postać zastąpił ktoś znacznie większy.

– Starczy, chłopcze! – Twarz McEwena wypełniła okno; zmierzył wzrokiem Priestę. Wysypka nie zniknęła. Ani smród. – No, no. Czyżby znowu Scarlet Pimpernel? Jakże fascynujące. Czy wszędzie musisz się pojawiać?

– Ta Scarlet Pimpernel słynęła nie z pojawiania się wszędzie, tylko z ratowania francuskiej arystokracji przed gilotyną, durniu – obojętnie wyjaśnił mu Charlie.

– Co tu robisz, Priest?

– Przyjechałem przystrzyc cyprysy.

– Może wysiądziesz z tego rzęcha i porozmawiamy oficjalnie, pieprzona cioto?

– To nie będzie konieczne – odparła Jessica. Wysiadła z samochodu i stanęła kilka kroków od McEwena.

Charlie uniósł brew.

– Panna Ellinder? – McEwen był zaskoczony.

– Tak. Co tu się dzieje, inspektorze?

Charlie był pod wrażeniem. McEwen został zmuszony nie tylko do eskortowania ich do domu, ale też do wyjaśnienia, co się stało, chociaż każde słowo, które wypowiadał, sprawiało mu niesamowity ból.

– Sir Philip jest chrzestnym pana Priesta – wyjaśniła Jessica. – Może zadzwonię do ojca i jemu pan wytłumaczy, dlaczego nas nie wpuszczono?

Najwyraźniej Kenneth Ellinder miał wysoko postawionych przyjaciół.

Zaprowadzono ich przez kuchnię o kamiennej posadzce do luksusowego gabinetu z pięknie rzeźbionym biurkiem pośrodku. Okazałe okrągłe okno wychodziło na sad schodzący do potoku, strużki wody ledwo widocznej w posępnej mgle.

Wren wisiał na jednej z dębowych belek podtrzymujących sufit.

– Jego żona wyszła wczoraj wieczorem – wyjaśnił McEwen. – Wróciła późno, ale nie zastanowił jej fakt, że łóżko jest puste. To najwyraźniej nie było nic nadzwyczajnego. Znalazła go tu dzisiaj rano. Nie zgłosiła tego od razu. Wyobrażam sobie, że widok męża wiszącego w gabinecie był dla niej sporym szokiem.

– Lady Wren jest tutaj? – zapytał Charlie, ignorując sarkazm McEwena.

– Tak. Jest z nią psycholog policyjny, robi herbatę i podaje chusteczki, więc to nie twój problem, Priest.

Charlie zerknął na Jessicę. Spoglądała na zwiotczone ciało. Skinęła powoli głową. Dotknął jej ramienia.

– Chodźmy. Nie musimy tu dłużej przebywać.

– Nie – odpowiedziała. Odwróciła się do McEwena. – Co to jest?

– Samobójstwo. Najwyraźniej – odparł McEwen.

– Gdzie list? – zapytał Charlie. – Zawsze zostaje list.

McEwen wzruszył ramionami.

List Wrena wypalał dziurę w kieszeni jego chrześniaka. *Czy to był list pożegnalny, Philipie? Chyba nie. Myliłem się co do tego. Sprawy nie mają się tak,*

jak się wydaje.

„Dla mnie już wszystko stracone” – tak napisano w liście. *Jednak w tym miejscu zdarzenia coś nie pasowało.*

– Samobójstwo. Kropka – powtórzył McEwen. Coś przeżuwał. To zaczynało Charliego denerwować.

Zaraz, to jest to.

– Jak on tam wszedł? – zapytał McEwena.

McEwen znowu wzruszył ramionami.

– Wszedł na biurko i zarzucił linę na wentylator.

– Wpierw dostał się tutaj z zewnątrz – powiedział Priest, spoglądając na okna balkonowe.

– Skąd wiesz? – podejrzliwie spytał McEwen.

– Na butach ma błoto. – Wskazał McEwenowi podeszwy. Były brudne. – W drzwiach prowadzących na zewnątrz jest klucz. Człowiek taki jak Philip Wren nie trzymałby klucza w drzwiach, kiedy są zamknięte, ponieważ tak jest łatwiej się włamać. Włamywacz musiałby jedynie rozbić szkło, aby sięgnąć do klucza. Logiczne więc jest, że drzwi są otwarte.

– O właśnie...

– Spróbuj.

McEwen zawahał się, zanim nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się bez oporu.

– I co, gdybyśmy przyszli z zewnątrz? – burknął McEwen.

– Biurko. Gdzie są odciski stóp? Ani jednego pyłku, nigdzie. Nie wszedł na biurko.

McEwen milczał.

– Priest, może zostawisz dochodzenie śledczym? – Jego twarz pociemniała.

– Chcesz powiedzieć, że to nie było samobójstwo? – zapytała Jessica.

– Ponad połowa samobójstw w Wielkiej Brytanii odbywa się przez powieszenie lub uduszenie – odparł Charlie. – I powszechniejsze są wśród mężczyzn niż kobiet. Chociaż powieszenie wymaga sporo zachodu, jest popularne, bo to najczystsza i najmniej bolesna śmierć, większość ludzi nie ma dostępu do broni. Jednak to dziwny wybór, kiedy stojak na broń w narożniku jest dobrze wyposażony.

Wskazał na oszkloną szafkę za huśtającym się ciałem Wrena. Kiedy McEwen podszedł tam, aby przyjrzeć się strzelbom, Charlie zrobił kilka zdjęć miejsca zbrodni.

– Gdzie jest lady Wren? – zapytał, chowając telefon, gdy McEwen się odwrócił. – Chcę zobaczyć się z Terri.

W bibliotece wyłożonej dębową boazerią Charlie odnalazł Terri Wren. Siedziała w wielkim skórzanym fotelu owinięta szalem. Ukląkł i ich twarze znalazły się na tym samym poziomie. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz ją widział, ale jej włosy, niegdyś w kolorze piasku, teraz były poprzetykane siwizną.

– Terri – wyszeptał.

Oczy miała wilgotne, a wzrok posepny. Ledwo spojrzała na niego, ale najwyraźniej wiedziała, kim jest.

– Charlie. Co tu...?

– Jestem z policją. To skomplikowane... ale pomagam.

– To dobrze. Pomoc im potrzebna.

– Tak mi przykro...

Terri uniosła rękę i odwróciła się. Natychmiast zamilkł.

– Nie trzeba, Charlie. Lituję się nad Hayley. Nie nad sobą.

Skinął głową.

– Wiem.

Popatrzyła na niego. Nie uciekł wzrokiem w bok. Wiedział, że już zawsze tak ludzie będą postępować względem niej... uciekać wzrokiem. Dlatego zrobił jej tę grzeczność i wytrzymał spojrzenie.

– Charlie, nie wiem, w co wplątał się Philip. Może gdyby twój ojciec żył, udałoby mu się go uratować. Był cudownym człowiekiem. Nawet uparty Philip to widział.

Delikatnie dotknął jej ręki.

– Co tu się stało, Terri? – zapytał cicho.

– Nie wiem – odparła, otulając się ciasniej szalem; głos jej drżał. Wydawała się tak krucha, jakby w każdej chwili mogła rozpaść się na kawałki.

Wstrzymywał oddech, gdy mówiła Terri.

– Znasz Philipa. Miał swoją pracę, swoją cenną pracę. Zabierała go stąd... zabierała ode mnie... ledwo go znałam. Ale żeby on... zrobił coś takiego? Nie mogę uwierzyć.

– Mój ojciec raz wspomniał stare japońskie porzekadło, które przekazał mu

Philip.

– Tak! Znam je dobrze. „Upadnij siedem razy, wstań osiem”. – Terri przerwała. – Widzisz. Philip nie należał do tych... no, wiesz.

Charlie pochylił głowę.

– Gdzie jest Hayley?

– Nie wiem – wyszeptała. – Nie kontaktowała się od jakiegoś tygodnia, ale nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Próbowałam dzwonić wcześniej, ale nie odbierała. Na pewno gdzieś wyszła. Albo poszła do tego swojego kościoła. A może ma mężczyznę i nie chce, abym o nim wiedziała.

Skinął głową. Coś go niepokoiło... coś więcej niż ciało w gabinecie.

– Ktoś przyjedzie do ciebie, Terri?

– Moja siostra. Mieszka w Wiltshire. Na wsi.

– A Hayley?

– Przyjedzie. Zawsze przyjeżdża.

– Terri, czy Philip... – Priest się zawahał. *Czy Philip* co? To nie byłoby w porządku powiedzieć Terri coś, co sugerowałoby, że ma martwić się czymś jeszcze poza śmiercią męża.

– Charlie? Czy Philip coś...? – Spojrzała na niego, w jej oczach widać było wyraźny niepokój.

– Przepraszam – odpowiedział, ściskając jej dłoń. – Nic takiego.

Usłyszał skrzypienie podłogi w sąsiednim pokoju. McEwen krążył po holu. Odliczał pięć minut, na jakie zezwolił Charliemu.

– Priest, jeszcze minuta! – zawołał.

– Terri, jeżeli mogę coś zrobić...

Uśmiechnęła się, patrząc na niego szklistym wzrokiem.

– Zawsze byłeś dobrym dzieckiem, Charlie. Philip miał o tobie dobre zdanie. Hołubił ten szalony pomysł, wiesz. O tobie i Hayley...

– Terri...

– Przepraszam. Nie powinnam tego mówić. Nic mi nie będzie. Musisz iść.

– Może poprosisz swoją siostrę, aby skontaktowała się ze mną, kiedy zjawi się Hayley?

– Oczywiście.

Wstał powoli. Kiedy doszedł do drzwi, Terri zawołała za nim.

– Charlie?!

Odwrócił się.

– Dziękuję, że przyszedłeś.

Skinął głową, w której mu dudniło.

Zamknął drzwi, za którymi została Terri Wren.

– Czy ona... – Jessica czekała na zewnątrz, gdzie nie mógł ich podsłuchać McEwen.

– Nie. Ona niczego nie wie.

Skinęła głową rozczarowana.

– Powinniśmy iść. Chyba nadużyliśmy gościnności.

Miała rację. McEwen zauważył wyjście Charliego z biblioteki i ruszył korytarzem ze złowrogą miną. Dwóch mężczyzn czaiło się w tle – wyglądali na zagubionych, błakali się po korytarzu bez celu i bez sensu. Charlie opanował chęć krzyknienia na nich.

– Okej, starczy, Priest. Mam dość twoich gier. Najwyraźniej wiesz więcej, niż mówisz – zacharczał McEwen.

– Czy ktoś kontaktował się z córką Wrena, Hayley?

– A jaki to ma związek z tobą? – zdziwił się McEwen.

– Kontaktowaliście się z nią? Terri mówiła, że od tygodnia nie miała od niej wiadomości, a teraz nie może jej złapać.

– Priest, jeżeli nie zwróciłeś uwagi, nie jesteś już policjantem. Co najwyżej łowcą odszkodowań.

– McEwen, słuchaj, Philip Wren się nie zabił. Musisz to potraktować poważnie...

– Musisz się nauczyć nie wtykać pierdolonego nosa w moje sprawy, Priest – warknął Szkot.

Charlie zacisnął pięści. Był wyższy od McEwena o dobre trzydzieści centymetrów i kusila go myśl, aby mu przywalić. Szybko się opanował. Granica między rzeczywistością a nierealną otchłanią, którą zamieszkuje chorzy na rozszczepienie osobowości, jest cienka i czasami nie był do końca pewien, po której stronie się znajduje. Zastanawiał się, czy Williama kiedykolwiek nawiedzała taka sama myśl. Przerażała go. *Czy tyle tylko nas dzieli? Cienka linia?*

– Priest? – odezwała się Jessica.

Otrząsnął się z otaczającej go mgły. Jessica patrzyła na niego, jej ciemne i czujne oczy nie kryły ciekawości.

Odwrócił się z powrotem do McEwena.

– Tu nie chodzi o to, czyje to sprawy – powiedział spokojnie. – Odnalezienie Hayley Wren powinno być twoim priorytetem.

McEwen machnął ręką.

– Spierdalaj, Priest. Wykonamy naszą pracę. A to może oznaczać aresztowanie ciebie za utrudnianie śledztwa.

– Powinieneś kierować się faktami, nie przypuszczeniami, McEwen. Hayley Wren...

– Mówisz mi, jak mam pracować?

– Tak – odparł Charlie, czując, jak znowu zalewa go fala złości.

Na szyi McEwena wystąpiły żyły. Zdjął marynarkę. Choć było zimno, pod pachami miał wielkie plamy wilgoci. Chciał coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle. Charlie poczuł dłoń na ramieniu, gdy Jessica poprowadziła go od drzwi.

– Jak powiedziałam, nadużyliśmy gościnności – szepnęła mu do ucha.

Zawiózł Jessicę do jej range rovera. Unikała jego spojrzenia. Przez drogę co jakiś czas odwracał się do niej, żeby zapamiętać tę twarz, kiedy nie zasłaniały jej włosy.

Wymieniali jedynie zdawkowe uwagi.

– Dobrze znasz Hayley? – zapytała Jessica.

– Niezupełnie. Głównie z dzieciństwa i kilku spotkań, kiedy byłem nastolatkiem. Wydawała się dość miła – odpowiedział.

– Nie w twoim typie?

– Mój kolega, Okoro, mówi, że nie mam typu.

Zanim wrócili na podziemny parking, temperatura spadła w okolice zera. Charlie spodziewał się, że Jessica przesiądzie się do swojego samochodu, gdy tylko się zatrzymają, ale ona została na miejscu, ciasno otulając się płaszczem, kiedy on wyłączył silnik.

– Czy to coś zmienia? – zapytała.

Zastanawiał się przez chwilę.

– Philip Wren przysłał mi list do biura z wiadomością, że do domu wysłał mi paczkę z pendrive'em, którego szukał twój brat, później zamordowany. Nasze szanse na odkrycie udziału Wrena w tym wszystkim znacznie zmalowały.

– Chodziło mi o zlecenie mojego ojca dla ciebie i twojej firmy.

– Ach, rozumiem. – Podrapał się w głowę.

Jessica poprawiła się w fotelu. Ręce miała splecione na kolanach, wzrok

wbity w deskę rozdzielczą.

– Nie. To niczego nie zmienia – odezwał się po chwili.

Pokiwała głową i wysiadła, a on patrzył, jak idzie przez parking. Nie miał pojęcia, czy była rozczarowana, czy nie.

Takich barów jak ten Priest na ogół nie odwiedzał. Przede wszystkim było w nim za głośno. Grali *Sabotage* Beastie Boys. Na dodatek muzykę lecącą w tle ktoś arbitralnie i niespodziewanie przełączał z Shanii Twain na Placebo. Przymus słuchania tego przy natężeniu stu decybeli był nie do wybaczenia.

Było to ich comiesięczne spotkanie na nadrobienie zaległości i kolej Sarah, aby wybrała miejsce. Aby wzbudzić w nim entuzjazm, określiła je mianem „modnej winiarni”, ale okazało się to rozczarowującym wypaczeniem.

- To studencka spelunka – poskarżył się.
- Dają dwie pięćdziesiątki w cenie jednej.
- Sarah, na pięćdziesiątkę biegałem ostatnio w szkole średniej.

Zaśmiała się i usadowiła go w boksie, gdzie na stole stały już dwie butelki piwa. Jak zwykle ona mówiła, on słuchał. To mu się podobało – nie musiał zbytnio się wysilać, a poza tym lubił, gdy opowiadała o swoim życiu. Przypominało mu to, jak bardzo jest dysfunkcyjny, ale to dobrze... czasami musiał to usłyszeć. Jej monolog, a przynajmniej tyle, ile z niego słyszał, płynął w miły sposób: Tilly dobrze szło w szkole, firma Sarah miała przyzwoitą pozycję, ale może będą musieli zrezygnować z jednego z agentów w ramach cięć. Ryan nadal próżnował.

- Charlie, widziałeś ostatnio Williama?
- Trochę. Pyta o ciebie.
- Jak on się ma?
- No wiesz, psychiczny.

Tak przebiegały rozmowy dotyczące Williama i chociaż Charlie nie miał nic przeciwko rozmowie na ten temat, wiedział, że Sarah pyta przez grzeczność, nie żeby była tym szczególnie zainteresowana. Tym rytuałem okazywała mu uprzejmość, odnotowując istnienie Williama, a on odwzajemniał się krótką odpowiedzią.

Sarah kupiła następną kolejkę i przesunęła butelkę san miguela w kierunku

brata. Sama wybrała jakiegoś zielonego drinka w wysokiej szklance. Wyjęła z niego koktajlową parasolkę i włożyła w szyjkę butelki piwa.

– Pamiętasz tę dziewczynę, o której ci niedawno mówiłam?

– Nie, Sarah. Nie pamiętam – odparł.

– Bądź poważny. Strasznie nudzisz, jak jesteś taki jak teraz.

Zaśmiała się i upił łyk piwa, dźgając się w czoło koktajlową parasolką.

– Nie jestem zainteresowany.

– Zapomniałam już, kiedy się rozwiodłeś, ale wydaje się, że dziesiątki lat temu. Umawiałeś się z dziewczynami od tamtej pory?

Wzruszył ramionami.

– Z paroma. – Oczywiście kolejne kłamstwo, ale siostra go nie podważała.

– Nie rozumiem cię. – Westchnęła.

– To znaczy?

– Hm, jesteś zamożny, czarujący, odnosisz sukcesy zawodowe. Nie tak ładny jak ja, ale też nie taki znowu brzydki. – Uśmiechnęła się psotnie, popijając zielony płyn przez słomkę.

– Jestem społecznie upośledzony. „Czarujący” to przesada.

Zastanowiła się przez chwilę nad jego słowami.

– To prawda. I masz to coś, co sprawia, że czasami widzisz ludzi o rybich głowach i te wszystkie bzdury.

– Hm. Zgadza się. Mój status kawalera to najbardziej frapujące zagadnienie od odkrycia ciemnej materii. Z moim bolesnym antyspołecznym nastawieniem, brakiem kulturowej świadomości, chorobą psychiczną i obsesją na punkcie filmów o zombie jest ze mnie niezła partia.

Zaśmiała się, ciepło i cudownie, zupełnie jak ich matka.

– Dobra. Nikt nie jest idealny, ale dla jasności, możesz mi zdradzić, na czym polega bieżący problem.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

Pochyliła się przez stół, opierając podbródek na dłoniach.

– Proszę.

– Hm, chodzi o to... że większość twoich koleżanek jest nudna.

Kopnęła go pod stołem i oboje zanieśli się śmiechem. Przez moment znowu byli dziećmi i wszystkie problemy świata nagle znikły. Mogło tak trwać dalej, gdyby Charliego nie nękało tak wiele rzeczy.

– Pamiętasz Philipa Wrena? – zapytał nagle.

Skrzywiła się, jakby zjadła cytrynę.

– Tak, pamiętam, że to świnia. Dlaczego zmieniasz temat?

– Nie żyje.

Wzięła potężny łyk zielonego drinka.

– Och, przykro mi. Jak?

Mlasnął językiem.

– Powiesił się.

Charlie spodziewał się, że siostra będzie w szoku, ale ona tylko odwróciła wzrok, pocierając dłonią brodę.

– To straszne – powiedziała bardziej do siebie niż do niego.

– Nie jesteś w kontakcie z Hayley, co?

– Utrzymujemy kontakt przez Facebooka. Nie spotykam się z nią.

To niewiele znaczyło. Sarah знаła prawie wszystkich przez Facebooka. Kolejna rzecz, która ich różniła.

– Kontaktowałeś się z nią ostatnio?

– Nie. Jej strona jest dziwna. Wiele odnośników do Biblii. Zdaje się, że w jakimś momencie odnalazła Jezusa. Wiesz, o co mi chodzi? Snujesz się. Nienawidzisz rodziców. Nie możesz znaleźć sobie miejsca. Nie masz szczęścia do chłopaków. Wtedy wciąga cię dogmat, o którym wiesz, że nie jest jak kryształ, ale który daje ci trochę pocieszenia i zanim się zorientujesz, śpiewasz alleluja z grupą podobnie nawiedzonych.

– Jejku, co się stało z moją siostrą? Tą, która nie osądza?

– Hm. Wierzysz w Boga?

– Zawsze był mi raczej obojętny. Jeżeli istnieje, to równie dobrze może być bardzo utalentowanym programistą, jak wszechobecną istotą nadprzyrodzoną. Ale kiedy pomyślę o ofiarach, jakoś niestosowna wydaje mi się wiara w Boga.

Ofiary. Priestowi chodziło o ludzi, których zabił William. Znał je, znał ich twarze, wiedział o nich wszystko. Studiował je miesiącami, starając się znaleźć w tym wszystkim sens. Jednak ani razu nie potrafił wypowiedzieć głośno ich nazwisk. Były po prostu... ofiarami.

– Dlaczego nie chcesz uwierzyć w Boga? – zapytała zaintrygowana Sarah.

– Bo jeżeli istnieje jakiś Bóg, i On lub Ona nic nie zrobili, kiedy William robił to, co robił, jest to kurewsko przerażające. Więc pewnie lepiej jest po prostu nie wierzyć.

Skinęła głową, wyciągnęła rękę i ścisnęła jego dłoń.

– Amen, wielebny.

Muzyka znowu się zmieniła. Feeder, *Feeling a Moment*. Rękę miał zimną od kurczowego trzymania butelki piwa.

– Jak myślisz, dlaczego Philip się powiesił?

– Nie wiem. Może przez stres w pracy.

– Takie smutne.

– Jeżeli istnieje Bóg, to wątpię, aby miał miejsce w raju dla kolejnego prawnika.

– Jak to dla kolejnego prawnika? – Sarah się uśmiechnęła.

26 marca 1946

Odosobnione gospodarstwo w środkowej Anglii

Ciężkie krople deszczu uderzały o szybę austina. Cienkie wycieraczki nie radziły sobie z nimi i Ruck musiał niemal nosem dotykać szyby, żeby widzieć choćby na kilka metrów przed sobą. Opony chrzęściły na żwirze podwórka. Tego wieczoru chciał zapomnieć o farmie. Schneider może i był tu więźniem, ale on nie. Kilka kilometrów na południe było miasteczko. Może znajdzie tam smażalnię frytek albo pub.

Postać zjawiła się znikąd. Czerwony błysk. Wcisnął hamulec. Koła na chwilę straciły przyczepność, zanim się zatrzymały. Ruck chwycił czapkę i wysiadł. Wiatr smagnął go po twarzy. Zaklął pod nosem, gdy lunął na niego lodowaty deszcz. Musiał krzyczeć, aby go usłyszano.

– Hej, co jest?!

– Przepraszam, pułkowniku! – odkrzyknęła Eva Miller. Była przemoczona do nitki. Włosy, które wcześniej miała starannie ułożone, teraz opadały na ramiona. Jej czerwony płaszcz – który nie wyglądał na tani – był pognieciony.

– Co, do diaska, robi tu pani w taką pogodę?

Może dżentelmen podbiegłby, zdjął własny płaszcz i zarzucił na nią. Wprowadził kobietę do środka. Ta myśl przyszła Ruckowi do głowy, ale tylko stał i mókł tak samo jak ona.

– Szukałam kuchni – wyjaśniła. – Teraz boję się, że nie mogę znaleźć własnego pokoju. Wszystko pozamykane.

Ruck zawahał się: mało prawdopodobne, żeby tak szybko straciła orientację, ale deszcz był nieubłagany, a ona przemoknięta.

– Proszę wsiadać – polecił.

Oboje zajęli miejsca w austinie. Eva zamknęła drzwi i z ulgą oparła głowę o fotel. Ruck rzucił czapkę na tylne siedzenie. Otrzeptyjąc przesiąknięty

płaszcz, wyciągnął papier schowany w wewnętrznej kieszeni, aby sprawdzić, czy się nie zniszczył. Na szczęście wzór Schneidera pozostał czytelny. Zastanawiał się, gdzie schować papier, ale nie ufał strażnikom, a u siebie w pokoju nie miał sejfu. Wzór był najbezpieczniejszy przy nim.

Widząc, że Eva go obserwuje, pospiesznie wepchnął kartkę z powrotem do kieszeni.

Kiedy zajechał na zaplecze farmy, przyszło mu do głowy, że Eva musiała znać drogę do swojego pokoju. Byli tu już od trzech dni. Może burza i ciemności ją zdezorientowały.

– Proszę. – Zatrzymał samochód. – Drzwi będą zamknięte na klucz. Fitzgerald panią wpuści. Wystarczy zastukać i go zawołać.

Eva wydała dźwięk, jakby go zrozumiała, ale się nie ruszyła. Spojrzał na nią. Przyglądała się mu.

– Dokąd pan jechał, pułkowniku?

Nawet przemoknięta i w nieładzie wyglądała pięknie. Starał się odpędzić tę myśl.

– Do najbliższego miasta. Do ciepłego pubu, jeśli taki znajdę. Dokądkolwiek, aby tylko uciec z tego nieznośnego miejsca.

– Cudownie. Wyobrażam sobie, że wszędzie jest piękniej niż tutaj.

– Są gorsze miejsca.

– Pewnie niepokoi mnie bliskość Schneidera. – Uśmiechnęła się – cudownie, promiennie. I jej oczy też.

Ruck z doświadczenia wiedział, że ludzie nigdy nie robią czegokolwiek bez powodu. Szczególnie się nie uśmiechają. Znowu odwrócił się do niej i zamarł. Nadal wpatrywała się w niego tymi wielkimi zielonymi oczami.

– Zgadza się, że nie jest to najmilsze z zadań. Jednak jest ważne.

– Ma pan czarujący sposób bagatelizowania rzeczy, pułkowniku. A teraz jedźmy do tego pańskiego pubu, dobrze?

Jechali w milczeniu rozmokłymi drogami, które wily się przez dolinę. Austin podskakiwał. Zawieszenie drżało, a rama grzechotała przy każdej dziurze. Po jakimś czasie zobaczyli domy. Małe, ceglane, stojące daleko od ulicy, otoczone niskimi murkami wykonanymi z kamienia porośłego mchem i wysokimi drzewami tańczącymi na wietrze. Wjazd do miasteczka oznaczał drogowskaz.

Ruck nie zauważył nazwy. Nie tego się spodziewał, ale musiało wystarczyć.

Powinien był ją wysadzić z samochodu na farmie. Wyciągnąć ją na deszcz, gdyby było trzeba. Nie miała prawa żądać, aby ją zabrał do cholernego pubu. Jednak tego nie zrobił. Te zielone oczy. Błysk inteligencji. Przemoczona bluzka przylegająca do jej piersi, kiedy zdjęła płaszcz.

Mocniej ścisnął kierownicę.

Jeszcze kilka zakrętów i zobaczyli większy budynek – stary wiatrak zamieniony na pub, zdjęto mu skrzydła, ale zostawiono przybudówkę.

Deszcz uspokoił się i bębnił delikatnie, chociaż kiedy wysiedli z samochodu, z oddali dobiegł lekki pomruk grzmotu. W pubie było dość przyjemnie. W kącie płonął ogień, a czarny labrador drzemał przed kominkiem. Nad drewnianymi belkami i wysłużonymi krzesłami zwieszał się z niskiego sufitu chmiel. Oprócz nich w pubie był jeszcze starzec śpiący przy barze i mężczyzna pochłonięty w kącie lekturą „Timesa”.

– Nie widziałem was wcześniej – powiedział barman, mężczyzna tak szeroki, że zajmował sporą część baru. Łypnął na nich podejrzliwie, a wzrok zatrzymał na Evie dłużej, niż Ruck uznał za stosowne.

– Whisky – zamówił Ruck. – Panno Miller?

– Obawiam się, że paniom nie wolno przebywać w publicznym barze, a salonu nie mamy.

Ruck poczuł falę rozdrażnienia. Spokojnego wieczoru z dala od farmy, tyle tylko pragnął.

– Jestem przekonany, że jak zrobi pan wyjątek, mury się nie zawalą – odparł groźnie.

– Gin, poproszę – powiedziała Eva.

– Do tego tonik? – spytał Ruck, ignorując naganne spojrzenie barmana

– Nie. Sam gin. Z lodem.

– Przepraszam pana – warknął barman. – Nie mogę tej pani obsłużyć. – Stał, przecierając ścierką szklankę.

Ruck się rozejrzał. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Pochylił się nad barem, schwycił barmana za kołnierz i przyciągnął głowę mężczyzny nisko, tak że była na równi z jego. Barman wydał zdławiony odgłos protestu, ale chwyt pułkownika był pewny.

– Nalejesz pani drinka czy mam zrobić to za ciebie? – syknął.

Kilka minut później Ruck postawił gin na stoliku przed Evą. Wzięła go i upiła zaskakująco duży łyk. Zdjąwszy mokry płaszcz, zajął miejsce obok niej

i zamoczył usta w whisky. Była tania i w smaku nieco stęchła, ale nie miał co wybrzydzać.

– Jak dostała pani to zlecenie? – zapytał, przyglądając się jej. Każdy ruch Evy Miller obliczony był na efekt. To, jak dotykała policzków, kiedy jego wzrok spoczywał na niej, sugerowało zrozumienie świata o wiele lepsze, niż wskazywałby jej wiek.

– Byłam sekretarką generała Warringtona. Kiedy wojna się skończyła, pomyślałam, jak wielu innych, że będę musiała odejść. Lecz wtedy pojawił się człowiek, taki jak pan. Było nas dziesięć dziewcząt. Powiedział, że jedna z nas zostanie wybrana do bardzo ważnego zlecenia. Płaca była dobra, ale zadanie ściśle tajne.

– Ten człowiek panią wybrał.

– Wybrał Rose. Nie mnie.

– A pani tu się znalazła, bo...?

– Bo Rose nie żyje.

Upił kolejny łyk whisky. Kątem oka widział, jak barman opiera się o róg lady i próbuje podsłuchiwać. Ruck chciał zapytać, jak Rose umarła, ale Eva podniosła rękę.

– Pułkownik – powiedziała. – Ten doktor, którego pan przesłuchuje...

– Ciszej, dziewczyno.

– Oczywiście, przepraszam.

Przesunęła się na ławce, żeby mówić szeptem. Otarła się o niego ramieniem, a on poczuł perfumy, na które wcześniej zwrócił uwagę Schneider. Zesztywniał, niepewny. Czuł, że powinien się odsunąć, aby zapewnić stosowny dystans między nimi, ale pozwolił jej na kontakt.

Eva kontynuowała:

– Schneider powiedział, że widział Boga.

– Tak.

– Myśli pan, że to prawda?

Przez chwilę zastanawiał się nad tym.

– Nie.

– A jeżeli pan się myli? To znaczy... musi istnieć powód tego wszystkiego, prawda? Chodzi o to, co stało się w Europie.

Odstawił whisky, nie odrywając wzroku od Evy.

– Powodem nie był Bóg. – Te słowa z trudem przeszły pułkownikowi przez gardło. Włosy na karku stanęły mu dęba, ale nie wiedział dlaczego, pomijając

jej obecność. W jakiś sposób na niego oddziaływała.

– Nie – wyszeptała Eva. – Ma pan rację. Ale jestem głupia.

Ruck przełknął resztkę whisky.

– Powinniśmy wracać – oświadczył, wstając.

– Tak. – Wypiła resztę ginu i wstała.

Kiedy otworzył drzwi, przywitał go lodowaty wiatr.

– Pański płaszcz! – zawołała Eva. Podniosła go z ławy i podeszła do Rucka, trzymając płaszcz przed sobą. Zdziwiająco łatwo było wyjąć kartkę z wewnętrznej kieszeni. Tak samo łatwo jak wrzucić kapsułkę cyjanku do herbaty Rose.

Wypadały urodziny współlokatorki, ale Georgie Someday nie miała ochoty nigdzie wychodzić. W sumie nic dziwnego – rzadko miała ochotę dokądkolwiek iść. W zasadzie nigdy nie miała ochoty wychodzić, a co dopiero ze współlokatorami, których było czworo – jubilatka Mira, Li, Fergus i Martin. Jednak w chwili słabości zgodziła się pójść, pomyliwszy zaproszenie Miry do „teatru”, co zapowiadało kulturalnie spędzony wieczór, z The Theatre – barem o lepszemu podłodze w centrum, który Mira miała na myśli.

Georgie rozejrzała się dookoła. Na dworze panowało przejmujące zimno i za każdym razem gdy drzwi się otwierały i wpadała do środka kolejna skąpo odziana bywalczyni, owiewało ją zimne powietrze, od którego nawet kapitan Scott – badacz Antarktydy – by się wzdrygnął. Dlaczego więc tylko ona miała płaszcz, rękawiczki, szal i czapkę? Czy cała reszta oszalała?

Wcześniej tego wieczoru patrzyła, jak Mira wychyla kolejny kieliszek czegoś, co przypominało płyn do mycia naczyń, więc może powinna się domyślić, że urodzin nie spędzi na interpretacji *Don Kichota* przez Royal Shakespeare Company. Z drugiej strony Mira mogła się domyślić, że Georgie, która uwielbiała Wagnera, może się nie spodobać Pearl Jam, ale chociaż razem studiowały na Oksfordzie, poza Li, którą Georgie tolerowała, tak naprawdę nie znała za dobrze swoich współlokatorów.

Martin podszedł do Miry, szepnął jej coś do ucha, a ona wybuchła kokieterijnym śmiechem. Georgie odnotowała spojrzenie, jakie jej rzucił, oraz uśmiezek pojawiający się w kącikach ust. Zauważyła, że lubi, kiedy go obserwuje. Lubił rezerwę, z jaką się do niego odnosiła, skrępowanie tym, co się działo. Swój wstyd nosiła niczym płaszcz, który tylko on widział.

Georgie otuliła się ciasniej płaszczem i odwróciła wzrok. Ścisnęła ją w żołądku.

Stali gromadką przy barze. Fergus zamawiał kolejną drinków. Wezmą jeszcze jedną, powiedział, a potem pójdą do Dojos, ciemnego, zadymionego

i obskurnego lokalnego pubu. Planowała wymknąć się do domu, zanim staną w kolejce. Pokazała się. To wystarczy.

Fergus wrócił z tacą szklanek. Ustawił ją na stole i usiadł obok Georgie, wyciągnął w jej stronę jaskrawoniebieskiego drinka, który nie sprawiał wrażenia apetycznego.

– Jak praca? – zapytał z mocnym irlandzkim akcentem.

– Dobrze – odpowiedziała Georgie, przyglądając się drinkowi. Jej odpowiedź miała zniechęcić go do rozmowy.

Tak się złożyło, że ostatnie pół roku przepracowane w Priest i S-ka było najlepsze w jej życiu. W końcu znalazła miejsce, gdzie czuła się doceniona, i drogę ucieczki od ludzi, obok których siedziała na wykładach z prawa. Mira była na praktyce w renomowanej kancelarii adwokackiej w Sutton. Twierdziła, że jest w dziale podatkowym, ale w rzeczywistości parzyła herbatę i protokołowała.

Georgie należała do najlepszych studentów na swoim roku w Oksfordzie i jako jedyna ze wszystkich współlokatorów nie zaprzepaściła pojawiającej się okazji. Na dodatek dokonała tego bez pomocy mamy i taty, w przeciwieństwie do Miry, której mama była dyrektorem naczelnym w jakiejś firmie handlowej, a ojciec lekarzem pierwszego kontaktu. Można od nich było bez problemu pożyczać pieniądze. Pochodzenie Georgie było dużo skromniejsze. Matka urodziła ją późno, a teraz była na emeryturze. Ojciec zmarł, gdy Georgie miała dwanaście lat. Poznały, co to bieda – Georgie niejedną raz negocjowała z komornikami na progu domu – ale w zeszłym roku matce dopisało szczęście. Wygrała konkurs – tysiąc pięćset funtów miesięcznie przez resztę życia plus wyrównanie inflacji. Niewiele, ale dosyć, aby utrzymać się po dodaniu skromnych świadczeń.

Mama Georgie nigdy nie wzięła udziału w żadnym konkursie, odpędzała taką myśl. Odsyłacz na dyspozycji bankowej brzmiał *Konkurs UK – Gratulacje!* Georgie nigdy nie widziała mamy tak podekscytowanej od czasu, kiedy ona skończyła studia. Georgie założyła oddzielne konto, aby mama nie mogła prześledzić pieniędzy i dotrzeć do niej, a ona przekazywała część swoich zarobków co miesiąc stałym zleceniem. Nie brakowało jej tych pieniędzy.

– To Zmieszany Smerf – wyjaśnił Fergus.

– Słucham? – zdziwiła się Georgie, wracając do rzeczywistości.

– Ten drink. Nazywa się Zmieszany Smerf.

– Bo jest niebieski i smakuje jak przejechana fretka?

Fergus zaśmiał się i wychylił swój kieliszek.

Spojrzała na przeciwległy kraniec baru, gdzie grupa rozneglizowanych dziewcząt chichotała głupkowato nad telefonem, a poświata ekranu rzucała sztuczny blask na ich udawane uciechy. Mętnie docierało do niej, że Fergus próbuje jej opowiedzieć dowcip – coś o księdzu i dildo – ale nie słuchała. Zauważyła barczystego mężczyznę przy drzwiach, który ubrany w markowe dzinsy i marynarkę niemal nie pasował do tego miejsca, tak jak i ona. Żegnał się z atrakcyjną blondynką. Ona powiedziała coś, odwracając się do wyjścia, a on uśmiechnął się w odpowiedzi. Chyba nigdy nie widziała, aby Charlie Priest uśmiechał się w taki sposób. Cała jego twarz się zmieniła – promieniował czułością do tej kobiety. *Kim ona jest?* Była szczupła, elegancka i pocałowała go w policzek z absolutną pewnością siebie i zdecydowaną poufałością. Georgie myślała, że Priest jest singlem – co sugerował Okoro – ale teraz nie była tego taka pewna.

Popatrzyła na Martina. Otaczał ramieniem Mirę. Jakże zwyczajnie wyglądał. Jak żałośnie. Dziwne, jaki wydawał się niegroźny; jak zrelaksowana była Mira. Czy wiedziała, jaki on jest naprawdę?

Martin był oszustem. Nie umywał się do jej szefa. Kiedy Priest odwrócił się do baru, ich spojrzenia się spotkały. Georgie uniosła rękę i pomachała niezdarnie. Ku jej zadowoleniu Charlie się uśmiechnął. Nie tak, jak do tej tajemniczniej blondynki, ale mimo to mile.

– Cześć, Georgie – szepnął jej do ucha, kiedy przedarł się przez tłum. Martin zdecydował, że teraz jest dobry moment, aby wykazać nią pewne zainteresowanie. Fergus wyglądał na rozbitego, ale zrozumiał aluzję i odsunął się, aby rozmawiać z Li.

– To miejsce nie wygląda na twoje ulubione – powiedziała Georgie.

– A w jakim spodziewałabyś się mnie zobaczyć? – odparł Priest, przekrzywiając głowę na bok.

Zarumieniła się. Miał ten nieznośny nawyk zmuszania jej do mówienia głupot. *Muszę pomyśleć, zanim otworzę usta.* Najwyraźniej go bawiła.

– Hm, wiesz... gdzieś w bardziej...

– Spokojniejszym miejscu?

Skrzywiła się, starając się znaleźć właściwe słowo.

– Mniej studenckim.

– Ach, rozumiem. Masz rację. To nie jest miejsce dla starca – stwierdził z figlarnym uśmiechem.

– Nie to chciałam powiedzieć! – Georgie czuła, jak znowu się rumieni.

– Spokojnie, Georgie. Poza tym masz rację... to nie jest moje ulubione miejsce. W tej muzyce słyszę sporo fałszujących syntezatorów, bas i zero melodii.

– Wiem, o co ci chodzi – powiedziała, a Martin pochylił się w ich stronę, próbując podsłuchiwać. – Poszcęściło ci się z prokuratorem generalnym?

– Nie. On nie żyje.

– Nie żyje? – Georgie zasłoniła dłonią usta. – Prokurator generalny nie żyje?

– Tak.

Pochyliła się do niego. Może to przez bas, ale nagle uświadomiła sobie, że serce wali jej w piersi.

– Co się stało? – zapytała. – To wielka sprawa, prawda?

– Niezupełnie. Wyznaczą nowego.

– Nie. Chodzi mi o ciebie. Mój Boże! Znalazłeś ten pendrive, który ci wysłał? Mówił, że do domu? Kiedy przyszła poczta? Nie wierzę, że to się dzieje, a my jesteśmy w tym okropnym miejscu. Wiedziałeś, że ten drink nazywa się Zmieszany Smerf?

– Georgie. – Wyciągnął dłonie, aby ją uspokoić. – Musisz więcej oddychać, kiedy mówisz.

– Przepraszam. Pędzę przed siebie, kiedy jestem... wiesz... zdenerwowana. – Przerwała. – Czy go nadziali, jak Milesa Ellindera?

– Powiesił się.

– Och... naprawdę? Dlaczego? To na pewno jakaś nieczysta sprawa. To takie niezwykle! – Zamilkła, uświadamiając sobie, że jej entuzjazm mógł być odebrany jako zobojętnienie. – To znaczy... wiesz... – Nie dokończyła.

– Nie martw się, Georgie.

Spoglądał na nią kątem oka, tak jak rodzic może obserwować zbyt nerwowe dziecko. Nie była pewna, czy to dobrze.

– Słuchaj, rano muszę wcześniej wstać.

– Och, oczywiście! W zasadzie to właśnie szliśmy do Dojos. – Kiedy spojrział na nią bez zrozumienia, wyjaśniła: – To klub niedaleko stąd. Jest okropny, ale możesz się przyłączyć. Zapraszam.

– Zapraszasz mnie w okropne miejsce?

– Tak. Nie. To znaczy tak.

Przyjęcie rzeczywiście przenosiło się do Dojos. Fergus siłował się z zamkiem kurtki, a inni wstawali i zabierali swoje rzeczy ze stołu.

– Idziemy, Georgie! – Li krzyknęła przez stół. – Możesz zabrać kolegę! – Puściła oko i zaśmiała się. Obok niej stał Martin i z powagą obserwował Georgie. Może zaprzepaściła szansę, aby wykraść się po cichu.

– To bardzo miła propozycja – powiedział jej prosto do ucha, żeby go usłyszała, dotykając dłonią jej ramienia. – Ale jutro naprawdę muszę wcześniej wstać.

Wiedziała, że nie ma szans, aby przyłączył się do nich, ale mimo to czuła rozczarowanie.

Wstali niezdarnie, jednocześnie. Pozostali ruszyli już w stronę drzwi; Mira się zataczała, czekało na nią nocne życie Londynu. Georgie spojrzała na Priesta. Miał niezwykle błękitne oczy, jak kryształy. Pocałowała go w policzek i po jego minie widziała, że jest równie zaskoczony jak ona sama. Nie trafiła prosto w policzek i ich usta zetknęły się lekko – wypadło to niezdarnie. Mimo to smak pocałunku Charliego Priesta pozostał z nią, gdy jej zawiane towarzystwo ruszyło z nią do Dojos.

Charlie patrzył, jak Georgie znika w tłumie przechodniów meandrujących przed barem. Kiedy spojrzał drugi raz, aby upewnić się, że wszystko z nią dobrze, ona już znikła na ulicy. Lubił Georgie – lubił jej szorstkość, brak taktu, niewinność. Przypominała mu jego samego sprzed lat.

W barze robiło się coraz głośniejsze. Pijących studentów zastępowały hordy miejscowych z własnym programem rozrywek. Priest miał zostawić pustą szklankę na stole, przy którym Georgie i jej przyjaciele wcześniej się zebrali, ale istniała spora szansa, że jakiś rozentuzjzmowany tancerz strąci ją albo, co gorsza, rozbije o czyjąś czaszkę. Barman łypnął na niego podejrzliwie, gdy stawiał szklankę obok zlewu, i uśmiechnął się. Wtedy usłyszał blisko ucha znajomy głos i serce mu zamarło. *Och, to nie jest mój wieczór.*

– Nie wiedziałem, że w ogóle pijesz w takich miejscach, Charlie. A tak naprawdę to nie wiedziałem, że w ogóle pijesz.

Priest się odwrócił. Jego szwagier, Ryan, patrzył wprost przed siebie z bezmyślnym uśmiechem na twarzy, trzymając w dłoni pustą szklankę. To przez ten podbródek wygląda tak bezmyślnie, już dawno temu zdecydował Charlie. Podbródek, który sterczał tak mocno, że można by się na nim opalać.

– Cześć, Ryan – powiedział.

Ryan był z kolegami. Zakolczykowanym łysolem, który opierał się o bar, z pół metra wyższym od Ryana. Groźnie wyduł grube wargi, a wzrok, w przeciwieństwie do Ryana, wbił w Priesta. Wyglądało na to, że mogą być

z nim kłopoty. Było z nim jeszcze przynajmniej dwóch innych. Jeden nieustannie odwracał się i śmiał. Wszyscy byli mniej więcej w wieku Ryana. Pod czterdziestkę... tak jak ich iloraz inteligencji.

– Ładna marynarka, Charlie – zakpił Ryan.

To wywołało wybuch śmiechu u trzeciego mężczyzny, który teraz nachylał się obok łysego, aby słyszeć, co mówią.

– Sarah mówiła, że musi wcześniej wrócić do domu. Jesteś tu, żeby ją sprawdzić?

– Nie. Nie wiedziałem, że w ogóle tu będzie. Czysty przypadek – odparł Ryan, szerzej się uśmiechając.

– Więc nie zajmujesz się Tilly?

– Nie. Kto inny się nią zajmuje.

Problem polegał na tym, że zawsze ktoś inny się zajmował Tilly. Charlie nienawidził mężczyzn, którzy mieli dzieci, ale wymigiwali się od obowiązków. Fakt, że to był jego szwagier, ojciec jego siostrzenicy, jeszcze pogłębiał tę nienawiść. Ryan był zgrywusem, oszustem i nie zasługiwał na dar ojcostwa. Priest zazgrzytał zębami. W żyłach płynął mu alkohol. Niedużo, ale w połączeniu z chorobą wystarczyło, aby zatrzeć granice rzeczywistości.

– To ty powinieneś się nią zajmować.

– Dlaczego? Od tego jest Sarah, nie? Rozchmurz się, Charlie. Napij się ze mną.

– Nie. Wychodzę.

Ryan jeszcze nie spojrzał na Priestę i cały czas uśmiechał się głupkowato. Wstał i klepnął Charliego w plecy, wystarczająco mocno, aby nie był to żart.

– Uważaj po drodze, bracie – zaintonował Ryan. – Muszę się jeszcze napić, zanim wrócę i nadzieję twoją siostrę. – To rozbawiło trzeciego faceta, który zarechotał.

Charlie zerknął na dużego łysola. Stanowił komplikację, ale także klucz. Załatw go, a reszta się wykruszy.

Priest wiedział, jak to rozegrać. Widział siebie, jak chwyta Ryana za kołnierz, wali jego głową o bar, a potem wbija łokieć w brzuch wielkiego łysola, głęboko w splot słoneczny. Jeden dobrze wymierzony cios zakłóci pracę przepony, wywołując skurcz i natychmiast go unieszkodliwiając. Potem dłonią na płask uderza Ryana w tył głowy, łamie mu szczękę, wybija kilka zębów o bar. Jest krew, dużo krwi. Ludzie krzyczą, biegną do drzwi. Ten trzeci, Śmieszek, leci na plecy, a pięść Priestę odchodzi łukiem od jego

zmiotczalego ciała. Światła...

– Hej!

Ryan patrzył na niego, pstrykając mu palcami przed twarzą. Charlie zamrugał. Ryan wyglądał na zdezorientowanego, rozbawionego, ale nic mu nie dolegało. Priest poczuł przypływ ulgi.

– Kurwa, Priest, co z tobą? Odjechałeś czy co? – rzucił rozbawiony.

Charlie przetarł dłonią twarz. Odwrócił się i wyszedł. Zimne powietrze uderzyło go jak obuchem.

Charlie rozparł się w swoim biurowym fotelu i patrzył, jak spikerka Sky News mówi o znalezieniu ciała prokuratora generalnego, sir Philipa Wrena, w jego domu wczoraj rano oraz że śmierć uznano za samobójstwo. Reporter stał u dołu wjazdu do posiadłości Wrena.

Było rano i padał deszcz. Charlie wysłał mail do Solly'ego i poprosił go o przygotowanie szczegółowego raportu na temat struktury firmy Ellinderów oraz finansowej siły tej grupy. Kenneth powiedział, że pieniądze nie były motywem, dla którego zbłądził ich syn; przyszła pora sprawdzić tę teorię. Co więcej, jeżeli w Ellinder International działo się coś niezwykłego, Solly to odkryje. Rodzinne firmy skrywały rodzinne sekrety. Po chwili otrzymał zwięzłą odpowiedź.

Dobrze.

Problem polegał na dostaniu się do imperium Ellinderów tak, aby Jessica się nie wtrącała. Ani McEwen. Trzeba znaleźć sposób. Sięgnął po telefon. Czas wsadzić kij w mrowisko.

– Centrala – usłyszał nosowy głos.

Charlie się nie zawahał.

– Z Dee Auckland poproszę.

– Zastępczynią komendanta Dee Auckland?

– Macie dwie Dee Auckland?

– Łączę z jej asystentką.

Przerwa. Usłyszał stukanie i inne zachęcające odgłosy na linii.

– Miranda Coleman – rozległ się inny głos, wyższy od pierwszego.

– Chciałbym rozmawiać z Dee Auckland – powiedział.

– Zastępczynią komendanta Auckland?

– Musi... Och, nieważne. Proszę mnie po prostu połączyć.

– Jest teraz na wewnętrznym spotkaniu.

– Proszę jej powiedzieć, że dzwoni kapitan Kirk.

Nagle asystentka straciła pewność siebie.

– Kapitan K...

– Kirk, tak. Kapitan Kirk – powtórzył uprzejmym tonem.

Przerwa.

– Proszę chwilę poczekać.

Długa przerwa. Trzy minuty szesnaście sekund przerwy, wypełnione jakąś klasyczną muzyką. Czajkowski, *Jezioro łabędzie*. Dziwny wybór. Nawet dziwniejszy, kiedy utwór przerywały informacje o numerze Crimestoppers.

– Czego chcesz, Charlie? – warknęła w końcu jego była żona. Miała wyjątkowo głęboki głos.

– Cześć, Dee. – *Jak miło z tobą znowu rozmawiać po tych wszystkich latach. Wygląda na to, że nie zrezygnowałaś z palenia.*

– Czego chcesz?

– Odwołaj McEwena. Muszę posprzątać pewien bałagan, a on ciągle mi przeszkadza.

Jego eks naprawdę się zaśmiała. Był taki czas, bardzo dawno temu, kiedy lubił ten śmiech. Chropowatość była sexy, głębia intrygowała. Teraz przypominał mu przesuwanie gwoździem po szkolnej tablicy.

– Inspektor McEwen wypełnia swoje zadanie w sposób godny podziwu, Charlie – powiedziała powoli, wymawiając wyraźnie każde słowo z osobna, aby mógł ją zrozumieć.

Poruczniku Uhura, nie straciłaś nic ze swojego dawnego uroku.

Zaczęła mu wymyślać, prawdopodobnie ze względu na stare czasy.

– A ta rozmowa nie jest zgodna z hierarchią i twoja prośba zostanie odrzucona, jak sam dobrze wiesz. Jeżeli jest jeszcze coś...

– McEwen to kutas, Dee. Oboje o tym wiemy. Całkowicie źle podszedł do śmierci Wrena. To nie było samobójstwo.

– Starczy, Charlie.

– Posłuchaj mnie, Dee!

– Nie, to ty mnie posłuchaj. Wyciągnąłeś mnie ze spotkania, którego uczestnicy siedzą teraz wokół tablicy ze zdjęciami twojej brzydkiej gęby umieszczonej obok całej galerii innych podejrzanych typów. Kurwa, wszyscy się tobą interesują w związku ze śmiercią Milesa Ellindera i niech mnie diabli, jeżeli zabronię McEwenowi i jego ludziom rozłożyć cię na czynniki pierwsze.

– Może powinnaś swoim nowym kolegom wspomnieć o naszym krótkim, ale niezapomnianym małżeństwie, Dee?

– Spierdalaj, Charlie.

– Dee, słuchaj. Po prostu daj mi trochę luzu, tylko o to proszę. Jesteś mi to winna.

– Nic ci nie jestem winna.

Kiedy odłożyła słuchawkę, w pokoju zapanowała dziwna cisza.

Charlie zapukał i czekał. Zastanawiał się przez chwilę, ilu innych dyrektorów pukało do drzwi swoich pracowników i czekało cierpliwie. Nieliczni, jak przypuszczał – ale z kolei nie było wielu, którzy nawet rozważaliby zatrudnienie księgowego z nerwicą natręctw, nie wspominając o przestrzeganiu jego szczególnych rytuałów.

Po chwili drzwi się otworzyły i Charlie mógł wejść. Od razu podszedł do biurka, całkowicie pozbawionego wszelkich typowych akcesoriów, które można kojarzyć z biurem, i usiadł, uważając, aby krzesło nie przestawiło się z rowków, które już wygniotło w wykładzinie.

Rozejrzał się szybko. Pomieszczenie nie było czyste – czyste przedmioty lśniły. Pomieszczenie było nieskazitelne. Promieniowało idealnym porządkiem. Stało tam siedem szaf wciśniętych pod dwie ściany, z jedną szufladą na każdą literę i dwiema oznaczonymi „nieużywane”. Priest wiedział, że niektóre z szuflad – X i Z, na przykład – są puste, ale, co ważne, wszystkie akta są ułożone w porządku alfabetycznym i oddzielone. Księgi były kategoryzowane według rodzaju i wielkości, długopisy w zależności od wielkości i koloru. Za pustym biurkiem znajdowało się kolejne miejsce do pracy z laptopem i miarą krawiecką, aby Solly miał pewność, że jest ustawiony dokładnie na środku blatu. Wszystko było całkowicie symetryczne. Oba biurka zajmowały środek podłogi, a dwie biblioteczki stały naprzeciw siebie po przeciwnych stronach pokoju. Panowało tak przeraźliwe zimno, że oddech się skraplał. Solly załatwił, aby grzejnik – który umieszczono niesymetrycznie – został przesunięty. Charlie wiedział, że roleta została opuszczona o sześćset piętnaście milimetrów, dzięki czemu widziało się tylko budynki, nieskażone połączeniami nieba.

– Cześć, Charlie – powiedział Solly.

Pokój może i był nieskazitelny, ale osoba go zajmująca wcale taka nie była. Solly był po trzydziestce, ale cerę miał w plamy, przez co wyglądał jak

nastolatek. Kasztanowe loki zaczęły mu się przerzedzać. Siedział przy biurku ze skrzyżowanymi dłońmi – jedynym złamaniem symetrii były trzy identyczne czerwone długopisy sterczące z kieszeni marynarki.

– Cześć, Solly.

– Zdaje się, że sir Philip Wren nie żyje – zauważył Solly bez cienia emocji.

– Tak.

– Znaliście się?

– Był moim chrzestnym.

Solly skinął głową, co prawdopodobnie uznał za stosowny gest.

– Zawsze zastanawiałem się, jak to jest znać kogoś, kto nie żyje. Jak się czujesz?

– Boli mnie głowa.

– Tak. Oczywiście. Rozumiem.

Było jasne, że Simon Solomon nie rozumiał nic a nic, ale jego wysiłek był ujmujący.

– Ellinder Group? – podpowiedział Charlie.

– Ach, tak. Ellinder Group. Bardzo intrygujące. Są trzy holdingi w posiadaniu różnych trustów, które należą do rodziny Ellinderów. Dwadzieścia trzy filie w Anglii, wszystkie zarejestrowane pod tym samym adresem. Księgowi w Kensington. Powiązane firmy w ośmiu innych krajach, w tym w emiratach, ale głównie jednak działalność miejscowa. Zagraniczne przedsięwzięcia są względnie nowe, z ostatnich pięciu lat. Wygląda na to, że rozbili rynek leków w Wielkiej Brytanii i teraz chcą rozwijać się za granicą. Wszystko robią sami – badania, produkcję, pakowanie, promocję, dystrybucję – prawie nic nie jest zlecane na zewnątrz.

– Dochodowe?

– W zeszłym roku zarobili dziewięćdziesiąt cztery miliony osiemset sześćdziesiąt dwa tysiące czterysta dziewięć funtów po opodatkowaniu.

Charlie gwizdnął.

– Sto milionów funtów za paracetamol do żucia.

– Słucham? – Solly zmarszczył brwi i pokręcił głową. – Co powiedziałaś?

– Sto milionów funtów za paracetamol do żucia – powtórzył.

– Nie, to nie tak.

– Co?

– To nie jest sto milionów. To dziewięćdziesiąt cztery miliony osiemset sześćdziesiąt dwa tysiące czterysta dziewięć funtów. Poza tym firma nie

specjalizuje się w produkcji paracetamolu do żucia. W zasadzie ten paracetamol do żucia stanowił mniej niż dwie dziesiąte procent globalnej sprzedaży w drugim kwartale...

– Dobra, starczy. – Charlie podniósł rękę.

Solly mrugnął dwa razy, jakby ktoś właśnie sypnął mu piaskiem w oczy.

– Muszę skończyć zdanie – zaznaczył Solly.

– Fajnie, ale szybko.

– Muszę zacząć od początku.

To prawda, że Solly miałyby kłopoty w większości uznanych kancelarii. Zasadniczo był dysfunkcyjny. Ale jego umiejętność przekazywania informacji, analizowania liczb i pamiętania niewyobrażalnie wielu danych i tekstów brała górę nad społecznym niedostosowaniem.

Jednak Solly nie rozpoczął zdania na nowo, ponieważ drzwi się otworzyły. Bez pukania.

– Proszę! – zaprotestował Solly. – Moje drzwi nie mogą być otwarte szerzej niż pod kątem czterdziestu pięciu stopni...

Jego prośbę zlekceważono.

– Priest – powiedział Okoro. – Chodź zaraz na dół.

Charlie nigdy nie widział swojej poczekalni tak zapchanej ludźmi. Niechlujna mieszanina mundurów i garniturów zgromadzonych wokół niskiego stolika, który Maureen regularnie przyozdabiała egzemplarzami „Timesa” i kilkoma magazynami prawniczymi, aby utrzymać pozory. Priest nie czytał „Law Society Gazette” od czasów praktyki. McEwen zajął miejsce z tyłu, opierając się arogancko o framugę. Jego masywna postać groziła wyłamaniem drewna, a wtedy on sam wyleciałby przez boczną ścianę.

Maureen pisała coś na komputerze. Kiedy pojawił się Charlie, ledwo na niego spojrzała.

– Grzecznie proszę tych panów, aby przynajmniej zamknęli drzwi – powiedziała do niego, a jej stare palce nie zwolniły choćby na moment tańca na klawiaturze. – Zimno wlatuje.

Okoro stanął za Priestem z założonymi rękami.

Mały, żylasty mężczyzna w jasnobłękitnym garniturze pojawił się przed Charliem i wyciągnął rękę. Ten ujął ją i mocno uściskał. Mężczyzna oznajmił,

że nazywa się Evans i jest przedstawicielem prokuratury. Był po czterdziestce, może młodszy, miał kwadratowe okulary spoczywające na orlim nosie i przedwcześnie posiwiałe włosy, które zaczynały się w połowie czaszki i opadały na szyję. Wyglądał, jakby był doświadczony, ale lekkie drżenie jego głosu zdradzało nerwowość.

– To jest nakaz rewizji – wyjaśnił Evans przed wręczeniem Charliemu znajomo wyglądającego dokumentu. – Upoważnia tych funkcjonariuszy do dokładnego przeszukania tego lokalu w związku z trwającym śledztwem w sprawie śmierci Milesa Ellindera.

Priest zerknął na papier.

Nie musiał go czytać – wiedział, co tam jest napisane. Przydałoby się jednak wiedzieć, który z sędziów okręgowych go podpisał.

– Na jakiej podstawie podejrzewacie, że tutaj znajduje się cokolwiek związanego ze śmiercią Milesa Ellindera? – uprzejmie spytał Evansa.

– Rozumiemy, że działa pan w imieniu Kennetha i Jessiki Ellinderów, ojca i siostry zmarłego. Istnieje powód, aby wierzyć, że któreś z nich może być zamieszane w śmierć pana Ellindera.

Charlie pociągnął nosem. Nakaz podpisał sędzia okręgowy Fearnly. W zeszłym roku Charlie poszedł z jedną z jego decyzji do sądu apelacyjnego. Wygrał, a sąd wyższej instancji wyraził się dość krytycznie o poprowadzeniu sprawy przez Fearnly'ego, w związku z czym ten chyba pomyślał, że to gwiazdka, kiedy Evans zjawił się przed nim dzisiaj rano i złożył prośbę o nakaz rewizji biur Priest i S-ka.

Charlie podniósł wzrok. Najwyraźniej Evans coś mówił.

– Panie Priest? Słyszysz mnie pan?

– Tak. – Napotkał spojrzenie McEwena, który krótko skinął głową. Odwzajemnił gest. – Gdzie chcecie zacząć?

Evans uniósł brew. Charlie domyślił się, że większość zgłasza jakiś protest, kiedy pokaże im się dokument upoważniający policję do wywrócenia ich miejsca pracy lub domu do góry nogami.

– Słyszałeś go – warknął radośnie z tyłu McEwen. – A teraz postarajcie się nie zostawić za dużego bałaganu w firmie pana Priesta.

Tłum funkcjonariuszy zajmujących poczekalnię wydał zgodny pomruk. Ruszyli do przodu. Priest i Okoro zostali na miejscu. Evans odwrócił się, z zadowoleniem albo ulgą – nie wiadomo.

– Nie pracujemy dla Ellinderów – powiedział cicho Charlie do Vincenta. –

Chcą nas ustrzelić. Skontaktuj się ze swoim kolegą z palestry i znajdź sędziego, który choć trochę nas lubi, żeby uchylił tę decyzję.

– Postaram się, ale nie wiem, jak szybko dam radę.

– Będę grał na zwłokę.

Okoro spojrział sceptycznie. Policjanci naradzali się, najwyraźniej dzieląc zadanie rozebrania na części całego budynku. Wykonał szybki telefon. Kiedy skończył rozmawiać, szepnął Priestowi do ucha:

– Przed Agencją Burrowsa. Za dwadzieścia minut. Dasz radę?

Charlie skinął głową. Okoro był już za drzwiami. McEwen zauważył, że Okoro wychodzi, ale nie protestował.

Charlie odwrócił się z powrotem do Evansa.

– Czy mogę zobaczyć powiadomienie? – spytał uprzejmie.

Evans zmarszczył czoło.

– Dałem panu kopię nakazu.

– Tak, ale mam również prawo do otrzymania powiadomienia o prawach. To dokument, który określa moje prawa jako osoby poddanej przeszukaniu...

– Wiem, co to jest – wycedził Evans. – Jest pan prawnikiem Sądu Najwyższego. Z pewnością zna pan swoje prawa?

– Odświeżenie wiedzy od czasu do czasu nie zaszkodzi.

Charlie się uśmiechnął. Evans potarł twarz. Odwrócił się. McEwen dyszał mu w plecy. Priest dobrze się domyślał. Nie zabrał ze sobą kopii powiadomienia.

– Co jest?! – ryknął McEwen.

– Ma prawo do otrzymania powiadomienia. – Charlie usłyszał, jak Evans niechętnie wyjaśnia. – Będę musiał wrócić po nie do biura.

– Ile ci to zajmie? – spytał McEwen.

– W tym ruchu? Pół godziny?

McEwen burknął i skinął głową do reszty grupy, aby wycofała się i czekała. Zajął miejsce naprzeciw recepcji, gdy Evans pobiegł. Rozpoczął się wyścig, aby sprawdzić, kto wróci pierwszy. W kancelarii sądu powiedziano „dwadzieścia minut”, ale to przy założeniu, że Burrows skończył posiedzenie sądu, które prowadził.

– Jakies wiadomości o Hayley Wren? – zagadnął Charlie McEwena. Inspektor na wpół leżał w fotelu i znowu się poccił.

– Co z nią? – zirytował się McEwen.

– Pojawiła się?

– Wyluzuj, Priest. Wren popełnił samobójstwo. Córka zaszyła się gdzieś z jakimś gachem i nawet jeszcze o tym nie wie. To nie ma związku z tobą. Na twoim miejscu bardziej bym się martwił, co moi ludzie wygrzebią w twoich segregatorach, jak Evans wróci.

Charlie nie miał nic do ukrycia, ale przeczesanie jego biura przez policję było raczej niedogodne. A także szkodliwe dla interesów. A czas uciekał. McEwen potwierdził, że Hayley się nie pojawiła. To dobrze nie wróżyło.

Priest wrócił do recepcji i oparł się o blat. Maureen badawczo na niego spojrzała.

– Charlie, w co tym razem się wplątałeś?

– W nic, z czym nie dałbym sobie rady. – Kiedy zerknęła na niego pytająco, dodał: – Wszystko w porządku, Maureen. Naprawdę.

– Paskudny z ciebie kłamca – stwierdziła, wracając do pisania.

Niestety Evans wygrał wyścig. Nie tyle wszedł, ile wpadł przez drzwi, kurczowo ściskając plik papierów. Brakowało mu tchu, był czerwony na twarzy, ale mimo to udało mu się wepchnąć Charliemu papiery w rękę.

– Miłego odświeżania wiedzy – wysapał.

McEwen wstał z fotela.

– Chyba nie podejrzewasz, Priest, że teraz będziemy ostrożni, skoro kazałeś nam czekać.

– Gdzie pan przechowuje dokumenty? – spytał Evans. Był najwyraźniej zdenerwowany i głos nadal mu drżał.

Charlie nie miał żadnej wiadomości od Okoro i wyglądało na to, że będzie musiał ulec McEwenowi. Pomyślał o Sollym, który nikomu nie pozwala otwierać swoich drzwi szerzej niż pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Teraz wstał, prawdopodobnie sterylizował miejsce, gdzie wcześniej siedział jego szef. Solly nie da sobie z tym rady. Charlie musiał jeszcze trochę opóźnić wejście policji, ale brakowało mu dalszych pomysłów.

– Który z panów to Evans? – krzyknęła Maureen zza biurka

Priest uniósł brew.

– To ja.

– Telefon do pana. – Maureen, nie podnosząc wzroku, podała mu słuchawkę.

Evans wyglądał na zaskoczonego. McEwen zatrzymał policjantów po raz drugi.

Pracownik prokuratury wziął telefon i przyłożył do ucha,

– Evans, słucham. Kto...? Tak... Tak jest. Dzień dobry... Tak... Jak pan wie, reprezentuję prokuraturę... tak. Tak. Rozkaz wydał wcześniej sędzia okręgowy Fearnly w okolicznościach, kiedy... tak? Tak, rozumiem. Rzeczywiście. Do widzenia.

Oddał słuchawkę Maureen. Z jego twarzy zniknął kolor i wydawało się, że postarzał się o dziesięć lat. Spojrzał na Charliego, najwyraźniej chciał coś powiedzieć, ale w końcu ruszył w stronę McEwena.

– Dzwonił sędzia okręgowy Burrows – powiedział słabym głosem Evans. – Nakaz rewizji został uchylony.

– Co to znaczy?! – ryknął McEwen.

– To znaczy, że wracamy do domu. Za podstawę nakazu posłużyła relacja adwokat–klient między Charliem Priestem a Jessicą lub Kennethem Ellinderem. To najwyraźniej było rzeczywiście niewłaściwe...

Evans nie dokończył swojego wyjaśnienia, bo McEwen był już za drzwiami.

Hayley Wren powoli, z bólem, otworzyła oczy. Przez chwilę widziała jedynie intensywne białe światło.

Leżała na twardym stole, z rękami przy bokach. Podmuchi powietrza delikatnie pieścił jeden jej bok. Może byli na plaży, gdzieś, gdzie jest ciepło, a fale omywały jej stopy, mewy krzyczały nad głową.

Znowu zamknęła oczy. Wrażenie plaży uleciało i zastąpił je przerażający obraz zakapturzonej postaci, kogoś przedzierającego się przez ciemności, szukającego jej, krzyczącego jej imię.

Otworzyła oczy. Postać zniknęła. Pojawił się powoli obracający się wentylator pod sufitem. W ustach miała kwaśny smak – musiała wymiotować w jakimś momencie.

Spróbowała unieść rękę do twarzy, upewnić się, że jest cała, ale ręka się nie poruszyła. Była przywiązana do stołu. Przesunęła się z jednego boku na drugi. Ręce i nogi miała mocno przywiązane. Pas okalał ją także w talii.

Ogarnęła ją panika. *Gdzie jestem?* Przypomniała sobie mężczyznę w kapturze, który schwycił ją od tyłu. Próbowwała się uwolnić, ale on z łatwością nad nią zapanował i przyłożył jej do twarzy chusteczkę, która cuchnęła... nie wiedziała czym.

Walczyła z całych sił. Modliła się. Pamiętała, jak modliła się do Jezusa, by jej pomógł. *Dlaczego On nie przyszedł?*

Teraz wyraźnie ujrzała pokój. Wybielone ściany i naga żarówka zwisająca jej nad głową.

Może już nie żyję. Może to jest czyściec i czekam na sąd.

Spojrzała na swoje ciało. Była naga, przykryta jedynie cienkim białym prześcieradłem od ramion po kolana.

To nie jest czyściec!

Próbowała krzyżeć, ale głos uwiązł jej w gardle – jakby dusił ją własny strach.

Mój Boże, co się ze mną dzieje? Co już się ze mną stało?

Kątem oka dostrzegła ruch. Jakaś postać przemykała za jej głową. Czuła, jak unoszą się włosy na karku, gdy dłoń przesunęła się po jej ramieniu i zatrzymała nad piersią... Jej serce mało nie wyskoczyło na zewnątrz.

Gardło miała zaciśnięte. Ponownie zamknęła oczy. Starła się myśleć o czymkolwiek, aby odwrócić uwagę od tego, co się dzieje. Znowu próbowała przypomnieć sobie plażę, mewy nad głową, gorący piasek pod plecami i słońce na twarzy, ale widok ponownie stracił ostrość, a słońce zasłoniła chmura. Biały kaptur z dwoma czarnymi dziurami na oczy.

W jej uchu zagrzmiął głos.

– Cześć, Hayley.

Małe drewniane stoły były przykryte łątwą do wytarcia ceratą w wyblakłe truskawki i maliny. Sztućce były ciężkie i grube, kubki lekko poźółkłe i nie od kompletu.

Jessica siedziała z dłońmi na kolanach. Najwyraźniej starała się niczego nie dotykać. Charlie studiował menu; od czasu do czasu zerkał na nią. Jej zakłopotanie trochę go bawiło.

– Nie jestem głodna – nagle oznajmiła.

– Na pewno? – Podniósł wzrok zaskoczony. – Takiego śniadania jak tu jeszcze nigdy nie jadłaś.

– Normalnie nie jem śniadania o pierwszej w południe i nie lubię smażonych potraw.

Charlie był rozczarowany.

– Są inne rzeczy. Kanapka z bekonem? Wieża z kaszanki?

– Mają coś wegetariańskiego? – zapytała Jessica.

Przez chwilę się zastanawiał.

– Chyba zastąpią bekon dodatkowymi pieczarkami, kaszankę pomidorem, a kielbasę... hm, chyba tylko ją usuną.

Jessica się skrzywiła. Starsza kobieta w fartuszkę górowała nad nimi, czekając z uniesionym ołówkiem. Jej wielkie dwie górne jedyńki wyglądały jak karty do gry wepchnięte niepewnie w dziąsła.

– Tak, złotko? – wychrypiała.

Charlie spojrzał uprzejmie na Jessicę. Pokręciła głową.

– Dwa razy specjalność zakładu, poproszę – zdecydował.

Kelnerka odeszła. Podawała kartkę przez okienko w odległej ścianie, gdzie odebrała ją bardzo owłosiona ręka. Charlie nigdy nie widział właściciela tej włochatej ręki. Nie miał takiej potrzeby. Wiedział tylko, że z pewnych powodów ta włochata ręka potrafiła usmażyć bardzo dobrą jajecznicę.

– To zaproszenie na posiłek było miłe – zauważyła Jessica w sposób, który

jednak sugerował co innego.

Skinął głową, nalewając herbaty. Dzisiaj Jessica miała na środkowym palcu pierścionek o prostym wzorze, ale kamień skrzył się wspaniale – w dużej mierze jak właścicielka.

– Mieliśmy dzisiaj rano małe odwiedziny – powiedział. – Nasz zaprzyjaźniony gliniarz wpadł się ze mną zobaczyć.

– Ach. McEwen. Niewątpliwie wizyta sprawiła ci wielką przyjemność.

– Całkiem sporą. Pracuje w przekonaniu, że ty i twój ojciec jesteście w jakiś sposób zamieszani w śmierć Milesa.

Spodziewał się, że Jessica zareaguje na to gwałtownie, ale ona tylko wzruszyła ramionami i dodała do herbaty dwie saszetki cukru.

– Mój ojciec i ja już wcześniej dostrzegliśmy niedoskonałości detektywa McEwena. Dlatego zwróciliśmy się do ciebie.

– To był jednak pomysł twojego ojca. Nie twój.

– Może. Ale ufam jego osądowi. – Zamieszała energicznie herbatę.

– Dałaś do zrozumienia, że nie układało się między tobą a bratem.

– Tak – przyznała. – Milesowi z nikim się nie układało. Tata sporo wydawał, aby zapobiec zniszczeniu przez niego firmy.

– Był czarną owcą?

– Moja rodzina to jedno wielkie stado czarnych owiec. – Uśmiechnęła się słabo.

– Twój ojciec martwi się, że Miles wplątał się w coś niebezpiecznego.

Jessica wbiła w niego przenikliwe spojrzenie.

– Czyż to nie jest oczywiste? Ktoś go nabił na pal.

Nalał odrobinę mleka do swojej filiżanki i zamieszał.

– Słyszałaś o Władzie Palowniku?

– Tak. Rozumiem, że był inspiracją dla Drakuli.

– Myślisz, że ktoś chciał coś przekazać, zabijając Milesa w tak barbarzyński sposób?

– Nie mam wątpliwości, ale ten sens mi ucieka.

– To w rodzinie nie ma żadnych wampirów?

Jessica upiła łyk herbaty, spoglądając na niego znad kubka. Nie mógł oprzeć się myśli, że mimo wszystko ma gdzieś głęboko ukryte poczucie humoru. Przynajmniej taką żywił nadzieję. Jeśli nie, to obraził ją kilkakrotnie, a nawet jeszcze nie zaczęli jeść.

– Mówią, że jesteś maniakiem horrorów.

– Nie wiedziałem, że przestudiowałaś także moje osobiste nawyki.

– Myślisz, że powierzylibyśmy kwestię bezpieczeństwa naszej rodziny, nie dowiedziawszy się wszystkiego na temat naszego preferowanego mistrza?

Uśmiechnął się. *Więc jednak ma poczucie humoru.*

Kiedy nic nie odpowiedział, Jessica kontynuowała:

– Wiesz, kto jest twórcą współczesnego mitu o wampirze?

– To łatwe. Niektórzy przypisują tę rolę lordowi Byronowi, ale w zasadzie tylko zainspirował swojego osobistego lekarza, Johna Polidoriego, nie stworzył istoty, którą później udoskonalił Stoker.

– Rzeczywiście. Jakie to wspaniałe, że dwa największe potwory w literaturze... wampir i ożywiony demon Shelley... zostały poczęte w tym samym czasie i to w tym samym domu.

– Niektórzy wciąż twierdzą, że to był jednak Byron.

– Co ci się podoba w horrorach?

Charlie zawahał się, zanim odpowiedział. Przywykł do prowadzenia przesłuchania, a nie do bycia przesłuchiwanym.

– Zdaje się, że chodzi o pewien związek. Na innych filmach zazwyczaj śmiejesz się z zabawnych rzeczy, płaczesz z powodu smutnych, ale poza tym jesteś obserwatorem. W horrorach z przerażeniem odbierasz strach odczuwany przez postać. Wiążesz się z historią w całkowicie odmienny sposób. Jesteś częścią produkcji. – Mógł dodać, że odczuwanie związku z czymkolwiek, kiedy ma się rozszczepienie osobowości, to osiągnięcie.

Kelnerka wróciła z dwoma talerzami pierwszorzędnego angielskiego śniadania ociekającego tłuszczem i ustawiła je na stole.

Charlie odchrząknął.

– Musimy znaleźć Hayley – oświadczył.

Jessica podniosła wzrok znad talerza.

– Po co?

– Bo nie ma jej od tygodnia, a nikogo innego to nie obchodzi.

– Nie, dlatego ty musisz ją znaleźć. Ja pytam, dlaczego my mamy ją znaleźć.

Zaczął kroić bardzo grubą kiełbasę. Miała średnicę pałki, którą zdzielił go Miles Ellinder, i miał wątpliwości, czy w całości jest z mięsa.

– Jej ojciec najprawdopodobniej został zamordowany, a teraz ona zaginęła. Może to zbieg okoliczności, a może nie.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że rozważysz zlecenie mojego ojca?

Charlie przyglądał się kiełbasie. Prawdopodobnie w pałce policyjnej mięsa

było więcej.

– Jessico, mamy wspólny cel. Równie dobrze możemy współpracować.

– Najwyraźniej nie, moim celem jest znalezienie mordercy brata i zakończenie tej paskudnej sprawy. A twoim jest znalezienie córki prokuratora generalnego i uwolnienie się od policji, kiedy będziesz jej szukał.

– Są powiązane, zdecydowanie. Wren napisał do mnie, że przesłał mi pendrive z danymi komputerowymi. Zjawia się u mnie twój brat... uwaga, uwaga... i szuka pendrive'a. Jest szansa, że chodzi im o tę samą pamięć, której... przypadkiem... ja nie znalazłem.

– To duża niedogodność.

Najwyraźniej mu nie wierzyła. Nie winił jej – nie pierwszy raz coś przed nią ukrył.

– Ten fakt raczej wskazuje na ograniczenia naszych poszukiwań.

– A w jaki sposób pomoże nam odnalezienie Hayley?

– Nie wiem, dopóki jej nie znajdziemy.

Jessica dalej przyglądała się śniadaniu, szturchając fasolkę widelcem. Wyglądała, jakby chciała się upewnić, że to już nie żyje.

– Będziesz jadła tę kaszankę? – zapytał z pełnymi ustami.

Bez słowa przesunęła kaszankę na jego talerz, wyraźnie starając się trzymać dłonie jak najdalej od jedzenia. Charlie wszystko wymieszał. Zorientował się, że to jest jego pierwszy porządny posiłek od wizyty Milesa.

– Powiedz ojcu, że wezmę tę robotę – zdecydował.

Jessica wstała. Podniosła torebkę od Radleya i założyła wielkie okulary przeciwsłoneczne. Na zewnątrz nadal było zimo, ale deszcz ustał i teraz przez okno restauracji wlewało się słońce.

– Sprawdzę, czy oferta jest nadal aktualna – rzuciła przed wyjściem.

Charlie kierował się do domu. Planował pójść do biura po późnym śniadaniu z Jessicą, ale zdał sobie sprawę, że nie jest to najlepszy pomysł. Uważnie przyjrzał się swojej ręce. Wyglądała jak gumowy przyrząd przymocowany do zautomatyzowanego ramienia, jakby ją wyjęto z przedstawienia kukielkowego. *Kurwa. Nie teraz.* Zerknął przez ciemne okno taksówki na świat z narastającym poczuciem przerażenia, wiedząc, że jego percepcja zaczyna się zmieniać. *Jestem duchem. Przeklętym duchem.*

Nadal miał czas. Czas, w którym mógł działać jak należy, chociaż granice zamazywały się szybko, szybciej niż zazwyczaj. Wziął taksówkę – nietypowy, ale najszybszy sposób na bezpieczny powrót do mieszkania, jednak musieli pojechać objazdem, bo Oxford Circus zablokowali hipisi z transparentami.

– Cholerni antykapitaliści! – wykrzyknął taksówkarz. – Maszerują po Londynie cały dzień, skarżąc się na zarabianie pieniędzy, a potem tweetują o tym wieczorem na cholernych iPhone’ach. Co za hipokryci.

Charlie prawie go nie słyszał. Dzwonił jego telefon. Czy aby na pewno jego? Niski głos Okoro zawibrował mu w uchu.

– Priest, wszystko w porządku?

– Tak – odpowiedział niepewnie.

– To dobrze. W czym ci pomóc?

– Co?

– Priest?

Charlie chrząknął.

– Skoczę do domu na godzinkę. Nic mi nie będzie.

– Rozumiem. Niezły wynik rano.

– Co?

– Dzisiaj rano – powtórzył Okoro. – Moja audyencja u sędziego Burrowsa, podczas której uczony sędzia dokonał pewnych ciekawych spostrzeżeń względem nakazu. Twierdził, że w ogóle nie powinien zostać wystawiony.

– Tak – odparł zdezorientowany Charlie.

– Założę się, że prokurator miał niezłą minę, kiedy Burrows do niego zadzwonił.

– Tak.

Okoro przerwał.

– Priest, słuchasz mnie?

– Niezupełnie.

– Hm. No to miłego popołudnia, kochany. Przyślę kogoś, jak się nie zjawisz do końca dnia.

Telefon zamilkł.

Charlie zatoczył się pod drzwi swojego mieszkania, nie pamiętając zupełnie, jak wysiadł z taksówki i zapłacił. Szukał kluczy. Z trudem uświadamiał sobie,

że przechodzą obok niego ludzie, przepychając się na ruchliwym chodniku. Szybko odwrócił głowę. Ktoś z nich niósł psią głowę z wielkim, mokrym dyndającym językiem.

Nie, znowu...

Drzwi się poruszały, nabierały ostrości i traciły ją. Dojście do domu było niczym przejście po chybottliwym pokładzie statku, a on walczył, aby umieścić klucz w zamku. Wydawało się, że jest niewłaściwej wielkości albo kształtu. Albo jedno i drugie. Nie wiedział.

Uważnie przyjrzał się kluczowi. Rozpoznał go, ale już nie rękę, która go trzymała. Zmartwiony rozejrzał się. Obok drzwi znajdowały się schody prowadzące do piwnicy. *Na dole są kubły na śmieci.* I znowu było to znajome, ale odnosił niepokojące wrażenie, że to nie jego dom.

Niemal stoczył się ze schodów.

Był tam kubeł na śmieci, jak podejrzewał. Starego typu – okrągły, metalowy. Nie jeden z tych nowych na kółkach, oznaczonych kolorami. Nie pamiętał, po co te kolory. Z kubła wydobywał się przerażający, zniekształcony odgłos. Po chwili uświadomił sobie, że to jego własny śmiech.

Pomyślał o Jessice Ellinder i oczach wpatrujących się w niego zza zasłony gęstych, kasztanowych włosów.

– Charlie?

Rozpoznał ten głos. A może tylko własne imię? Potem słyhać było inne odgłosy. Ktoś szybko schodził schodami i mijał zakręt.

Nawiedziła go ulotna myśl, że znalazł się w pułapce.

– Charlie? – Głos był miękki jak jedwab i uroczy. – Co ty, do cholery, robisz w moim kubie?

Charlie spoglądał przez zamarznęte okno na scenę rozgrywającą się za nim. Jakaś kobieta stała przy blacie kuchennym, smarując grzankę masłem. Wydawała się czymś zmartwiona. Przy stole siedział zgarbiony mężczyzna, z głową położoną na wyciągniętych rękach. Rozpoznał siebie i zawstydził się. Patrzył przez okno gdzieś w dal. Kuchnia była mała, ale schludna, z czerwonym czajnikiem i tosterem. W powietrzu unosiła się woń kawy – woń, która powinna mu się podobać, ale teraz była nie do zniesienia i od niej robiło mu się niedobrze.

Po chwili poczuł, że kubek parzy mu dłoń. Bolało i spojrzał na nią, aby sprawdzić, czy się zranił. Nie było na niej żadnej instrukcji, jak ją naprawić w razie uszkodzenia. Powinien się martwić – ale się nie martwił. To nie miało znaczenia. To zdecydowanie była jego ręka, tylko nieco zniekształcona.

Kobieta do niego mówiła. Ta, która smarowała tost. Była zatroskana, może nawet nieco czymś rozdrażniona.

Jego coś niepokoiło. Znał tego mężczyznę przy stole i kobietę przy blacie, która teraz zajmowała się jego oparzoną ręką.

Dłoń pulsowała.

– Jezus, Charlie – powiedziała kobieta. Zdziwił się, że jej słowa są tak wyraźne. Zauważył, że czajnik jest czarny. *Czy wcześniej nie był czerwony?* – Musisz przestać to robić. Słyszysz mnie?

Teraz jej głos był stłumiony, jakby słuchał komunikatu wygłaszanego przez megafony na peronie.

W kąciuku oka pojawiła się czarna plamka, która przesuwiała się powoli w polu widzenia. Zapadła ciemność. Ból przeszył mu prawą stronę twarzy, na tyle mocny, że sprawdził, czy krwawi. Czuł, jakby jakiś olbrzym złapał go za żołądek, skręcił go i wyrywał.

– Martwię się o ciebie, Charlie – mówiła kobieta. – Jest coraz gorzej. To... wiesz... nie chcę... już sama nie wiem. Po prostu się martwię.

– Co cię martwi? – spytał.

– Przysięgasz, że nigdy nie pamiętasz, co się działo. Godzinami żyjesz jak w próżni. To cię nie przeraża?

– Przeraża.

– A co to takiego? Sen?

Zastanowił się. Nie, to nie było jak sen. We śnie – szczególnie w tak obrazowym – rzeczywistość jest sfabrykowana. Nie ma się poczucia, że we śnie coś jest niewłaściwe. Dekoracje są ustawione, prospekt kompletny. Ale kiedy świadomość powraca, wraz z nią wraca rzeczywistość, a człowiek zostaje z poczuciem ulgi lub rozczarowania, że to, co poprzedziło przebudzenie, było tylko snem. W tym świecie rzeczywistość wykrwawia się powoli i zastępuje ją pusty, bezbarwny świat całkowicie różniący się od snu.

Był świadom upływającego czasu.

– Nie – odpowiedział. – To nie jest sen.

– Wiesz, kim jestem? Teraz?

Siedziała bardzo blisko niego.

– Tak. Jesteś Sarah. Moja siostra.

– Dobrze.

Stracił przytomność.

Kiedy ciemność ustąpiła, zorientował się, że leży w pełni ubrany na nieznanym łóżku otoczony szkarłatnymi ścianami, na których wisały półki z książkami.

Kurwa.

Nie miał pojęcia, która godzina, a od światła bolały go oczy. Opis Williama o wychodzeniu z epizodu rozszczepienia osobowości dzwonił mu w uszach. *Weź najgorszego w życiu kaca, pomnóż razy dziesięć, a potem wyobraź sobie, że naraz opróżniasz butelkę wódki.* Pamiętał jedynie, że z taksówki dzwonił do Okoro, ale rozmowy nie mógł sobie przypomnieć. Ledwo pamiętał kawę w kuchni Sarah. Tak przypuszczalnie było, chociaż prawdopodobnie derealizacja zniekształciła jego pamięć.

Jezu. Jak ja nie lubię kawy.

Przez kilka ostatnich godzin próbował przypomnieć sobie pewne miejsce, które odwiedził tylko raz we mgle.

Miał nadzieję, że nie jest w domu Sarah, ale książki na temat marketingu sugerowały, że był. Ujął głowę w dłonie, starając się skoncentrować. Spróbował usiąść, ale ból w tyle czaszki wygrał, a on padł na nierówną poduszkę. Czuć było od niego potem, nogi miał jak z ołowiu. Znowu ogarnął go wstyd.

Jesteśmy tacy sami, bracie – w jego głowie rozległ się głos Williama.

– Cześć, wujek.

Nie miał pojęcia, jak długo Tilly stała w drzwiach. Mimo bólu zmusił się, by podnieść głowę i uśmiechnąć się, czego ona nie odwzajemniła. W jednej ręce trzymała kubek, a w drugiej króliczka.

– Cześć, skarbie. Mam nadzieję, że cię nie wystraszyłem.

Weszła i delikatnie odstawiała kubek na nocny stolik. Gdy przechodziła przez pokój, wydawało mu się, że momentami traci ostre kontury niczym zjawą. Musiał się koncentrować, aby utrzymać ją w całości.

– Masz sok – wyjaśniła Tilly. – Mama mówiła, żeby ci nie przeszkadzać, ale może chce ci się pić, co?

– To bardzo miłe z twojej strony; prawdę mówiąc, bardzo mi się chce pić.

Zaśmiała się, kiedy łąpczywie pił z kubka, siorbiąc celowo, aby bardziej ją rozbawić. Rzeczywiście był spragniony... wyschnięty na pieprz. Zupełnie

jakby od śniadania nic nie jadł, tylko sól. Najwyraźniej Tilly sama zrobiła sok z syropu wymieszanego w najlepszym razie z dwiema albo trzema łyżeczkami wody. Sam cukier, ale mu to nie przeszkadzało.

Kiedy skończył, Tilly wskoczyła na łóżko obok niego. Zastanawiał się, czy Ryan jest w domu. Prawdopodobnie nie, skoro Tilly mogła przyjść do niego, co za ulga. Z dołu dochodził ściszony brzęk talerzy – Sarah przyrządzała dla nich kolację.

– Mama mówiła, że jesteś chory. Już ci przeszło? – zapytała Tilly szczerze zatroskana jak na sześciolatkę.

– Zdecydowanie, dziękuję, skarbie. Chyba po twoim soczku wyzdrowiałem.

– To dobrze. Pójdiesz później z nami na kręgle?

– Och, naprawdę ładnie, że pytasz, ale nie, dziękuję. Muszę wracać do domu. Tilly wyglądała na rozczarowaną.

– I tak nie idziemy na kręgle.

– To dlaczego pytałaś?

– Bo może, jakbyś ty chciał, to mama by nas zabrała.

Zaśmiał się i pocałował ją w czoło. Zmarszczyła je i zachichotała. Przez chwilę wydawało mu się, że to Sarah patrzy na niego. I William, zanim zaczął zabijać ludzi.

– Witaj z powrotem – rzekła Sarah. Stała w drzwiach, chociaż Charlie nie miał pojęcia jak długo.

– Przepraszam – jęknął. – Chyba...

– Dzwonił Vincent Okoro. Martwił się o ciebie.

– Rozmawiałem z nim, zanim...

– Tak. Dziwne, jak to cały świat martwi się o ciebie, Charlie, a co dostaje w zamian?

Przygryzł wargę, ale nie odpowiedział. Sarah przewróciła oczyma i dała znak, aby Tilly wyszła z pokoju. Dziewczynka zawahała się, ale widząc spojrzenie matki, wybiegła.

– Zrobię ci kanapkę. – Westchnęła. Odwróciła się do wyjścia.

– Nie zasługuję na ciebie, Sarah! – zdołał za nią zawołać.

Sarah spojrzała przez ramię i uśmiechnęła się.

– Kurczę, masz rację, nie zasługujesz.

Hayley oddychała z trudem. Płuca odmawiały jej posłuszeństwa, a tchawica obkurczyła niebezpiecznie, toteż chwytiała krótkie hausty powietrza. Zakapturzona postać stała nad nią, masując jej nagie ramię.

– Przepraszam, że wcześniej cię przestraszyłem.

Zamknęła oczy. Chciała krzyknąć, aż ją gardło paliło, ale nie mogła się ruszyć. Nadal naga leżała na metalowym stole, przykryta białym prześcieradłem. Bolał ją żołądek i czuła krew w ustach. Jak długo tu była? Od kilku godzin na przemian traciła przytomność i odzyskiwała; czasami mężczyzna w kapturze wpatrywał się w nią, coś pomrukując. Teraz, kiedy obudziła się w pełni, został w pomieszczeniu. Przesunął dłoń do jej klatki piersiowej, tam gdzie serce mało nie wyskakiwało.

– Czego chcesz? – wysapała.

Jego dłoń znajdowała się pod prześcieradłem i przesuwała się ku górze jej piersi. Wszystkie mięśnie jej ciała stężały, sprawiły, że zaczęła się wić, aby zerwać trzymające ją pasy, aby zrobić cokolwiek.

Jednak wysiłki okazały się daremne.

– Hayley, masz mi pomóc – wyjaśnił mężczyzna w kapturze.

Ku jej przerażeniu zsunął prześcieradło do pasa, odsłaniając górną część ciała, którą owiało zimne powietrze. Pochylił się nad nią, kaptur dotknął jej szyi. Nawet przez materiał czuła na skórze jego gorący oddech.

Jezu? Otworzyła oczy, jaskrawe, sztuczne światło natychmiast ją oślepiło. Jezu, jesteś tu? Nigdy wcześniej w to nie wątpiła. Dlaczego więc wątpiła w to w tym momencie desperacji? Proszę, pomóż mi, Jezu...

Kręciło jej się w głowie, pokój wirował. Najwyraźniej uległa hiperwentylacji, mózg płynął od nadmiaru tlenu. Jeszcze trochę, a się utopi.

Wciągała powietrze ze świstem. Każde słowo sprawiało ogromny ból. Czuła, że płuca zaraz jej eksplodują.

– Chcesz... mnie zgwałcić?

Mężczyzna zaśmiał się lekko wprost do jej ucha. *Mój Boże!* Jego dłoń leżała na jej piersi, palce wbijały się w skórę.

– Nie. To byłoby z mojej strony wysoce niestosowne.

To co? Skręciło ją w żołądku i pomyślała, że zwymiotuje. Czego ode mnie chcesz? Jezu! Czego on chce ode mnie?

Zabrał rękę i wyprostował się. Zza pleców wyciągnął metalową puszkę i postawił ją na końcu stołu. Pogwizdywał coś pod nosem.

Nagle poczuła kompletną bezradność, żołądek znowu podszedł jej do gardła. Obróciła głowę na bok i zwymiotowała. *Jezu. Dlaczego mnie opuściłeś?* Ciepły, kwaśny płyn rozlał się po stole, po brodzie i szyi. Wciągnęła powietrze.

Mężczyzna się nie poruszył. Jedynie obserwował ją przez dwa otwory wycięte w kapturze, aż skończyła, a potem przeszedł na drugą stronę i przyjrzał się jej ręce. Sięgnął do puszek i coś wyciągnął. Krew jej stężała.

Zaraz umrę. Jezu, umrę.

Mężczyzna uniósł strzykawkę do światła. Delikatnie nacisnął tłok. Czysty płyn skapnął na stół.

– Co to? – wydyszała.

– Coś bardzo specjalnego, Hayley.

– Nie! – krzyknęła z bólem i zrozpaczona, siłując się z pasami na kostkach i nadgarstkach. Nie było dobrze.

Wbił igłę w jej ramię.

Z początku nic się nie działo. Potem to zobaczyła. Jej żyły, nabrzmiące od wysiłku, poczerniały. Cień zaczął rozprzestrzeniać się po jej ręce od miejsca ukłucia. Coś przejmowało nad nią kontrolę, pożerało ją. Połykało w całości. *Diabeł jest we mnie!* Pełzło po niej jak czarny bluszcz, oplatając jej rękę aż po bark.

Wtedy każdy nerw w jej ciele eksplodował niewyobrażalnym bólem.

Georgie, przygotowując się do pracy, rozmyślała o poprzednim wieczorze. W następstwie kłótni Fergususa z jednym z bramkarzy zostali wyrzuceni z Dojos i wylądowali w kącie baru kilka domów dalej. Nic z tego nie sprawiało jej przyjemności; wieczór przypominał jej, jak bardzo jest wyobcowana pośród swoich tak zwanych przyjaciół.

Martin w znacznym stopniu ją ignorował. Tak było, aż zjawił się Charlie. Czy martwił się, że ich sekret nie jest tak bezpieczny, jak się spodziewał? Ścisnęła grzbiet nosa; oczy nadal ją piekły.

Dzisiaj postanowiła rozpuścić włosy, aby opadały jej na ramiona. Nie była pewna, czy związanie ich przesyła właściwy komunikat. *Zbyttno jestem opanowana.* Ale czy właśnie nie tak powinna postępować? A może należy przejmować kontrolę?

Zamierzała zrobić dwie rzeczy po pracy – wpieryw znaleźć inne mieszkanie, samodzielne. Jej dochód nie pozwoli na zakup czegokolwiek, nie kiedy mieszkanie wielkości pudełka po butach z jednym łóżkiem kosztowało tutaj pół miliona funtów, ale może uda jej się zamieszkać u kogoś albo wynająć coś poza centrum. A Charlie był szczodrym pracodawcą. Czterdzieści pięć tysięcy rocznie plus premie dla świeżej i niedoświadczonej absolwentki prawa to znacznie powyżej średniej. Po drugie, załatwi sprawę z Martinem. *Porozmawiajmy o tym, co się stało tamtej nocy, przed rokiem.*

Rozległo się pukanie do drzwi.

Li miała na sobie tylko elegancką jedwabną podomkę mieniącą się zielenią, z wyhaftowanym czerwono-złotym smokiem na boku. Pewnie kosztowała więcej niż cała garderoba Georgie. Włosy miała mokre. Georgie zastanawiała się, czy obudziła się sama.

– Dzień dobry – przywitała się radośnie Li. Wyglądała idealnie jak zawsze. Zdecydowanie nie jak ktoś, kto spał tylko dwie godziny. – Mogę pożyczyć prostownicę? Moja wysiada.

Cokolwiek Li zrobiła, jej włosy wyglądały idealnie. Georgie była jednak gotowa spełnić jej życzenie. Gdyby się wyprowadziła, może nawet będzie za Li tęsknić. Pewna myśl przyszła jej do głowy: Czy Li chciałaby się z nią wyprowadzić? Razem, z pensją Georgie z Priest i S-ka i dochodem Li z agencji towarzyskiej i karty kredytowej jej ojca, prawdopodobnie byłoby je stać na mieszkanie bliżej centrum.

– Pewnie. Jest tam – rzuciła Georgie, wskazując komodę zasypaną książkami.

Li przez chwilę grzebała w szufladach.

– Jest jeszcze w pudełku. Używasz jej?

– Raczej nie. Nie mam... no, wiesz... za dużo babskich rzeczy.

Li zaśmiała się szczerze.

– Nie wiem, Georgie, jak dajesz radę przeżyć.

– Jakoś tak. – Georgie wzruszyła ramionami.

– Hm. A co powiesz o Martinie i Mirze?

Georgie nie przerywała przygotowań. Może dzięki temu Li zrozumie, że rozmowa będzie krótka.

– Tak. Nieźle, nie? – Georgie powiedziała bez entuzjazmu.

– Słyszałam ich. Jego pokój jest nad moim. Kurczę, nawet ja się rumieniłam!

– Jejku.

Georgie spakowała dokumenty i książki do kabinówki. Swój przewodnik po zasadach prawa cywilnego, dwa zapasowe notatniki, egzemplarz Archibalda i egzemplarz Chitty. Zatrudniła się u Priesta między innymi dlatego, że istniała możliwość pracy zarówno nad sprawami kryminalnymi, jak i cywilnymi. Li stała obok przez chwilę, najwyraźniej nie wiedząc, co ma zrobić.

– Ty nie... no, wiesz? – Li uważnie obserwowała jej reakcję.

– Nie... co?

– Wiesz! Nie jesteś zła czy coś?

– Na co?

– Och, Georgie. Na Martina i Mirę, że oni razem. Że całą noc się pieprzyli jak króliki?

– Li!

– Tylko się o ciebie martwię.

To pewnie była prawda, ale Georgie dobrze wiedziała, że Li również chciała zaspokoić własną ciekawość.

– To nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia – powiedziała. Jednak nawet dla niej samej nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

– Nie jesteś... zazdrosna?

Georgie zawahała się, starając się odczytać minę Li. Czy ona wiedziała?

– To jest... bardziej skomplikowane.

Li uśmiechnęła się, ale w jej oczach kryło się niedowierzanie. Georgie wolą już więcej nic nie mówić na ten temat. Założyła okulary i skierowała się do drzwi.

– Przepraszam, Li. Muszę pędzić. Mam dzisiaj dużo pracy.

– Dużo pracy z tym twoim przystojnym szefem?

– Hm?

– Z tym, z którym wczoraj rozmawiałaś? To był twój szef, hm?

– To był Charlie Priest.

– Cholera. Jak ci się udaje cały czas zachować przy nim zimną krew?

– Ja... nie... nigdy...

– Nie myślałaś o tym? Och, daj spokój, Georgie. Nawet ty...

– Nawet co ja?

Georgie spojrzała wymownie na Li. Czasami potrafiła być wścibska. Georgie postanowiła nie pytać, czy chciałyby z nią wynająć mieszkanie. *Dlatego nie jestem towarzyska. Ludzie mnie zbyt łatwo denerwują.*

– Przepraszam – powiedziała Li.

Przynajmniej na to było ją stać.

Jessica Ellinder czekała przy samochodzie, kiedy Charlie wytoczył się ze swojego domu na ulicę pokrytą lodem. Nawet w bladym świetle niedzielnego poranka wyglądała na zniecierpliwioną. Wydychane przez nią powietrze zamieniało się w obłoczki pary.

– Spóźniłeś się – zwróciła mu uwagę, gdy podszedł.

– Przepraszam. Rano coś mi nie idzie.

Jessica obejrzała go od stóp do głów.

– Włożyłeś marynarkę od garnituru na T-shirt.

Spojrzał w dół.

– Najwyraźniej.

Usiadła za kierownicą. Charlie zatrzymał się, zanim otworzył drzwi i zajął miejsce dla pasażera. Było ustawione pionowo.

– Jak to się... – Rozglądał się, chcąc je trochę opuścić.

– To ta dźwignia nad poduszką lędźwiową. Przepraszam, Wilfred przeważnie lubi takie ustawienie.

Jessica upierała się, że pojedą jej samochodem. Taka ostrożność była całkowicie usprawiedliwiona – stare volvo Priesta nigdy nie było dalej na północy niż w Watford, a on sam wątpił, czy bezpiecznie dowiezie ich do Cambridge.

– Wilfred to twój pies?

– Dlaczego tak sądzisz? – spytała Jessica.

– Jesteś panną, a Wilfred to paskudne imię dla konia. Poza tym konie wolą oparcia pochylone.

Westchnęła.

– Jestem panną?

– Nie masz obrączki – wyjaśnił.

– Mogłabym nie być panną i nie mieć ochoty nosić obrączki.

– Jesteś panną – mruknął Priest. *Widzę też, że nie obraziło cię*

przypuszczenie, że masz konia. – Spytałem dzisiaj rano Terri Wren. Hayley jeszcze się nie pojawiła. Dlatego się spóźniłem.

– Słyszałam wiadomości. Śmierć Philipa Wrena traktowana jest jako samobójstwo. Cierpiał na głęboką depresję. Pogrzeb odbędzie się, kiedy wydadzą ciało. Rodzina założy fundację dla osób umysłowo chorych.

– Bzdury.

– Może. Ale ktokolwiek zabił Milesa, urządził z tego przedstawienie. Po co zmieniać modus operandi i pozorować samobójstwo?

Charlie już przeanalizował możliwości. Wszystkie wydawały się równie mało prawdopodobne.

– Często wybierasz się na przejażdżki z Wilfredem? – zapytał w końcu.

– Jak wystawisz głowę przez okno i zaszczekasz na listonosza po drodze, to będzie dla mnie jak każda inna jazda – powiedziała zjadliwie.

Zatrzymali się po benzynę i Charlie oparł się pokusie kupienia paczki papierosów. Zadowolił się colą. Jessica wzięła kawę. zaproponował, że zajmie się benzyną, a ona spojrzała na niego dziwnie, jakby chciała powiedzieć: „Myślisz, że nie umiem zatankować własnego samochodu?”. Potem siedzieli w milczeniu, aż dotarli do przedmieść Cambridge i wjechali w labirynt piaskowych barokowych domów i wąskich uliczek odstrasających samochody. Studenci w obcisłych dżinsach kiwali się niebezpiecznie na rowerach dokoła nich, gdy oni kierowali się powoli do centrum.

– Kazałem Solly’emu przygotować profil Hayley na podstawie jej aktywności w mediach społecznościowych.

– To raczej nie jest właściwy sposób poznawania kogoś.

– Nie jest.

– I co takiego wydedukował?

Wziął głęboki wdech.

– Jest skryta, religijna, inteligentna, ale towarzysko naiwna. Ma mało przyjaciół, a żaden z nich nie zna jej szczególnie dobrze, i podejrzewam, pomimo jej różnych blogów... które prawdopodobnie pisze dla własnego przetrwania, a nie dla innych... że najlepiej czuje się sama ze sobą. I, jak ty, jest panną.

Zmarszczyła brwi.

Kościół Stworzenia rozpoznali po napisie obiecującym swobodne wejście do Królestwa Niebieskiego dla osób niosących Dobrą Nowinę. W rzeczywistości nie był to w zasadzie kościół, tylko ośrodek stowarzyszający. Według tablicy w holu ostatnie znaczące wydarzenie to nocny wyścig Instytutu Kobiet sprzed dwóch tygodni.

– To wszystko? – spytała Jessica.

– Solly twierdzi, że Hayley kilkakrotnie pisze na blogach o tym kościele.

– Spodziewałam się czegoś więcej...

– Nie wszystkie religie mają środki na budowę katedr, Jessico.

Zmarszczyła nos.

– Kościół z nalewakiem do piwa w recepcji?

– Założę się, że Komunia Święta nie jest tu najbardziej wzbogacającym doświadczeniem.

Budynek był równie podniszczony z zewnątrz, jak i wewnątrz. Pomieszczenie o rozsądnych proporcjach, plastikowe krzesła stojące w jednym kącie, wytarte białe linie na podłodze wyznaczały boisko do badmintonu. W pustej recepcji można było pobrać egzemplarz zamówienia na nabożeństwo albo pół litra ciemnego, mętnego ale – do wyboru.

Z drugiego końca sali doleciał ich czyjś głos. Odwrócili się i zobaczyli mężczyznę w ciemnym garniturze stojącego w drzwiach, które prowadziły do małej kuchni. Mężczyzna był młodszy od Charliego; miał brodę równie ciemną jak ubranie i okulary w grubych oprawkach. Był przystojny, szczupły i pasowałby do sali sądowej, gdyby nie zmartwiona mina i niezdarna postawa. Priest wątpił, żeby w Kościele Stworzenia pojawiała się wiele nieznanomych twarzy, a szczególnie ubranych tak stylowo jak Jessica Ellinder. Charlie nie ogolił się i prawdopodobnie wyglądał bardziej na amatora piwa niż homilii.

– Halo? Mogę w czymś pomóc? – zapytał mężczyzna.

– Nazywam się Charlie Priest; to moja współpracowniczka, Jessica Ellinder.

– Wyciągnął rękę.

Brodaty mężczyzna uścisnął ją mocno.

– Wielebny Matthew – przedstawił się.

– Wielebny? – Jessica wskazała na szyję, gdzie powinna znajdować się koloratka.

Mężczyzna zaśmiał się nerwowo.

– Och, tutaj nie używamy tego rodzaju rzeczy. Jesteśmy sobie wszyscy

równi, kaznodzieja i wierni.

Jessica uśmiechnęła się, a on nieco rozluźnił. Jej uśmiech potrafił to uczynić, kiedy tego chciała.

– Wielebny, chcielibyśmy prosić o pomoc – powiedział Charlie.

– Tak? – Matthew nieco zmrużył oczy, pierwsza oznaka obrony.

– Jesteśmy prywatnymi detektywami – wyjaśnił Charlie. Nie było to całkowite kłamstwo... w zasadzie wielu prawników od spraw cywilnych było nimi.

Matthew zmarszczył czoło.

– Rozumiem.

– Szukamy młodej kobiety. Trzydzieści kilka lat, długie, faliste blond włosy, nieśmiała. Należy do tego kościoła.

– Dużo mamy takich.

– Nazywa się Hayley Wren.

– Tak – mężczyzna przytaknął bez wahania. – Tak, Hayley uczęszcza regularnie. Należy do naszej trzódki. Ma jakieś kłopoty?

– Nie – odezwała się Jessica. – Ale to ważne, abyśmy ją znaleźli.

Wielebny Matthew się zawahał. Najwyraźniej coś rozważał.

– Jak mówi moja koleżanka, to ważne, abyśmy znaleźli Hayley jak najszybciej. Może nam wielebny w tym pomóc?

– Kto was wynajął? – zapytał duszpasterz. Policzki miał zarumienione i teraz wyglądał na bardziej zakłopotanego niż początkowo, gdy stał w drzwiach kuchni.

– Matka Hayley – odparł Priest.

– Hayley... Hayley nie ma rodziców, o ile mi wiadomo. Zginęli w wypadku samochodowym. Tak mówiła. – Matthew wyglądał na zmartwionego.

– Nie – skorygował Charlie. – Jej ojciec jest... był... prokuratorem generalnym.

– Mówiąc szczerze, też tak myślałem – rzekł wielebny, bardziej do siebie niż do nich. – Podejrzywałem, że ma rodzinne koneksje. Była bardzo zamknięta w sobie. Bardzo skryta. Wolała skłamać na temat swojej rodziny, niż przyznać się do czegokolwiek, co mogłoby doprowadzić do zadawania pytań.

– Gdzie ona jest, wielebny? – Priest zaczynał czuć się nieswojo. Zrobił krok do przodu.

Matthew zerknął na Jessicę i z powrotem na Charliego. Najwyraźniej podjął decyzję.

– Wejdźcie – zaprosił.

Wprowadził ich do kuchni, potem otworzył kluczem kolejne drzwi i znaleźli się w swego rodzaju biurze. Stała tam stara kasa obok automatu do gry oraz stół, który zajmował większość przestrzeni. Wszędzie poustawiano popielniczki. Najwyraźniej zakaz palenia nie do końca trafił na to zaplecze Kościoła Stworzenia. Smród był przytłaczający.

– Obawiam się, że stawki czynszu w centrum miasta są wysokie – powiedział Matthew. – Na tyle nas tylko stać. Nie mamy takich źródeł finansowania jak scjentologowie.

– Nie musi wielebny przeproszać – rzekł Charlie. Zajęli miejsca; on i Jessica po jednej stronie stołu, Matthew naprzeciw.

– Czasami wykorzystujemy ten pokój do rytuałów oczyszczania – oznajmił wielebny Matthew.

– Rytuałów oczyszczania? – zaciękała się Jessica.

– Katolicy nazywają to spowiedzią – kontynuował wielebny. – Chociaż nasza wersja bardziej przypomina nieformalną terapię. Wejdź i zdejmij ciężar świata ze swoich barków. Tutaj dajemy radę i wsparcie tym, którzy tego potrzebują. Nie oferujemy pustej idei wybaczenia. Nie promujemy winy jako czegoś dobrego.

Charlie skinął głową. Chociaż Matthew był osobą duchowną, to jednak stąpał po ziemi. W oczach miał prawość, którą łatwo było zauważyć, ale jeszcze coś... płomienny niepokój.

– Czy Hayley kiedykolwiek poddała się tutaj oczyszczeniu? – spytał.

– Tak. Wysłuchałem jej – odparł Matthew niechętnie. – To było chyba tydzień temu. Wtedy w zasadzie po raz pierwszy naprawdę z nią rozmawiałem. Oczywiście, wiedziałem, kim jest. Przychodziła tu co tydzień. Próbowałem nawiązać z nią kontakt, chciałem, żeby się zaangażowała, ale jasno dawała do zrozumienia, że woli siedzieć z tyłu. Woli być jak mebel. Czasami tak się zdarza. Zdziwiłem się więc, kiedy do mnie podeszła. Gdybym miał kalendarz, mógłbym dokładnie wskazać dzień. Wtedy chyba padał śnieg. Niezbyt mocno, prószył. Nabożeństwo dotyczyło nawrócenia... to zawsze trudny temat. Tutaj zajmujemy się nim bardzo ostrożnie. Kiedyś byłem katolikiem. A potem usłyszałem, jak ksiądz w kazaniu wyrażał nadzieję, że terroryści ujrzą światłość Boga i Jezus poprowadzi ich ku prawości, i zrozumiałem, że byłem głupi. Nie różnili się wcale od ekstremistów... ci zadowoleni z siebie wierzący w średnim wieku. Wierzyli w coś. Chcieli, aby

inni wierzyli w to samo. Litowali się nad tymi, którzy tego nie robili. Odszedłem więc z Kościoła katolickiego i Bóg zaprowadził mnie tutaj. A jakie jest lepsze miejsce do rozpoczęcia kampanii przeciw szatanowi niż pośród takich biedaków?! Chodzi o to... że z nawróceniem postępujemy ostrożnie. Nie wpychamy naszej religii innym do gardła. Pamiętam, że Hayley przyszła do mnie po kazaniu, bo było to takie niespodziewane. Zazwyczaj ciągnie się kolejka „życziwych”, a za nimi jeszcze większa wścibskich, którzy twierdzą, że nie robimy dosyć, aby sprowadzić nowych członków do kościoła, kiedy przez godzinę tłumaczyłem im, że naszym przywilejem nie jest rekrutowanie nowych wiernych. To Jego przywilej i tylko Jego. Lecz Hayley wzięła mnie na bok i zapytała, czy przyjmę ją... oczyszczę... od czasu do czasu.

– Jaka się wydawała? – zapytał Charlie.

– Poruszona, zmartwiona. Coś ją kłopotowało na tyle, że zdecydowała się przerwać milczenie. Odprawiłem więc wszystkich innych i przyszliśmy tutaj, do tego biura, aby porozmawiać.

– I co mówiła?

– W sumie niewiele. – Zamilkł i ścisnął grzbiet nosa, próbując sobie przypomnieć. – Zapytała mnie, czy wierzę w zło. Powiedziałem, że tak. Zapytała, czy ci, którzy postępują źle, zostaną osądzeni. Odparłem, że oczywiście. Bóg osądzi każdy uczynek, każdą utajoną rzecz, obojętnie, dobrą czy złą.

– Eklezjasta – mruknął Charlie.

– Tak! Niewielu zna ten konkretny wers! – wykrzyknął Matthew. – Musi pan być uczniem Boga.

Charlie się skrzywił.

– Niezupełnie.

– Proszę mówić dalej – zachęciła go Jessica.

– W każdym razie tak to było – ciągnął Matthew. – Szukała wsparcia w bliżej nieznannej mi sprawie. Nie sędzę, żeby miało to jakiś związek z wiarą w boską wolę. Pewnie sprawdzała, czy może mi zaufać. Nie jestem pewien, ale w taki sposób rozmawialiśmy przez pewien czas. Czy rozumiem strach? Bać się Boga to nienawidzić zła, powiedziałem jej. Ostatecznie przerwałem jej i zapytałem, o co chodzi. Czy nic jej nie dolega? Czy ma jakieś kłopoty? Nic nie odrzekła, ale podała mi coś... kopertę... i wyjaśniła, że ktoś wrzucił ją do jej skrzynki na listy. To było dla niej ważne, chociaż nie rozumiała, co to takiego. Czy ja to rozumiałem? Raczej nie. Ale wiem jedno: wtedy ujrzałem w jej oczach

i wyczułem w głosie przerażenie inne od wszystkich, których byłem świadkiem, więc przykro mi, że od tamtej pory jej nie widziałem.

– Wielebny nie widział jej od tamtej rozmowy? – spytała Jessica. – Mówił wielebny, że uczęszczała co tydzień.

– Tak – odparł z trudem. – Bezsprzecznie, aż do teraz.

– Czy wielebny zrobił coś, aby ją odnaleźć?

– Co mogłem zrobić? Nikt o niej nic nie wie. Nawet nie wiem, gdzie mieszka. Jessica, niezadowolona, pokręciła głową.

– Co było w tej kopercie? – zapytał Charlie.

– Pokażę wam. – Wstał i podszedł do szafy wypełnionej papierami. Pogrzebał wśród nich i po chwili wyciągnął kopertę, którą położył przed Priestem. W środku coś było. Jakieś wyrzucenie. Charlie sięgnął po kopertę i ostrożnie otworzył, a następnie wysypał zawartość na stół.

Zesztywniał cały i przebiegł go zimny dreszcz.

– Przyznam, że nie od razu to rozpoznałem – powiedział wielebny – ale poszperałem i zdaje się, że to jętki, potocznie nazywane jacicami.

Obiecujące słońce, które przywitało ich w Cambridge, szybko blakło i pierwsze krople deszczu zaczęły uderzać w chodnik. Studenci płynący po rzece pospiesznie zakrywali łodzie brezentem. I tak nie był to sezon na rzeczne wyprawy i nawet najdrobniejszy kapuśniaczek zniechęcał gości do spływu rzeką Cam. O tej porze roku w Starbucksie interes szedł znacznie lepiej niż w wypożyczalni łodzi.

Charlie doszedł do wniosku, że Sarah się myliła. Hayley nie wciągnął posępny świat nawiedzonych kaznodziejów. Odnalazła spokój w tym rozpadającym się ośrodku, a wielebny Matthew okazał się dobrym duchownym. Charlie spotkał aż nazbyt wielu oszustów, naciągaczy i innych przestępców, więc z łatwością rozpoznawał osobę uczciwą, gdy ją spotkał. Jessica, która pobladła od momentu, gdy owad spadł na stół, uważała inaczej.

– On nic nie zrobił. Hayley najwyraźniej miała kłopoty, a on nic nie zrobił! – powiedziała.

– Bał się tak samo jak ona. Nie każdy jest bohaterem, Jessico.

– Jeżeli Hayley pojawiała się tylko wśród tych ludzi, to zaginęła przynajmniej przed tygodniem. Wielebny Matthew i jego wymyślony kościół mogli coś zrobić.

– Co niby?

– Przynajmniej zgłosić zaginięcie dziewczyny miejscowej policji. – Zaczynała się denerwować, usiłując włożyć kluczyki do stacyjki, żeby uruchomić range rovera. Wielkie krople deszczu bębniły o dach. Musieli głośno mówić, żeby się słyszeć. – Przepraszam. Ta cała sytuacja jest stresująca.

Wzruszył ramionami, jakby to nic nie znaczyło. I też tak było. Myślał o czymś innym. Próbował przetrwać więcej nowych informacji i zająć się pozostałościami wczorajszego zaćmienia. Chęć złożenia razem ostatnich czterdziestu ośmiu godzin była jak rekonstrukcja dokumentów, które przeszły przez niszcarkę, ale połowy pasków papieru brakowało.

- Jętka... – Jessica odezwała się po chwili.
- McEwen mówił, że znaleźli taką w gardle Milesa.
- Nie rozumiem.
- To symbol.
- Czego?
- Nie wiem.

Co takiego powiedział wielebny Matthew? „Bóg osądzi każdy uczynek, każdą utajoną rzecz, obojętnie, dobrą czy złą”.

Priest wyciągnął telefon z kieszeni i zaczął przeglądać kontakty. Wybrał jeden.

- Co robisz? – zapytała Jessica nieco drżącym głosem.
- Ona mieszkała w pobliżu. Musimy dowiedzieć się gdzie.
- To straszne...

Przez chwilę wydawało się, że Jessica się rozplacze. Położył rękę na jej dłoni. Zesztywniała pod jego dotykiem. Cofnął rękę.

Rozległ się stłumiony głos. Charlie zapomniał o rozmowie telefonicznej. Przyłożył komórkę do ucha.

- Priest?
- Solly?
- Cześć, Priest.

– Może znaleźć adres IP do wpisów na Facebooku, które zamieściła Hayley Wren?

Solly zaśmiał się, chociaż w jego tonie nie było szczerego rozbawienia. Nigdy nie śmiał się naprawdę. Jedynie wydawał dźwięki, które słyszał u innych ludzi, kiedy uznawali coś za śmieszne. Może i był geniuszem, ale niezdolnym do zrozumienia ludzkich emocji. Był żywym androidem.

– Już znalazłem. – Solly podał adres. – Mam ulicę i odpisy z księgi wieczystej dla wszystkich domów przy tej ulicy. Jeden z nich jest zapisany na sir Philipa i lady Wren.

Jessica wpisała adres do nawigacji range rovera i skierowali się na południe przez przedmieścia. Charliego coś piekło w żołądku. Miał złe przeczucie co do Hayley.

– Przestań – poprosiła Jessica. Z początku nie wiedział, o co jej chodzi, aż ruchem głowy wskazała jego nogę, którą stukał w drzwi. – To cholernie denerwujące.

- Przepraszam, czasami tak robię.

Kwadrans później dzwonił do drzwi środkowego późnowiktoriańskiego szeregowca przy ulicy składającej się głównie ze studenckich kwater. Z wysokimi ogrodzeniami i wykuszowymi oknami trochę przypominały dom Sarah.

Nikt się nie zjawiał. Widok przez dziurkę od klucza pokazał stos poczty na podłodze. Woń świeczek zapachowych unosiła się w korytarzu. Charlie spróbował otworzyć drzwi. Okazały się zamknięte na klucz.

– Jak byłeś w policji, to czy w ogóle pukałeś? – spytała Jessica.

– Raz albo dwa.

Rozejrzał się po ulicy. Nikogo nie było. Zbadał drzwi. Drewno było stare; zamek oryginalny. Wiedział, gdzie są wrażliwe miejsca i że dobrze wymierzony kopniak poradzi sobie z zamkiem bez większych kłopotów.

– Cofnij się – polecił.

Zerknął po raz ostatni w górę ulicy, podpierając się dla równowagi o wystającą ścianę, kiedy przez deszcz przedarł się czyjś głos.

– Nie ma jej!

Charlie i Jessica obrócili się i spojrzeli ku górze. Jakiś facet po trzydziestce wychylał się z okna na drugim piętrze w domu obok. Uśmiechał się bezmyślnie od ucha do ucha. Kiedy jego ciało skrywał wiktoriański mur ceglany wokół okna, wyglądał jak kot z Cheshire.

– Nie ma jej – powtórzył.

Priest nie musiał zaglądać mu z bliska w oczy, aby wiedzieć, że ma do czynienia z ćpunem.

– Widział ją pan ostatnio?! – zawołała Jessica.

– Jesteście z policji? – Ćpun starał się przekrzyczeć deszcz.

– Armia Zbawienia! – wrzasnął Priest.

Ćpun pociągnął nosem. Deszcz teraz spływał po jego przetłuszczonych czarnych włosach do pustego korytka na kwiaty na parapecie. Jemu to nie przeszkadzało, a nawet tego nie zauważał. Wtedy zniknął.

Jessica odgarnęła mokre włosy z oczu. Wyglądała na zmęczoną.

– Armia Zbawienia? – powtórzyła sceptycznie.

Priest wzruszył ramionami.

Słysząc było otwieranie drzwi. Ćpun stanął w wejściu, nadal z uśmiechem przyklejonym do twarzy. Miał na sobie koszulkę bez rękawów, która pamiętała lepsze czasy, i workowate drelichy wpuszczone w brązowe buty robocze.

– Armia, mówicie? W zeszłym roku daliście mi sporo butów.

Salon ćpuna wyglądał, jakby eksplodowała w nim bomba. Podłoga była zasypana kulkami z cynfolii, w której, zdaniem Charliego, na pewno nie pieczono ziemniaków.

Charlie przysiadł na pufie. Jessica zrezygnowała z zaproponowanej poduchy siedziska i postanowiła stanąć z boku. Rozejrzała się podejrzliwie, jakby pokój był nawiedzony.

Wkrótce dostali po kubku herbaty ziołowej – rumiankowej dla Jessiki, zielonej dla Priesta z braku earl greya – i suszyli się przed starym kominkiem elektrycznym.

Ich gospodarz przedstawił się jako Binny. Na szczęście bardzo szanował Armię Zbawienia.

– Spotkaliśmy się wcześniej? – zapytał Binny. Spod fotela wyciągnął tacę, na której zaczął zwijać sobie skręta.

– Chyba tak – odparł Charlie z uśmiechem. – Ale dawno temu. Jak ci leci?

– O tak, lepiej – powiedział Binny. – Dostałem pracę w przetwórnicy surowców.

– Słyszałem. Ponoć dobrze ci idzie.

Binny uśmiechnął się szeroko i zapalił skręta. Zapach marihuany dał się wyczuć niemal natychmiast.

– No to czego od niej chcecie? – zapytał Binny w narkotyzującej mgiełce.

– Od Hayley?

– Tak. Od niej.

– Interesowała się, jak zostać żołnierzem Armii.

– Naprawdę? Żartujecie. – Binny wytarł nos grzbietem dłoni.

– Nie sądzisz, żeby był z niej niezły nabytek?

Binny zastanawiał się między kolejnymi sztachnięciami.

– Bo ja wiem. Trzyma się na uboczu. A wy musicie mieć gadane, co nie?

– Kiedy ostatni raz ją widziałeś? – zapytała Jessica.

– Kiedy ostatni raz ją widziałem? – powtórzył z namysłem Binny. – Niech pomyślę. Chcecie trochę zioła? To Purple Haze albo coś innego. Niezbyt silne, ale działa.

– Nie, dziękuję – odparła beznamiętnie Jessica.

– Nie to nie. Dobra, Hayley. Kiedy ostatni raz widziałem Hayley? Ach... chyba z tydzień temu.

– Jak wtedy wyglądała? Zauważyłeś coś niezwykłego?

Binny zrobił skupioną minę, próbując sobie przypomnieć, chociaż zważywszy na sposób, w jaki palił skręta, wiarygodność jego wspomnień była wątpliwa.

– Pojechała samochodem. Patrzyłem przez okno. Lubię tu siedzieć, kiedy sobie palę. Lubię, jak wiatr owiewa mi twarz.

– Zapamiętałeś, jaki to był wóz?

Zastanawiał się chwilę.

– Niezupełnie. Nie wydawał się jakiś ważny.

– O jakiej to było porze? Rano? Wieczorem? – dopytywała się Jessica.

– Hm, skoro wstałem i wyglądałem przez okno, to mogła być dowolna godzina.

– Było ciemno? – zapytała niecierpliwie Jessica.

– Robiło się ciemno. – Po raz kolejny się zaciągnął. – To było po tym, ja ktoś zostawił jej wiadomość.

– Coś więcej – wtrącił Charlie. – Zostawił wiadomość? Jak?

– Zostawił wiadomość.

– Kto?

– Nie wiem. Chyba jej ojciec. Na sekretarce.

Charlie i Jessica wymienili spojrzenia.

– Skąd o tym wiesz, Binny? – spokojnie zapytał Priest.

– Jest na mojej sekretarce. – Binny zorientował się, że to mogło zabrzmieć dziwnie, więc dodał nieco zawstydzony: – Linia telefoniczna nie jest taka tania. Imigranci dostają dobre posady, co nie? Więc podłączyłem się do telefonu obok. I do prądu też. I gazu. Krótko mówiąc, odbieram wiadomości do niej na swojej sekretarce.

– Możesz je nam odtworzyć? – poprosiła Jessica.

Binny wydawał się zaskoczony, że to wyjawienie prawdy nie spotkało się z krytyką i obdarował Jessicę bezzębnym uśmiechem. Wstał i oddalił się ciężkim krokiem. Jessica i Charlie podążyli za nim korytarzem pozbawionym wykładziny, zasypanym reklamówkami pizzerii i starymi katalogami Avon. Binny zlokalizował sekretarkę ukrytą pod stertą żółknących gazet.

Pełen powagi wcisnął kilka guzików.

– Proszę.

Po chwili taśma zafurczała. Priest pochylił się, aby posłuchać. W sekretarce ktoś zdesperowany zajęczał jak potępiona dusza.

– Hayley. Tu tata. Odbierz, jak jesteś... Hayley? Mówiłem ci, żebyś odbierała,

kiedy dzwonię! Komórki też nie odbierasz. Posłuchaj, weź taksówkę na dworzec i wracaj do domu. Teraz. Nic nie pakuj; wracaj natychmiast. Tam u ciebie nie jest bezpiecznie. Muszę... mieć pewność, że nic ci nie jest. Zadzwoń z taksówki. Przepraszam. Zawiodłem cię.

26 marca 1946

Odosobnione gospodarstwo w środkowej Anglii

Pułkownik Bertie Ruck nie mógł zasnąć.

Przywykł do klekotania drzwi, gdy wiatr wpadał przez kominek, i do łagodnego pohukiwania sowy, która nawiedzała nocą stodołę. To jednak nie przez to nie mógł spać. Wina leżała po jego stronie. A może po jej.

Usiadł i potarł głowę, spuścił nogi na podłogę i wciągnął płaszcz na koszulę nocną. Spacer ulży mętlikowi w głowie.

Wziął lampę naftową i wyszedł na schody prowadzące do spiżarni, stamtąd dębowe drzwi wiodły na podwórko. Po przeciwnej stronie adaptowali jedno z zabudowań na małe więzienie. Schneider został przykuty do ściany, ale pomijając tę niedogodność, spał w lepszych warunkach niż jego koledzy lekarze w Norymberdze.

Ruck miał zejść po schodach, kiedy zauważył światło pod drzwiami po drugiej stronie korytarza.

Pokój Ewy.

Zaciekawiony poczekał i nasłuchiwał. Z pokoju dochodziły głosy. Ściszone szepty, szuranie. Więcej niż jednej osoby.

Zaalarmowany pułkownik powiesił lampę w korytarzu i na palcach wrócił do swojego pokoju, gdzie wyciągnął pistolet z kabury. Skierował się w stronę pokoju Ewy, ale zatrzymał go nagły krzyk, który poniósł się korytarzem, krzyk na tyle głośny, że mógł być słyszany po drugiej stronie podwórka.

– Eva! – zawołał.

Rzucił się biegiem ostatnie dziesięć metrów, mocno napał barkiem na drzwi i zawiasy puściły. Wpadł do pokoju z wyciągniętym przed siebie pistoletem.

Widok, jaki zastał, odebrał mu mowę.

Eva stała w rogu pokoju z pobladłą twarzą. Koszulę nocną miała rozdartą z boku, tak że widział jej ciało od biodra do piersi. Na podłodze przy nogach łóżka starszy szeregowiec Fitzgerald rzucał się na podłogę jak opętany, trzymając się za ranę na piersi. Jego karabin leżał obok, bez bagnetu.

Ruck potrzebował chwili, aby zrozumieć to, co widzi. Fitzgerald krzychał i miotał się w konwulsjach.

– Pułkowniku! – wycedził. – Ona... – Wskazał ją.

Ruck zobaczył bagnet w jej dłoni, ostrze splamione krwią żołnierza.

– Co zrobiłaś? – zapytał.

Spojrzała na niego. Nic nie widział w jej zielonych oczach. Ani bólu, ani strachu. Nic.

– Próbował mnie zgwałcić – oświadczyła chłodno.

– To cholerne kłamstwo! – wycharczał Fitzgerald. – Pułkowniku! Ona kłamie!

Ruck opuścił pistolet. Nie wiedział, w kogo ma celować, nawet gdyby miał odwagę go unieść.

– Eva? – odezwał się niepewnie.

– Wszedł do mojego pokoju. Spałam. Przyłożył mi bagnet do gardła i próbował mnie zgwałcić.

Ruck się zawahał.

– Patrz! – krzyknęła, biorąc w ręce rozdartą koszulę, nie krępując się własnej nagości.

– Kazała mi wejść – wydyszał Fitzgerald. – Twierdziła, że muszę. Pułkowniku, musi mi pan uwierzyć!

Fitzgerald zaczął czołgać się po podłodze w stronę Rucka. Z rany leciała krew. Ścisnął miejsce, gdzie przekłuł go bagnet, desperacko próbując zatamować krwotok, ale nadaremnie. Ruck wiedział, że rana jest śmiertelna.

– Eva, spójrz na mnie – polecił jej. – Kiedy nie reagowała, ryknął: – Spójrz na mnie!

Spojrzała. Na jej twarzy były krople krwi; oczy miała mokre od łez.

– Złapał mnie za piersi i przygniótł. Powiedział, że jak krzyknę, to mnie zabije. Potem kazał mi rozłożyć nogi.

– Ty kłamliwa suko – szepnął Fitzgerald.

Ostatnim wysiłkiem sięgnął po karabin. Złapał kolbę i przyciągnął broń tak, że lufa celowała w Evę.

Padł strzał.

Fitzgerald skonał. Ruck opuścił pistolet.
Ze stodoły wyleciała spłoszona sowa.

Jakiś czas później siedzieli w milczeniu. Eva skulona na łóżku Rucka, oplótszy rękami kolana. On przy biurku, wyglądając przez okno. Palił papierosa.

Starał się nie myśleć o łuku biodra widocznym przez rozdartą koszulę. Ona nie starała się go ukryć. Powinien przykryć ją płaszczem. Tak postąpiłby dżentelmen.

Dwaj żołnierze strzegący Schneidera przybiegli pędem przez podwórko na odgłos wystrzału, z odbezpieczonymi karabinami. Ruck polecił im zabrać ciało Fitzgeralda i zakopać w lesie kilometr od gospodarstwa.

– Nie zdradzicie nikomu ani słowa z tego, co tu dzisiaj widzieliście. – Ruck uprzedził pytania. – Człowiek, którego znaleźliśmy jako Fitzgeralda, nigdy nie istniał. Jasne? – Żołnierze skinęli głowami. – W żadnym razie nie sądzicie, że zignorowanie tego polecenia nie będzie miało dla was konsekwencji.

Konsekwencje. Tak, byłyby poważne, ale tym pomartwi się innego dnia.

Zaciągnął się głęboko papierosem, aż żar rozgrzał mu gardło. To mu pomagało przytępić narastający niepokój.

– Dziękuję – nagle odezwała się cicho Eva. Ledwo ją usłyszał.

Odwrócił się do niej. Głowę niemal ukryła między kolanami, obserwowała go jednym okiem. Gdyby nie wiedział, że jest inaczej, przysięgłby, że się śmieje. Miał jej dosyć.

– Powiedziałaś, że cię zaatakował.

– Próbował mnie zgwałcić – odparła tym samym obojętnym głosem jak wtedy, gdy oskarżyła Fitzgeralda, kiedy jeszcze żył.

– Rozumiem. I udało ci się go rozbroić, i dźgnąć bagnetem, który przyłożył ci od gardła?

– Tak.

– Spore osiągnięcie. – Ruck nie wierzył w ani jedno jej słowo. Ale to on zastrzelił Fitzgeralda. *Jaki urok na mnie rzuciła?*

– Nie wiem, jak mi się udało.

Ruckowi niedobrze się zrobiło, gdy usłyszał to kłamstwo.

– Przepraszam – wyszeptała.

– Za co?

– Wykonuje pan tu ważną pracę, a ja tylko przeszkadzam.

Zmrużył oczy. Droczyła się z nim, sprawdzała, jak daleko on się posunie. A on doskonale znał granice własnej wytrzymałości. Kiedy wyczuła, że patrzy na nią, przestała oplatać rękami kolana, zdjęła jedną nogę z łóżka i przesunęła się. Powinien ją powstrzymać, ale tylko obserwował w milczeniu.

Eva uniosła rękę i chwyciła wezglowie łóżka. Przez rozdarcie w koszuli nocnej widział łagodne krzywizny jej smukłego ciała.

Gdy odwróciła głowę, próbował dostrzec jej twarz. Cokolwiek na niej się malowało, nie miała spojrzenia kobiety, która właśnie była świadkiem śmierci człowieka.

– Widziałaś Go? – spytał Ruck przez zaciśnięte zęby.

– Kogo?

– Boga?

– Co pan przez to rozumie, pułkowniku? – zapytała kokieteryjnie, co było całkowicie nie na miejscu.

Ruck poczuł, jak opuszcza go opanowanie.

– Kiedy wbiłaś bagnet w pierś Fitzgeralda i przekręciłaś? Kiedy krzyczał, widząc, jak krew ucieka z jego ciała? Widziałaś Boga?

– Och, pułkowniku, co za niemądre pytanie. – Eva przesunęła ręką po ciele, lekko wypuszczając powietrze.

Było w niej coś zwierzęcego.

– To nie jest realne, panno Miller – burknął. – Nic z tego nie jest realne. Pomysł Schneidera, że każdy może nawiązać połączenie z Bogiem poprzez cierpienie, jest śmieszny. To perwersja, urojenie sączące się z ust zła.

– Och, pułkowniku – powtórzyła. – Mówi pan głupoty. – Położyła sobie rękę na biodrze. Wpatrywała się w niego zielonymi oczyma.

– Musisz mnie posłuchać, Evo. Nie wpuść go.

– Kogo? – zapytała, oblizując językiem wargi.

– Schneidera.

Zaśmiała się.

– Zawsze bardzo uważam, pułkowniku, kogo wpuszczam.

Ruck przełknął ślinę, potem zgasił papierosa. Z trudem się hamował.

Wstała z łóżka, owijając się podartą koszulą nocną. Podeszła do drzwi. Chwyciła klamkę.

– Dobranoc, pułkowniku. Na pewno rano zostanę odesłana gdzie indziej.

Mam nadzieję, że nie sprawiłam zbyt wielu kłopotów.

Szczęknięła zasuwka, Ruck zerwał się na równe nogi i doskoczył do niej. Zatoczyła się do tyłu i upadła na podłogę. Walczyła. Schwyciła go za nadgarstki, wykręcała je, ale czy przyciągała go, czy próbowała zrzucić, nie wiedział i to go nie obchodziło.

Do reszty porwał jej koszulę, pod którą poczuł miękką i ciepłą skórę.

– Pułkowniku – dyszała Eva. – Czekaj... nie!

Mocno trzymała jego prawe ramię, niemal z nienaturalną siłą. Chwyciła jego drugą rękę i pociągnęła w dół, aż palcami natrafił na jej ciepłe i wilgotne wnętrze.

Szarpnęła za sprzączkę jego paska, a on padł na nią. Jęknęła boleśnie, co tylko jeszcze bardziej go rozwścieczyło.

– Nie... – Ugryzła go w ramię.

Ból wstrząsnął jego ciałem jak fala prądu.

– Wiem, że mnie okłamałaś – zasyczał.

Schwyciła go za włosy i jęknęła, gdy wszedł w nią. Czuł smak jej wilgotnej skóry, woń jej potu.

– Chcesz zobaczyć Boga? – wydyszał Ruck.

– Pokaż mi... – Chwyciła go za kołnierz, drapała mu plecy. – Pokaż...

Wciągała go coraz głębiej.

Georgie siedziała przy biurku w domu nad parującym kubkiem zupy błyskawicznej, którą właśnie sobie zrobiła. *Krem ze szparagów*. Przynajmniej tak obiecywano na opakowaniu. Spędziła dzień w biurze, próbując nadgonić papierkową robotę i porządkując kilka mniejszych spraw, które wzięła kancelaria Priesta. Mogły poczekać, ale musiała czymś wypełnić czas poza czytaniem o piętnastowiecznych tyranach. *Przepraszam, Wład, ale chwilowo mam cię dosyć*.

Minął kolejny dzień pełen rewelacji. Kiedy mieszała cukier w trzeciej latte, zadzwonił do niej Charlie z Cambridge. Pojechał tam z Jessicą Ellinder, a myśl, że są razem, trochę ją niepokoiła. *Chociaż, oczywiście, to nie ma żadnego związku ze mną*. Zresztą wątpiła, żeby Jessica była w jego typie. Nie znaleźli Hayley, ale odkryli związek między jej zniknięciem a śmiercią Milesa Ellindera. Pocztą przesłano jej jętkę, którą według McEwena znaleziono też w gardle Ellindera.

– Wizytówka mordercy? – zasugerowała Georgie. Bardzo starała się ukryć w głosie ekscytację.

– Chyba coś w tym rodzaju, Georgie – odpowiedział Charlie. – Mogłabyś przynajmniej postarać się okazać zainteresowanie?

Niewątpliwie Georgie była zainteresowana. Dziewczyna miała kłopoty. Policja, a szczególnie detektyw McEwen, zupełnie się nią nie interesowali. Popełniono rytualne morderstwo, a Charlie Priest jechał teraz z Jessicą Ellinder do jej rodzinnego domu pod Londynem.

Miała nadzieję, że nie spędzi tam nocy.

Pokój Georgie na ostatnim piętrze był najmniejszy, ale miała najmniej rzeczy, a w ramach rekompensaty jej okno wychodziło na Tamizę. Latem mogła obserwować ruch na rzece – przerobione łodzie rybackie wożące turystów, osady wioślarskie pokonujące nurt z zaskakującą prędkością; odbicie w tafli zakłócały przepływające statki, jakby malarz przetaił pędzlem

powierzchnię płótna.

Georgie poczerwieniała z ekscytacji, gdy siedziała przy biurku, zawzięcie notując to, co Charlie mówił. Dostała nowe zlecenie. Miała pojechać do lady Wren i spróbować zrobić zdjęcia w gabinecie sir Philipa Wrena, chociaż Charlie nie wyjaśniał do końca dlaczego. Przekazał jej plan; łatwo to nie pójdzie, ponieważ policja niewątpliwie nadal pracowała w domu Wrenów, ale zamierzał zadzwonić i poinformować Terri. Znaczenie tego zadania zmroziło Georgie. To był jej moment.

Potrzebowała czegoś, aby przenieść swoje rzeczy, ale nie miała torebki. Nie знаła innej kobiety, która nie miała ani jednej torebki. Pozostawały kieszenie. Rzeczy osobiste nosiło się w kieszeniach. Torebki należało dopasowywać do strojów, czego Georgie nie robiła. Mira miała szafę pełną torebek. Li pewnie gdzieś magazynowała swoją kolekcję. Mogła pożyczyć jakąś... od Li, rzecz jasna nie od Miry... ale nie miała ochoty rozmawiać z którąkolwiek ze swoich współlokatorek.

Wzięła notes, pióro i dodatkowy wkład, pięćdziesiąt funtów i telefon.

W korytarzu zauważyła, że drzwi Martina są zamknięte. Zza nich dochodziło ciche dudnienie muzyki. Szybki i powtarzający się rytm. Nie w jego stylu, pewnie Mira – pomyślała. To naprawdę bez znaczenia.

– Georgie!

Przez jeden okropny moment myślała, że woła ją Mira.

– Zepsuła mi się suszarka – oznajmiła Li ze smutną miną.

– Mam suszarkę, ale nie jest za dobra – przyznała Georgie. – Ale przynajmniej rozpakowana.

– Mogę pożyczyć? Przepraszam, pewnie wiszę ci czynsz za to wszystko, co pożyczam.

– Jest w szufladzie w nocnym stoliku. – Georgie rzuciła jej klucz.

– Dzięki. – Li się uśmiechnęła.

– Później odbiorę klucz. Będziesz wieczorem? – zapytała Georgie.

– Może będzie u mnie facet, ale nie martw się, tylko wpierw zapukaj. Wychodzisz na cały wieczór? Masz randkę czy coś?

– Myślisz, że na randce robię notatki?

– W zasadzie to tak.

– Hm. To nie jest zły pomysł.

Georgie pomachała jej, a potem zbiegła schodami na ulicę, nie dając Li szansy na odpowiedź. Rzeka wyglądała posępnie i mniej przyjaźnie niż w inne

dni.

Li patrzyła, jak Georgie znika na schodach, i poczekała, aż zamkną się drzwi frontowe.

Bardzo dziwnie chodzi. Li uderzyło, że Georgie Someday nie ma pojęcia, jak się właściwie poruszać. *Ta dziewczyna ma problemy z pewnością siebie.* Akurat zupełnie niepotrzebnie. Była całkiem ładna; żeby jeszcze przestała ubierać się jak misjonarka. Zdecydowanie znalazłaby sobie kogoś lepszego niż tego idiotę Martina. Dlaczego Georgie w ogóle nim się interesowała, to tajemnica, chociaż Li podejrzewała, że to coś bardziej skomplikowanego.

Minęły dwa lata, odkąd Martin próbował wetknąć swój język do gardła Li. Nie próbował powtórzyć tego zabiegu – niemal stracił wtedy język.

Li przyjęła już wiele lat temu, że jej ojciec Anglik i mama Japonka namieszali jej w głowie, pozostawili ją rozdartą między dwiema kulturami, a z żadną z nich nie czuła się mocno związana. Mogła stać się taka jak Georgie, gdyby kierowała się ambicją, karierą i intuicją. Zaczęłaby od miejscowej firmy jako pracownik kancelarii i została młodszym wspólnikiem przed trzydziestką, lecz zamiast tego była dziewczyną do towarzystwa.

Panią White poznała na przyjęciu, zanim rocznik 2013 z Oksfordu przeniósł się do Londynu. Bodaj tej samej nocy Li wysłała Martina na nocny dyżur lekarski, żeby połatali mu usta. Pani White była niezwykłą kobietą. Dobięgała sześćdziesiątki, a biodra miała tak kształtne, że niejedna modelka by jej pozazdrościła. Li miała na sobie wyjątkową białą suknię od Jovani, która wyraźnie kontrastowała z jej mahoniową karnacją. Dobrze pamiętała to spotkanie.

– Ojej, ojej – odezwała się pani White, gdy barman popchnął koktajl w stronę Li. – Piękna sukienka.

– Dziękuję.

– Proszę mi powiedzieć, moja droga, jest pani studentką czy bardzo młodą wykładowczynią?

Pani White przywykła dostawać to, co chciała. A teraz chciała Li. Z kolei Li odkryła, że jest dziewczyną, która za pięćset funtów z radością pozwoli przypadkowemu biznesmenowi po czterdziestce dotknąć swoich cycków. A kiedy brała takie pieniądze, nie musiała tego robić w każdą noc, nawet nie

raz w tygodniu. Ale gdy pani White dzwoniła do niej z informacją, że ma klienta: „To miły facet, moja droga. Sześćdziesiąt dwa lata i pewnie nawet nie ma erekcji, ale jak pozwolisz mu się pomacać, to zapłaci podwójnie”, wtedy Li była dostępna.

– Li, zawsze byłaś moją najlepszą dziewczyną – powiedziała jej raz pani White. – To przez ten orientalny wygląd i piegi. Stare dranie wariują na twoim punkcie. Gdybyś miała trzy pochwy i wstrzymywała oddech na godzinę, nie potrzebowałabym żadnej innej dziewczyny!

Li uśmiechnęła się, kiedy weszła po schodach do pokoju Georgie. Zdziwiła się, że Georgie zostawiła jej klucz. Dokąd tak bardzo się spieszyła tego wieczoru? Może dawała temu swojemu seksownemu szefowi. Li widziała, jak Georgie się zarumieniła, kiedy on się zjawił w barze poprzedniej nocy... i czemu nie? Był bardzo przystojny i sądząc po szerokości barków, sporo czasu spędzał na siłowni.

– Dobrze by jej zrobiło – powiedziała do siebie, otwierając drzwi.

Pokój pachniał Georgie. To nie był zapach niemiły, ale zapach człowieka. Nie jak w pokoju Li czy Miry, które czuć było lakierem jak u manikiurzystki. W kącie stał laptop, ale Li nie przysła tu myszkować. Potrzebowała suszarki. Ale pójdzie po nią powoli... bez pośpiechu.

Na czterech regałach stały książki, Li pamiętała większość z nich z czasów studiów. Niektóre nawet do niej należały, Georgie chętnie je przyjęła, kiedy Li uznała, że nierząd jest bardziej popłatny niż praworządność. Przeróżne przedmioty, żadnej wyraźnej specjalizacji. Li wiedziała, że od niej więcej miejsca w głowie na wiedzę ma tylko Georgie.

Nie było żadnego ołtarzyka poświęconego Martinowi. Szkoda. Nie żeby Li podniecał czyjś ból, ale miała chociaż nadzieję na kosmyk jego włosów, może skarpetę. Czyli dziwactwo Georgie miało granice.

Na stoliku leżała jakaś poczta. Trzy listy... dwa z reklamami i coś jeszcze.

Dziewczyno, przysłaś tu po suszarkę. Lecz Li już dotykała nierówności koperty. Czy to faktura z Avonu? Używa ich kosmetyków? Ile ona ma lat, pięćdziesiąt?

Coś jeszcze. Koperta z nazwiskiem Georgie i adresem wypisanym wyblakłym niebieskim atramentem, ale bez znaczka. Ktoś musiał wsunąć ją do skrzynki przy wejściu do budynku. Zaintrygowana Li lepiej przyjrzała się kopercie. Coś było w środku, coś grudkowatego. Z jednego końca zamknięcie się odkleiło. Li potrząsnęła kopertą i coś wypadło na stolik.

Li zmarszczyła czoło. Nie podniosła tego, co wypadło. Z obrzydzeniem odłożyła kopertę. *Po diabła ktoś przysłał Georgie zdechłego owada?*

Dower House spełniał wszystkie oczekiwania Priesta do momentu, aż go rozczarował. Podjazd wił się pośród kęp drzew, skręcając ostro jedynie po to, aby front domu nie był widoczny od ulicy. Białe kolumny wznosiły się po obu stronach dębowych drzwi zdobnych w misternie rzeźbione liście i oplatającą je winorośl. Fronton zdobiła czerwono-niebieska tarcza – prawdopodobnie herb rodziny. Dom pochodził z początku dwudziestego wieku. Rzędy okien o białych ramach odznaczały się od czerwonej cegły, co stwarzało wrażenie, że było więcej pokoi niż w rzeczywistości.

Deszcz ustąpił, ale Charlie mocno otulił się kurtką, gdy szli po żwirze do głównych drzwi. Kiedy znaleźli się przy schodach, Jessica odwróciła się do niego, ale włosy częściowo zasłaniały jej twarz, więc nie widział jej miny.

– Powinam cię ostrzec – powiedziała poważnie. – Moja siostra wróciła ze Stanów. Przyleciała, gdy tylko dowiedziała się o śmierci Milesa.

– Dlaczego musisz mnie ostrzec?

Jessica kaszlnęła i zadrżała na zimnie, zanim chwyciła klamkę i pchnęła drzwi frontowe. Przywitał ich powiew ciepłego powietrza.

– Ona jest prawnikiem korporacyjnym i doradza firmom amerykańskim w kwestiach prawa brytyjskiego. Jest piękna.

Kilka chwil później znalazł się w przestronnej kuchni lśniącej od nowych sprzętów. Sprawiała wrażenie wiejskiego domostwa, ale widać było, że rustykalne wykończenie to kosztowne naśladownictwo.

– Mogłaś zadzwonić wcześniej. – Wysoka, krucha kobieta wstała od stołu. Pocałowała Jessicę w oba policzki. Skłoniła się krótko Charliemu, zanim odwróciła wzrok.

– Przepraszam, mamu, nie było czasu. Pozwól, że przedstawię...

– Wiem, kto to jest, Jessico. Herbaty, panie Priest?

Charlie przyjął filiżankę i przestąpił z nogi na nogę. Atmosfera była ponura. Nie miał prawa tutaj przebywać. Rodzina była w żałobie.

– Przepraszam, że się narzucam – odezwał się. – Wiem, że to dla państwa trudny okres.

– Proszę mi mówić Lucia – rzekła ze smutkiem pani domu.

Otworzył usta, nie wiedząc, co powiedzieć, ale na szczęście pojawił się Kenneth Ellinder, dzięki czemu nie popełnił żadnej gafy.

– Jessie! – Starszy mężczyzna objął córkę na moment. – Jak cudownie. I pan Priest. Miło was widzieć.

– Chcieliśmy ci przekazać wiadomości, tato.

– Oczywiście, oczywiście. Ale jest późno, a na pewno jesteście bardzo głodni. Zjecie z nami kolację? Panie Priest?

Była to ostatnia rzecz na świecie, której teraz pragnął Charlie. Czuł się, jakby tonął. Ogarnęło go wstrętne poczucie bezradności, chciał walczyć, aby wydostać się na powierzchnię. Lecz Jessica wyglądała na zmęczoną, a jej ojciec mu płacił, dlatego uległ. Gdy Kenneth Ellinder poprowadził go przez podwójne drzwi, dostrzegł spojrzenie Lucii Ellinder. Nie był tu mile widziany.

Jadalnia była słabo oświetlona, ale nawet w tym półmroku Charlie dostrzegł mierzących go spojrzeniem kilkanaście par oczu – przeróżni zmarli członkowie rodu Ellinderów, uwiecznieni na płótnie według różnego stopnia zasług.

– To jest z dziewięćdziesiątego trzeciego – wyjaśnił Kenneth, spoglądając na butelkę wina. – Dziewięćdziesiąty piąty jest bezsprzecznie lepszy, ale nie mogę znaleźć ani kropli w piwnicy. – Nalał pąsowy płyn do kieliszka Charliego, który odparł:

– Dziękuję. I tak bym nie rozróżnił.

Priest poczuł ruch gdzieś z tyłu i miejsce obok niego zostało z wdziękiem zajęte.

– Spóźniłaś się, Scarlett – zauważył Kenneth, chociaż nie wydawał się zbyt poruszony.

– Przepraszam, tato.

Scarlett Ellinder była kilka lat młodsza od Jessiki, wysoka i elegancka, o pięknych, brązowych oczach. Poruszała się z niezwykłą precyzją – jakby każdy ruch został zaplanowany wcześniej. Miała też wygląd matki i rysy twarzy ostrzejsze niż Jessica. Scarlett brakowało jednak twardości, która była

od Jessiki i jej matki. Oczywiście miała jasne i wesołe, uśmiech szczery; to, jak opierała dłonie o stół i pochylała się do przodu, sugerowało, że może w bardziej intuicyjny sposób rozumieć ludzi niż jej starsza siostra.

– Pan to zapewne Charlie Priest – powiedziała, podając mu rękę.

– A pani to Scarlett. – Odwzajemnił jej uśmiech. Czuł, jak gniewne spojrzenie Jessiki wypala mu dziurę w karku. Zauważył, że siostry nie zwracają na siebie uwagi.

– Pan pozwoli, panie Priest – odezwał się Kenneth Ellinder, nalewając Scarlett kieliszek wina – że wyrażę swoje zadowolenie, że w końcu zgodził się pan przyjąć nasze zlecenie dotyczące śmierci Milesa.

– Panie Ellinder, pańska córka ma dar przekonywania.

– Tato, dotyczące zabójstwa Milesa, nie jego śmierci – poprawiła go cicho Jessica.

– Proszę, nie przedłużaj niedoli starca. Jakież postępy? – zapytał Kenneth, ignorując uwagę Jessiki.

Charlie zastanawiał się nad odpowiedzią. Jakież postępy? Rzucił spojrzenie Jessice. Kenneth Ellinder nadal pozostawał niedoinformowany. Jak dużo jej ojciec miał wiedzieć?

– Jest zbyt wcześnie, aby cokolwiek twierdzić – ze spokojem odparł Charlie.

– Mam kilka poszlak, ale...

– Daj im szansę, tato – odezwała się Scarlett. – To nierozsądne, że domagasz się postępów w śledztwie tak wcześnie. Bądźmy realistami. Mogą minąć lata, zanim dowiemy się, co tak naprawdę przytrafiło się Milesowi.

Scarlett spojrzała na Charliego i znowu się uśmiechnęła. On z wdzięcznością skinął głową.

– Tato, prokurator generalny nie żyje – oświadczyła Jessica.

Kenneth pochylił głowę.

– Słyszałem. Bardzo smutne, ale jaki to ma związek z...

– Czy znał pan sir Philipa? – przerwał mu Charlie.

– Znałem, jak pański ojciec oczywiście, chociaż pewnie znał Wrena lepiej ode mnie. Philip Wren był honorowym człowiekiem. Rozumiem, że przeżywał duży stres, ale żeby odebrać sobie życie...

– Nie sądzę, aby Philip Wren popełnił samobójstwo. – Charlie upił kolejny łyk wina, które według niego nie miało smaku.

Ellinder zmarszczył brwi.

– Co pan mówi?

– Właśnie to. Śmierć Philipa Wrena to nie samobójstwo.

– Skąd pan wie? – spytała Scarlett, pochylając się do przodu i wytrzymując jego spojrzenie.

– Byliśmy tam, Scarlett – wtrąciła Jessica ostrzegawczym tonem.

– Policja... – zaczął Ellinder.

– Śledztwem kieruje inspektor McEwen – wszedł mu w słowo Charlie.

Ellinder uderzył pięścią w stół.

– Ten człowiek to niekompetentny błazen! Cholera, dlaczego zaangażowali go w sprawę śmierci Wrena? Powinien dochodzić, co stało się z moim synem!

– Co więcej, istnieje inne powiązanie między śmiercią Milesa a sir Philipa – dodał Priest.

– Niemożliwe! – wykrzyknął Kenneth.

U szczytu stołu Lucia Ellinder poruszyła się na krześle i jęknęła.

– Sir Philip ma córkę imieniem Hayley – kontynuował Priest. – Najwyraźniej zaginęła. Odjechała nieznanym samochodem kilka dni temu. Właśnie wróciliśmy z Cambridge, gdzie ona mieszka. Myśleliśmy, że ją tam znajdziemy.

Ellinder zmrużył oczy.

– I to wiąże się z Milesem, bo...?

– W Cambridge nawiązaliśmy kontakt z kościołem Hayley. Przed zaginięciem Hayley przysłano jej pocztą martwego owada. Takiego samego, jakiego znaleziono w gardle Milesa. Jętkę.

Kenneth Ellinder ostrożnie odstawił kieliszek na stół. Charlie wyczuwał na sobie naganne spojrzenie zarówno żywych, jak i zmarłych.

– Czy to coś panu mówi? – zapytał Ellindera.

Starszy mężczyzna siedział posępnie przez chwilę, pocierając palcami kieliszek. Priest wstrzymał oddech.

– Nie – odpowiedział w końcu. – Nic mi to nie mówi.

Jakiś czas panowała cisza, aż Lucia gwałtownie odepchnęła krzesło, przewracając kieliszek i rozlewając wino na stole.

– Lucia! – zawołał za nią mąż.

Charlie usłyszał trzaśnięcie drzwiami.

W taksówce Georgie myślała o tym, co powiedzieć, kiedy zastuka do drzwi Wrena, ale teraz, gdy stała na podjeździe i zbliżał się do niej policjant, jej plan nie wydawał się tak wspaniały. *Ten plan opiera się na kłamstwie. Naprawdę nie umiem kłamać...*

– Czy mogę pani pomóc? – zapytał policjant, ustawiając się między nią a domem.

– Tak – odparła Georgie.

Zapadła chwila ciszy; wtedy funkcjonariusz wzruszył ramionami.

– I?

– Och, przepraszam. – Georgie poczuła, jak się rumieni. Nawet na przejmującym zimnie robiło jej się gorąco. – Powinnam powiedzieć. Jestem z zakładu pogrzebowego Pipes & Cooper.

Policjant obejrzał ją podejrzliwie od stóp do głów.

– Nie wygląda pani na pracownika zakładu pogrzebowego.

Zawahała się.

– Jestem praktykantką – zaryzykowała.

To najwyraźniej poruszyło jakąś czułą strunę, bo policjant podrapał się po brodzie. Trafila.

– Przepraszam – powiedział zażenowany. – W dzisiejszych czasach trzeba uważać. Zdziwiłaby się pani, ilu reporterów wymyśla jakieś historyjki, żeby zdobyć dobry materiał.

– Nic się nie stało – odparła Georgie.

Kilka chwil później otworzyły się drzwi i pojawiła się w nich poważna twarz. Georgie uśmiechnęła się jak najmilej.

– Ta pani jest z Pipes & Cooper – wyjaśnił policjant. Ani jeden mięsień nie drgnął na poważnej twarzy, nie padła też żadna odpowiedź. – Z zakładu pogrzebowego.

– Jeszcze przez tydzień miał nikt od nich nie przychodzić. – Georgie czuła,

jak uchodzi z niej pewność siebie. Policjant rzucił jej oskarżające spojrzenie. *Mówiłam, że nie umiem kłamać.*

– Lady Wren prosiła, aby przyjść wcześniej – wymyśliła Georgie. To była jej ostatnia szansa, a z kwaśnej miny gliniarza trudno było cokolwiek wyczytać. Georgie zastanawiała się, czy przechytrzy policjanta, kiedy gdzieś z wnętrza dobiegł głos.

– W porządku, Sissy. Wpuść ją.

Georgie miała zrozumienie dla straty. Pamiętała swój dom, kiedy przepełniał go żal po śmierci ojca. Jak wydawało się, że wszystko jest gotowe rozsypać się przy najłżejszym powiewie. Taka sama atmosfera panowała w pokoju, w którym zastała Terri Wren skuloną w skórzanym fotelu, z kolanami okrytymi wełnianym kocem.

Sissy, pochmurna niczym chmura gradowa, wprowadziła Georgie i wskazała jej miejsce. Była poważną kobietą pod sześćdziesiątkę i wyglądała jak surowa nauczycielka. Przedstawiła się jako siostra Terri.

– Mam zostać? – spytała Sissy, rzucając Georgie niechętnie spojrzenie.

Terri wyglądała trwożliwie przez okno, jakby na zewnątrz dostrzegła coś lub kogoś. Sissy zakasłała i Terri podniosła wzrok, wprost na Georgie.

– Nie, Sissy. Dziękuję.

Sissy skinęła głową, ale zanim wycofała się z pokoju, szepnęła Georgie do ucha:

– Pięć minut, moja droga. Nie więcej.

Georgie raz za razem zakładała nogę na nogę, próbując znaleźć wygodną pozycję na kanapie.

– Jestem wdzięczna, że zgodziła się pani ze mną porozmawiać, lady Wren. Wiem, że to dla pani ciężki okres.

– Naprawdę? – Uniosła kąciki ust, ale smutne oczy nie zdradzały, że faktycznie się uśmiecha. – Wątpię, moja droga.

– Charlie mnie przysłał – wyjaśniła Georgie.

– Wiem. Zadzwoił i powiedział, abym się ciebie spodziewała. Gdybyś nie była od niego, nie wpuściłabym cię.

– Dziękuję. Naprawdę przepraszam, że przeszkadzam.

Terri zmarszczyła brwi, jakby coś ją bolało.

– Czego chcesz?

Georgie zastanawiała się, czy powinna wyjąć notes, czy może Terri uzna to za brak szacunku. W końcu zostawiła go na miejscu. Za sobą usłyszała

trzeszczące deski podłogi. Najprawdopodobniej Sissy czaiła się w holu.

– Czy były jakieś wiadomości od Hayley?

Terri westchnęła.

– Nie. Ale zjawi się... zawsze się zjawia.

– Na pewno?

– Na pewno, moja droga.

– Zanim... – Georgie przełknęła ślinę. Nagle poczuła się bardzo nie na miejscu. – Zanim sir Philip umarł, przysłał Charliemu list z wiadomością, że wysłał mu na domowy adres pendrive z informacjami. Wie pani coś o tym?

– Nie – żałośnie odparła Terri.

– Nie prosił pani, aby wysłała coś w jego imieniu?

– Mówiłam, że nie.

– Przepraszam.

Terri wydeła usta, założyła ręce na piersi. Wpatrywała się jak zahipnotyzowana w podłogę.

Nie jest dobrze. Po chwili wahania Georgie powiedziała:

– Zastanawiam się, czy...

– Mogłabyś zobaczyć jego gabinet? – zapytała Terri.

– Tak.

Jakby znikąd pojawiła się Sissy i zaprowadziła Georgie do domowego biura prokuratora generalnego.

– Tym razem dwie minuty, moja droga – wyszeptała Sissy. – Odliczam. I pod żadnym pozorem niczego nie dotykaj.

Georgie weszła ostrożnie do pomieszczenia. Gabinet był jak każdy inny. Biurko, szafki, wentylator. Zrobiła telefonem zdjęcia pod różnymi kątami, starając się wszystko uchwycić. Nie miała pojęcia, czego szuka, więc starała się sfotografować jak najwięcej. Charlie dokona reszty.

Sissy zniknęła, ale Georgie wątpiła, żeby odeszła daleko. Biurko było puste, jeśli nie liczyć bibuły i kilku wiecznych piór. Żadnego komputera. Domyśliła się, że został zabrany jako dowód. Zrobiła zdjęcia biurka mimo to, a szczególnie odcisk stopy na krawędzi. Wydało jej się dziwne, że był tak dokładnie ustawiony, jakby... *Nie, to nieważne.*

Zastygła i nasłuchiwała. Cisza. Żadnych kroków na zewnątrz. Pociągnęła jedną z szuflad. Zamknięta. Kolejna. Także zamknięta. W tej coś zagrzechotało, głośniejszy, niżby chciała. Trzecia szuflada od góry także była zamknięta. Szafa na dokumenty również wyglądała na niedostępną.

Straciła nadzieję. Zdjęcia i krótka rozmowa. Wyjątkowo przeciętny rezultat, biorąc pod uwagę ryzyko, jakie poniósł Charlie, wprowadzając ją tutaj. Na myśl, że go zawiedzie, zrobiło jej się niedobrze.

Spojrzała na biurko – zaklinała je, aby zdradziło jej tajemnicę. Wtedy zauważyła coś dziwnego – były trzy szuflady, ale cztery rączki. Zajęło jej sekundę, zanim się zorientowała, że górną rączkę przytwierdzono do wysuwanego pulpitu. Pociągnęła za uchwyt. W wąską przestrzeń zostały wepchnięte jakieś papiery. Na pierwszy rzut oka raport policyjny.

Usłyszała ruch w korytarzu. Zamarło jej serce.

– Czas minął, moja droga! – zawołała Sissy.

Georgie wepchnęła papiery do kieszeni płaszcza.

– Idę!

Pod jednym względem kolacja w Dower House odniosła umiarkowany sukces, przynajmniej Charlie się przekonał, że reakcja Kennetha Ellindera na jętkę znalezioną w kościele Hayley Wren była szczerą. Poza tym mięso było rozgotowane, a bezpośredni kontakt z domową atmosferą rodziny Ellinderów powodował, że czuł się niezręcznie.

Ciekawe, czy stary wie więcej, niż chce zdradzić?

Charlie wyszedł spod prysznic i owinął ręcznik wokół pasa. Przydzielono mu pokój w skrzydle dla gości, na tyłach domu, z małym gabinetem, garderobą, dwuosobową sypialnią wyposażoną w prześwitne łożo z baldachimem i łazienkę. Prysznic zapewnił mu przyjemne wytchnienie – po raz pierwszy od kilku dni poczuł, że w końcu porządnie się wyśpi.

Scarlett Ellinder jest zdecydowanie inna. Ona i Jessica całkowicie się różnią.

Załatwił się, przepłukał usta płynem, który znalazł w szafce nad umywalką, i przyjrzał się sobie w lustrze. Oczy miał podkrążone, a zarost zamienił się już w brodę.

Znieruchomiał, gdy usłyszał cichy odgłos naciskania klamki. Sypialnia znajdowała się na parterze, z wykuszowymi oknami wychodzącymi na taras. Czy to klamka w drzwiach, czy w oknie?

Drzwi do łazienki były uchylone. Priest podszedł po kaflach jak najciszej i zajrzał przez szparę w drzwiach. Nie widział nawet połowy pokoju, ale nie było żadnego intruza. Zamarł i rozglądał się za czymś, co mógłby wykorzystać jako broń. Tym razem nie było pałki na stole gotowej do użycia.

Pchnął drzwi mocniej, podnosząc rękę na wypadek, gdyby ktoś za nimi stał. Okazało się, że rzeczywiście usłyszał naciskanie klamki, ale w drzwiach, nie w oknie.

Jessica opierała się plecami o drzwi, ubrana w czarny jedwabny szlafroczek, a wzrok miała skierowany w punkt za nim.

– Jessica – powiedział cicho.

W milczeniu przeszła przez pokój i Priest przez chwilę myślał, że przeniknie przez niego jak duch, który na krótko zabłądził w realnym świecie i zaraz rozplynie się w powietrzu, ale nagle się zatrzymała. Ich spojrzenia spotkały się na krótko. Pachniała lawendą.

– Przepraszam, że moja mama tak wyszła.

– To nic, naprawdę. Jesteście w niewyobrażalnym stresie.

– Z zasady nie podchodzi... emocjonalnie. To trudne... widzieć ją w takim stanie.

– Z pewnością.

Przyglądała się jego ciału, a to, że był prawie nagi, najwyraźniej jej nie przeszkadzało. Nagle sięgnęła i chwyciła go za rękę; przyglądała się oparzeniu na nadgarstku. Przez chwilę trzymała jego rękę w dłoni, czasami zmieniając kąt, sprawdzając każdy szczegół wokół rany.

– Bolało?

Przełknął ślinę. Już czuł, że serce bije mu coraz szybciej, jego ciało reagowało na jej dotyk, ale w sposobie, w jaki zadawała pytania, zauważył coś dziwnego, bo odpowiedź powinna być oczywista. *Czy bolało?* Jego wzrok podążył wzdłuż jej ręki do ramienia i dalej, do szyi. Koszulka podkreślała kształty. Miała duży dekolt i odsłaniała dosyć, aby wyobrazil sobie, że pod spodem jest tylko piękna skóra. Poczuł, jak opływa go ciepło, gdy pod rącznikiem zeszywniał.

– Jessica... – zaczął. Zamierzał ją powstrzymać, odsunąć jej dłonie, ale pod wpływem dotyku jej palców przeszył go prąd. Ujęła go za nadgarstek, wywołując szarpnięcie bólu, o czym musiała wiedzieć, i przyciągnęła jego rękę tak, że położył dłoń na jej nagim dekolcie.

– Jessico, zaczekaj.

Westchnęła ciężko, gdy ich ciała się zetknęły, i przyciągnęła go bliżej. Poły szlafrocza się rozsunęły i ujął w dłoń jej pierś, później spotkały się ich usta, wpierw ostrożnie, potem trochę pewniej. Całowali się łakomie, a Charlie poczuł, że jego opanowanie słabnie, gdy głębiej wepchnęła mu język w usta, a potem wolną ręką chwyciła rącznik i odrzuciła go na bok. Zalała go fala oszołomienia, a gdy oplotła nogą jego biodro, poczuł, że ma potężną erekcję.

– Nie po to tutaj przyszłam – wydyszała, gryząc go w szyję i pchając w stronę łóżka.

– Cholera, ale z ciebie kłamczucha – wysapał.

Charliemu łomotało serce. Przez chwilę myślał, że może mówić mu prawdę,

gdy nagle go pchnęła, wbijając paznokcie w jego ramiona i rozcinając skórę. Znowu spróbował ją pocałować, ale zanurkowała pod nim i pociągnęła go na siebie

– Jessico, czekaj!

Następnie ustawiła go bokiem i obróciła tak, że znalazła się na górze. Pospiesznie podciągnął się w górę łóżka, a ona za nim, dosiadając go i zrywając z siebie szlafrok. Przygwoździła go, tak że niemal nie mógł się ruszyć.

– Na pewno wiesz, czego chcesz? – zapytał, dysząc.

Uśmiechnęła się znacząco, hipnotycznie, zanim chwyciła jego sterczącego penisa i wsunęła w siebie, wydając jęk rozkoszy i wprowadzając go jak najgłębiej. Wierciła się na nim, jęcząc cicho. Skupił się na jej twarzy, na zamkniętych oczach. Gładził jej biodra, talię i piersi.

Gdy rytm ruchów przyspieszył, a jęki przybierały na sile, przyciągnął jej głowę i zaczął całować Jessicę po twarzy. Wyczuwał narastające crescendo aż do punktu, kiedy ich symfonia wybuchnie orgazmem.

– Na pewno wiesz, czego chcesz? – wyszeptał bez tchu.

Przez moment stękała sfrustrowana jak zwierzę. Kilka kolejnych, cudownych pchnięć doprowadziło Charliego na krawędź, aż wreszcie wyjęczała mu do ucha.

– Tak.

Priest obudził się nad ranem. Przeciętnie sypiał niecałe pięć godzin, a jeżeli pracował nad dużą sprawą, to trzy. Nie cierpiał na bezsenność, po prostu nie potrzebował aż tyle snu co inni ludzie, aby funkcjonować, więc nie zdziwił się, że znalazł się w ciemnym pokoju oświetlonym tylko promieniem księżycy sączącym się przez przerwę w ciężkich zasłonach.

Obok ciepłe ciało Jessiki unosiło się i opadało łagodnie w rytm oddechu. Spała głęboko. Uważając, aby jej nie obudzić, wstał i w świetle komórki odnalazł swoje rzeczy. Marynarka leżała na podłodze. Butami nie zawracał sobie głowy. Większość podłóg w Dower House przykrywały dywany.

Korytarz był oświetlony, może ze względu na niego, a może zawsze paliło się tu światło. Był pełen obaw. Nie lubił ingerować w życie innych osób. Nie miał pojęcia, dokąd idzie, ale przypuszczalnie nikogo nie spotka przez

najbliższe kilka godzin, a był przekonany, że widział wcześniej mały gabinet z telewizorem w końcu korytarza. Kiedy tam dotarł, stanął i nasłuchiwał pod drzwiami. Telewizor był włączony. Dobiegał odgłos uderzeń, rwetes, panika. Potem trzask drewna i krzyki mrożące krew w żyłach. Rozpoznał tę scenę. Otworzył drzwi.

– Nie było nic innego – wyjaśniła.

– *Noc żywych trupów* – zauważył.

– Bardzo stosowne dla tego starego, uspiętego domu spowitego w ciemności, prawda? – Scarlett leżała na małej sofie, która wyglądała, jakby ją wyszabrowano z francuskiego zamku... jej wystrzępiony materiał w okropny sposób łączył barwy złotą i błękitną.

Nie poruszyła się wcale, kiedy wszedł i zamknął za sobą drzwi. Miała na sobie krótką piżamę, która przylegała ściśle do jej wysportowanego ciała. Ręce trzymała pod głową. Wygięła się, idealnie dopasowując do dziwnego kształtu starej sofy.

– Wiedziałaś, że George Romero pojawia się w każdym filmie jako zombie? – spytał. Na ekranie kobieta krzyczała, gdy przez okno wsunęły się ręce i pochwyciły ją, aby wyciągnąć na zewnątrz.

– Hm. Nigdy nie wiem, który to.

Scarlett odwróciła się i spojrzała na Priestę, a on zrozumiał, że powinien usiąść.

– Wszystkie filmy o zombie są na temat walki klasowej – rozmyślała na głos.

– Wiedziałaś o tym? Co się dzieje, kiedy chłopcy się burzą?

– Oglądam je, bo prostu lubię niepokonaną przemoc.

Scarlett zaśmiała się, jednak zupełnie inaczej niż Jessica. A zresztą czy w ogóle słyszał, jak Jessica głośno się śmieje?

Przez kilka chwil obserwowali rozwój akcji. Była desperacka próba zabicia wybitego okna deskami, ale wydawało się nieuniknione, że powolni, niezdarni, źle ucharakteryzowani statyści ostatecznie wtargną do domu.

– Czy zazwyczaj przed świtem oglądasz filmy klasy B? – zapytał.

– Nie mogłam spać – odparła, ziewając. – To chyba przez jetlag.

– Przykro mi, że musiałaś wracać do domu w takich okolicznościach.

Wydała odgłos pełen niechęci, nie odrywając wzroku od czarno-białego filmu.

– Nie trzeba. To sam powrót mnie zdenerwował, nie okoliczności.

– Twojego brata znaleziono nabitego na metalowy pał w jednym

z magazynów ojca – zauważył. To nie miała być krytyka, ale wstrzymał oddech, czekając na jej reakcję.

– Miles nie był moim bratem – odparła w końcu. – Zjawił się z moją matką.

– Oczywiście, przepraszam. Twoja matka była wcześniej zamężna? – Myślał o Lucii Ellinder i wyobrażał sobie ciąg zbankrutowanych byłych mężów.

– Nie, nie zamężna. Ale przyszła z inwentarzem.

– Inwentarzem, którego nie pochwaliałaś?

Wzruszyła ramionami.

– Miles był dla mnie nikim. Zepsuty ćpun, trwonił każdego pensa, którego ojciec mu dawał. Ten niewdzięczny pomiot dostał, na co zasługiwał.

Charlie już otwierał usta, kiedy odwróciła się do niego.

– I nie myśl sobie, że byłam tak głupia, aby policji o tym powiedzieć.

– Przecież w momencie jego śmierci byłaś w Stanach.

– A jeżeli nagrałam to na odległość? Umówiłam się na morderstwo przez Skype'a?

– Zapamiętam to. Ale co z twoją matką?

Scarlett podniosła wzrok, jakby z sufitu chciała czerpać inspirację.

– Może uznasz to za zdecydowanie nie do przyjęcia, ale ani Jessie, ani ja tak naprawdę niewiele wiemy o naszej matce. Rzecz jasna kochamy ją. W sumie nas wychowała. Dla niej tolerowałyśmy Milesa. Ale nie jesteśmy zżytą rodziną.

– Można kogoś kochać, nie utrzymując z nim kontaktu – stwierdził, mając na myśli Williama.

Scarlett skinęła głową.

– Więc jak myślisz, co się stało? – spytał.

– Interesuje cię moje zdanie?

– Twój ojciec dobrze mi płaci, abym to wymyślił.

Odwróciła się z powrotem do telewizora. Wyglądało na to, że w domku obleżonym przez zombie sprawy przybrały naprawdę zły obrót. Scarlett była w konwencjonalny sposób atrakcyjniejsza od Jessiki. Priest zastanawiał się, ilu śmiertelników owinęła sobie wokół tych smukłych palców.

Pochyliła się do przodu.

– Wydaje mi się, że jest w tym coś naprawdę niebezpiecznego.

– To znaczy poza George'em Romero przebrany za zombie? – spytał.

Zignorowała go, poważniejąc.

– Myślę, że Miles za bardzo zainteresował się jakimś kultem i stało się coś

paskudnego. To samo w sobie nie byłoby wyjątkowo niezwykle. Istnieje cała masa tajnych stowarzyszeń, które przyciągają ludzi pokroju mojego brata... podatnych, głupich i bogatych. Czaszka i Kości, Złoty Świt, masoni...

– One jednak nie zasłynęły z nabijania ludzi na pal w dwudziestym pierwszym wieku – zauważył.

Scarlett wzruszyła ramionami.

– Bram Stoker należał do Złotego Świtu. Główną inspiracją dla Drakuli był...

– Wład Palownik.

– Bardzo dobrze – powiedziała. – Masz tę bezużyteczną wiedzę okultystyczną.

– Dziękuję, mam otwartych i pomysłowych pracowników, którzy mi tę wiedzę zapewniają. Myślisz, że Miles przyłączył się do jakiegoś kultu?

– Jego śmierć wygląda na rytualną.

– Znasz jakieś kultury albo stowarzyszenia działające dzisiaj, które mają środki i możliwości, aby to przeprowadzić?

– Jeden przychodzi mi do głowy.

Priest poczekał, ale ona milczała. Nagle szybko wstała.

– Chcę ci coś pokazać.

Przy drzwiach zatrzymała się i spojrzała na niego przez ramię. Sprawdził sytuację z zombie. Wyglądały całkiem paskudnie. Ruszył za Scarlett korytarzem.

Zatrzymała się w odległym krańcu domu.

– Jaki jest twój ulubiony film? – zapytała.

Priest zastanawiał się przez chwilę.

– *Dziwolągi*.

– Co ci się w nim podoba?

– Slogan: *Czy kobieta normalnego wzrostu może kochać karła?*

– Genialny – rzuciła z uśmiechem.

– Daleko poszliśmy, żeby mówić o ulubionych filmach.

Skreśliła do drzwi na końcu korytarza.

– Nie dostrzegasz pewnego szczegółu.

– Hm. Rozważam możliwość, że twój ojciec wybiórczo udziela mi informacji.

– Co nie oznacza, że cię zwodzi. Próbuje uporać się z tą sytuacją z godnością, o ile to możliwe, chociaż obawiam się, że nic z tego nie wyjdzie. Cena akcji firmy już zmalała o połowę, od kiedy rozeszły się wieści o Milesie.

Drzwi były zamknięte. Scarlett zdjęła klucz z górnej framugi. Priest zastanawiał się, ile z tego jest wyreżyserowane. Może całość, od momentu gdy Jessica oznajmiła, że jadą do Dower House. Z uwiedzeniem go włącznie.

Szczęknęła klamka. W pokoju było ciemno. Kiedy wszedł za nią w mrok, ogarnął go niepokój. Deski podłogi zaskrzypiały pod jego ciężarem. Ściany były czymś zakryte. Książkami? Może znaleźli się w bibliotece.

Scarlett włączyła światło za nim i wszystko zajaśniało przepięknie i wielokolorowo. Po chwili jego wzrok przywykł do światła. To nie były książki. Na ścianach wisiały gabloty. Z początku światło odbijało się od szkła, skrywając to, co było w środku. Przesunął się i wtedy zobaczył.

W gardle mu zaschło.

– Jezu Chryste.

Drobne owady – ich delikatne, pergaminowe skrzydła lekko połyskiwały. Szpilki wbite w odwłoki przytwierdzały je do stanowisk. Całe setki owadów.

Kolaż z ważek, motyli, ciem...

– Twój ojciec... – zaczął.

– Zbiera martwe robale. Tak.

– W tym, przypadku, tego samego owada, którego znaleziono w gardle Milesa i przesłano pocztą Hayley Wren?

Scarlett spoglądała w podłogę, zupełnie jakby wpadła w trans. Priest zastanawiał się, czy żałuje, że mu to pokazała.

– Skonfrontujesz go z tym? – zapytała cicho.

– Co na tym zyskam?

– Pewnie nic.

Priest pospiesznie przejrzał gabloty, szybko zaznajamiając się z zawartością każdej. Różniły się wielkością i kolorem, od drobnych, żółtych motyli po brązowe ćmy wielkości męskiej dłoni. Innych skrzydlatych owadów nie rozpoznawał. Lecz nie dostrzegł wolnych szpilek – wszystkie owady najwyraźniej znajdowały się na swoim miejscu.

Odwrócił się do Scarlett.

– Mówiłaś, że znasz jedną współczesną organizację zdolną przeprowadzić to, co przytrafiło się Milesowi. – Z początku nie odpowiadała. – Scarlett?

– Czy to nie oczywiste?

– Pomóż mi.

– Naziści.

Charlie stał w pomieszczeniu z owadami, a to słowo wirowało mu w głowie.

Naziści. Rozwagał taką możliwość, nawet prawdopodobieństwo udziału jakiejś sekty w śmierci Milesa, ale chociaż neonazizm pojawiał się w znacznej części Europy oraz w niektórych regionach Azji, nawet w Mongolii, ruch ten nie miał wielu zwolenników w Wielkiej Brytanii. Śmierć Milesa w żaden sposób nie zdradzała politycznych motywów. Najwyraźniej nie pasowały tutaj. Odwrócił się, aby zapytać, o co jej chodzi z tymi nazistami.

Ale Scarlett Ellinder zniknęła, a on został sam na sam z owadami.

Charlie obudził się po raz drugi tego ranka, tym razem z bólem głowy. Wcześniej doświadczył kilku momentów dezorientacji, pokój powoli nabierał ostrości, a on przypomniał sobie, gdzie jest.

Dzwonił telefon.

– Halo?

– Charlie? Nic ci nie jest?

– Nie.

Potarł kark i znalazł gęsie piórko z poduszki zaplątane we włosy. Nadgarstki nadal nosiły ślady więzów, a ręka ciągle bolała od oparzenia. Spodnią część przedramienia znaczyły straszne pęcherze.

Wrócił do swojego pokoju po obejrzeniu kolekcji Kennetha Ellindera i udało mu się wślizgnąć do łóżka bez niepokojenia Jessiki. Musiała wyjść jakiś czas po tym, jak zasnął, bo kiedy odwrócił się na bok, zastał jedynie ciepłe wgniecenie w materacu.

– Charlie? – odezwał się głos w telefonie.

– Przepraszam, Georgie. Jak się czujesz?

– Świetnie. Najwyraźniej lepiej niż ty, sądząc po głosie.

Wygramolił się z łóżka i otworzył drzwi do łazienki. Nie było śladu po Jessice. Rozczarowany przytrzymał telefon barkiem przy uchu i skorzystał z ubikacji.

– Kiepski jestem o poranku. Która godzina?

– Siódma trzydzieści. Nalewasz herbaty?

– To już nie herbata. Jak minął wczorajszy wieczór?

– Próbowałam się do ciebie dzwonić, jak wróciłam, ale miałeś wyłączony telefon.

Tak, byłem czymś zajęty...

– Mam zdjęcia tego gabinetu, jak prosiłeś. Ale nic sensownego nie uzyskałam od Terri Wren.

– To dobrze. Możesz przesłać mi zdjęcie biurka?

Georgie zamilkła.

– Tylko biurka?

Priest spuścił wodę i popędził do pokoju.

– Tylko biurka – powtórzył.

– Jest coś jeszcze – namawiała go Georgie.

– Co jeszcze?

– Znalazłam tajne akta w biurku. Papiery były w nieładzie, jakby odkładano je pośpiesznie.

– I?

– I wysyłam ci te akta razem ze zdjęciem biurka.

W kuchni na dole było zimno. W szafie znalazł płatki, których nie znał, ale które obiecały zaspokoić jego potrzebę zjedzenia zdrowego śniadania pokrytego cukrem. Usiadł obok kuchenki, jedyne źródła ciepła w pomieszczeniu.

Przeszukał kontakty w telefonie i znalazł Jessicę. Wybrał numer. Sygnał był słaby, ledwo starczał na rozmowę, ale to nieważne – zaraz włączyła się skrzynka pocztowa. Oczywiście fabryczne ustawienie. Nic osobistego.

Nastąpiła długa przerwa. Uświadomił sobie, że absolutnie nie ma pojęcia, co powiedzieć.

– Jessica – odezwał się w końcu. – To ja. Oczywiście. Zastanawiałem się tylko, jak się czujesz. Gdzie jesteś? Takie rzeczy. Och, McEwen jest przekupiony. Nie zbliżaj się do niego. Georgie przysłała mi zdjęcie biurka Philipa Wrena, z wczoraj. Jest na nim wielki, zabłocony odcisk buta dla koronera, odcisnięty delikatnie post mortem przez McEwena używającego buta Wrena, zanim go zdjęto ze sznura. Jak myśleliśmy, jego samobójstwo zostało sfingowane. Zadzwon, jak to odbierzesz. Będzie... wiesz, miło cię usłyszeć.

Miał właśnie wepchnąć do ust łyżkę nieznanych płatków, kiedy podniósł wzrok, wyczuwając, że ktoś stoi w drzwiach.

– Jak długo tu jesteś? – zapytał.

– Wystarczająco. Czy coś jest między tobą a Jessicą? – zapytała Scarlett. Ręce miała założone na piersi, brwi zmarszczone.

Charlie starał się zachować obojętny wyraz twarzy.

– Nie widziałaś jej rano?

– Wyjechała. Wcześniej.

– Rozumiem.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

– Nie planowałem...

– Nie o to mi chodzi. – Usiadła naprzeciw niego. Miała na sobie szlafrok z czerwonego jedwabiu. Jeżeli całą noc spędziła na oglądaniu czarno-białych horrorów, to wyglądała całkiem dobrze. – Chodzi mi o Milesa.

Uniósł brwi.

– Martwisz się tym, co spotkało Milesa?

– Martwię się interesami. – Scarlett zmrużyła oczy. – Za trzy tygodnie minister zdrowia wyda kolejne oświadczenie zachęcające lekarzy do zaprzestania zapisywania antybiotyków; antybiotyków, które produkujemy. Martwię się o cenę naszych akcji. A zaczynanie czegoś z Jessie teraz w naszym rodzinnym domu wygląda obciachowo.

– Jestem... – Już chciał jej delikatnie zdradzić, że jego obchodzi Jessica, nie cena akcji. Ale nie wydało mu się to stosowne. Poza tym przyznanie się byłoby dość niezwykle. I coś jeszcze.

– Jak nazwałaś to miejsce?

– Co?

– Ten dom. Nazwałaś go...?

– *Naszym rodzinnym domem*. – Scarlett wyglądała na speszoną. – Charlie? Co ci jest?

Naszym rodzinnym domem. Wepchnął czubatą łyżkę płatków do ust, a potem wstał i wybiegł.

27 marca 1946

Odosobnione gospodarstwo w środkowej Anglii

Ruck obudził się przed świtem z pulsującym bólem głowy, a pościel znaczyła plama wstydu.

Wyciągnął rękę, ale wiedział, że ona już poszła. Przypomniawszy sobie, jak wstawiała w nocy. Przeklął siebie za to, że nie obudził się w pełni, ale myślał, że wybierała się do łazienki.

Usiadł i potarł bolącą głowę. Gdzieś na zewnątrz piał kogut. Jak go kiedyś znajdzie, to go zabije. Przesunął dłonią po piersi, zanim wstał z łóżka. Zerknął na skórę w lustrze: konstelacja sińców i zadrapań. Wyglądało to na dzieło dzikiego zwierzęcia. Ubrał się – spodnie, koszula, krawat. Nowa, beżowa marynarka w prążki z logo CC41: racjonowana odzież cywilna. Wszystko starannie wyprasowane.

Pistolet zamknął na klucz w szufladzie, kiedy Eva w końcu zasnęła. Ten środek ostrożności i tak by podjął, ale zeszłej nocy zrobił to ze szczególną starannością. Próbował nie myśleć o tym, co zrobili, o gwałtowności, z jaką ją wziął, ale nie mógł wygnać obrazów z głowy. Ani nie mógł pozbyć się wrażenia, że Eva Miller obudziła w nim coś, czego się bał.

Ruck z trudem przełknął ślinę. Jego kochanka była morderczynią. Fitzgerald nie żył.

Trzykrotne szybkie pukanie do drzwi. Zanim zdołał zareagować, drzwi gwałtownie się otworzyły. Na zewnątrz stał żołnierz, czerwony na twarzy, spocony pomimo zimna. Bagnet miał na karabinie, który zwisał mu z ramienia. Ruck starał sobie przypomnieć jego nazwisko. Paris. To był szeregowy Paris.

– Panie pułkowniku, musi pan przyjść – powiedział roztrzęsiony.

– Co? – Ruck sięgnął do szuflady po pistolet. Dzięki Bogu nadal tam był.

– Doktor Schneider...

Szeregowy Paris obrócił się na pięcie i popędził z powrotem korytarzem, a potem z łoskotem schodami.

Ruck musiał biec, aby dotrzymać mu tempa. Podążał za Parisem przez podwórko, cały czas rozglądając się za Evą. *Gdzie ona jest?* Spojrzał za siebie na dom. W kuchni było ciemno. Ani śladu ruchu w oknach na piętrze. Wszędzie spokój.

Tylko ten cholerny kogut.

Paris pchnął drzwi w jednej z przybudówek i ukazało się dwóch innych żołnierzy, ich twarze częściowo oświetlała naga żarówka wisząca pod sufitem. Skulili się na widok Rucka; to byli ci dwaj, którym kazał pochować Fitzgeralda.

– Co się dzieje? – spytał Ruck.

Dwaj żołnierze wymienili nerwowe spojrzenia. Ruck czuł, że kończy mu się cierpliwość.

– No?

Ten po prawej uniósł zasuwę w drzwiach do celi Schneidera. Najwyraźniej były już otwarte. Drzwi odchyliły się, a on wszedł do środka, przepuszczając Rucka.

Pułkownik wyciągnął pistolet; Paris wszedł za nim z karabinem gotowym do strzału. Dwaj zostali z tyłu i zerkali do środka.

Jak się okazało, broń nie była potrzebna. Schneider leżał na podłodze, oparty o łóżko, ale nie stanowił zagrożenia. Jego twarz nie miała już ostrych rysów mężczyzny, którego przesłuchiwał dzień wcześniej. Była spuchnięta i zakrwawiona, nos przeraźliwie wygięty w bok. Na ciele też widniały rany. Koszulę miał splamioną krwią. Najbardziej ucierpiały jego stopy. Stanowiły krwawą miazgę.

– Pułkowniku, znaleźliśmy to – powiedział jeden z żołnierzy. Ruck odwrócił się. Zobaczył młotek z pazurem ociekający krwią.

Ruck zrobił krok na przód i uklęknął. Schneider miał oczy mocno zamknięte z powodu opuchlizny, z trudem oddychał. Rany były straszne. Ruckowi serce waliło jak oszalałe. Nie miał wyrzutów sumienia z powodu śmierci tego hitlerowca – sprawiedliwość często kroczyła wyboistą drogą – ale najpierw Fitzgerald, a teraz to... Coś wisiało w powietrzu i Ruck wyczuwał początek czegoś złowrogiego.

– Kto cię tak urządził? – wyszeptał cicho pułkownik. Schneider odwrócił

głowę, odetchnął boleśnie. Kiedy się odezwał, w jego głosie nie było już arogancji. Świszczał jak u konającego.

– Twoja mała maszynistka, dasz wiarę?

– Doktorze, nie dałeś rady kobiecie?

Ruck wyciągnął chusteczkę i osuszył cięcie biegnące przez prawy policzek Niemca. Rozwidlonym końcem młotka próbowała otworzyć mu twarz.

– Herr Ruck, ona ma pełno tajemnic. Lepiej na nią uważaj.

– Czego chciała?

– Zranić mnie.

Ruck błyskawicznie schwycił Schneidera za ramię. Doktor zajęczał z bólu, ale nie krzyknął.

– Nie, doktorze. Czego chciała?

Schneider charczał i przez chwilę Ruck myślał, że może umrzeć, ale okazało się, że to śmiech, a w najlepszym razie jego nieudolna próba.

– Ostry jak zwykle – odparł Schneider. – Tak, nie wpadła tu dla przyjemności. Niezupełnie. Musiałem zdradzić pewne informacje, aby uratować życie.

– Jakie informacje?

– Najwyraźniej twoja mała sekretarka interesuje się chemią.

– Chciała dostać wzór.

– Już go ma.

Ruck szeroko otworzył oczy w przerażeniu.

– Ma go? – zaczął. – Co...

– Chciała więcej szczegółów. Na przykład, gdzie znaleźć składniki.

– A ty jej odmówiłeś?

– Tak. Myślała, że coś ukrywam.

– I w końcu jej powiedziałaś.

Schneider skinął głową, ale czy był rozczarowany, czy zadowolony, Ruck nie miał pojęcia.

– Wszystko.

Ruck odepchnął Schneidera – tym razem Niemiec krzyknął z bólu – i wyszedł z celi.

– Pułkowniku, co mamy z nim zrobić? – Paris zawołał za nim.

– Jak umrze, zakopcie go obok Fitzgeralda! – krzyknął, nie zwalniając kroku.

Pobiegł przez podwórko, wpadł do swojej sypialni i przeszukał kieszenie marynarki, w której był wczoraj. Nic. Odrzucił marynarkę, sprawdził

kieszenie w pozostałych częściach garderoby, ale wiedział, że nigdzie nie zapodział skrawka papieru. Schneider twierdził, że poprzez cierpienie można zobaczyć Boga. Ruck pamiętał sposób, w jaki mówiła Eva, to, jak obracała słowa w ustach. Teraz miał pewność, że uciekła.

Eva. Morderczyni.

Wyrzął przez okno. Słońce przebiło się przez drzewa otaczające gospodarstwo, rzucając długie cienie na trawę. Nic się nie poruszało. Za linią drzew ciągnął się falisty teren. Szara, pastelowa przestrzeń upstrzona gospodarstwami.

Ona gdzieś tam była, furia wypuszczona na wolność, posępna i piękna, a z nią tajemnice doktora.

Zwiastun śmierci.

Pułkownik miał obowiązki wobec własnego kraju, wobec operacji Jętka, teraz doszła jeszcze jedna rzecz.

Trzeba powstrzymać Evę.

Rodzinny dom Priesta pozostawał wyłączną własnością średniego dziecka Felixa i Esther. Stojący na prawie hektarze ziemi porośniętej gęstym lasem, był raczej zbieraniną małych budynków niezdarnie połączonych ze sobą niż domem.

Nie był to odpowiedni dom dla rodziny. Pierwotny bungalow rozbudowywano, dopasowywano i kształtowano przez dziesięciolecia, gdy Felix i Esther walczyli o przestrzeń do wychowania dzieci. Mogli się przeprowadzić. Pieniądze w zasadzie nie stanowiły problemu. Lecz Vyre było pełne cennych i kruchych wspomnień, szczególnie dla Esther, toteż nikt nie miał serca go sprzedać. Po śmierci Felixa i Esther Charlie wykupił udziały swojego rodzeństwa, aby mieć pewność, że posiadłość pozostanie w rodzinie.

Pewnego dnia, takiego jak ten, pożałował, że nie pozbył się tego cholernego domu.

Minęły już dwie godziny, odkąd zjadł śniadanie w kuchni Ellinderów. Zamówił taksówkę, żeby pojechać po volvo, które teraz zaparkował z boku podjazdu. Wzgórza spowijała mgła. Widział nie dalej niż na pięćdziesiąt metrów od domu. Stado szpaków siedzących na drucie telefonicznym obserwowało, jak ciężko szedł pod górę do drzwi frontowych.

Ogrodnik w Vyre, szorstki staruszek, którego nazywano Faginem, przystrzygł chwasty, ale wewnątrz dławilo się od bluszczu, i miejscami trudno było stwierdzić, gdzie kończył się dom, a zaczynały zarośla. Priest wyciągnął klucz, który obrócił się w zamku z zadziwiającą łatwością.

W domu nie było za wiele mebli. Kilka stołów zepchniętych byle jak pod ścianę. Jakies krzesła od kompletu to tu, to tam. Kuchenny kredens w korytarzu. Rzeczy, których nie miał czasu sprzedać na eBayu. Powietrze było ciężkie, zatęchłe. Na końcu korytarza zatrzymał się, aby spojrzeć na reprodukcję *Pogrzebu* George'a Grosza, która wisiała tam, odkąd sięgał pamięcią. Uśmiechnął się do wyblakłych kolorów, głównie czerni i czerwieni.

Obraz był buntem artysty przeciw ludzkości. Grosz postrzegał ludzi jako brzydkie, niemoralne, zalęknione bydło. Procesja groteskowych i dziwacznych postaci tłoczyła się na korytarzu ciemnego, nowoczesnego miasta, ogarnięta szaleństwem, zamoczona alkoholem, kotłowała się wokół Śmierci pijącej z butelki. Obojętna na cierpienia i szaleństwo wokół siebie.

Był to jeden z ulubionych obrazów Williama.

Z kuchni dobiegł jakiś odgłos.

Charlie bezgłośnie ruszył korytarzem i po chwili pchnął drzwi do kuchni. Przez krótki moment spodziewał się, że zobaczy swoją matkę, jak z uśmiechem odwraca się do niego zajęta pracą przy piecu.

Ale to nie była ona.

Szybko ocenił sytuację. Intruz nie stanowił zagrożenia. Po pierwsze, był mniejszy i lżejszy od Charliego. Po drugie, stał odwrócony plecami i go nie widział. Po trzecie, był sam.

Kuchnia znajdowała się w końcu domu. Planowano rozbudować ją jeszcze bardziej, stworzyć altanę lub przynajmniej wstawić drzwi prowadzące do ogrodu. Nigdy tego nie zrealizowano. Intruz znajdował się w potrzasku.

– Dzień dobry – powiedział Charlie, wyłaniając się z cienia, z rękami głęboko wciśniętymi w kieszenie płaszcza przeciwdeszczowego.

Już drugi raz w ciągu tygodnia natknął się na niechcianego gościa w swoim domu. Teraz jednak sytuacja wyglądała znacznie lepiej. Słowa Scarlett o jej „rodzinnym domu” przywołały myśl, że może Wren wysłał pendrive nie do mieszkania Priesty, ale tutaj.

Intruz wertował stos starych listów na blacie.

– Znalazłeś? – zapytał od niechcienia Charlie. – Pendrive?

Obcy podniósł wzrok; wyraz zaskoczenia i paniki pojawił się na jego twarzy, był jak zwierzę uchwycone w światło reflektorów. Swoich ruchów zupełnie nie kontrolował. Najwyraźniej nie był też z niego dobry włamywacz, sądząc po stanie okna, które rozbił.

– Mowę ci odjęło?

Schwycił intruza za kołnierz i uderzył go mocno w wątrobę, żeby bolało go długo i mocno. Z płuc włamywacza uszło powietrze. *Dobrze*. Przez chwilę myślał, że może bardziej go uszkodził, niż miał zamiar, ale ostatecznie mężczyzna wydał z siebie jęk, próbując nabrać powietrza.

– Kurwa mać! – zaświszczał.

Charlie zyskał przewagę. Jednym ciosem unieszkodliwił intruza. Miał

ochotę walić jego głową o kredens. Opanował się, ale wciąż gotował się w środku.

– Pytałem, czy go znalazłeś – wysyczał intruzowi do ucha.

– Nie wiem, co...

Cóż. Skoro chciał się w to bawić, Charlie nie widział powodu do litości. Walnął głową nieudolnego włamywacza o kredens. Odciągnął ją i zauważył małą, ale zadowalającą plamę krwi na drzwiach mebla.

– Spróbuj jeszcze raz – zasugerował Charlie.

– Nie! Nie znalazłem! Człowieku. Jestem tylko chłopcem na posyłki! – skomlał złodziej.

– Czyim?

– Nie mogę... Zabiją mnie.

Ponownie walnął głową tamtego w drzwiczki kredensu. Tym razem odgłosowi uderzenia towarzyszył skowyt.

– Czeka! Proszę! – błagał intruz.

– To mów.

– Jeden facet mnie przysłał po jakiś pendrive. Powiedział, że będzie w poczcie. Nie wiem dlaczego! Nie mówił nic więcej. Tylko że jest gdzieś w tym domu. Dał mi czterysta funtów. Wiesz, ile domów muszę odwiedzić, żeby zdobyć fanty warte czterysta funtów?

– Kto cię przysłał?

– Nie znam nazwiska.

Znowu walnął głową złodzieja w kredens. Chciał zobaczyć kolejną czerwoną plamę na starym drewnie.

– Spróbuj jeszcze raz – zasugerował.

Intruz skomlał. Nos miał rozkwaszony i zgięty – grzbiet pękł.

– Nie znam nazwiska.

– Nie wiesz, komu dziękować za czterysta funtów?

Trzymał mu głowę ze trzydzieści centymetrów od kantu kredensu. Mógłby rozłupać mu czaszkę, gdyby nabrał ochoty. Ale nie nabrał. Dołożył facetowi wystarczająco, żeby ten zaczął gadać. Sarah nie byłaby zachwycona, gdyby skończył w pokoju wyłożonym gąbką jak William. Wątpił też, aby Jessica to pochwaliła.

– Worek.

– Co za Worek?

– Kurwa, nie wiem! Nosi worek na głowie, dlatego tak go nazywam.

Przysięgam, chłopie. Nie wiem, kurwa, jak się nazywa! – Intruz przełknął ślinę i oblizwał grube wargi, otwierając i zamykając usta jak zdychająca ryba.

Gdy Charlie zamierzał chwycić go ponownie, rozległ się huk i część twarzy włamywacza rozbryznięła się na drzwiczkach kredensu.

Natychmiast puścił ciało i odwrócił się.

Worek wycelował w niego broń, ręka mu nie drżała, najwyraźniej nie przeszkadzało mu zmasakrowane ciało leżące między nimi. Był szeroki w ramionach, ale trochę niższy od Charliego. Miał na sobie długi, brązowy trencz, którym się ciasno owinął, rękawiczki z obciętymi palcami i ciężkie buty, ale najbardziej uderzającą cechą był biały kaptur zasłaniający głowę, z otworami na oczy.

Priest czekał. Trząśł się, oddech miał płytki. Czuł obezwładniający ucisk w piersi.

– Ty pewnie jesteś Worek.

– Niektórzy tak na mnie mówią. – Głos Worka dudnił. Niski, gardłowy charkot. Nic nie było prawdziwe poza wprawą, z jaką trzymał broń, i miejscem, w którym stanął. Na tyle blisko, że nie mógł chybić, ale wystarczająco daleko, aby zniechęcić Charliego do szybkiego ataku.

Charlie przestał panować nad sytuacją. To, co teraz powie, może mu ocalić życie.

– Obserwowałeś dom.

– Tak.

– I widziałeś, jak wchodzę.

– Miałeś pecha, Priest.

– Gdzie Hayley?

Worek zachichotał.

– Bezpieczna. Jak na razie. W naszym specjalnym domu. Proszę, nie martw się o nią. Obawiam się, że twój udział w tych poszukiwaniach dobiegł końca. Zostało ci tylko jedno zadanie do wykonania.

Charlie teraz nabierał tyle powietrza, że jego mózg nie mógł sobie poradzić z taką ilością tlenu.

– To znaczy?

– Otworzyć tę kopertę.

Worek wskazał stos kopert na blacie. Na górnej napisano „Priest”. Charlie rozpoznał charakter pisma. Sięgnął po nią. Była zalepiona taśmą, wyściełana i miała wyraźne wybrzuszenie pośrodku.

Nie spuszczać wzroku z pistoletu, otworzył kopertę i sięgnął do środka po pendrive.

– O. Dobrze. Możesz mi go rzucić? – poprosił Worek.

– Co to jest?

– Czy to ma znaczenie? Dane są dla mnie ważne. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

Charlie rzucił pendrive, a Worek zgrabnie go złapał.

– Priest, to nic osobistego – oświadczył Worek z nutą rozbawienia w głosie.

– Też tak myślę – mruknął. *Nic nie czuję.*

– To będziesz musiał umrzeć z tą myślą i zabrać ją z sobą do piekła. – Worek zaśmiał się okropnie. – Piekło. Czy to nie tam trafiają wszyscy prawnicy?

– Lepiej rządzić w piekle, niż służyć w niebie – szepnął Charlie. Stał na skraju gigantycznej przepaści. Czuł, jak wzbiera w nim wielki ciężar.

– Milton – powiedział Worek. Wyraźnie był pod wrażeniem.

– Tak.

Priest usłyszał trzask odwodzonego kurka. Czekał, zastanawiając się, czy z tej odległości usłyszy dźwięk pocisku opuszczającego lufę. Liczył na to, że nie. Miał nadzieję, że śmierć będzie cicha.

Padł strzał i Charlie Priest odkrył, że śmierć wcale nie była cicha.

Hayley łąpała oddech. Czuła, jakby płonęły jej płuca, a w ustach miała smak krwi.

Żyła.

Nie chciała żyć.

Hayley pamiętała ból. Niewyobrażalny ból. Piekielny. Nie mogła przejść przez to jeszcze raz. Woląca umrzeć. Tak – raczej zabije się, niż ponownie zmierzy się ze złem, które wstrzyknął jej zakapturzony mężczyzna.

Doczołgała się do rogu pokoju. Każda cząstka jej ciała przeżywała katusze. Nie mogła ruszać prawą ręką, tą, w którą wstrzyknął truciznę. Nie reagowała, a kiedy Hayley odważyła się na nią spojrzeć, ciało było jakby obce, nie do poznania. Po prostu uschły, poczerniały kikut – bardziej konar drzewa niż ręka.

– To próbka – wyjaśnił mężczyzna w kapturze. – Mała dawka, aby rozwinęła się odporność. Nie ma czym się martwić.

Chcę umrzeć.

Osunęła się w rogu pokoju i zwinęła w kłębek.

A on odszedł.

Pomyślała o ojcu i jego ostrzeżeniu. Ostrzeżeniu, które zignorowała. Wiedział, że od tygodni coś się dzieje, a ona go zignorowała. Ale to było oczywiste. Ojciec jej nie zauważał, kiedy dorastała, ale potem niespodziewanie zapragnął ją zobaczyć.

Zabrał ją do kawiarni jakieś dwa kilometry od jej domu. Małej, obskurnej kawiarni, częściowo w piwnicy, gdzie kawa smakowała spalenizną. Rozmawiał o swojej pracy, swojej obsesji. Był zaangażowany w coś tajnego i skomplikowanego. Nie zrozumiałaby szczegółów, ale musiała o tym wiedzieć.

– Hayley, mówię tylko, że teraz dużo się dzieje i możemy już się więcej nie zobaczyć – powiedział, chociaż to nie było nic nowego. – Zajmij się sobą.

Znajdź przyjaciółkę i wprowadź się do niej. Nie chcę, żebyś mieszkała sama.

Zaprotestowała. Nie miała ochoty martwić się kimś jeszcze. Lecz on dawał jej więcej rad.

– Za każdym razem wracaj do domu inną trasą. Nie postępuj przewidywalnie. Zawsze miej przy sobie telefon. Dzwoni, o której tylko zechcesz.

Nic z tego do niej nie dotarło. Ani słowa, ani jego ton. Chowala głowę w piasek. Nawet końcowe ostrzeżenie ojca zlekceważyła.

– Jeżeli do ciebie dzwonię, musisz zaraz odbierać.

Gdyby tylko posłuchała.

Nad nią, pod sufitem, kręcił się niepewnie wentylator, jak nieustannie wirujące myśli w jej głowie, które nigdy się nie chciały ułożyć.

Wszystko było widać, ale ty schowałaś głowę w piasek, jak zawsze. Teraz umrzesz. Sama, w tym zimnym pokoju.

Łzy popłynęły jej po policzkach. Poczwała w ustach smak krwi.

Błogosławieni miłosierni – powiedział Jezus. – Albowiem oni miłosierdzia dostąpią. – Kiedy umrę, mogę ci wybaczyć, ojcze, jeśli Pan da mi siłę.

Hayley spojrzała na rękę. Cokolwiek jej wstrzyknięto, zakorzeniło się. Czarna, oleista substancja rozprzestrzeniała się po jej ciele, szpecąc i profanując jej umysł, wypełniając głowę brudem i złem.

Zrozumiała, że to jest demoniczne stworzenie. Nie chemia, tylko demon. W niej.

Widziała rzeczy. Obrazy niewymownego cierpienia.

Co ja myślę?

Rozumiała, co się dzieje. Miała być przedstawieniem dla mężczyzn, którzy płacili za oglądanie. Była w Domu Jętki, z Diabłem, a trucizna już przywołała magię, już przejmowała władzę. *Próbka. Mała dawka. Nie ma się czym martwić.*

Hayley zamknęła oczy i pomyślała o Bogu.

Huk broni przeniósł Priesta do czasów, gdy miał zaledwie dwadzieścia lat i przez cztery lata patrolował ulice, dopiero potem mógł przejść do oddziału uzbrojonego i zapisał się na kurs użycia broni palnej w Krajowym Ośrodku Szkoleniowym Policji w Kent. Spędził tam sześć tygodni, strzelając z glocka 17 do coraz mniejszych celów, aż pewnego dnia, kiedy jego umiejętność posługiwania się bronią zwróciła uwagę, dostał telefon ze Scotland Yardu. Było tam miejsce dla młodego detektywa posterunkowego. Od tamtych czasów Charlie nie strzelał.

W ułamku sekundy powrócił do teraźniejszości i zrozumiał coś jeszcze.

Nadal żył.

Broń wypaliła, ale kula trafiła w ścianę, mijając go o kilkadziesiąt centymetrów. Sam pistolet potoczył się po podłodze, wytrącony przez dużą postać, która atakowała Worka w dzikim szale, bijąc go wielką, drewnianą lagą.

– Co tu robisz?! Co robisz?! – ryczał.

– Fagin?

Charlie potrzebował chwili, aby rozpoznać ogrodnika. Fagin był emerytem, ale czterdzieści lat pracy na wolnym powietrzu bez względu na pogodę wyrzeźbiło jego muskulaturę i ku własnemu zdziwieniu udało mu się zdobyć przewagę nad Workiem, który próbował go kopać jak szalony.

Worek sparował rękami kilka pierwszych ciosów kijem. Przed kolejnym ciosem szczęśliwie uskoczył w bok, ledwo co unikając roztrzaskania czaszki. W tym momencie Fagin źle stanął i zachwiał się, a Worek pchnął go na Priesta. Upadli. Charlie przyjął cały impet na plecy i ramię.

– Kurwa mać! – zaświszczał, gdy powietrze uszło mu z płuc. – Fagin, broń!

Ogrodnik wyprostował się z zadziwiajączą zręcznością i rzucił do pistoletu. Lecz skok ten nie był konieczny. Worek uciekł, widząc, że przegrał. Zanim obaj się pozbierali, zniknął.

Naprawdę miał na imię Brian, nie Fagin. Jego ogorzała twarz, długi, ciężki płaszcz i upór w noszeniu wszędzie grubej, drewnianej lagi sprawiły, że zdobył imię postaci z *Olivera Twista* Dickensa, ale jemu to nie przeszkadzało. Sarah go nie cierpiała; uważała ogrodnika za odrażającego starca o wiktoriańskich poglądach. Charlie miał jednak do niego słabość, darzył go pewnym szacunkiem, który tamten odwzajemniał.

Kiedy został właścicielem domu, powierzył Faginowi opiekę nad Vyre. Nie chciał patrzeć, jak dom się całkowicie rozsypuje, ani pozbawić pracy człowieka, który zajmował się iglakami i strzygł trawę. Okazało się to mądrą inwestycją, pomimo uprzedzeń Sarah.

– Charlie, co ty tu wyprawiasz? I kto to był, do cholery?

– To długa historia.

– Nie wątpię. Trup na podłodze u twoich stóp w starej kuchni i pistolet przystawiony do głowy na pewno zasługują na dłuższą opowieść.

Charlie walczył o oddech; w żyłach nadal płynęła mu adrenalina. Fagin stał między nim a drzwiami, z kijem przy boku. Czekał.

– Mam kłopoty, Fagin.

– Naprawdę? Nie mów!

– Boję się, że wplątałem się w jakieś niemiłe sprawy.

– Hm. Twój ojciec też zawsze namącił. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. W cokolwiek się wplątałeś, nie chcę wiedzieć. Nie obchodzi mnie to. Faceci w kapturach to moim zdaniem zła wiadomość. – Fagin pochylił się i podniósł pistolet, by przyjrzeć mu się z bliska. – Import. Drogi gnat. Desert eagle. Nic dziwnego, że twojemu koledze brakuje pół głowy.

– Jak mocno go uderzyłeś?

– Nie za mocno. Wróci, jeżeli o to ci chodzi.

Charlie wzruszył ramionami. Miał nadzieję, że Fagin uszkodził intruza na tyle, żeby tamten musiał szukać pomocy w szpitalu, bo wtedy miałyby szansę go wytropić. Przyklęknął i obejrzał trupa, którego krew zalała podłogę w kuchni jego matki. Zasłonił dłonią usta – zapach przyprawiał go o mdłości. Był inny od odoru rozkładu, jaki pamiętał z miejsc zbrodni. To była woń świeżej krwi.

– Tego chyba wynajęli – zauważył Fagin, szturchając ciało kijem. Charlie sprawdził kieszenie nieboszczyka, ale znalazł tylko akcesoria palacza.

Żadnego portfela. Domyślał się, że to bezdomny, rekrutowany do konkretnego zadania za czterysta funtów.

– Ale w jakim celu? – mruknął.

– On ci nic nie powie, synu. Martwi jakoś nie mają ochoty na pogaduszki.

– Hm.

Charlie wstał i podszedł do okna. Wielki dąb w oddali przyciągnął jego uwagę, sękaty korzenie wchodziły głęboko w ziemię, dając umocowanie potężnemu pniowi. Dobrze znał to drzewo. Pod nim poślubił Dee.

– Charlie?! – zawołał go Fagin.

Priest odwrócił się i wspomnienie się ulotniło.

– Przepraszam, co takiego?

– Wygląda na to, że potrzebujesz odpoczynku. Posprzątam tu za ciebie. Ładnie i po cichu.

– Fagin, nie musisz...

Starzec podniósł rękę.

– To nie będzie pierwszy raz, kiedy pomagam Priestowi usunąć ciało.

Charlie się zawahał. Nie był pewien, czy Fagin mówi poważnie, ale przed laty uważał, że William musiał mieć jakąś pomoc przy jednym czy dwóch zabójstwach. Teraz nie była pora, aby znowu czuć się winnym.

– Świetnie – usłyszał własny głos.

Fagin skinął głową.

– Z tobą wszystko w porządku?

– Tak. Szkoda, że uciekł. To wszystko.

– Zabrał ci coś?

– Tak. Coś ważnego.

– Mały mikrochip?

– Coś w tym rodzaju.

– Hmm. – Fagin znowu pokiwał głową z powagą. Wepchnął rękę głęboko do kieszeni, pogrzebał i ku zdziwieniu Priesty wyciągnął pendrive. – Taki?

– Gdzie...?

– Jak myślisz, dlaczego mówią na mnie Fagin?

Charlie wbiegał po schodach do biura, biorąc po trzy stopnie naraz.

Próbował dodzwonić się do Jessiki z Vyre, ale telefon od razu przechodził

w tryb poczty głosowej. Sfrustrowany, zostawił kolejną wiadomość.

– Jessica? To ja. Gdzie jesteś? Mam pendrive. Zadzwoń, jak tylko to odsłuchasz.

Przebiegł obok recepcji. Maureen otworzyła usta, aby coś powiedzieć.

– Przepraszam! Powiedz im, że wziąłem urlop.

Na pierwszym piętrze wpadł do swojego gabinetu i zatrzasnął drzwi. Zatrzymał się. *Gdzie ona jest?*

Włączył komputer, włożył pamięć do portu USB i czekał na komunikat, że instaluje się oprogramowanie. *Szybciej!* Niecierpliwie stukał palcami.

– Dzień dobry, nasz szanowny przywódco.

Charlie aż podskoczył, odpychając się od biurka. Nie słyszał, jak wszedł Okoro. Georgie zerknęła zza jego pleców. Posłała mu uśmiech.

– Przepraszam – powiedziała. – Pukaliśmy, ale...

– Znalazłem pendrive – oznajmił. Usiedli. Pióro Georgie zawisło nad notesem, jakby uczestniczyła w wykładzie. – Wszyscy jedziecie na wspaniałe wakacje.

– Co? – zapytała zaskoczona Georgie.

– Nasze obecne położenie... – zaczął Charlie. – To dla mnie bardzo osobista sprawa, ale nie dla was. Jest niebezpiecznie. O wiele bardziej, niż sobie wyobrażałem. A wam nie płaci się za narażanie się na niebezpieczeństwo. Maureen będzie czuwała tutaj nad sprawami, aż ten kłopot minie.

– To też nasz problem – oświadczył Okoro.

Charlie uniósł rękę.

– Nie. Naprawdę.

Georgie wyglądała na przybitą.

– Charlie, nie mogę nie zaangażować się w tę sprawę.

– Georgie, spójrz na mnie. Widzisz te białe plamy na mojej marynarce?

– Tak.

Pochyliła się do przodu i je obejrzała.

– Kalmary?

Priest się skrzywił.

– To mózg, Georgie. Czyjś mózg.

– Co? – Natychmiast opadła na fotel.

– Priest, dajmy sobie spokój z tą bohaterką postawą – odezwał się Okoro, marszcząc brwi. – Jesteś na nas skazany. Koniec, kropka. Słuchaj, co masz na myśli, mówiąc „mózg”? Czyj mózg?

Charlie starał się sformułować wiarygodną odpowiedź, ale coś sprawiło, że się wahał. Zżerało go poczucie winy. To nie była ich wojna, ale w gruncie rzeczy jego też nie. Ktoś go w nią wplątał, a on wplątał ich. Może najlepiej ochroni Georgie, Okoro i Solly'ego, niczego im nie zdradzając.

– Priest? – przywołał go do rzeczywistości Okoro.

Georgie nadal trzymała pióro w pogotowiu – ucieleśnienie czystości i niewinności.

– Nie – odparł, kręcąc głową. – Nie chcę być za was odpowiedzialny. – Georgie poruszyła się na swoim fotelu, gotowa zaprotestować, ale on znowu uniósł rękę. – Nie, Georgie. Dosyć. Nie będę traktować cię protekcyjnie. Przecież zdajecie sobie sprawę, że to nie jest zabawa. Oboje. Coś się dzieje. Coś tak złowrogiego, że ludzie umierają, aby to chronić, służyć temu albo się przeciwstawić. Cokolwiek to jest, to nas przerasta... przerasta was. Wracajcie do domu i zabierzcie Solly'ego. Zamykamy, aż ten bałagan się wyjaśni.

Myślał, że Georgie będzie go namawiać, żeby zmienił zdanie, ale ona tylko z grobową miną wpatrywała się w blat biurka. Wreszcie wyciągnęła plik papierów, które delikatnie rozłożyła przed nim.

– Co to jest? – zapytał.

– Kopia raportu, który znalazłam w gabinecie Philipa Wrena, i dodatkowe informacje, jakie wyszukałam na ten temat.

Z wahaniem położył palec na kartkach. W jakiś sposób wzięcie tych dokumentów było przyzwoleniem, którego nie chciał udzielić, ale i tak przerzucił kilka pierwszych stron. Spojrzał na nią, a ona uśmiechnęła się, tyle że uśmiech nie odbił się w jej oczach.

– Dziękuję.

Wzruszyła ramionami.

– Będziemy cię osłaniać, Priest – obiecał Okoro.

– To wiem.

Wstali. Wyglądało to na długie i niezdarne pożegnanie.

– Powiem Maureen, żeby powiadomiła stałych klientów, że będziemy niedostępni aż do odwołania – zdecydował Okoro.

– Doskonale.

– Powodzenia, Charlie – rzekła Georgie. Tym razem uśmiech pojawił się także w jej oczach.

Charlie wstał i podał im rękę.

– Będę was informować.

Zamknęli drzwi.

Usiadł w fotelu i zamknął oczy, ale chwila wytchnienia trwała krótko. Plik skończył się ładować. Na stacjonarnym komputerze pojawił się folder zatytułowany po prostu „Jętki”.

Kliknął dwa razy plik i otworzył się pdf. Baza danych. Bardzo długa lista nazwisk i adresów. Przejrzał je pospiesznie z bijącym sercem. *To wszystko? Cała ta nienawiść i przelana krew za listę adresową?*

Większość nazwisk nic mu nie mówiła, ale był tam też polityk, którego znał, starszy urzędnik z wydziału planowania gospodarczego, z którym miał kontakt, dwóch znajomych adwokatów. Niemniej jedno było pewne: ktoś za wszelką cenę chciał te nazwiska utrzymać w tajemnicy.

Charlie przeszedł podziemny parking, ale zwolnił, gdy zbliżał się do starego volvo. Przy samochodzie ktoś stał. Opierał się plecami o dach i czekał cierpliwie. Charlie zatrzymał się w odległości kilku metrów, trzymając kluczyki w opuszczonej ręce. Światło ze świetlików w górze padało na jej włosy, ale twarz pozostawała w cieniu. Nie widział jej dokładnie, ale smukła postać nieomylnie należała do kobiety, z którą kochał się zeszłej nocy.

Chciał, aby uważała, że nic nie czuje. Sam chciał tak myśleć. Bez słowa otworzył zamek centralny i oboje wsiedli do samochodu. Odezwała się dopiero po kilku kilometrach jazdy.

– Dokąd się wybieramy?

– Nie wiesz? – spytał oschle.

– Najwyraźniej.

Zerknął na nią z ukosa.

– Czy matka nie powtarzała ci, abyś nie wsiadała z obcymi do samochodu?

– Moja matka rzadko służyła mi radą. Nie odzywałam się, bo padła mi bateria w telefonie.

– Gdzie byłaś?

– Myślałam.

Charlie postanowił nie zgłębiać tematu, ale kiedy zauważył swoje odbicie w bocznym lusterku, zdziwił się, że się uśmiecha. Cieszył się, że ją widzi. Zastanawiał się, czy mówić o zeszłej nocy, ale do tej pory dowiedział się dosyć o Jessica Ellinder, aby wiedzieć, że gdyby chciała, sama by o tym wspomniała.

To jednak nie pomagało w jego stanie dezorientacji. Zastanawiał się, czy Jessica tego żałowała. Czy się wstydziła?

No i czy miała ochotę na powtórkę?

– Jedziemy odwiedzić mojego starego przyjaciela – wyjaśnił. – Służy w policji w południowej Walii, ale teraz jest na jakimś kursie gdzieś bliżej. To najwyższej godziny jazdy.

– Jak miło – odparła, chociaż jej ton sugerował coś przeciwnego.

– Dostałaś moją wiadomość o McEwenie?

– Tak.

– I nie powiedziałaś ojcu?

– Nie – odparła po zastanowieniu.

– To dobrze. Nie chcemy alarmować McEwena na tym etapie.

Przed nimi utworzył się korek. Jak okiem sięgnąć, długi szereg czerwonych świateł stopu. Leniwy deszcz bębnił o przednią szybę w podobnym tempie jak bicie serca Priesta.

– Kiedy Georgie przeszukiwała gabinet Wrena, natrafiła na wyciąg z policyjnych akt odnoszący się do morderstwa popełnionego w lesie trzydzieści kilometrów na północ od Cardiff – kontynuował. – To ciekawe, ponieważ nie mogłem znaleźć żadnych medialnych doniesień, a przecież dla tabloidów byłaby to nie lada gratka. – Zamilkł, nagle czując jej zapach.

– I? – zachęciła go Jessica.

– Przepraszam, coś zaprzątnęło moją uwagę. Raport jest niekompletny, ale wspomina drewnianą chatę w lesie. Policja znalazła ofiarę na krześle. Mężczyzna został otruty.

– Otruty?

– Tak, ale nie jakąś zwykłą trucizną. Czymś bardzo specyficznym. Raport nie zawiera żadnej analizy chemicznej, ale cokolwiek to jest, doprowadziło ofiarę do szaleństwa.

– Jaka była przyczyna śmierci?

Wrócił pamięcią do zawartości raportu i zdjęcia ofiary. Druga przerażająca karykatura ludzkiego ciała, jaką widział. Żołądek podszedł mu do gardła.

– Obdarł się ze skóry.

– Rozumiem.

Czekał, przekrzywiwszy głowę.

– Ja... – Z tyłu rozległ się klakson; samochody ruszyły. Volvo zatrzęsło się i ożywiło; zaczęli pełznąć do przodu. Zerknął na Jessicę. Siedziała

w całkowitym bezruchu, z oczami skierowanymi na drogę przed sobą, a dłońmi na kolanach.

Charlie poruszył się w fotelu. Co w niej tak bardzo go niepokoiło?

– Mówiłeś, że odzyskałeś pendrive – przypomniała mu.

– Wren przesłał go do mojego domu, nie do mieszkania.

– I?

– To baza danych z nazwiskami i adresami.

– To wszystko?

– Tak.

– Nazwiska coś ci mówią?

– Nic. Jest kilka osób, o których słyszałem, ale nie ma nikogo o szczególnym znaczeniu, a niektórzy z nich nie żyją według urzędu stanu cywilnego.

– Więc nie posunęliśmy się do przodu. – Usłyszał frustrację w jej głosie.

– Ta baza danych coś dla kogoś znaczy. Może twój ojciec powinien na nią spojrzeć? Zobaczyc, czy rozpoznaje jakieś nazwiska.

Skinęła głową. Dalej jechali w milczeniu.

– Twoja siostra pokazała mi pewien pokój w waszym domu – zaczął ostrożnie. – Gdzie twój ojciec przechowuje owady.

– Zawsze była bardzo gościnna – skwitowała tę informację Jessica.

– Może powinnaś była mi o tym wspomnieć? Twój ojciec ma między innymi zbiór jętek. Tego samego owada, którego znaleziono w gardle Milesa.

– Czy przez to jest podejrzany?

– Niekoniecznie.

– To dlaczego to ma mieć związek? Zbierał je przez całe życie.

Charlie się skrzywił. Nie szło dobrze. *Jak już przy tym jestem, to może wtrącę komentarz o agresywnym seksie, który wczoraj uprawialiśmy, żeby sytuacja była jeszcze bardziej niezręczna? Zapowiadała się długa podróż. Jednak jesteśmy zamknięci w samochodzie. Czy ona może omijać ten temat przez całą godzinę jazdy?* Wziął głęboki wdech i zaczął:

– Czy mogę wrócić do...

– Seksu z zeszłej nocy? – przerwała.

– Tak.

– Co z nim?

– Zastanawiałem się, czy chcesz o tym porozmawiać.

Wzruszyła ramionami, jakby ta sugestia była śmieszna.

– Dlaczego? Chcesz to analizować?

– Nie o to mi chodzi.

– To o co?

– O... – Zawahał się. Kiedy ujęła to w taki sposób, sam nie wiedział, o co mu chodzi. Spróbował jeszcze raz. – Chodzi o... jak się... czujesz?

– Jak się czuję?

Nie wiedział, czy ona drwi z niego, czy rzeczywiście nie zrozumiała, o co pyta.

– Mam jakoś uprościć to pytanie?

– Chodzi ci o to, co czuję do ciebie? – Spojrzała na niego kątem oka.

Zawstydził się. Niezręczność była zbyt wielka.

– Chyba tak.

Zastanawiała się, chociaż podejrzewał, że droczy się z nim.

– Okoliczności, w jakich się znajdujemy – odezwała się po chwili – oznaczają, że nasze zachowanie zeszłej nocy było nierozsądne.

– Jessica... – powiedział poruszony. – Jesteś robotem?

Odwróciła wzrok na drogę. Minęło kilka kolejnych minut męczarni.

– Może powinniśmy po prostu porozmawiać – zasugerował w końcu. – Niekoniecznie o zeszłej nocy, wiesz, ale ogólnie?

Wykonała kilka gestów ręką, jakby próbowała znikąd przywołać słowa.

– Świetnie – rzekła w końcu. – Jak skończyło się twoje pierwsze małżeństwo?

– I już? – odparł zaskoczony. – Taka jest twoja próba rozmowy na ogólny temat. „Jak skończyło się twoje pierwsze małżeństwo?”

Wzruszyła ramionami.

– To jest na temat – przyznał.

Samochody się zlitowały i zaczęły pełznąć nieco szybciej. W oddali sznura pojazdów migają niebieskie światła, a dalej Priest dostrzegł szybszy ruch. Uznał, że teraz powinien ją przycisnąć, ale nie mógł znaleźć słów. Poza tym Jessica jasno przedstawiła swoje zdanie: nie chciała o tym rozmawiać.

– Spotykamy się z Tiffem Rowlinsonem. To główny inspektor policji w południowej Walii. Pracowaliśmy razem w Londynie. Tiff to świetny gliniarz; prowadził też śledztwo w sprawie otrucia pod Cardiff. Chcę spróbować ustalić, czy istnieje jakiś związek między tamtym morderstwem a Philipem Wrenem i twoim bratem.

– Myślisz, że może być?

– Wren jest powiązany.

Jessica skinęła głową.

Charlie mocno trzymał kierownicę. Czuł zapach kochanki. Przypominał sobie jej ciche, ochryple stęknienia zeszłej nocy, gdy wbijała mu palce w kark, gdy jej ciało drżało z rozkoszy pod jego dotykiem. Odpędził od siebie ten obraz. Czekala ich praca.

– Ona odeszła – powiedział po półgodzinie milczenia. Już dawno zostawili za sobą Londyn.

– Dlaczego?

Zastanowił się.

– Prawdopodobnie dlatego, że poczuła do mnie głęboko zakorzenioną nienawiść.

Jessica skinęła głową. I w końcu się uśmiechnęła.

Georgie nie kupiła biletu pierwszej klasy. Stać ją było, ale nie kupiła, dla zasady. Niestety przez to miała tylko trzydzieści minut bezpłatnego Wi-Fi. Potem to, co zaoszczędziła na bilecie, zużyje na dodatkowy dostęp do Internetu.

Nie była zła na Charliego. Rozumiała, dlaczego brał cały ciężar na siebie, dlaczego nie chciał, aby którekolwiek z nich znalazło się w niebezpieczeństwie, ale też jej nie imponował. Nie potrzebowała ochrony! Georgie zostawiła przeszłość za sobą. Nie była ofiarą; była twarda. I nie ufała Jessice Ellinder. Coś w tej kobiecie jej nie pasowało. Była zimna, pozbawiona uczuć, po prostu manekin. Jednak Charlie najwyraźniej tego nie dostrzegał. Przeżywał stres, może to go tłumaczy. Skoro tak, to niewykluczone, że wdzięki Jessiki Ellinder wpływają na jego osąd.

Ta myśl mocno jej dokuczała, jak przejmująco zimny wiatr, który wiał po peronie. Spojrzała na zegarek. Piętnaście minut do odjazdu pociągu, jeżeli się nie spóźni. Peron był niemal pusty. Kilkoro studentów skupiło się obok kawiarni. Po drugiej stronie torów stała jakaś rodzina. Jedyni inni ludzie w bezpośredniej bliskości to dwaj mężczyźni w garniturach siedzący na sąsiedniej ławce. Kątem oka zauważyła, jak jeden z nich zerka na nią. Nie rozmawiali, tylko siedzieli. Mocniej owinęła się płaszczem.

Próbowała nie myśleć o Martinie. Starła się nie dopuszczać go do swojej świadomości, żeby nie skaził tego cichego momentu, który – gdyby nie zimno i podejrzani mężczyźni w garniturach – mógłby być przyjemny. Wjechał pociąg, zaledwie kilka minut po wyznaczonej godzinie odjazdu. W ostatniej chwili weszła jak najdalej od mężczyzn w garniturach. Oczywiście, wyprawa do Cambridge, aby sprawdzić dom Hayley Wren, nie była zgodna z poleceniem Charliego, żeby wracała do domu i nie angażowała się więcej w sprawę, ale nie mogła sobie tej wycieczki darować.

Przecież Hayley gdzieś była. Ktoś jej szukał?

Georgie sprawdziła telefon: kilka wiadomości w sprawach, nad którymi pracowała, i nieodebrany telefon od Li, ale to mogło poczekać. Spędziła trochę czasu, odpowiadając na maile, i zanim opróżniła skrzynkę, Londyn został daleko w tyle. Spoglądała przez okno: wiejski pejzaż przesuwał się szybko, a ona uświadomiła sobie, że nie pamięta odjazdu z peronu. Nagle rozległ się głos tuż przy jej uchu.

– Cholera! – wykrzyknęła Georgie.

Konduktorka zrobiła zgorzowaną minę.

– Przepraszam. Powiedziałam „bilety”.

– Och. Oczywiście. Przepraszam za tę „cholere”.

Wyciągnęła bilet, a konduktorka o rękach grubszych od talii Georgie i pośladek niczym wzgórze, kołysząc się na boki, podreptała dalej.

Georgie zastanawiała się, co powie Charliemu, jeżeli w ogóle zapyta ją o tę małą wycieczkę. Mogła skłamać, ale kłamanie jej nie wychodziło, a Charlie wyczuwał łgarstwo na kilometr. Mogła... Coś kazało jej się odwrócić. Zamarła. Dwaj mężczyźni w garniturach weszli do wagonu.

Zamknęła oczy i policzyła do dziesięciu. Za sobą słyszała szuranie bagażu na półce na walizki... i oddech. Słyszała, jak oddychają, była tego pewna.

Pociąg zwalniał. Głos z automatu oznajmił, że następny przystanek to Cambridge. Georgie powoli wstała, nie mając odwagi się odwrócić. W kieszeniach płaszcz jej dłonie zaciskały się w pięści. Miała też coś ostrego. *Pęk kluczy*. Objęła je palcami i wystawiła jeden z najbardziej nierównych, tak że trzpień sterczał spomiędzy drugiego i trzeciego palca. Niewiele, ale wystarczy, żeby wydłubać oko, gdyby zaszła potrzeba.

Ruszyła przejściem do wejścia. Za sobą słyszała szuranie stóp. Ktoś zakaszał. Gdy szła, oni też. Czuła gorąco rozlewające się po jej piersi i szyi. Charlie miał rację. Powinna zostać w domu. Zacisnęła dłoń na kluczach. Była w połowie wagonu i poruszała się coraz szybciej, starając się nie biec, żeby nie zaczęli jej gonić.

Pomyślała o Milesie Ellinderze i Władzie Palowniku, gospodarze wołoskim. Klucze wbijały jej się w dłoń.

Pociąg zwalniał całą wieczność. Za oknem dostrzegła jakiś teren przemysłowy. Pudełkowate budynki z nazwami nieznanymi jej firm. Niski mur ozdobiony tagami i graffiti.

Drzwi na końcu wagonu powinny otworzyć się automatycznie, gdy do nich doszła, ale tak się nie stało. W głowie jej waliło, dudnienie mieszało się

z marszowymi krokami robotów za nią. Georgie znowu zamknęła oczy. Była już wcześniej w takiej sytuacji. Wiedziała, że może drapać i gryźć, użyć kluczy, gdyby zaszła potrzeba. Lecz ostatnim razem miała do czynienia z jednym mężczyzną, tym razem było ich dwóch. Łzy napłynęły jej do oczu. Chciała zniknąć.

W głowie pojawił się obraz Hayley – przynajmniej takiej, jaką sobie wyobrażała. Może Hayley była w takiej sytuacji, może skuliła się w kącie, sparaliżowana przez strach. Może bała się tak samo jak Georgie teraz. Hm, ona nie będzie taka. *Nie będę taka. Jestem twarda. Wygrywam. Nie jestem ofiarą.*

Georgie odwróciła się gwałtownie. Wyciągnęła z kieszeni klucze, gotowa ciąć ciało prześladowców, gotowa wbić je im w oczy.

Nadal czuła gorąco. Chwytała powietrze. Wszystkie mięśnie miała napięte. Ręka jej opadła. Oddech zwolnił. Wagon był pusty.

Tiff Rowlinson się nie zmienił. Najwyraźniej utknął w zakrzywieniu czasoprzestrzeni, niepodatny na proces starzenia. Włosy nadal miał jasnorude. Wyglądał jak nieco starszy członek boys bandu.

Zastali go siedzącego na drewnianej ławce, skąd wpatrywał się obojętnie w dolinę, gdzie znajdowało się kilka gospodarstw. Gdyby nie turbiny wiatrowe znaczące horyzont, ten krajobraz mógłby się nie zmieniać od setek lat.

Rowlinson odwrócił się na krótko, aby ich przywitać. Jedną rękę trzymał wyciągniętą na oparciu ławki i ścisnął w dłoni kubek kawy. Kiedy zobaczył Jessicę, wstał i się uśmiechnął.

– Dzień dobry. Myślałem, że to będziemy tylko ty i ja, Priest. Nie żeby dodatkowe towarzystwo nam przeszkadzało, panno...?

– Ellinder. Jessica Ellinder.

Uścisnęli sobie dłonie. Charlie zauważył, że Jessicę natychmiast uspokoiła łagodna natura Rowlinsona. Poczul lekkie zdenerwowanie.

– Jak się miewa William? – spytał Rowlinson.

– Nadal wariat.

– A ty ciągle brzydki, Priest – stwierdził Rowlinson. – Zbyt brzydki, szczególnie w tak wyjątkowym towarzystwie. Jeżeli panna Ellinder jest twoim współpracownikiem, to twoja stawka musiała znacząco wzrosnąć.

– Jest klientką. Ciebie też miło widzieć, Tiff.

– Klientką? – Rowlinson uniósł brew. – W interesach tak daleko? Mam nadzieję, że nie żądasz od panny Ellinder stawki godzinowej.

Usiedli na ławce, Charlie w środku, i podziwiali górzystą okolicę. Jessica opierała kolano o jego nogę, a on szukał czegoś, aby odwrócić swoją uwagę od jej kolana. W wewnętrznej kieszeni marynarki miał paczkę papierosów. Pomyślał, żeby wyjąć jednego, ale przypomniał sobie, że zgubił zapalniczkę, kiedy uwalniał się z więzów.

– Powiedz mi, Priest, nie mieliśmy kontaktu... od... roku? Nagle dzwonisz i domagasz się spotkania dzisiaj po południu w dyskretnym miejscu, aby porozmawiać o czymś tajnym. I przyprowadzasz z sobą klientkę. Zakładam, że nie przyjechałeś wyznać mi swojej dozgonnej miłości.

– Ostatnie kilka dni było paskudnych, Tiff. – Charlie zamrugał, lustrując horyzont.

– Opowiadaj.

Charlie wręczył mu policyjne akta, które Georgie znalazła w gabinecie Wrena. Rowlinson przewertował je i oddał. Jego mina sposepniała.

– Skąd to masz? – zapytał cicho.

– Z gabinetu prokuratora generalnego.

– No, no.

– Potrzebuję pomocy, Tiff.

Chłodny wiatr powiał przez dolinę, marszcząc trawę. Ciemną zielenią gdzieś w oddali znaczyły połacie fioletowych wrzosów. Jessica ściśle owinęła się kurtką. Priest zastanawiał się, czy nie oddać jej swojej marynarki, ale wątpił, czy jego próba rycerskości zostanie dobrze przyjęta.

– Domyślam się – odezwał się po chwili Rowlinson – że nie jest to dla ciebie drugorzędna prośba.

– Cholera, nie. Wpadliśmy w huragan.

– Rozumiem. Wobec tego sugeruję, żebyś wyciągnął swój najmocniejszy parasol.

Charlie odwrócił się i spojrzał na Rowlinsona.

– Co się dzieje?

– Sam chciałbym wiedzieć – mruknął inspektor.

– To twoja sprawa, Tiff. Jesteś starszym oficerem dochodzeniowym.

– Już nie.

Priest był zaskoczony. Rowlinson był gliną pierwszej klasy. Jaki nadinspektor przy zdrowych zmysłach odebrałby mu sprawę?

– To kto jest? – spytał.

– Nie mam pojęcia – odparł Rowlinson, opierając się plecami i wyciągając nogi. – Z tego, co wiem, to nie ja.

– Kto ci to zabrał?

– Nawet tego nie wiem. Mój szef też nie wiedział. Powiedział mi jedynie, że polecenie przyszło bezpośrednio z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

– Ministerstwo nie...

– Mieszasz się w wewnętrzne sprawy policji? Daj spokój, Priest. Gdzieś ty był przez ostatnie dziesięć lat? – Rowlinson westchnął i przygarbił się. – Słuchaj, mówi się, że sir Philip Wren organizował jakąś tajną grupę specjalną do prowadzenia spraw takich jak ta moja.

Charlie poczuł, jak Jessica się poruszyła.

– Wren był prawnikiem, a nie strategiem policyjnym – przypomniał Priest.

– Miał wojskową przeszłość. Może poszerzał swój zakres.

Charlie się skrzywił. To było mało prawdopodobne.

– Co możesz mi powiedzieć o tym zabójstwie?

Rowlinson pokręcił głową.

– Byłem na miejscu z zespołem kryminalistów. To wszystko. Wtedy zjawił się nasz świętej pamięci przyjaciel.

– Wren?

– Ten sam.

– Mów dalej.

Rowlinson westchnął.

– Ofiara została przywiązana do krzesła i wstrzykiwano jej rozmaite substancje, które w efekcie po dłuższym czasie doprowadziły ją do szaleństwa i skłoniły do samookaleczenia. Cierpiała niewyobrażalnie.

– Jakie substancje?

– Nie wiem na pewno, ale jeden z techników miał wcześniej doświadczenie z truciznami. Powiedział mi, że zna tylko jedną truciznę, która może doprowadzić do takich zniszczeń. Zmodyfikowaną wersję naturalnie występującego związku... strychniny.

– Coś bliżej?

– Jest taka roślina, która rośnie głównie w Indiach, kulczyba wronie oko. Nasiona zawierają strychninę, bardzo toksyczny alkaloid, ulubioną truciznę nazistowskich lekarzy podczas Holokaustu.

– Nazistów? – Charlie zamienił się w słuch.

– Tak – kontynuował Rowlinson, nie zauważając wzmożonego zainteresowania Priesty. – Truciznę podawano więźniom w różnych obozach koncentracyjnych, głównie w Buchenwaldzie. Zazwyczaj w jedzeniu. Lekarze obserwowali skutki i mierzyli, jak szybko różne dolegliwości ustępowały. Lecz okazało się, że te alkaloidy nie były zbyt skuteczne.

– Mnie wydały się całkiem skuteczne – zauważył Charlie.

– Nie jako sposób na zabicie.

– Co przez to rozumiesz?

– Hm, przeciętna dawka trucizny od liściołaza żółtego zawiera dosyć jadu, aby zabić około dziesięciu tysięcy myszy albo od dziesięciu do dwudziestu ludzi zaledwie w kilka minut. Te piękne skrzydlice w twoim mieszkaniu, Priest, przy założeniu, że je karmiłeś, mogłyby cię zabić po jednym dniu, gdybyś miał pecha i alergię na nie. W tym wypadku moc trucizny podanej ofierze plasuje się gdzieś między liściołazem a skrzydlicą, ale początkowym celem nie było uśmiercenie, co najwyżej wtórny.

– Więc jaki był cel? – Charliego przebiegł zimny dreszcz. Już znał odpowiedź.

– Chcieli widzieć, jak biedak cierpi – odparł Rowlinson tak cicho, że Priest musiał się pochylić, aby usłyszeć. – Trucizna atakuje nerwy w kręgosłupie. Powoduje niewyobrażalny ból, ale neurotoksyny powstrzymują mózg przed odcięciem ciała, co jest naturalną obroną przy takiej traumie. Każdy mięsień ciała rozciąga się i skręca. Tlen nie może dostać się do odległych miejsc, więc ręce, stopy i twarz sinieją i usychają. Ofiara wymiotuje, robi pod siebie i dostaje konwulsji. Wygina plecy w łuk w tak nienaturalny sposób, że sama sobie łamie kręgosłup. W realnym życiu to najbardziej przypomina opętanie przez demony.

– Mówiłeś, że strychnina została zmodyfikowana? – przypomniał Charlie.

– Jeśli tak, to mamy do czynienia z najbardziej przerażającą substancją, jaką otrzymano.

– Dlaczego mówi pan, że „chcieli”? – po raz pierwszy wtrąciła Jessica. – Wspomniał pan, że to „oni” chcieli obserwować cierpienie.

Rowlinson upił łyk kawy, opróżniając kubek.

– Znaleźliśmy dowody na obecność w chacie przynajmniej sześciu osób poza ofiarą i uważam, że zostali tam, aby obserwować przedstawienie.

– Skąd to przypuszczenie? – dopytywała się Jessica.

– Sześć krzeseł ustawionych jak w teatrze.

– To właśnie to – mruknął Charlie. – Podniecają się tym. *Torture porn*.

– Tylko że im najwyraźniej podoba się bardzo szczególny rodzaj tortur. Oparty na tym, że ofiara sama się okalecza.

– Powiedział pan „podoba się” – zauważyła ostro Jessica. – W czasie teraźniejszym.

– Zgadza się.

– Jest tego więcej?

Rowlinson sięgnął pod ławkę do torby, której Priest wcześniej nie zauważył. Wyciągnął plik papierów, które im podał bez słowa.

Charlie je przejrzał.

– Ach – powiedział. – Wiedziałeś, po co przyjeżdżamy.

– Domyśliłem się – przyznał Rowlinson. – Masz w zwyczaju zjawiać się, kiedy dzieje się coś dziwnego.

Priest podał papiery Jessice.

– Skąd je masz? – zapytał Rowlinsona.

– Bardzo uważnie słuchałem szefa, jak mówił mi, że sprawa jest w innych rękach, a ja mam zapomnieć, że to w ogóle widziałem. Kilka telefonów później dowiedziałem się, że pozostali starsi detektywi znaleźli się w podobnej sytuacji. Masz tu akta przynajmniej dwóch innych podobnych incydentów, ale podejrzewam, że jest ich więcej.

– To wygląda na zorganizowane działanie.

– Coś w tym rodzaju.

Jessica zadrżała.

– Skąd pan... – Przerwała. – Skąd pan wie, że oglądanie tego sprawia im przyjemność? Skąd pan wie, że to nie...?

Rowlinson odwrócił się do niej.

– Przepraszam, że musiałem to powiedzieć. To szczegół, który starałem się usunąć z pamięci, od kiedy wszedłem do tej zapomnianej przez Boga chaty. Wiesz, jak to jest, Priest. Nigdy nie reagowałem źle na miejscu zbrodni, ale po raz pierwszy w życiu rzygałem jak kot po kilku minutach spędzonych w pobliżu tej ofiary. Jest jednak więcej. Znaleźliśmy... – Rowlinson przełknął z trudem. – Płynę przy jednym z krzeseł. Były krew i zółć ofiary, ale także ślady spermy. Niepochodzącej od ofiary.

Charlie potarł z namysłem brodę. Poczuł, jak Jessica jeszcze bardziej się przysunęła. Rowlinson wrócił do spoglądania w dal.

– Mówiłeś, że ktoś z twoich ludzi wspomniał o nazistach – przypomniał Priest.

– Wspomniał o nazistowskim lekarzu Schneiderze, który był w Buchenwaldzie – odparł Rowlinson. – Najwyraźniej specjalizował się w torturowaniu więźniów przy użyciu trucizny. Niektórzy ze strażników lubili się przyglądać. Mogę w to uwierzyć. – Pokręcił głową. – Dominacja zła nigdy nie przestaje mnie dziwić i wywoływać we mnie obrzydzenia.

– Lubisz muzykę?

To wydawało się całkiem niewinnym pytaniem, ale spotkało się z pogardliwym spojrzeniem. Charlie przyjął niemą odpowiedź Jessiki jako „nie” i skupił uwagę na drodze. Pierwsze piętnaście kilometrów podróży powrotnej do Londynu minęło w prawie całkowitej ciszy. Był rozczarowany. Muzyka była dla niego ważna.

Jessica studiowała papiery od Rowlinsona. Oglądała każdą kartkę dwa lub trzy razy, chłonąc łapczywie informacje.

– Wspomniałeś nazistów – powiedziała w końcu, nie podnosząc wzroku.

– Tak?

– Scarlett też ci o nich mówiła.

– Wy dwie rozmawiacie?

– To cię dziwi?

– Oczywiście, że nie. Przepraszam, nie chciałam osądzać.

– Świetnie – rzuciła Jessica zniecierpliwiona. – Naziści.

– Myślisz, że Miles był nazistą?

– To możliwe. – Zamilkła i zastanawiała się. – Jego nicki na kontach społecznościowych kończą się takimi samymi liczbami. Osiemdziesiąt osiem.

– Nie nadażam – rzekł po chwili.

– Ósma litera alfabetu to H.

– HH. *Heil Hitler*.

– Prawdopodobnie to przypadek. Lecz te dokumenty to wyjątki z akt policyjnych podobnych do tych, które twoja pracownica znalazła u Wrena. Toczy się śledztwo w sprawie przynajmniej trzech incydentów, w których ofiara jest torturowana i doprowadzona do śmierci przy użyciu trucizny. Za każdym razem ta grupa ludzi zbiera się, aby patrzeć, co się dzieje.

– Jętki?

– Może tak właśnie siebie nazywają.

– Nadzianie na pal nie do końca pasuje do ich modus operandi – zauważył.

– Z tego, co można zrozumieć z tych papierów, działają trochę jak grupa pedofilów – powiedziała, ignorując jego uwagę. – Są dobrze zorganizowani, rzeczowi, ostrożni. Nie starają się ukryć tego, co robią, ponieważ wierzą, że są nietykalni. Kimkolwiek jest ich przywódca, organizuje przedstawienie i... jak myślę... banda chorych zboków sporo płaci, żeby się przyglądać.

Priest poczuł, jak skręca mu się żołądek.

– Hayley...

– Czy to córka człowieka, który zgłębiał ten... co? Kult? Tak...

– To nie zbieg okoliczności, że zaginęła.

Zacisnął mocniej ręce na kierownicy i wcisnął pedał gazu. Stare volvo zareagowało, kiedy niezdarnie zjechał na pas szybkiego ruchu.

– Jest jeszcze czas – rzekł, chociaż bez większego przekonania. – Ale Hayley Wren grozi wielkie niebezpieczeństwo.

– Gdzie zaczniemy?

Wyciągnął pendrive z wewnętrznej kieszeni marynarki i uniósł go do słabnącego światła.

– Mamy nazwiska widzów, pamiętasz? Nazwiska, adresy, daty urodzin. To jest ten krąg, na tym pendrivie. To musi być to. Na tym tak zależało Milesowi.

Jessica szeroko otworzyła oczy. Była blada bardziej niż zwykle. Niemal alabastrowa.

– Czy... – zaczęła.

– Nie – przerwał jej Priest, uprzedzając pytanie. – Milesa nie ma na liście. Ani twojego ojca.

– Nie wydaje ci się to bez troskie? – spytała. – Żeby trzymać listę klientów na te „przedstawienia”.

– To świetna polisa ubezpieczeniowa... pod warunkiem że dobrze ją ukryjesz.

– Miles próbował zdobyć tę listę czy może odzyskać?

Charlie wrócił pamięcią do tych dzikich oczu wpatrzonych w niego zza wiertarki. Był niemal pewien, że Miles próbował odzyskać coś, co stracił, a nie zdobyć coś, czego nigdy nie miał. *Może został zamordowany, bo nie udało mu się odzyskać pendrive'a. Ale po co zaraz nadziewać go na pał, jeżeli tak było w istocie? Jakie to miało znaczenie?*

Znowu na nią spojrział. Jessica odsunęła się od niego, śmiertelnie poważna. Głowę opierała o okno, jej kasztanowe włosy drżały wraz z samochodem.

– Przepraszam – powiedział.

– Za co?

– Za to, co ci się przytrafiło. I twojej rodzinie.

– To nie ty zrobiłeś.

Wyciągnął do niej rękę, ale się zawahał. Jessica nie poruszyła się, chociaż musiała być świadoma tego gestu. Zaczął cofać rękę, ale coś go powstrzymało.

Gryzło go pytanie, co dla niej znaczy, dlaczego pieścił jej nagą skórę z całkowitą swobodą, bez oporu, zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu, a teraz bał się jej dotknąć.

Śmieszne.

Z jedną ręką nadal na kierownicy delikatnie dotknął palcem jej ramienia. Z początku nie zareagowała, aż przesunął dłoń w dół, a wtedy ona wyszła z transu, odwróciła głowę do niego i ujęła jego dłoń.

14 kwietnia 1972
Kensington, Londyn

Główny inspektor Bertie Ruck niecierpliwie przygryzał papierosa, kiedy czekał, aby go przeprowadzono przez hotelowy hol.

W końcu zjawił się młody detektyw, czerwony na twarzy i udręczony. Ruck nie wiedział, jak się nazywa.

– Sir, słyszałem, że jest pan na zwolnieniu – powiedział niepewnie posterunkowy.

– Prowadź.

Policjant uniósł policyjną taśmę i Ruck pod nią zanurkował. Jego stare stawy nie były już tak sprawne jak kiedyś, a ten ruch podrażnił mu plecy.

– Nic panu nie jest?

– Nic. Którędy?

Funkcjonariusz poprowadził go marmurową posadzką do głównych schodów. Winda nie działała, a ciało znajdowało się na dziewiątym piętrze. Wchodzili po dwa stopnie naraz.

– Kiedy je odkryto? – spytał zdyszany Ruck.

– Dzisiaj wczesnym popołudniem. Gość miał się wyprowadzić rano, więc kierownik otworzył drzwi kluczem uniwersalnym. Najwyraźniej gość poprosił o pokój na dziewiątym, wiedząc, że hotel jest w połowie pusty. Tu sezon był kiepski. Kierownik twierdzi, że pani nalegała, aby pokoje obok i poniżej były puste. Mówiła, że lubi grać na skrzypcach do późna w nocy i nie chciała nikomu przeszkadzać.

– Więc pokój wynajęła kobieta?

– Tak jest. Pokój wynajęto na nazwisko Fitzgerald.

Ruck wzdrygnął się, jakby otwarto mu właśnie starą ranę.

Kiedy dotarli na dziewiąte piętro, przeszli pod kolejnymi taśmami

i skierowali się korytarzem tam, gdzie stało dwóch znudzonych gliniarzy.

- Był pan jakiś czas temu w wydziale zabójstw, sir? – zapytał posterunkowy.
- Tak.

Policjant skinął głową.

- Wobec tego proszę się przygotować. To nie jest ładny widok.

Pokój wyglądał jak inne pokoje hotelowe. Beżowe ściany, zasłony w kolorze awokado, łóżko, stolik nocny i małe biurko. Ale wszystko w pokoju było przesiąknięte krwią. Ruck zrobił krok naprzód. Ofiara leżała na łóżku, z twarzą przeraźliwie wykrzywioną. Mężczyzna był nagi, ale jego ciało wyglądało, jakby dobrały się do niego dzikie zwierzęta. Od jednego boku oderwane były wielkie pasy skóry, odsłaniając tkanki pod spodem.

To nie była ofiara morderstwa. To była tusza.

– Na ramieniu jest ślad ukłucia – powiedział cicho policjant. Stał poza pokojem, zasłaniając dłonią usta. – Coś mu wstrzyknięto. Myślę, że rany zadano post mortem.

- Detektywie, to pobożne życzenie – odparł Ruck.

– Co to jest?

Ruck zmrużył oczy i zacisnął pięści. Coś w nim płonęło. Zrobił kolejny, mały krok naprzód i przyjrzał się ciału. Niegdyś był to młody mężczyzna.

- Jest coś jeszcze, sir.

Ruck odwrócił się gwałtownie.

Młody detektyw trzymał coś w wyciągniętej ręce.

- List. Adresowany do pana.

Ruck się zawahał. Szybko przeszedł przez pokój i wyrwał mu list. Policjant wyglądał na zaszokowanego. Ruck rozłożył kartkę.

- Nie wiemy, co to znaczy – oznajmił detektyw.

Ruck wiedział. Oddał list policjantowi. Nic więcej nie było, poza jego nazwiskiem i zarysem owada, naszkicowanym tuszem.

- Proszę pana? Czy coś to panu mówi?

Ruck stał w bezruchu. Operacja Jętka, przesłuchanie doktora Kurta Schneidera, była dawno temu. Nikt żyjący nadal nie znał kryptonimu; nikt poza nim i jeszcze jedną osobą.

Chociaż Ruck nie widział Evy Miller od nocy, kiedy zginął starszy szeregowy Fitzgerald, każdego dnia od tamtego zdarzenia budził się z jej zapachem na sobie. I choć usilnie starał go z siebie zmyć, nie dawał rady.

Spojrzał na policjanta.

– Nie – odezwał się w końcu. – Nic mi to nie mówi.

Georgie, zdenerwowana, ale zdecydowana, stanęła przed drzwiami Hayley Wren.

Kiedy pociąg wjechał na stację, wysiadła jak najszybciej, ale dwóch mężczyzn, którzy byli z nią wcześniej w wagonie, nigdzie nie widziała. Niebezpieczeństwo sobie uroiła.

Wyciągnęła z kieszeni klucz i weszła.

To nie było trudne. Z mediów społecznościowych dowiedziała się, że Hayley jest ufna, a przy tym naiwna. Ceniła swoją społeczność. Była niepraktyczna, łatwo zapominała. Wydawało się, że zostawi zapasowy klucz u sąsiada. Nie tego ópuna Binny'ego, który mieszkał nad nią, ale u starszej pani po prawej, którą Priest i Jessica mogli przeoczyć. Okazało się, że pani Mudridge, jak sama się przedstawiła, z radością przyjmie kuzynkę Hayley, która przyjechała z uniwersytetu zrobić jej niespodziankę.

– Hayley mówiła, że zostawiła u pani zapasowy klucz – powiedziała Georgie.

– Oczywiście, moja droga! Weź go i rozgość się. Chyba ma herbatę w górnej szafce.

I Georgie tak zrobiła. Zaparzyła ziołową, której było w nadmiarze. Lubiła Wagnera i ceniła kulturę, nawet dziwaczne, zagraniczne filmy, ale zapas herbaty ziołowej, który zajmował całą szafkę, przerażał... i w całej kuchni od tego śmierdziało.

Mieszkanie było proste. Oryginalne podłogi przykrywało kilka jaskrawych dywaników, meble z Ikei, worek-siedzisko, którego najwyraźniej nigdy nie używano – prawdopodobnie prezent – filiżanki starannie ustawione według rozmiaru i biblioteczka pełna gotyckiej fantasy. Georgie nie widziała niczego osobistego. Żadnych rodzinnych fotografii ani pocztówek. Każdy pokój przepełniała dogłębna samotność. Można by pomyśleć, że ktoś niedawno zmarł w tym domu. Wzdrygnęła się.

W lodówce jedzenie było zepsute, a woń przyprawiała o mdłości. Georgie

nie chciała zostawić mleka, żeby skwaśniało, więc wylała dwie butelki do zlewu.

Na górze było podobnie. Łazienka zavalona tanimi produktami z sieciówek; ubrania porzucane na podłodze.

W sypialni Georgie natychmiast zwróciła uwagę na toaletkę. Temperatura w tym pokoju wydawała się niższa niż w reszcie domu. Ostrożnie przeszła po pokoju, robiąc krok nad pojemnikiem z lakierem do włosów i kilkoma książkami. Usiadła przy toalecie, ale powstrzymała się przed dotykaniem czegokolwiek. W pokoju panował ziąb – oddech parował przed pękniętym lustrem. Ogarnął ją niepokój. Na stoliku był bałagan. Flakoniki z perfumami leżały rozsypane. Jeden był rozbity: płyn zostawił ślad, który zniknął za odległą krawędzią, a mdława woń przepełniała pokój. Papiery, które wcześniej musiały być starannie ułożone, teraz wyglądały, jakby potraktowano je dmuchawą do liści. Toaletka stała krzywo, a lustro było pęknięte.

A na przedniej krawędzi widniały ślady drapania paznokciami.

Georgie natychmiast zobaczyła, jak to się rozgrywało, jakby oglądała film. Spojrzała przez ramię. Napastnik ukrywał się w pokoju. Hayley otworzyła drzwi, może po prysznicu. Usiadła, nawet nie myśląc, że ktoś jeszcze poza nią jest w domu. Prawdopodobnie chwycił ją za usta i gardło. Hayley instynktownie złapała się toaletki, aby napastnik jej stąd nie wyciągnął. Stolik odsunął się od ściany pod kątem. Spanikowała. Georgie rozejrzała się po pokoju, w którym panował chaos. Hayley zdecydowała się na walkę, sądząc po bałaganie i zadrapaniach. Najwyraźniej jednak tę walkę przegrała. Czy skończyło się na kilku siniakach, czy porywacz ją zranił?

Georgie zamknęła oczy. *Co jeszcze wydarzyło się w tym pokoju?*

Znowu zadrżała. Otworzyła oczy. Zastanawiała się, czy zadzwonić do Charliego. Była podenerwowana. A jego głos dodałby jej otuchy... ale jej tu nie powinno być. Złamała obietnicę.

Wstała, szukając w kieszeni telefonu. Za nią łóżko było niezasłane, z jednej strony pościel zsunęła się na podłogę. *Czy rzucił ją na materac? Położył się na niej?* Drżącymi rękoma przeszukiwała kontakty w komórce, aż jej kciuk spoczął na numerze Charliego. Już miała go wcisnąć.

Na dole otworzyły się drzwi frontowe. Ktoś był w korytarzu.

Zlustrowała pokój z bijącym sercem. Schować się mogła tylko pod łóżkiem. Czy się zmieści? A który napastnik tam nie zajrzy? *To głupi pomysł.*

Ogarnęła ją panika.

Wstrzymała oddech i zamknęła oczy. Z dołu nie dochodziły żadne odgłosy. *Czy ktoś może bezgłośnie przejść korytarzem do schodów?* Może już był w połowie schodów. Było za późno i Georgie nie mogła się ruszyć, nawet gdyby chciała. Trwała w miejscu jak skamieniała... jej los najwyraźniej został przypieczętowany.

Skrzypnęła deska. Georgie zasłoniła dłońmi usta, tłumiąc krzyk.

– Halo, moja droga? Jesteś tu?

Odetchnęła z ulgą.

– Tak, już schodzę! – krzyknęła.

Pani Mudridge uśmiechnęła się, gdy Georgie zeszła do niej. Na zębach miała więcej szminki niż na ustach.

– Och, jesteś!

– Tak. Wszystko w porządku, pani Mudridge?

– Hm, właśnie sobie przypomniałam, Hayley nie ma. Wyjechała na długi weekend ze swoim chłopakiem, jakiś tydzień temu.

Georgie pokiwała głową ze zrozumieniem. *Z chłopakiem.*

– Naprawdę? Wspominała coś o tym. Musiałam pomylić daty.

– Oj, moja droga, to szkoda. Tak mi przykro.

– Nie znam chłopaka Hayley. Ukrywała go przede mną, uwierzy pani?

– Naprawdę? Kto by pomyślał!

– Widziała go pani?

– Hm... – Pani Mudridge wydeła usta, zbierając myśli. – Prawdę mówiąc, nie.

– Och. – Georgie nie mogła ukryć rozczarowania. – Na pewno to był jej chłopak?

– Może pospieszyłam się z wnioskiem. – Zaśmiała się dobrotliwie. – Widziałam jednak jego samochód.

– Naprawdę?

– Tak. Zaparkował na ulicy. Pamiętam, bo pomyślałam sobie: Och, Hayley odwiedza jakiś elegant!

– Pamięta pani samochód? Był duży, mały? Terenowy?

– Och, moja droga, nie znam się na tych rzeczach. Nie miałam samochodu, odkąd mąż zmarł przed dwudziestu laty. W Cambridge auto nie jest potrzebne, wiesz...

Georgie przygryzła wargę, gdy pani Mudridge dalej opowiadała, starając się nie okazywać frustracji. *Jak robią to pracownicy opieki społecznej?*

– Samochód, proszę pani?

– Ach, tak. Była jedna rzecz, moja droga.

– Tak?

– Na przedniej szybie miał śmieszny znak. Takie zezwolenie na parkowanie ze śmiesznym symbolem.

– Śmiesznym?

– Tak. Nigdy takiego wcześniej nie widziałam. Małe, srebrne serce.

Po plecach Georgie przebiegł lodowaty dreszcz. Znowu wyciągnęła telefon, wyszukała w sieci logo i pokazała srebrne serce pani Mudridge, która musiała założyć okulary, zanim przyjrzała się porządnie ekranowi iPhone'a.

– Tak – powiedziała w końcu. – Takie było. Co to jest?

– To logo Ellinder Pharmaceuticals.

Georgie wyszła na ulicę, rozważając możliwości. Pokazała pani Mudridge zdjęcia różnych samochodów, ale staruszka nie wskazała żadnego. Pamiętała jedynie – i to wyraźnie – srebrne serce.

Georgie zastanawiała się, czy samochód Jessiki Ellinder ma ten sam symbol na przedniej szybie. Próbowała zadzwonić do Charliego, ale rozmawiał albo znajdował się poza zasięgiem. Zostawiła wiadomość, prosząc, by do niej oddzwonił i wybaczył, że zignorowała jego ostrzeżenie. Postanowiła dać Charliemu pięć minut, zanim zadzwoniła do Okoro. On też nie będzie zachwycony jej wycieczką.

Hayley Wren zniknęła z powierzchni ziemi. Jako że nie zostało Georgie już nic do zrobienia w Cambridge, postanowiła wracać na dworzec kolejowy.

Pospiesznie przeszła przez jezdnię i wąskie przejście prowadzące na tyły wiktoriańskich domów. Przeglądała plan miasta w telefonie, aby znaleźć najszybszą drogę na stację. Wiał przenikliwy wiatr i było jej zimno. Kilkoro studentów przejechało obok na rowerach, bez potrzeby używając dzwonków. Ich śmiech nie dodał jej otuchy, raczej przypomniał o samotności.

Zatrzymała się na końcu ulicy. Ponad nią górowały gotyckie budynki kolegów, a zastępy zniekształconych głów wyrzeźbionych w kamieniu łypały na nią podejrzliwie. Znowu sprawdziła mapę w telefonie, ale następna sekcja planu miasta ładowała się powoli. Miała tu jakieś schronienie przed lodowatym wiatrem, ale ulica wydawała się dziwnie opustoszała. Kiedy starała się manipulować cyfrowym obrazem Cambridge, na ekranie

zamigotało przychodzące połączenie.

– Halo?

– Georgie?

– Li?

– Gdzie jesteś?

– W Cambridge.

Li zachichotała.

– Oksfordczyk w Cambridge? Co cię tam zagnało?

– Wszystko w porządku? – zapytała Georgie.

– Tak. Tylko... chciałam sprawdzić, czy u ciebie wszystko okej?

– A czemu nie? – Coś w tonie głosu Li wywołało w Georgie niepokój.

Wyczuwała ślad niepewności u na ogół pewnej siebie przyjaciółki.

– Ja tylko... no wiesz.

Georgie ogarnął strach. Po przeciwnej stronie ulicy zatrzymał się biały van i nie wyłączał silnika. Miał zaciemnione okna i był nieoznakowany. Georgie pomyślała o dwóch mężczyznach z pociągu i o zdemolowanym pokoju Hayley. Gdy serce jej przyspieszyło po raz trzeci tego ranka, podeszła bliżej budynku, chcąc schować się w cieniu.

– Li, dlaczego zadzwoniłaś?

– Żeby powiedzieć, że odłożyłam do szuflady suszarkę. Dzięki za pożyczenie.

Coś było bardzo nie tak. Usłyszała trzaśnięcie drzwiami, ktoś wysiadł z vana od strony pasażera. Spojrzała w lewo, w prawo i za siebie. Żywego ducha.

– Li?

– I jeszcze była poczta dla ciebie. Koperta jakoś upadła i... otworzyła się.

Georgie usłyszała, jak boczne drzwi vana przesunęły się po prowadnicy i zamknęły. Słowa Li wirowały jej w głowie, a ona próbowała je zrozumieć. Coś kazało jej biec, ale nogi nie chciały się ruszać, stała jak wmurowana.

– Georgie – powiedziała Li niespokojnie. – W kopercie był jakiś owad...

Za nią nagle coś się gwałtownie poruszyło. Otworzyła usta, aby krzyknąć, ale słowa nigdy nie opuściły jej ust. Poczula ręce na ramionach i coś na twarzy, mokre i ciężkie. Wzrok stracił ostrość. Próbowwała opierać się, ale było za późno. Jej świat osunął się w ciemność.

Li stała z telefonem przy uchu, połączenie zostało przerwane. Wybrała ponownie numer Georgie, ale bezskutecznie; jedynie włączała się sekretarka. Li sparaliżował strach.

Chciała dobrze. Nie mogła przestać krążyć po korytarzu, próbując wpaść na pomysł, co zrobić, żeby sprawdzić, czy z Georgie wszystko w porządku. Te dwie ostatnie sekundy połączenia... nieomylny odgłos zagrożenia... Coś przerażającego stało się z jej koleżanką. I musiało mieć związek z owadem w kopercie, tego była pewna.

Podbiegła do schodów, niemal przewracając Martina, który właśnie wyłonił się ze swojego pokoju.

– Hej! – krzyknął. – Li, co tak się spieszysz?

– Chyba coś stało się Georgie.

– Och. Niemożliwe. – Wrócił do swojego pokoju.

Li stała niepewnie na schodach. *Cholera!* Czy ma zadzwonić na policję? Pani White nie byłaby szczególnie zachwycona, gdyby Li w to się wplątała. I co miałyby powiedzieć policji? O jakichś stłumionych odgłosach, które dobiegały przez telefon gdzieś w Cambridge? Dojdą do wniosku, że zajmuje im czas.

Czy sama powinna pojechać do Cambridge? Li nawet nie miała pojęcia, gdzie zacząć szukać. Wyciągnęła z kieszeni portfel; przejrzała kieszonki. Jest: wizytówka Georgie. *Georgie Someday – mgr – dyplom prawa z Oksfordu z wyróżnieniem, King's College (Londyn) radca prawny. Przepiękne przestępstwa korporacyjne. Priest i S-ka.*

Li wybrała numer do Priest i S-ka. W końcu odezwał się chrapliwy żeński głos.

– Priest i Spółka.

– Z Charliem Priestem poproszę – powiedziała Li pełna nadziei.

– Obawiam się, że pan Priest jest na urlopie.

– Gdzie mogę go złapać? To pilne.

– Kto mówi?

Li się rozłączyła. *Kurwa, strata czasu.*

Pobiegła do pokoju Georgie i zaczęła przeszukiwać szuflady. *Musi coś być... cokolwiek!*

W tyle szuflady znalazła to, czego szukała. Tylko ktoś taki jak Georgie trzymał jeszcze notes z adresami. Urodziła się o sto lat za późno.

Przewertowała kartki, aż znalazła numer Charliego Priesta.

Zadzwoiła. Kolejna nagrana wiadomość.

– Panie Priest. Jestem przyjaciółką Georgie. Ona ma kłopoty. Proszę oddzwonić. – Li się rozłączyła. Modliła się, aby to wystarczyło.

Zanim Charlie podjechał pod kancelarię prawną Sandry Barnsdale w Kensington, Jessica zasnęła. Gdy samochód się zatrzymał, poruszyła się, otworzyła oczy i złapała za głowę.

– W porządku? – zapytał łagodnie.

Skinęła głową, wyprostowała się i rozejrzała. Kiedy przekraczała linię między światem snu a świadomości, Charlie pomyślał, że widzi przez ułamek sekundy kobietę, jaką naprawdę była. Wrażenie minęło niemal natychmiast.

– Gdzie jesteście? – spytała.

– W kancelarii Barnsdale. W Kensington. – Poczul, że w kieszeni wibruje mu telefon, ale postanowił nie odbierać.

– Po co?

– Metadane z pamięci USB – wyjaśnił.

– Nie rozumiem.

– Spis na pendrivie to tylko dokument tekstowy. Z metadanych można dowiedzieć się, kiedy utworzono plik, kiedy go ostatnio modyfikowano i tak dalej... i oczywiście, kto go napisał.

– A osoba, która to napisała, to ktoś stąd?

– Sandra Barnsdale... główny radca w tej kancelarii.

– Znasz ją?

– Spotkałem kilka razy.

– Jest ktoś w to zamieszany, kogo nie znasz?

Sięgnął na tylne siedzenie po płaszcz. Jessica odwróciła się od niego, zasłaniając dłońmi twarz. Czekał. Oddychała ciężko. Po chwili odsunęła dłonie, a on dostrzegł, że ociera łzę z oka.

Nagle poczuł się całkowicie bezużyteczny.

– Przepraszam – zachrypiała.

– Nie musisz.

– Nie! Ja nie...

– Okazujesz emocji?

– Pewnie jesteś przeze mnie skołowany – rzekła markotnie.

Uniósł brew.

– Zauważyłem kilka dziwnych zachowań.

Otworzył usta, aby podać szczegóły, kiedy znowu zadzwonił jego telefon. Tym razem sięgnął do kieszeni płaszczka, wyciągnął komórkę i zerknął na nazwę dzwoniącego. Zajęczał.

– Moja była żona.

– Lepiej odbierz.

Nie wiedział, czy Jessica jest zła, czy jej ulżyło.

– Cześć, Dee – powiedział Priest, przykładając telefon do ucha.

– Charlie? Kurwa, w co ty pogrywasz?

– Zakładam, że twoi nowi przyjaciele w stołecznej policji nie mają pojęcia, że do mnie dzwonicz? Chyba wiedzą, w jak trudnej sytuacji się znalazłaś.

– Czy to groźba? Lepiej, żeby nie.

– Oczywiście, że nie, kochanie.

– Wal się. Słuchaj, nakaz, który dostałeś, został odwołany. Naprawdę myślisz, że jesteś taki sprytny? Niewinni pozwalają glinom przeszukać własny dom. Winni utrudniają śledztwo. Tylko dołałeś oliwy do ognia, nad którym ja nie panuję, ty tępy durniu!

– Hej, Dee, nie prosiłem cię o pomoc.

– Właśnie, że prosiłeś. Miałam odwołać McEwena.

Charlie jęknął.

– Nieważne. Teraz już o to nie proszę.

– I tego nie dostaniesz.

– To po co do mnie dzwonicz?

– Żeby dać ci ostatnią szansę, abyś wyjaśnił mi, co się, cholera, dzieje.

– Mówiłem ci... nie wiem.

– Charlie, na miłość boską! Syn bardzo bogatego i wpływowego człowieka został właśnie zabity. Ściągnęłam z urlopu wszystkich cholernych detektywów, żeby wsparli zespół McEwena. To, kurwa, cud, że prasa się nie połapała, ale się zorientuje, Charlie... to na pewno... masz mało czasu. Powinieneś o tym pomyśleć.

– Może też powinnaś się nad tym zastanowić, Dee – odparł ponuro.

Był aż nadto świadom, że Dee krzyczy do słuchawki i że Jessica, która siedzi obok i nadstawia ucha, pewnie słyszy każde słowo.

– Co przez to rozumiesz? – zapytała zastępczyni komendanta ostrzegawczym tonem.

– Rusz głową. Znana osoba zostaje w okropny sposób zabita w magazynie ojca, multimilionera. To powinno być wiadomość na cały kraj, a wam udało się utrzymać to w tajemnicy prawie tydzień. Co się dzieje?

Był to niezaprzeczalny fakt: tabloidy płaciły policjantom spore pieniądze za tego typu historie. *Możesz wprowadzać niezliczone zasady podczas śledztwa, ale przecieków się nie usunie.* Ta historia była warta przynajmniej dwadzieścia tysięcy, trzydzieści, jeżeli dołączono zdjęcia.

Dee nic nie mówiła. Według Priesta, on wygrał.

– Teraz pora, abyś ty posłuchała – powiedział do byłej żony. – Wysyłam ci zdjęcie z miejsca zbrodni, z gabinetu Philipa Wrena. Zrobiłem je tam zaraz po przybyciu na miejsce, zanim zjawiała się ekipa techników. Porównaj je ze zdjęciami z akt. Przyjrzyj się szczególnie biurku, najbliższy narożnik. Sprawdź, czy jest różnica, potem do mnie oddzwoń, jeżeli jesteś gotowa na to, co się tam faktycznie dzieje.

Zakończył rozmowę. Jessica obserwowała go z cyniczną miną.

– Idziesz? – spytał, wysiadając z samochodu.

Biuro Sandry Barnsdale znajdowało się na ostatnim piętrze kompleksu z prywatnym podziemnym parkingiem i siłownią wyłącznie dla pracowników. Budynek był imponujący – kanciasty drapacz chmur o stalowej konstrukcji, zamknięty szklaną fasadą, a każdy panel lekko wklęsły, aby odbijał słońce i sprawiał wrażenie, że struktura została wykonana z gigantycznych bloków lodu ułożonych jeden na drugim.

Priest nienawidził tego budynku.

Barnsdale & Clyde sporządzali testamenty dla bogatych i sławnych już od lat czterdziestych, do tego zarządzali ich posiadłościami. Od skromnych początków przeszli długą drogę, teraz zatrudniali ponad stu pracowników, a ich roczny obrót wynosił niemal dwadzieścia pięć milionów. Sandra szefowała, odkąd jej ojciec zmarł w 2003 roku, i udało jej się zachować sto procent udziałów dla siebie po przejściu na emeryturę Boba Clyde'a kilka lat przed śmiercią ojca.

Kobieta o tlenionych włosach ledwo podniosła spojrzenie znad biurka w recepcji, kiedy Charlie zakasłał dyskretnie, by zwrócić jej uwagę. Jessica stanęła obok niego z założonymi rękami. Na ścianie za nią wisiał plakat: *Czy już sporządziłeś testament?*

– Są państwo umówieni? – zapytała recepcjonistka tonem, jakby bardziej jej to nie mogło obchodzić.

– Nie – przyznał Priest. – Czy mogłaby pani przekazać Sandrze Barnsdale, że Charlie Priest chciałby się z nią widzieć?

Tleniona blondynka spojrzała na niego, unosząc brew.

– Bez umówienia?

– Właśnie.

Przez chwilę wyglądało na to, że kobieta zechce im pomóc, ale wtedy przeniosła uwagę z powrotem na połyskujące czasopismo.

– Pani Barnsdale nie przyjmuje nikogo bez wcześniejszego umówienia.

– Zastanawiam się...

Przerwał mu jakiś ruch za plecami. Zjawiała się elegancko ubrana kobieta, niosąc karton akt, który rzuciła na biurko przed recepcjonistką.

– Jeanette, możesz je dla mnie zarchiwizować?

Charlie oparł się o biurko.

– Dzień dobry, Sandro – powiedział.

Sandra Barnsdale obróciła się, strącając karton z aktami na kolana blondynki. Tamta krzyknęła przestraszona. Sandra zmierzyła wzrokiem niespodziewanego gościa i na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Cholera, Charlie Priest! No, no, cieszę się, że cię widzę!

Georgie powoli otwierała oczy. Ból głowy był nie do wytrzymania. Przez kilka chwil nie widziała wyraźnie – wszystko było czarne.

Wyczuwała ruch i dźwięki. Szum silnika i wibracje kół toczących się po asfalcie.

Leżała na zimnej metalowej podłodze poruszającego się pojazdu.

Minęło kilka minut i chęć wymiotów zaczęła słabnąć. Ostrożnie usiadła i otoczenie nabrało ostrości. Przestrzeń była wystarczająco duża, aby mogła swobodnie stanąć; domyślała się, że jest w vanie. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że prawdopodobnie był to ten biały furgon, który widziała po drugiej stronie ulicy, zanim ktoś ją napadł od tyłu.

Wróciły mdłości.

Drżącymi dłońmi przeszukała kieszenie. Nie miała telefonu.

– O Jezu.

Georgie nie była religijna. Przeważnie Bóg wydawał się jej propozycją mało prawdopodobną, ale nagle zapragnęła bardzo w Niego uwierzyć. Wierzyć, że ktoś – ktokolwiek – czuwa nad nią.

Jednak nie potrafiła stworzyć tak pocieszającej wizji. Serce jej zamarło. Oczami wyobraźni zobaczyła Włada Palownika – odzianego w skrwawioną tunikę – prowadzącego forda transita, z bezdusznym uśmiechem zastygłym na upiornej twarzy.

Georgie nigdy nie czuła się taka samotna.

Wprowadzono ich do narożnego luksusowego gabinetu z widokiem na rzekę. Gdyby niebo nie było tak pochmurne, to dojrzeliby stąd mieszkanie Charliego.

Sandra była po pięćdziesiątce, wysoka i szczupła, o bicepsach wykształconych na siłowni, co ujmowało jej nieco kobiecości, lecz poza tym

nie brakowało jej atrakcyjności. Natura obdarowała ją oliwkową karnacją, dzięki czemu wyglądała młodziej, a w oczach miała blask, co zawsze się Priestowi podobało, chociaż nie na tyle, aby przystał na jej propozycję małżeństwa przed wielu laty. Do dziś nie był pewien, czy mówiła wtedy poważnie.

– Charlie, paskudnie wyglądasz – zauważyła, kiedy wprowadziła ich do eleganckiego gabinetu zawalonego aktami, dokumentami, papierami i paczkami obwiązanymi różową wstążką.

– Nie ty pierwsza to zauważyłaś.

– I pewnie nie będę ostatnia, dopóki nie weźmiesz prysznic i porządnie się nie wyśpisz.

– Myślałem, że ci się podoba taki zapuszczony wygląd?

Sandra się zaśmiała.

– Priest, chyba śniesz. Do rzeczy, czy moja recepcjonistka powiedziała wam, że nie przyjmuję gości bez zapowiedzenia? Lepiej, żeby tak było, bo płacę jej dosyć!

– Sandro, przepraszam. Wiem, że wtargnąłem. Nie zawracałbym ci głowy, gdyby to nie było ważne.

– Będziesz mi winien przysługę. – Znowu pojawił się ten błysk.

Zastanawiał się, czy Sandra była taka sama w stosunku do innych mężczyzn, czy tylko do niego. Poczul, jak obok Jessica przestępuje z nogi na nogę.

– Och, byłam niegrzeczna – rzekła nagle prawniczka, wyciągając rękę do Jessiki. – Sandra Barnsdale.

– Jessica Ellinder.

– Ellinder? – Sandra przerwała i spojrzała na nich oboje. – Boksujesz w wyższej wadze, Priest?

– Nie jesteśmy parą – pośpieszyła z wyjaśnieniem Jessica.

Charlie zauważył na jej dekolcie rumieniec.

– Ach, rozumiem – powiedziała oschle Sandra. Wskazała im miejsca.

– Więc co cię sprowadza, kochanie? – zapytała Charliego, zajmując fotel za gigantycznym biurkiem.

– Czy jętki coś ci mówią, Sandro?

Sandra Barnsdale nie zmieniła wyrazu twarzy. Oparła brodę na dłoni i spojrzała na nich, jakby czekała na więcej. Priest położył przed nią pendrive.

– Skąd to masz? – zapytała cicho. Sięgnęła po pamięć USB, przyjrzała się jej

uważnie i odłożyła.

– Przysłał mi to prokurator generalny.

– Dlaczego?

– Miałem nadzieję, że ty mi to powiesz.

Sandra Barnsdale nie musiała niczego mówić, bo Charlie i tak widział, że jest przerażona. Siedziała w milczeniu jeszcze przez dłuższą chwilę, aż odsunęła fotel do tyłu i podeszła do automatu z napojami na stole za biurkiem.

– Nadal pijasz earl greya? – zapytała przez ramię.

Skinął głową. Sandra spojrzała na Jessicę, która poprosiła o czarną kawę. Sandra zajęła się zaparzeniem, sobie naląła wody.

– To, co tam masz, Priest... zakładając, że to jest to, co myślę... to raczej są złe wieści. Miałam nadzieję, że więcej już tego nie zobaczę.

– Zdecydowanie ta rozmowa pozostanie między nami, Sandro, ale musisz mi wszystko opowiedzieć.

Odwróciła się do niego, ale jakby patrzyła poprzez niego na ścianę po drugiej stronie pokoju.

– Priest, ktoś ma kłopoty?

– Tak.

– Czy to ty?

– Po części.

Sandra chwilę się zastanawiała. Wreszcie usiadła, stawiając napoje przed nimi.

– Za to należy mi się cholernie wielka przysługa, Priest – oświadczyła, dodając drugą łyżeczkę cukru do swojej latte.

– Niczego nie mogę obiecać – odparł.

– Hm. – Uśmiechnęła się, ale głos miała poważny. – Odziedziczyłam ten plik po moim ojcu. To był jeden z małych klejnotów, które zostawił mi, gdy rak zjadł mu mózg. Obiecałam mu, że nikomu go nie pokażę, nawet własnym pracownikom. To tajny plik.

– Więc plik nie jest uwierzytelniony?

– Nie. Dostajemy takie od czasu do czasu. Po prostu przechowujemy dla kogoś dane.

– A do tego nie służą banki szwajcarskie? – zapytała Jessica.

– Niektórzy wolą bardziej staromodne podejście – odparła Sandra. I jeżeli wyczuła u Jessiki pewną wrogość, dobrze to ukryła. – A dlaczego nie? Mamy

ogniotrwały sejf, trzy serwery za miastem i wszystkich nas wiąże tajemnica. Pod wieloma względami jesteśmy bezpieczniejsi od skrytki depozytowej w banku szwajcarskim.

Upiła kawy. Wydawała się spokojna, ale Charlie zauważył krople potu na jej skroniach. Miał nadzieję, że przejdzie do sedna sprawy. Wreszcie przeszła.

– Instrukcje dotyczące pliku są bardzo proste. Od czasu do czasu zostają nam dostarczone szczegóły osoby, które ładujemy do bazy danych, a najnowsza wersja przechowywana jest na tym małym pendrivie. Każdemu ładowaniu towarzyszy regularna płatność tysiąca pięciuset funtów.

– Niezła sumka – zauważyła Jessica.

Sandra uśmiechnęła się oschle.

– Kto dostarcza informacji? – zapytał Priest.

– Nie wiem. Za każdym razem przynosi je prywatny kurier. Całkowicie anonimowo.

– Czy znasz klienta?

– Nie.

– Jak weryfikujesz nowe dane?

– Przez sprawdzenie płatności i oczywiście kuriera.

– Ale dla kogo przechowujesz te dane? Skąd wiesz, czy ktoś ich potrzebuje?

– Na tę okoliczność są instrukcje.

– I zweryfikujesz autentyczność instrukcji ponownie przez sprawdzenie płatności?

– Milion funtów. I hasło, oczywiście.

Obserwował kroplę potu spływającą po skroni Sandry Barnsdale.

– Sandra, to gdzieś się musiało zacząć. Ktoś musiał dać twojemu ojcu pierwszy zestaw instrukcji.

Skinęła głową.

– Prawda. Ale to był jego biznes. Nie przekazywał dalej żadnych informacji.

– Nie uważała pani tego za dziwne? – zapytała Jessica. – Że płacą pani wielkie sumy, aby przechowywać listę ludzi z danymi kontaktowymi?

Sandra odpowiedziała ostro:

– Mamy tu wiele dziwnych żądań, panno Ellinder.

– Kiedy przyszły ostatnie dane? – wtrącił Priest.

– Kilka miesięcy temu. Nie pamiętam szczegółów, ale okoliczności były takie same. Prywatny kurier dostarcza dane w papierowej formie, my je zapisujemy w pamięci. Niszczymy papier. Odbieramy opłatę w gotówce.

Potem wystawiamy wewnętrzną fakturę.

– Więc w jaki sposób pendrive trafił w ręce prokuratora generalnego?
Sandra wzięła głęboki wdech.

– Bo mu go wysłałam.

Kiedy nie przeszła do dalszych wyjaśnień, Priest ją zachęcił:

– Mów dalej.

– To oczywiste, że dane nie służą żadnym prawowitym celom – stwierdziła.

– Wiedziałam o tym od dawna, ale nigdy nie domyślałam się, co to takiego. Jednak zbyt często nie pozwalało mi to spać w nocy. Sprawdziłam parę razy niektóre z tych nazwisk. Jest kilka znaczących... ale wszystkie mają coś wspólnego.

– Pieniądze? – zapytał.

– Właśnie. Oni wszyscy są obrzydliwie bogaci. Coś zdarzyło się kilka tygodni temu, przez co dłużej nie mogłam dochować sekretu, chociaż obiecałam ojcu.

– Mów – łagodnie zachęcił ją Charlie, chcąc, aby kontynuowała. Widział, że waha się, czy im wszystko wyjawić. Miał nadzieję, że Jessica będzie milczeć kilka minut.

Sandra westchnęła.

– Philip Wren przyszedł do mnie kilka tygodni temu. Może jakiś miesiąc, nie pamiętam dokładnie. Tak niezwykła rozmowa na osobności rzadko mi się zdarza. – Przez chwilę zbierała myśli. Napila się wody. – Usiadł i oznajmił, że dowodzi zespołem policyjnym prowadzącym śledztwo w sprawie organizacji przestępczej. Jego praca jest tak tajna, że musiałam podpisać zobowiązanie do poufności. Musicie obiecać, że tego nie przekażecie dalej. Dobrze?

– Masz moje słowo, Sandro – powiedział Charlie.

– Twierdził, że ustalili, iż moja firma może w jakiś sposób współpracować z grupą, którą on śledzi. Wyobrażacie sobie, jak się poczułam. Sugerował, że nasz udział był najprawdopodobniej nieświadomy, ale dla mnie stało się jasne, że to może nas zrujnować, jeżeli sprawa wyjdzie na jaw.

– Wiedział o pliku?

– Tak, wiedział o tym cholernym pliku. Nie znał szczegółów; wiedział tylko, że przechowujemy dla kogoś dane. Nie wiem skąd.

– Chciał, abys go oddała.

– Nie. Chciał, abym potwierdziła jego istnienie. Gdybym to zrobiła, zdobyłby nakaz sądowy, który by mnie zobowiązał. W ten sposób nie złamałabym obowiązku dotrzymania tajemnicy i dowody zostałyby zdobyte w sposób

zgodny z prawem.

Priest mlasnął językiem.

– Ale coś nie poszło zgodnie z planem?

Sandra się zawahała.

– Słyszałeś o procesie lekarzy w Norymberdze, Priest?

Skinął głową.

– Po wojnie alianci powołali trybunał wojskowy do przesłuchania nazistowskich przywódców oskarżonych o zbrodnie wojenne. Po skazaniu głównych postaci sądzili tych skazanych za pomniejsze zbrodnie. Dwudziestu trzech nazistowskich lekarzy zostało oskarżonych, między innymi o najohydniejszego rodzaju eksperymenty na ludziach. Wielu z nich skazano na śmierć, chociaż, zdaje się, niektórych uniewinniono.

– Znasz historię. – Sandra uśmiechnęła się słabo.

– Czekaj. Co chcesz powiedzieć?

– Grupa, którą ścigał Wren, została założona w latach sześćdziesiątych. Nie są w zasadzie neonazistami. To coś dziwniejszego. Raczej jakby próbowali naśladować próby tych lekarzy.

– Eksperymentują na ludziach? – zapytała zaskoczona Jessica. – To powiedział pani Wren?

Sandra w milczeniu skinęła głową.

Charlie upił łyk herbaty. Miała metaliczny smak. Zaczął w myślach tworzyć obraz – drzewo, od którego odchodziły gałęzie, obejmując różne fragmenty informacji, jakie zebrał: nazistowscy lekarze, trucizna, pieniądze... Ale jak to wszystko miało się do śmierci Milesa Ellindera?

Lekarzowi, o którym wspomniał Tiff – Kurtowi Schneiderowi – przypisywano opracowanie tej samej trucizny, lub jej wersji, używanej przy torturowaniu i zamordowaniu człowieka w lesie.

– Domyślam się, co się stało – rzekł Charlie.

Sandra spuściła wzrok zawstydzona.

– Spanikowałam. Po jego wyjściu nie mogłam spać wiele dni. Chodziłam do biura, otwierałam sejf i patrzyłam na plik. Na te nazwiska. Musisz zrozumieć: gdyby Wren uzyskał nakaz sądowy, moja firma byłaby skończona. Wszyscy by się dowiedzieli.

– Więc wysłałaś mu dane, a plik zniszczyłaś? – zapytał ze spokojem.

Sandrze napłynęły łzy do oczu.

– Będę za to potępiona. Ale skąd go masz?

– Wren mi go przysłał. Domyślam się, że grupa, o której wspomniałaś, dotarła do niego. Chyba grozili jego rodzinie, jego córce. Wpadł w to po uszy. Więc wysłał go do mnie.

Pomyślał o liście od Wrena. *Nie ma czasu. To kwestia życia lub śmierci. To ostatnie oświadczenie składam z pełną świadomością, wiedząc, że moje kolejne kroki mogą stanowić dla Ciebie zagrożenie.*

– Skąd wiesz, że jego córka była w niebezpieczeństwie? – zapytała Sandra.

– Zaginęła. Zapadła się pod ziemię. Przedtem odebrała tylko wiadomość od ojca, żeby uciekała.

Sandra odgarnęła włosy i założyła ręce na piersi, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Myślałam, że będę ratować ludzi, a nie narażać na niebezpieczeństwo – mruknęła.

Priest chciał już jej powiedzieć, że dobrze zrobiła, ale nie był pewien, czy będzie wystarczająco przekonujący. Może dlatego zginął Wren. Miał nazwiska, ale nie był gotowy. Może zmienił zdanie, kiedy zobaczył się z Sandrą, bo wtedy dopadli jego i Hayley.

Teraz stres uwidocznił się na twarzy prawniczki – niepokój sączył się jej przez skórę.

Charlie starał się myśleć praktycznie.

– Sandro, kiedy otrzymujesz nowe dane, czy masz zapisać godzinę i datę ich otrzymania?

– Tak. Dlaczego pytasz?

– Możliwe, że nazwiska, które otrzymujesz, to członkowie owej grupy. Może to forma ubezpieczenia.

– Więc wszyscy są powiązani – skończyła Jessica.

– Jak ktoś się wygada, to lista może zostać ujawniona i wszyscy będą pogrążeni.

– Nie rozumiem – powiedziała Sandra. – Jaki to ma sens?

– Chciałabyś być tym, kto ujawnił całą sprawę, i ryzykować, że pozostali członkowie cię dopadną? – zapytał Priest.

Sandra potarła twarz.

– Priest – odezwała się. – Możesz to naprawić?

– To zależy. – Założył ręce na piersi i odchylił się na oparcie fotela. Czuł się zmęczony, pokój wirował. Z trudem skupiał wzrok.

– Zależy... od czego?

– Od tego, czy mi powiesz, skąd pochodzi ten plik.

Cisza się przeciągała. Sandra wyduła usta. Widział sprzeciw w jej oczach, ale był pewien, że jeszcze coś ukrywa.

– Priest... jak powiedziałam...

– Sandro, nie obrażaj mojej inteligencji. Mów, skąd się wziął ten cholerny plik. Znasz to nazwisko, a ja go potrzebuję.

Sandra z trudem przełknęła ślinę.

– Priest, grozi mi niebezpieczeństwo. Wiesz przecież.

– Tak. Więc powiedz mi i już będziesz bezpieczna.

Zawahała się, a on siedział z założonymi rękami i czekał.

W końcu Sandra wyrzuciła ręce w górę i wstała.

– Przez ciebie mnie zabiją.

Przeszukała szafę przy drzwiach i wyciągnęła postrzępiony skoroszyt, który położyła przed nimi. Charlie i Jessica pochylili się nad biurkiem. Na teczce napisano *Miller. Eva*.

– Kto to jest? – zapytał, podnosząc teczkę i oglądając zawartość. Nie było tego wiele. Kilka krótkich listów, odręcznych notatek i testament.

– To klientka – wyznała Sandra. – Zmarła jakiś czas temu. Zarządzałam jej posiadłością. To ona oddała ojcu plik na przechowanie. Zatrzymałam jej teczkę na wszelki wypadek.

Charlie otworzył testament i położył na biurku. Przebiegł dłońmi po starzejącym się papierze przewiązanym wstążką. Eva Miller nie żyła, ale testament oznaczał, że miała co po sobie zostawić.

W końcu może do czegoś dojdziemy.

– Żeby oszczędzić ci na czytaniu – odezwała się Sandra – jest tylko jeden beneficjent. Niejaki pułkownik Albert Ruck.

Charlie odkręcił prysznic. Zostawił drzwi do łazienki uchylone i obserwował Jessicę przez szparę; siedziała przy biurku, przeglądając w bazie danych nic niemówiące nazwiska. W najmniejszym stopniu nie czuła się skrępowana w jego sypialni. Zachowywała się jak u siebie w domu, wsunęła stopy pod siebie na jego starym skórzanym fotelu. Priest wrócił znowu pamięcią do wspólnej nocy w Dower House. Czy to zdarzyło się naprawdę? Zamknął drzwi łazienki i otrząsnął się z tej myśli. *Nie teraz. Może już nigdy...*

Giles spisał się na medal i przesłał mu kopię wstępnego raportu z autopsji Milesa. Dokument łądował się całe wieki na jego telefon, ale kiedy w końcu przeleciał go wzrokiem, poczuł rozczarowanie; po prostu opisywał przyczynę śmierci jako wstrząs powodujący zatrzymanie akcji serca. Na szczęście śmierć, według opisu, nastąpiła w kilka minut. Wydawało się, że opinia McEwena, iż Miles miotał się godzinami, była rozmyślną koloryzacją.

Priest zamknął raport i wybrał numer Gilesa. Miał nadzieję, że szum wody zagłuszy rozmowę.

– Kurwa mać, to znowu ty, Priest. – Prawie natychmiast rozległ się poirytowany głos. – Dostałeś ode mnie raport z sekcji?

– Tak, chociaż nic szczególnego nie wniósł.

– Diabeł tkwi w szczegółach, Priest.

– Hm. Giles, musisz coś dla mnie sprawdzić.

– Pamiętasz, co się stało ostatnim razem, jak coś dla ciebie sprawdzałem?

– Giles, komisja całkiem szybko zrezygnowała ze śledztwa.

– Ciągle mam to w papierach, sukinsynu.

– Proszę. Przez wzgląd na dawne czasy.

Rozległo się ciężkie westchnienie.

– Dobra. Czego chcesz?

– Eva Miller – odparł Priest.

– Wymyśliłeś to nazwisko, żeby móc ze mną rozmawiać, ty samolubny

skurwielu? – Giles się zaśmiał.

– Jest prawdziwe.

– Wszystko jedno. Data urodzenia?

– Nie mam pojęcia.

– Ostatni znany adres?

Charlie przeczytał adres, który Sandra podała mu z pliku.

– Prawdopodobnie nie ostatni, ale tylko tyle mam. Zmarła jakiś czas temu, nie wiem kiedy.

– Cokolwiek robisz, Priest, nie ułatwiasz mi.

Charlie usłyszał odgłos klawiatury komputera po drugiej stronie linii.

– Dobra – mruknął Giles. – Co powiesz na to? Urodzona piętnastego maja tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego roku. Zmarła drugiego lipca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego.

– Możliwe. Kto jest wpisany jako najbliższy krewny? Czy może Albert Ruck? Kolejne stuknięcia w klawisze i Giles odczytał nazwisko.

Charlie oniemiał. *Jezu.*

– Dzięki, Giles – mruknął.

– Powiesz mi, o co w tym chodzi? – zapytał Giles.

Charlie się rozłączył.

Charlie wyszedł z łazienki ubrany jedynie w parę drelichowych spodni. Pysznic był krótki, ale stanowił miłą odmianę po mroku, który mu towarzyszył. Próbował go zmyć, ale nic to nie dało i nadal czuł się brudny.

Jessica siedziała w salonie na sofie obok rybek, a akwarium oświetlało jedną stronę jej twarzy. Kasztanowe włosy upięła z tyłu, co podkreślało delikatne rysy, wysokie kości policzkowe i długą szyję. Oparła się o poręcz sofy. Charlie zatrzymał się w drzwiach, zastanawiając się, czy powinien włożyć koszulę, ale Jessica wcale na niego nie patrzyła. Przypomniał sobie, że jej skóra była gładka jak jedwab.

– Rozpoznałaś kogoś z bazy danych? – zapytał.

Pokręciła głową.

Rozbłysnął wyświetlacz jego telefonu. Dwie nowe wiadomości głosowe. Podniósł komórkę i wybrał numer. Usłyszał nieznanomy głos.

– Panie Priest. Jestem koleżanką Georgie. Ona ma kłopoty. Proszę

oddzwonić.

Cholera. Wcisnął klawisz. *Szybciej, odbieraj.* Jessica uniosła głowę.

– Tu Charlie Priest.

– Dzięki Bogu! Nie wiedziałam, do kogo zadzwonić.

– Kim pani jest? – pytał Priest.

– Mam na imię Li... Jestem koleżanką... współlokatorką... Georgie.

– Wspominała o pani.

– Nie wiedziałam, do kogo jeszcze zadzwonić.

Li opowiedziała o telefonie do Georgie. Charlie słuchał i poczuł, jak mrok znowu ogarnia jego duszę.

– Była w Cambridge? – zapytał.

– Tak. Nie wiem dlaczego.

– Ja chyba wiem.

Czego się spodziewał? Że wróci do domu i będzie odgrywała scenki ze swoimi durnymi koleśkami? Zapomni o sprawie? Kurwa, ależ był naiwny.

– Jest pani pewna, że połączenie zostało przerwane z powodu szamotaniny? Dlaczego pani tak sądzi?

– Bo słyszałam w tle jakąś przepychankę... I jest coś jeszcze – dodała ostrożnie Li. – Ktoś... ktoś przysłał coś Georgie. Pocztą.

Priest z trudem przełknął ślinę. *Nie!*

– Co takiego?

Jessica się podniosła.

– Jakiegoś owada. Martwego – odparła roztrzęsiona Li.

– Jętkę?

– Chyba tak. Może. Czy to coś panu mówi?

– Li, niech pani do mnie zadzwoni, jak tylko dostanie od niej wiadomość, dobrze?

– Pewnie, ale...

Przerwał połączenie i osunął się na sofę. Jessica dotknęła jego ramienia.

– Co się stało? – zapytała z narastającą paniką w głosie.

– Chyba porwali Georgie.

– Kto? Kto ją porwał?

– Ci sami ludzie, którzy mają Hayley. – Siedział w bezruchu, starając się to wszystko ogarnąć.

– Charlie, nie chciałam, aby to... wszystko się zdarzyło.

– Co?

– Miałaś tylko zająć się śmiercią mojego brata. Nie miałam pojęcia, jak głęboko cała ta sprawa sięga.

– Nie, chodzi o to, że powiedziałaś do mnie „Charlie”. Przeważnie mówisz „Priest”.

Przytuliła się do niego i położyła jego rękę na swoim ramieniu. Wtuliła głowę w pierś Charliego i czuła, jak tętno mu przyspiesza. Teraz jej zapach był znajomy; zastanawiał się, czy to wystarczy, aby rozświetlić jego mroczną duszę. Delikatnie pocałował ją w głowę. Znowu znalazł się w czarnej otchłani między światami. Bał się, po raz pierwszy od dawna. Ale teraz miał coś do stracenia.

– Gdybym mógł zatrzymać czas – rzekł do niej.

Pochyliła się nad nim, aby sięgnąć po jego telefon.

– Masz jeszcze jedną wiadomość – wyszeptała, podając mu komórkę.

Znowu połączył się z pocztą głosową. Wstał i przeszedł na drugą stronę pokoju, aby Jessica nie słyszała, co się nagrało. Słuchał głosu Georgie, ożywionego i czystego, niepomnego niebezpieczeństwa, w jakim się znalazła.

– Cześć, Charlie. Proszę, nie bądź na mnie zły, ale pojechałam do Cambridge, aby poszukać Hayley. Wiem, że nie powinnam, ale nie mogę po prostu siedzieć z założonymi rękami, kiedy to wszystko dzieje się dookoła. Więc złapałam pociąg. Pewnie nie powinnam. Jak mówiłam, nie gniewaj się na mnie. Wiem, że będziesz, ale jak już, to jak Attyła władca Hunów, a nie Wład Palownik, dobrze? Przepraszam, właśnie sobie uświadomiłam, jakie to niestosowne. W każdym razie zdobyłam coś pomocnego. Sąsiadka Hayley widziała niedawno samochód przed domem Hayley i chociaż nie potrafiła go zidentyfikować, opisała nalepkę na przedniej szybie, a było to logo Ellinder Pharmaceuticals. To chyba była przepustka parkingowa. A w pokoju Hayley panował bałagan. Najwyraźniej coś złego tam się stało. Na toaletce są zadrapania od paznokci i stolik został odsunięty od ściany. Musimy ją znaleźć. Sumując, nie gniewaj się. Musimy znaleźć Hayley. Coś śmierdzi w firmie Ellinderów. Cześć.

Przepustka parkingowa z Ellinder Pharmaceuticals. Zaczynało do siebie pasować.

Jessica mu się przyglądała. Oczy miała szeroko otwarte.

– Kto to? – spytała.

– Georgie. Nagrała to, zanim ją złapali.

– Co powiedziała? – zapytała zaniepokojona.

Priest przyjrzał się rybkom. *Kiedy ostatni raz dostały jeść?* Sięgnął po pojemnik z granulkami i nasypał ich trochę. Ryby rzuciły się przez wodę do powierzchni i jadły łapczywie.

– Nic. Sprawdzala tylko, co u mnie.

Georgie poczuła, że van zwalnia, i usłyszała nieomylny chrzęst opon na żwirze. Usiadła prosto, spoglądając na zegarek. W samochodzie znajdowała się od godziny, a ostatnie trzydzieści minut spędziła w półświadomości, zwinięta w kąciku, czasami wyrwana szarpnięciem z tego stanu, gdy samochód przyspieszał. Było tak zimno, że straciła czucie w dłoniach.

Rozległ się zgrzyt zaciąganego hamulca ręcznego, a potem odgłos otwieranych drzwi kabiny. Wysiadło dwóch ludzi. Georgie się przygotowała. Starła się obliczyć szanse ucieczki, gdy drzwi się otworzą. Gdzie była? Czy da radę im uciec? Mogli mieć broń. Przebiegnie najwyżej dziesięć metrów, zanim ją zastrzelą.

Skoncentrowała się na własnym oddechu. Kręciło jej się w głowie, mózg miała upojony tlenem i adrenaliną.

Drzwi się otworzyły. Widok zasłaniało dwóch wielkich mężczyzn. Głowy mieli okryte kapturami, takimi, jakie nosili członkowie Ku-Klux-Klanu, z tą różnicą, że czubek kaptura był mniej ostry, a otwory na oczy były wydłużonymi szparami wyciętymi ukośnie, nie okrągłymi dziurami.

Mężczyźni stali w bezruchu, wpatrując się w Georgie. Poczowała chłodny, przejmujący strach, którego nigdy wcześniej nie doświadczyła.

– Kim... kim jesteście? – spytała.

Jeden z mężczyzn dał jej znak, aby wysiadła z vana. Zawahała się, bo nawet gdyby chciała wstać, czuła, że nogi odmówią jej posłuszeństwa. Po kilku chwilach ten, który ją przywołał, opuścił rękę i postawił nogę wewnątrz vana, pochylając się w drzwiach.

– Dobrze – zachrypiała Georgie, podnosząc rękę. – Wychodzę.

Temperatura na zewnątrz nie była dużo niższa niż w samochodzie, ale lodowaty wiatr wiejący nad dziedzińcem ciął jej skórę niczym nóż. Kiedy poprowadzono ją po żwirowym podłożu, zobaczyła, że zaparkowali w cieniu olbrzymiego barokowego dworu.

Georgie zauważyła rząd samochodów ustawionych pod jednym ze skrzydeł. Porsche, jaguary, range rovery, wszystkie lśniące. Przyzwoita flota.

Dotarli do bocznych drzwi budynku.

– Gdzie jesteście? – spytała. Jedyłą odpowiedzią było ostre dźgnięcie w plecy, które pchnęło ją do ciemnego korytarza.

Wewnątrz podniszczony czerwony chodnik ciągnął się środkiem kamiennej posadzki. Po lewej stronie znajdowały się spiralne schody, po prawej ciąg zamkniętych drzwi. Powietrze było ciężkie. Wyczuwała woń stęchlizny, której nie potrafiła do końca zidentyfikować... może zapach starzyzny albo czegoś innego.

Georgie zaprowadzono do pokoju – gabinetu, w którym dookoła ustawiono regały ze starymi książkami oprawionymi w skórę; była też zielona kanapa i dwa biurka. Wepchnięto ją na środek pokoju, gdzie stała sama i milcząca, serce waliło jej jak oszalałe, ale głowę trzymała wysoko. Nie da nikomu satysfakcji i nie pokaże, że się boi, jeżeli tylko zdoła.

Po chwili się odwróciła. Porywacze ustawili się po obu stronach drzwi niczym strażnicy, zakładając ręce na piersi. Georgie spoglądała na nich zdezorientowana.

– Gdzie jesteście? Co to za miejsce?

Mężczyźni się nie poruszyli. Jakby skamienieli.

Czuła, że opuszcza ją odwaga.

– Dlaczego nic nie mówicie?

– Bo za to im się płaci.

Zakręciła się na pięcie, zaszokowana, a głos podzwaniał jej w uszach. W kącie pokoju jakiś mężczyzna leżał na szeszlunku z książką w ręce.

– Kim jesteś? – spytała drżąca.

Mężczyzna odłożył książkę na stolik obok, starając się nie obrócić kartki, a potem powoli wstał i przeciągnął się. Nie miał na głowie kaptura, twarz było wyraźnie widać. Wyglądał na chorego. Nie był starszy od Priesta, ale twarz miał wychudzą, niemal trupią. Włosy wyglądały na mokre – ciemne strąki bezładnie zaczesane na bok.

Georgie brakowało tchu. Pospiesznie zlustrowała pokój, ale jedyne wyjście znajdowało się między dwoma strażnikami. Rozważała, czy może rzucić się do drzwi, ale ręce i nogi miała jak z ołowiu. Wątpiła, czy w ogóle dotrze do drzwi, a co dopiero przejdzie przez nie.

– Mam imię – powiedział ten wyglądający na chorego. – Ale jest ono bez

znaczenia.

– Ja nazywam się Georgie Someday – rzuciła hardo. *Nie okażę strachu!*

– Wiem. Dziękuję, że się do nas przyłączyłaś, panno Someday.

Przełknęła ślinę, ale w ustach jej zaschło i niemal się zakrztusiła.

– Nie miałam szczególnego wyboru w tej kwestii.

– Nie – zgodził się z uśmiechem, wbijając wzrok w podłogę. – Wątpię, abyś miała. Przepraszam za konieczność użycia środka uspokajającego, choćby na krótko, no i za niewygodny transport. I za całą niedogodność, na którą cię skazano.

– Niedogodność?

– Hm... – Podniósł ręce w obronnym geście, wciąż się uśmiechając. – Wszyscy wiemy, jak bardzo musiałaś się przestraszyć, ale nie widzę powodu, abyśmy musieli potęgować to podżegającymi słowami. Więc może po prostu nazwiemy to niedogodnością?

– Gdzie jest Hayley?

– Tutaj. Bezpieczna. Wkrótce ją zobaczysz. Jednak według mnie jest trochę mało komunikatywna.

Przeszedł przez pokój, aż znalazł się dwa kroki od niej. Nie był wysoki ani dobrze zbudowany, ale wyższy od niej. Miała ochotę skurczyć się w sobie, ale coś kazało jej wytrzymać, mimo że ledwo nad sobą panowała. Bez zmrużenia powieki mierzyła go wzrokiem.

– O co chodzi? – zapytała.

– O historię, panno Someday. O odrodzenie czegoś bardzo starego. Masz zaszczyt w tym uczestniczyć.

– Dlaczego ja?

Wzruszył ramionami.

– Intuicja. Nic więcej.

– Jaka intuicja?

– Że należysz do tych ludzi, którzy przez całe życie próbowali się dostosować do innych. I jeszcze czuję, że zwiększą się szanse na dołączenie do nas twoich przyjaciół.

Wbiła w niego wzrok – tylko tak mogła wyrazić swoją nienawiść. Spojrzenie, na które dotąd zdobyła się raz w życiu. Wtedy zrozumiała.

– Charlie! Używasz mnie jako przynęty?

Uśmiechnął się, chociaż usta opadły mu w kącikach, więc uśmiech był brzydki. Czowała jego zapach, przesączony alkoholem i papierosami. Mężczyzna

dotknął jej, ujął jej twarz w dłonie. Serce mało nie wyskoczyło jej z piersi. Zadrżała. Chęć ucieczki była trudna do opanowania.

– Możesz krzyczeć, Georgie? – szepnął. – Możesz krzyczeć? Mam nadzieję, że tak. Bo ludzie dużo mi zapłacili, żeby usłyszeć twój krzyk dzisiaj wieczorem.

– To jest tu – powiedziała Jessica. – Dom opieki Rucka.

Volvo zatrzymało się przed budynkiem z czerwonej cegły otoczonym uschniętymi drzewami i kępami pokrzyw. Smutna poczekalnia, zanim opadnie końcowa kurtyna.

– Jak długo przebywa tu Albert Ruck? – zapytała Jessica.

Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Ale ma sto trzy lata.

Zaparkowali na trawie przed głównym wejściem. Klasztor był prywatnym domem opieki, gdzie rezydenci mogli cieszyć się swoim czasem w objęciach Pana. Wcześniej prawdopodobnie mogli się cieszyć niekiedy w Jego ogrodzie.

– Smutne miejsce do wydania spadku – zauważyła Jessica.

– To zależy, skąd się wziął spadek – odparł Priest. – Pielęgniarka, z którą rozmawiałem, była bardzo pomocna. Bertie jest świadomy przez większość czasu, czasami jedynie ulega szaleńczym napadom krzyku. *Jak mój brat... doskonale się dogadamy.*

Dom wewnątrz był tak obskurny jak na zewnątrz. Śmierdział środkami dezynfekującymi.

Młoda pielęgniarka uśmiechnęła się, gdy podeszli do biurka.

– W czym mogę pomóc?

– Pani Lina? Chyba z panią rozmawiałem przed godziną.

– Tak! Jak miło, że pan wpadł. Zobaczyć się z Bertiem, tak?

Charlie odpowiedział uśmiechem.

– Tak. Jesteśmy we dwoje. Możemy?

– Oczywiście!

Lina poprowadziła ich beżowym korytarzem wzdłuż szeregu otwartych drzwi. Z wewnątrz kilku pensjonariuszy spoglądało na nich podejrzliwie znad herbaty i gazet; większość spała.

Kiedy szli, Jessica szepnęła mu do ucha:

– Ile pracy śledczej prowadzisz, flirtując, Priest?

– Jakąś połowę. Może więcej.

– A jak skłamałeś, żeby nas tu wprowadzić?

Dotarli do drzwi na końcu korytarza. Były zamknięte, ale wizytówka na nich oznajmiała A. RUCK.

– Wcale nie kłamałem. Powiedziałem, że jestem *priest*.

– To tu – oznajmiła Lina, pukając delikatnie, i wprowadziła ich do środka. – Bertie, masz gości.

Krucha, wyniszczona postać leżała w łóżku. Mężczyzna nie spał. Szkliste oczy skierował na Charliego, chociaż było wątpliwe, czy Bertie Ruck widział cokolwiek przez te zamglone źrenice.

Jessica została w tyle, gdy Charlie podszedł do łóżka.

Priest nie mówił, dopóki nie usłyszał, że drzwi za nim się zamknęły, a potem ucichło stukanie obcasów Liny wracającej do recepcji.

– Pan Ruck?

Nie było odpowiedzi. Gdyby nie miarowo unosząca się i opadająca pierś oraz świszczący oddech, starzec mógłby uchodzić za martwego.

– Panie Ruck. Nazywam się Priest. To jest Jessica Ellinder. Jesteśmy prywatnymi detektywami. Czy mógłby pan z nami chwilę porozmawiać?

Starzec raz mrugnął.

– Nie mam nic do powiedzenia – odparł zadziwiająco wyraźnie.

– Wie pan, dlaczego przyszliśmy? – zapytał Priest.

Ruck kaszlnął, co miało być śmiechem.

– Oczywiście. Chcecie zapytać o Klatkę. Wszyscy chcą. Jak traktowaliśmy więźniów, jak wygraliśmy wojnę. Wszyscy jesteście tacy sami.

Charlie posłał spojrzenie Jessice, pytając unosząc brew.

– W zasadzie to przyszliśmy porozmawiać o Evie Miller.

Ruck przez moment wytrzymał jego spojrzenie, a potem odwrócił głowę z obrzydzeniem.

– Zostawcie starego w spokoju, panie... jak tam panu. Jestem zmęczony.

– Ja też, panie Ruck, ale chcę porozmawiać o Jętkach.

Cisza.

– Powiem krótko. Jeśli pan chce, będę zadawał pytania, a pan tylko odpowie „tak” lub „nie”.

– Niech pan gada, co chce, a ja i tak nie będę rozmawiać. Oszczędź pan gardło.

Priest wrócił pamięcią do testamentu Ewy. Jedyna zawarta w nim informacja dotycząca Rucka to jego ranga.

– Proszę, pułkowniku. To kwestia życia lub śmierci.

Ruck zmarszczył czoło i podsunął się wyżej na łóżku.

– Co pan mówisz? – wyrzeził.

– Powiedziałem, że to kwestia życia lub śmierci.

– Nie. Wcześniej.

Charlie zaryzykował.

– Powiedziałem: Proszę, pułkowniku.

– Skąd znasz pan mój stopień? Nikt o tym nie wie. Nigdy go nie używałem.

– Jest pan pułkownikiem Albertem Ruckiem.

– Jestem. A kim pan jesteś?

– Nazywam się Charlie Priest.

– Hm. Rozumiem. I chcesz pan mówić o...

Priest wyjął z kieszeni marynarki małą kopertę i podał ją Ruckowi. Starzec wziął ją w drżące ręce, otworzył i wysypał zawartość na pościel przed sobą.

– To przysłano? – zapytał ponuro.

– Mojemu przyjacielowi. Wie pan, co to?

– Oczywiście. *Rithrogena germanica*, z rodzaju *Epeorus*. Powszechnie znana jako jętka.

Pułkownik Bertie Ruck wyprostował się i ożywił, jakby nie miał stu trzech lat. Sięgnął do szuflady w nocnym stoliku, pogrzebał w środku i wyciągnął kopertę. Otworzył ją.

– Przysłali mi to kilka dni temu – wyjaśnił. – To zaproszenie, widzisz pan. Chorzy dranie.

– Może będzie lepiej, jak zacznie pan od początku – zasugerował Charlie.

Ruck pokręcił głową.

– Zobaczmy wpierw, kim pan jesteś, panie Priest. – Przerwał, jakby chciał zebrać więcej sił. – Proszę mi powiedzieć, co skłoniło nazistów do, jak to nazywali, ostatecznego rozwiązania?

– Naziści wierzyli, że są potomkami Aryjczyków, rasy panów. Chcieli usunąć nieczystości z puli genowej... takie jest sedno eugeniki. Nie chodziło tylko o Żydów, oczywiście, ale każdego uznanego za upośledzonego... także umysłowo, chromego, chorego. Uznawano ich za uciążliwe istoty.

Ruck pochylił głowę.

– Dobrze. Więc czyta pan czasami, ale to niekompletna odpowiedź.

– Jak to?

– Bo podaje punkt wyjścia dla wypaczonej ideologii Himmlera, ale nie wyjaśnia, co było, przynajmniej dla mnie, największym pytaniem, które pozostało bez odpowiedzi. Dlaczego w momencie, kiedy walka z aliantami stała się rozpaczliwa, Niemcy wykorzystywali swoje cenne zasoby nie do transportu ludzi i materiałów na linię frontu, ale żeby kierować Żydów do komór gazowych. Pociągi były zapchane po brzegi przyszłymi ofiarami ze szkodą dla niemieckich żołnierzy. Dlaczego naziści nie wykorzystali okazji, aby wesprzeć swoją obronę, tylko transportowali Żydów do obozów zagłady? To nie ma sensu, chyba że odpowiedź jest dużo bardziej skomplikowana, niż pan sugerujesz.

– Pod koniec wojny naziści się pogubili – stwierdził Charlie.

– Do tego stopnia, że łańcuch dowodzenia nie funkcjonował należycie, ale nie byli niekompetentni – odparł Ruck. – To nie tłumaczy ich działań.

– Wobec tego o co chodziło?

– Myślałem, że znam po części odpowiedź na to pytanie w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym, kiedy poznałem hitlerowskiego lekarza o nazwisku Schneider, ale, po zastanowieniu, nie jestem pewien.

Schneider. Znowu to nazwisko. Wymieniali je Tiff Rowlinson i Sandra Barnsdale.

– Schneider eksperymentował na Żydach w Buchenwaldzie przy użyciu trucizny.

– Zgadza się. Opracował truciznę, która zadawała niewyobrażalne cierpienie ofierze, ale jej nie zabijała. Podejrzewam, że z cierpienia, jakie ofiary same sobie zadawały, czerpał seksualną przyjemność. Powiedział mi, że ich ekstremalne cierpienie otwierało im drogę prosto do Boga.

– W ten sam sposób jak moment orgazmu otwiera kanał do Boga podczas obrzędu seksualnego?

– Coś w tym rodzaju. – Ruck parsknął. – Nonsens, naprawdę, ale to coś w tym rodzaju.

– A Eva Miller?

Ruck odwrócił wzrok pełen żalu.

– Eva. – Westchnął. – Czemu miałyby służyć rozmowa o niej?

Charlie przysunął krzesło do łóżka. Rozejrzał się. Pokój pozbawiony był wszelkich osobistych przedmiotów poza jedną fotografią w ramce na nocnym stoliku, odwróconą od łóżka. Zastanawiał się, czy zrobiono to celowo.

– Pokucie – zasugerował.

– Pokucie – prychnął Ruck. – Co chcesz pan wiedzieć?

Charlie pochylił się do przodu.

– Wiem, że to może być pana ostatnia szansa, aby odpokutować, pułkowniku.

– Myślisz pan, że jak będę odpowiadał na pańskie pytania, to odpokutuję grzechy? To bezczelność, panie Priest.

– Pułkowniku... gównu mnie to obchodzi. Pański spokój nic dla mnie nie znaczy. Pragnę jedynie zyskać pewność, że bliskie mi osoby nie zostaną skrzywdzone, a ludzie bez serc poniosą karę.

Ruck uśmiechnął się po raz pierwszy od ich wejścia do pokoju.

– W takim razie to także dobry powód dla mnie.

Kiedy Ruck skończył, poprosił o wodę. Jessica podała mu szklanę, a on pił, rozlewając część na siebie.

– Więc kiedy pańska służba w wojsku dobiegła końca, wstąpił pan do policji? – zapytał Priest.

– Tak jest. W czterdziestym dziewiątym wstąpiłem do policji stołecznej, było nas wielu po wojnie, niewiedzących, co począć ze zdobytymi umiejętnościami, z tym, co widzieliśmy. Jedynie praca w policji miała sens, tylko w tym byłem dobry. Dosłużyłem się stopnia głównego inspektora, ale cały czas szukałem Ewy. Nigdy jej nie znalazłem, aż pewnego dnia w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim wezwano mnie na miejsce zbrodni w hotelu w Kensington. To nie leżało w moich kompetencjach, ale zabójca zostawił list zaadresowany do mnie. Ofiara została otruta alkaloidem opisanym przez Schneidera w raporcie z przesłuchania. Tylko dwoje ludzi o nim wiedziało: ja i Eva Miller. Przysłała mi też szkic jętki w tuszu, tylko po to, aby jaśniej przedstawić sprawę, jakby to nie było już jasne.

– Dlaczego jętkę? – zapytał Priest.

– To był kryptonim operacji, za którą byłem odpowiedzialny po wojnie. Brudny sekret Anglii. Dostaliśmy zadanie odzyskania wszelkich sensownych danych z eksperymentów Holokaustu. Staraliśmy się sprawdzić, czy hitlerowscy lekarze uzyskali coś wartościowego. Nazwaliśmy to operacją Jętka.

Priest odchrząknął.

– Więc myśli pan, że Eva stworzyła jakąś grupę? Grupę, która działa do dzisiaj?

– Jestem przekonany, że znalazła sporą grupę zbrojców, którzy chcieli uczestniczyć w tym, co robiła.

– Ludzie płacą, żeby oglądać działanie trucizny.

– Tak.

– Ale Eva już nie żyje, a grupa nadal działa.

Ruck skinął głową. Był już zmęczony.

– Podejrzewam, że Eva Miller miała ucznia. Kogoś, komu przekazała swoje dzieło.

– Ma pan kogoś na myśli?

– Powiedziałbym panu. Przez dwadzieścia lat starałem się ją śledzić. Zjawiałem się na każdym miejscu zbrodni, która mogła mieć związek z grupą Jętki. Zakładałem oddziały specjalne jeden po drugim, ale nigdy się nie zbliżyliśmy. Nigdy nie odkryliśmy powiązań. Nikt nie chciał mówić.

– Wiem. Mam nazwiska.

Ruck spojrzał na niego z uwagą.

– Masz pan nazwiska?

Charlie już zamierzał odpowiedzieć, kiedy Jessica nagle rzuciła się przez pokój i wzięła fotografię ze stolika. Popatrzyła na nią przez sekundę, a potem podała Charliemu bez słowa. Zdjęcie wyblakło, krawędzie się wytarły, ale twarz była uderzająco piękna. Kobieta uśmiechała się półgębkiem. Było w niej coś znajomego.

– Eva? – zapytał cicho. Ruck skinął głową. Jessica milczała. – Kochał ją pan?

Ruck odwrócił głowę.

– Chyba tak. W pewien sposób.

– Spotkał ją pan jeszcze? To znaczy po tej nocy w czterdziestym szóstym?

– Tak. Tylko raz.

14 listopada 1978

Wieś w pobliżu Londynu

Ruck się poruszył. Coś zakłóciło mu sen.

To nie było niezwykle samo w sobie. Od czasów wojny miał lekki sen, nigdy nie pozwalał sobie całkowicie odpłynąć. Najłżejszy szmer go budził.

Lecz tym razem było inaczej. Ktoś znajdował się w jego domu.

Wstał, starając się nie hałasować. W szufladzie trzymał rewolwer. Jeżeli na dole był włamywacz, chciał go zaskoczyć. Niewielu ludzi spodziewało się, że człowiek w jego wieku będzie taki czujny.

Zakradł się schodami w dół. Blask latarni przedzierał się przez zasłony, zapewniając wystarczające oświetlenie, aby bezgłośnie dotarł do salonu.

Odbezpieczył broń. Uniósł ją, gotów opuścić i wyskoczyć z za drzwi. Dwa strzały i schować się z powrotem. Tak jak go szkolono.

Zerknął za drzwi.

– Cześć, Bertie.

Rewolwer upadł na podłogę. Przez chwilę Ruck czuł, jak nogi się pod nim uginają. Chwycił się framugi, aby nie upaść.

– Eva.

– Przepraszam za najście.

Była starszą wersją młodej dziewczyny, która siedziała skromnie w narożniku stodoły i zapisywała przesłuchanie Kurta Schneidera, lecz bez wątplenia to była ona. Rozpoznał ją nawet w słabym świetle.

Siedziała ze skrzyżowanymi nogami i niezapalonym papierosem w ręku. Okulary w czarnej oprawce pasowały do niej, podkreślały jej rysy. Włosy miała gęste, ale szokująco białe.

– Masz ogień?

Przeszedł przez pokój, nie spuszczać oczu z kobiety w fotelu; sięgnął po zapalki na kominku. Zapalił jedną i podsunął jej. Pochyliła się, aż papieros spotkał się z płomieniem. Zaciągnęła się głęboko.

– Dziękuję.

– Co tu robisz, Evo?

Wydmuchnęła dym na pokój.

– Słyszałam, że mnie szukasz.

Zazgrzytał zębami. Teraz nic do niej nie czuł poza absolutną pogardą. Powinien ją zabić. Strzelić jej w głowę. Ile istnień uratowałby jednym pociskiem? Cofnął się do drzwi i pochylił, aby podnieść rewolwer.

– Szukałem cię, aby to zakończyć.

– Zakończyć co?

– Kobieto, nie pogrywaj ze mną. – Ruck wycelował do niej. Eva ani drgnęła, ale z zainteresowaniem obserwowała wylot lufy.

– Naprawdę, Bertie? Nie bądź głupi. Odłóż to, zanim sobie zrobisz krzywdę.

– Stoję blisko, Eva. Wystarczająco, żeby się usunąć. Wiem wszystko. Wiem o twoich małych spotkaniach. Wiem o ludziach, którzy płacą ci, aby patrzeć, jak trujesz niewinnych ludzi. Wiem o Jętce, Eva.

– Wiesz? To dobrze. Więc zastrzel mnie i skończ z tym.

– Nie kuś mnie!

Zrobił krok naprzód.

Eva się uśmiechnęła. Wstała i podeszła bliżej, aż broń znalazła się w jej zasięgu. Ruck czuł zapach tej kobiety, nawet pomimo dymu. Tę samą woń pamiętał sprzed trzydziestu lat. Nie mógł opanować drżenia ręki.

– Bertie, jeżeli chciałbyś mnie zastrzelić, już byś to zrobił. Więc może porozmawiamy?

– To tylko kwestia czasu, zanim znajdę nazwiska chorych ludzi, których zwerbowałaś do swojej grupy, Evo.

– A jak je poznasz, to co wtedy? Hmm? Czy zły motłoch chwyci za widły i ruszy na poszukiwania potworów, żeby je zlinczować? Bertie, zaraz mnie rozczarujesz. Utraciłeś całą swoją wyobraźnię?

– Niech cię cholera, Eva!

– No, to już lepiej. Trochę więcej testosteronu, a znowu mnie zainteresujesz. Teraz słuchaj, kochanie. To ważne. Chcę cię prosić, abys zaprzestał gonitwy za moimi przyjaciółmi.

Ruck się zaśmiał; rewolwer zadrżał niebezpiecznie.

– I kto tu rozczarowuje, Eva. Myślisz, że zrezygnuję? Ot tak?

Znowu zaciągnęła się papierosem.

– Cóż, tak myślę.

Po karku spływał mu pot. Oczy zachodziły mgłą.

– Jesteś szalona.

– Wcale nie, Bertie. W zasadzie wiesz, co mówią. Nie wściekaj się, odpłać.

– O czym mówisz?

– Bertie, przyszedłam cię zaprosić. Do klubu. Do naszego małego towarzystwa. Z dożywotnim członkostwem. Zastanów się.

– Nigdy.

– Och, obawiam się, że to nie jest kwestia wyboru, tylko konieczność. Widzisz, jeżeli ktoś pozna szczegóły naszej grupy... Bertie, wiesz, kto jest na górze listy?

– Nie...

– Tak, obawiam się. To w zasadzie bardzo proste, prawda? Nikt nie uwierzy,

że zwykła sekretarka jest w stanie stworzyć samodzielnie najbardziej tajne towarzystwo w Londynie. Ale ty? No, to co innego. W końcu przy całym swoim doświadczeniu w Klatce tortury to twój zawód, prawda?

Ruck opuścił broń. Słyszał, jak ptaki budzą się na zewnątrz, a blask słońca zaraz miał przebić się zza wzgórz.

Rozpoczął się poranny chór.

W pokoiku w klasztorным domu opieki zaległa cisza. Charlie starał się to wszystko ogarnąć.

Po chwili Ruck odezwał się ze spokojem.

– Widzi pan, dlaczego wątpię w możliwość odkupienia.

– Pułkowniku, nie pan stworzył te potwory z listy.

– Ale też nie zrobiłem nic, aby ich powstrzymać. I uniknąć... czego? Zamknięcia w domu wariatów, podawania leków wbrew własnej woli przez ludzi w białych kitlach i z fałszywymi uśmiechami na twarzach? – Rozejrzał się i zaśmiał. – Jakoś nie udało mi się uniknąć tego losu.

Charlie zastanawiał się przez chwilę.

– Mówił pan, że jednak pana zapraszali. Na te spotkania. Nawet teraz.

– Ta wredna suka drwiła ze mnie latami. Przypominała mi, że ma nade mną władzę. A jej protegowany kontynuuje tradycję.

– Powiedział pan, że dostał niedawno zaproszenie?

Ruck przywołał go bliżej. Podał mu jętkę, którą wydobyl z szuflady. Charlie zrozumiał: to było zaproszenie.

– Więc wkrótce jest spotkanie? – W gardle nagle mu zaschło. *A jeżeli się spóźnimy? Co będzie z Georgie i Hayley?*

– Otwórz pan i zobacz.

– Co?

Ruck wziął owada w drżące palce i podniósł pod światło. Ujął w dłonie i umieścił kciuki pod spodem, delikatnie naciskając na brzuch stworzenia. Rozległo się chrupnięcie, gdy pułkownik rozerwał tułów, jakby ściągał pancerzyk z krewetki.

W ciele owada umieszczono list. Ruck podał go Charliemu, który rozwinął go i przeczytał na głos. Adres, godzinę i datę.

– Mój Boże – szepnęła Jessica. – To dzisiaj.

Bertie poczekał kilka minut. Kiedy nabrał pewności, że nie wróca, sięgnął pod poduszkę i poszukał telefonu. Komórka zsunęła się za wezglowie, ale udało mu się wyciągnąć ją pomimo artretycznego bólu w dłoniach.

Wpatrywał się w klawiaturę, czekając, aż oczy przywykną. Teraz musiał na wszystko czekać. Czekać, zanim wstał, czekać, zanim się wysikał, czekać, zanim tabletki zadziałały. Jakie to żałosne; jaki był teraz słaby.

W końcu ekran rozświetlił się i znalazł numer, tak jak mu wcześniej pokazali.

– Tu Ruck. Właśnie wyszli.

Głos po drugiej stronie zasyczał mu do ucha. Nauczył się go nienawidzić, tego obojnego głosu, który nie pozwalał mu żyć ani umrzeć.

– Nie. Nic nie zrobiłem. Przyszli do mnie. Musieli w jakiś sposób dowiedzieć się, kim jestem. W każdym razie zrobione.

Ruck słuchał, ale już go to nie obchodziło.

– Tak – powiedział. – Odwiedzą was, tak jak chciałeś. Nie, spłaciłem dług. Zostawcie mnie w spokoju.

Charlie spoglądał na siebie w lustrze. Pod oczami miał zmarszczki, których wcześniej nie widział, i bliznę pod brodą, chociaż nie pamiętał, żeby się zaciął. Przyjrzał się dłoniom. Kiedy ścisnął skórę palcami, poczuł ból. Nie był jednak wystarczająco dotkliwy, bez względu na to, jak mocno się szczypał. Kiedy tak stał nad umywalką, z nosa znowu poleciała mu krew, chociaż ledwo to zauważył. Takie rzeczy nie miały znaczenia w parodii realnego świata, w którym żył.

Zadzwoił telefon. Li, przyjaciółka Georgie. *Jakieś wiadomości? Co pan robi?*

Co robi? Mozoli się z mankietami i guzikami koszuli, ze smokingiem? Nie miał wyboru. Szedł na przyjęcie. W sypialni sięgnął po glocka i obejrzał go. Broń była cięższa, niż pamiętał, krawędzie były wytarte, metal stracił blask. Gdzieś w odrętwiałej części mózgu włączył się alarm – lufa była wycelowana w jego twarz, palec spoczywał na spuście. Widział to już wcześniej. Dawno temu. Kiedy wydano na Williama specjalny wyrok. Po zakończeniu małżeństwa z Dee jego kariera była w rozsypce, rodzice nie żyli, on pił, a siostra go nienawidziła. Od dawna, kiedy w nocy zamknął oczy, słyszał krzyki ludzi zamordowanych przez brata.

Pomyślał o wszystkich ludziach, których zawiódł.

Nie, znowu.

Zaproponował Ruckowi szansę odkupienia win. Czy ktokolwiek inny proponował mu coś podobnego?

Rzucił pistolet na łóżko.

Wychodząc, upewnił się, że ryby mają dość jedzenia. Jeżeli nie wróci, Sarah może potrzebować kilku dni, aby przypomnieć sobie o ich nakarmieniu.

Jessica czekała na niego przy range roverze i obserwowała, jak przemierza podziemny parking. Ona też wróciła do domu wziąć prysznic i przebrać się. Włosy miała nieskazitelne. Wziął ją za rękę i pocałował w dłoń, nie odrywając wzroku od jej twarzy. Napotkała jego spojrzenie.

– Myślisz, że możemy ot tak wpaść do tamtego domu i stawiać warunki bez zaproszenia? – zapytała.

– Ależ wręcz przeciwnie, jesteśmy zaproszeni.

– Idziemy jako pułkownik Ruck? Z osobą towarzyszącą? – spytała sceptycznie. – Ruck ma sto trzy lata.

– Nie będą wiedzieć, kim jest; nigdy tam nie był. Musimy jedynie tam wejść. Zorientujemy się we wszystkim na miejscu.

– Ale skąd możesz wiedzieć, że Georgie i Hayley są tam?

– Pewności nie mam... ale Worek powiedział mi, że Hayley jest w ich specjalnym domu. Adres w liście to dworek gdzieś na pustkowiu. Jeżeli tam trzymają Hayley, to na pewno tam też zabrali Georgie.

– Świetnie, ja prowadzę.

Priest zerknął na volvo.

– Dlaczego?

– Wątpię, czy na tego rodzaju imprezę klientela przyjeżdża samochodami takimi jak twój.

Priest zszedł na bok i kliknął swoimi kluczykami. Jessica odwróciła się na odgłos alarmu. Nie volvo, ale czegoś innego schowanego w narożniku parkingu.

– Masz aston martina rapide S? – zapytała. – Pięćset pięćdziesiąt koni, od zera do setki poniżej czterech przecinek dziewięć.

Priest skinął głową, będąc pod wrażeniem, chociaż nie miał pojęcia, czy ona ma rację.

– Dlaczego jeździsz starym volvo, skoro masz takie luksusowe cacko?

Charlie wzruszył ramionami.

– Do volvo więcej się mieści.

Dom nie był widoczny od strony drogi, ale zza linii drzew wydobywała się lekka poświata. Wszystko inne pochłaniały ciemności.

Charlie zwolnił astonem, który teraz pełzł. Światło reflektorów odbijało się od bramy z kutego żelaza ze złotymi liśćmi. Gdy się zbliżyli, dwie duże postacie wyłoniły się z mroku.

– Zabrałeś pendrive? – zapytała Jessica.

Poklepał kieszeń smokingu.

– To nasza jedyna karta przetargowa.

Zatrzymał się nagle, zmuszając postać do pokonania ostatnich kilku metrów, gdy on sam czekał. Opuścił okno i wielka, nieogolona twarz zajrzała do samochodu, wpuszczając dławiającą woń tytoniu.

– W czym mogę pomóc? – zapytał skinhead.

– Ruck – odparł Priest.

– Oczywiście, pan Ruck. Witamy. Gdyby pan zechciał oddać kluczyki, zajmę się pana autem. Mój przyjaciel odprowadzi państwa do domu.

Jessica nerwowo zerknęła na Charliego. Parking z obsługą ograniczał możliwości szybkiej ucieczki.

– O co chodzi? – Skinhead wyczuł ich wahanie. – Pański samochód będzie w bezpiecznych rękach.

Charlie skinął do Jessiki, która wysiadła. Zrobił to samo i oddał kluczyki komitetowi powitalnemu. Zatrzymał spojrzenie na astonie, zastanawiając się, czy kiedykolwiek jeszcze go zobaczy.

– Tędy proszę.

Skinhead rzucił kluczyki jednemu z kolegów, a ich poprowadził przez bramę do czekającego wózka golfowego. Wsiedli. Zawieziono ich krętym podjazdem pośród drzew.

Niewiele było widać. Rzadkie latarnie rzucały blade światło na dęby rosnące wzdłuż drogi i nic im nie podpowiadało, co może kryć się za zielenią. Minęli dużą stróżówkę i ostatecznie dotarli do stajni ustawionych wzdłuż wysypanego żwirem dziedzińca wielkości boiska piłkarskiego. Dokądkolwiek jechali, było to duże.

Wózek zwolnił i skręcił w kolejną bramę, po czym zatrzymał się na innym zwirowym placu. Gdy wysiedli, Charlie ścisnął dłoń Jessiki. Uśmiechnęła się do niego słabo. Starał się skupić na jej twarzy, ale ku jego przerażeniu ona uciekała przed nim. Gdy rozpaczliwie próbował trwać w rzeczywistości, zobaczył samego siebie, jak wysiada z wózka golfowego i idzie do wejścia olbrzymiego barokowego dworu. W końcu tu dotarli.

Ciepłe powietrze w środku dawało miłe wytchnienie po chłodzie na zewnątrz, ale trwało to krótko. Priest poczuł nadciągające przerażenie. Już dłużej nie czuł, aby dłonie i palce należały jeszcze do niego. Odjeżdżał, nie miał władzy, aby temu zapobiec. *Jezu, nie teraz.*

– Państwo Ruck. – Usłyszał, jak skinhead ich zapowiada, jakby z bardzo, bardzo daleka.

Patykowaty mężczyzna w nienagannym czarnym garniturze wyszedł do przodu i wyciągnął rękę, wpierw do Charliego, potem do Jessiki. Ujął ją, ale nie poczuł uścisku. Tu i teraz, powtarzał sobie nieustannie. Tu i teraz.

– Dobry wieczór, panie Ruck. I pani Ruck. Witam w Domu Jętki. Mogę prosić o płaszcz?

Charlie, oszołomiony, podał swój płaszcz. Zatoczył się do tyłu, ale poczuł silną dłoń na swoim ramieniu, która go podtrzymała. Odwrócił się. W jednej chwili odzyskał świadomość. *Tu i teraz.*

– Czy mogę poprosić pańskie zaproszenie?

Jessica zdjęła płaszcz i podała kamerdynerowi. Pod spodem miała błękitną suknię, która spływała na podłogę niby meandrująca rzeka. Materiał elegancko przylegał do jej bioder i talii. Białą szyję ozdabiał prosty złoty łańcuszek, na którym zawieszono pojedynczą perłę. W jej stroju nie było nic ekstrawaganckiego, począwszy od dobrania perłowych kolczyków po elegancki krój sukni; jej uroda, odpowiednio podkreślona, po prostu zapierała dech.

– Proszę pana?

Kamerdyner spoglądał na niego wyczekująco. Charlie, ku własnej uldze, zobaczył go własnymi oczyma z wyciągniętą ręką.

Z wewnętrznej kieszeni wydobył kopertę i podał ją mężczyźnie, który zbadał zawartość, uśmiechnął się mechanicznie i podał ją skinheadowi; ten odłożył ją na stos z innymi podobnymi kopertami na stoliku z tyłu.

– Dziękuję – powiedział kamerdyner. – Wolno mi spytać, czy skorzystają państwo ze spa po wykładzie?

– Jest tu spa? – spytała Jessica.

– Oczywiście. Ręczniki zapewniamy, pani Ruck, więc proszę się nie martwić, jeżeli nie jesteście państwo przygotowani. A teraz zmiana w porządku wieczoru – kontynuował kamerdyner. – Tym razem obiad będzie po wykładzie.

– Bo...? – zapytał Charlie.

Kamerdyner się uśmiechnął.

– Wolimy, aby goście poszli na wykład z pustymi żołądkami.

Jessica ścisnęła ramię Priesta. *Wykład.* Jeżeli Georgie i Hayley tu są, to trzeba je natychmiast odnaleźć. *Jedna z nich lub obie mogą tu grać główną rolę.*

– Drinka? – zapytał kamerdyner.

– Oczywiście.

– Bardzo dobrze. Myers zaprowadzi państwa do baru.

Kolejny mężczyzna w czarnym garniturze wystąpił naprzód i dał im znak, aby szli za nim. Ruszyli, ale kamerdyner odwołał ich, zanim dotarli do drzwi po przeciwległej stronie.

– Panie Ruck! Nie zapomniał pan czegoś?

Charlie zatrzymał się i odwrócił, zastanawiając się, czy podstęp się nie udał. Kamerdyner trzymał dwa białe kaptury.

Kiedy Priest wetknął głowę w niedopasowany kaptur, poziom jego niepokoju znacznie się podniósł. Nie tylko było mu strasznie gorąco, ale został pozbawiony widzenia obwodowego – materiał wokół oczu był nieco podniesiony, co tworzyło klapki. *A jednak wróciłem do rzeczywistości i do własnego ciała.*

Myers poprowadził ich labiryntem korytarzy zapchanych ozdobami i bibelotami. Wypchane łby zwierząt zdobiły ściany obok olejnych malowideł naturalnej wielkości przedstawiających aroganckich hrabiów i brzydkie wiktoriańskie dzieci przebrane za lalki – wszystkich w żabotach. Dom sprawiał wrażenie wystawnego, ale właściwie wyglądał jak plan filmowy.

Znowu skręcili. W oddali zza ścian dobiegał odgłos jakiejś aktywności. Charlie wyobrażał sobie ludzi stukających się kieliszkami, rozmawiających w podnieceniu, spacerujących z drinkami. Jakby czekali na recital. Tymczasem istniało podejrzenie, że obie dziewczyny były więzione, osamotnione i przerażone. Zacisnął mocno pięści. Zrobiło mu się niedobrze.

Przed nimi pojawiły się szerokie schody. Gdy po nich wchodzili, gwar przybierał na sile. Na szczycie podwójne mahoniowe drzwi były szeroko otwarte i nimi wprowadzono ich do przestronnej sali, w której znajdowało się może pięćdziesiąt osób – głównie mężczyzn wciśniętych w garnitury. Mniejsza grupa mniej formalnie ubranych osób w typie naukowców, w marynarkach ze skórzanymi łatami i w markowych dżinsach, skupiła się w kącie. Było kilka kobiet, ale żadna tak olśniewająca jak Jessica. Ona już przyciągnęła uwagę zebranych, gdy weszła do sali; nie widzieli jej twarzy, ale oczy ją śledziły.

– Pozwoli pan, że go zapowiem – wyszeptał ich przewodnik.

– To nie będzie konieczne – odparł Charlie, Jessica wzięła go pod rękę

i zanurkowali w tłum.

Teraz nie ma odwrotu.

– Drinka? – zapytał Charlie.

– Musimy?

Znalazł klapę u dołu kaptura, który tak zaprojektowano, aby umożliwiał jedzenie i picie.

– Wszyscy mają w rękach kieliszki. Bez nich możemy niepotrzebnie przyciągnąć uwagę.

Jessica skinęła głową. Po prawej stronie mieścił się bar, poszerzał salę. Czterech barmanów i kran z piwem. Z boku stały rzędy butelek, za miseczkami wypełnionymi orzeszkami ziemnymi. Kiedy podeszli do baru, wyjaśniło się, że sala, chociaż okazałych rozmiarów, to w zasadzie antresola wychodząca na inną, dużą większą salę poniżej: w efekcie stali na niższym balkonie teatru. Oparli się o mosiężną barierkę i spojrzeli w dół. Poniżej znajdowało podium, a na nim stół. Prospekt zasłaniała ciężka, biała kurtyna.

– To tam...? – Jessica nie dokończyła pytania.

– Tak. Tam odbędzie się wykład.

– Jest coś w tym miejscu – powiedziała Jessica. – Coś dziwnego; dziwniejszego niż ci wszyscy zamaskowani ludzie, dziwniejszego od całej scenerii. Jest w tym coś znajomego... – Znowu nie dokończyła. – Co teraz robimy?

– Nie jestem pewien. Ale musimy znaleźć sposób, żeby przeszukać resztę domu. Dziewczyny muszą tu być. Musimy je znaleźć, i to szybko.

– Tak, słucham? – Barman uśmiechnął się do nich promiennie. Zdobił go wiktoriański, zakręcony wąs, przez co wyglądał jak statysta filmowy. Nawet z tylnej kieszeni zwisała mu ściereczka.

– Pani?

– Niebieska Margarita.

– Wspaniały wybór. A dla pana?

Charlie się zawahał. *Co to, cholera, niebieska Margarita?*

– Tonik – poprosił.

Barman wziął się do pracy, pogwizdując, i bez wyraźnej obawy o ohydne przedstawienie, które miało zaraz rozegrać się na scenie poniżej. Priest zlustrował salę. Tylko jedne drzwi – wejście i wyjście – prowadzące na schody, którymi właśnie weszli. Ale możliwości wiele – był to przepastny, rozległy dwór. Wędrować po nim bez celu w nadziei na znalezienie dwóch kobiet to

kiepski plan.

– Charlie – odezwała się Jessica.

– Co?

Podążył za jej wzrokiem. W odległym krańcu sali ich przewodnik, Myers, rozmawiał gorączkowo z dwoma innymi mężczyznami, także w czarnych garniturach, ale z szerokimi złotymi pasami. Spoglądali w ich stronę. Myers ich wskazał, a dwaj jego kompani zaczęli przedzierać się ku nim przez tłum.

Priest upił łyk i odwrócił się, nie chcąc okazywać zaniepokojenia.

– Charlie? Co robimy?

– Pij – powiedział do Jessiki. – Uspokój się. Ja będę mówił.

Przynajmniej tonik przyniósł ukojenie jego zaschniętemu gardłu. Jessica wsunęła rękę pod jego ramię. On ścisnął jej dłoń. Rękę miała gorącą; czuł, jak słabnie jej pewność siebie.

– Panie Ruck?

– Tak?

Obaj mężczyźni zajęli miejsca po bokach Charliego. Stęzał, adrenalina płynęła mu w żyłach. Był gotów walczyć wręcz, gdyby zaszła potrzeba. Nie dotarli tak daleko, żeby teraz ulec, nie, kiedy stawka była tak wysoka. Georgie nie decydowała się na to: znalazła się w niebezpieczeństwie przez niego. On ją w to wplątał i on ją z tego wyciągnie. A ci ludzie z pewnością go nie powstrzymają.

– Pańskie miejsce jest gotowe – rzekł pierwszy z mężczyzn.

– Moje miejsce? – Starał się nie okazywać zdziwienia.

– Przeznaczono dla pana specjalne miejsce, panie Ruck. Zechce pan z nami pójść? Może pani oglądać wykład z balkonu, pani Ruck.

Pierwszy mężczyzna wyciągnął rękę, wskazując drzwi. Charlie spojrzał na Jessicę. Uniosła rękę na znak, że wszystko porządku.

Miał już ruszyć za swoim przewodnikiem, kiedy go zatrzymała, kładąc mu rękę na ramieniu, pochyliła się i pocałowała go w policzek przez kaptur.

Priesta poprowadzono do samego teatru. Tam gdzie można by się spodziewać rzędów siedzeń przytwierdzonych do podłogi, znajdowała się duża, pusta przestrzeń, jeśli nie liczyć czterech białych kabin położonych bardziej z przodu, nie na środku. Tak je ustawiono, że kiedy się usiadło, nie widziało się innych obserwatorów. Przed każdym miejscem było biurko, a na nim papeteria i długopisy, telefon i mała lampka.

– Panie Ruck, oto pańskie miejsce – powiedział pierwszy z mężczyzn, wskazując jedną z kabin. – Przynieść drinka?

– Nie, dziękuję.

– Jak pan sobie życzy.

– Proszę mi powiedzieć, kiedy zaczyna się wykład?

– Za jakieś czterdzieści pięć minut. Tymczasem proszę się rozgościć. Jeżeli potrzebuje pan czegoś jeszcze, proszę skorzystać z telefonu. Ma pan bezpośrednie połączenie z osobistym opiekunem.

– Dziękuję. – *Czterdzieści pięć minut, aby znaleźć Georgie i Hayley.*

Drugi ochroniarz odsunął krzesło i Charlie usiadł. Obaj mężczyźni ukłonili się i wycofali.

Kiedy Charlie tu wchodził, zauważył, że jedno z miejsc było już zajęte. *Inny gość specjalny.* Zakapturzona głowa, dużo większa niż jego, pojawiła się za rogiem.

– Jeju, to niewiarygodne! – Akcent pochodził z dalekiego południa Ameryki. – Dwadzieścia osiem tysięcy za miejsce, a to, kurwa, nawet nie jest prawdziwa skóra!

Jessica obserwowała, jak eskortują Charliego przez tłum. Drzwi zamknęły się za nim, a ona nagle poczuła się całkiem sama. Zupełnie jakby ktoś chlusnął jej w twarz wiadrem lodowatej wody.

– Jeszcze jedną Margaritę?

Barman z wiktoriańskim wąsem znowu uśmiechał się szeroko.

– Tak – odparła. Pchnęła kieliszek w jego stronę. Był pusty, ale nie pamiętała, aby z niego piła. Stojąc przy barze, była świadoma głów, które odwracały się jedna po drugiej w jej stronę, głównie mężczyzn w kapturach – rozmawiających, roześmianych. Zaciśnęła mocno pięści, chciała przeciąć sobie skórę paznokciami, ale dłonie miała odrętwiałe.

Barman postawił przed nią kolejnego drinka, ale go nie wzięła. Kątem oka dostrzegła źródło potencjalnych kłopotów. Zakapturzonego mężczyznę, arogancko opartego o bar, zwróconego przodem do niej, z brzuchem ledwo mieszczącym się w marynarce.

– Ciekawy wybór – zauważył.

Jessica rozpoznała jego głos. *Cholera!*

– Co to jest?

Odwróciła się powoli. *Cholera! Cholera! Cholera!*

– Niebieska Margarita – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

– Ślicznie. Śliczny drink dla ślicznej dziewczyny – powiedział detektyw McEwen.

Muszę zachować spokój. Może mnie nie rozpozna. Niby dlaczego miałyby? Spotkaliśmy się zaledwie dwa razy, ale jednak... Rozpoznałabym jego głos wszędzie, nawet jak ma biały kaptur naciągnięty na tłustą mordę.

– Goldie, też go wezmę i jeszcze jeden dla tej pani! – McEwen krzyknął do barmana.

– Dziękuję, nie trzeba.

– Musi pani. Nie widziałem pani na poprzednich wykładach. Jest pani tutaj nowa?

Jessica sięgnęła po kieliszek i upiła łyk – powoli, aby nie zdradzić, że trzęsą się jej dłonie.

– Byłam tu ostatnim razem.

– Nie, nie. Zapamiętałbym panią. Bez wątpienia.

Zrobiło jej się niedobrze. Mężczyzna przysunął się na odległość wyciągniętej ręki. Był wystarczająco blisko, aby wyczuła czosnek w jego oddechu i zastarzały pot. Zrobiła głęboki wdech i starała się opanować. Nie może zobaczyć, jak bardzo jest przerażona.

– Słyszałam, że dzisiaj jest bardzo interesujący program.

– Tak – zgodził się McEwen. – Na pewno intrygujący.

Jessica opanowała odruch wymiotny.

– Jest pan lekarzem?

– Och, nie, miła pani. Mam bardziej subtelny udział w dzisiejszej demonstracji. Można powiedzieć, że należę do obsługi.

Jessica odstawiła kieliszek na bar.

– Do obsługi?

– Tak. Jak Goldie tutaj. – Skinął na barmana wycierającego szklanekę do piwa. Mężczyzna uśmiechnął się w odpowiedzi. – Nie płacą nam pieniędzmi, jeżeli pani wie, o co chodzi.

Obsługa. Mało prawdopodobne, że miałbyś płacić z pensji detektywa. To też tłumaczy, dlaczego nie jesteś w bazie danych Jętki. Na pewno nie ma tam nikogo z obsługi.

Poczuła ucisk w żołądku.

– Miło się z panem rozmawiało, ale muszę skorzystać z toalety. Przepraszam.

Chciała odejść, ale Ewan chwycił ją za rękę. Dłonie miał gorące i lepkie. Przyciągnął ją z powrotem, tak że jego brzuch otarł się o jej sukienkę. Cuchnął alkoholem.

– Czekaj no, mała. Czy ja ciebie nie znam?

– Nie. – Jessica zdała sobie sprawę, że odpowiedziała za szybko. Widziała ślepiec McEwena przez jego kaptur – wpatrywały się w nią, w jej dekolt, piersi i biodra.

– Na pewno nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy? – wymamrotał.

– Na pewno.

Puścił ją.

– Wróć, jak skończysz.

Skinęła krótko głową, odwróciła się i zniknęła w tłumie.

Priest przyjrzał się telefonowi w swojej kabinie. Wyglądał, jakby go zdjęli ze ściany w hotelowej łazience. Nie było klawiatury, tylko jeden guzik ozdobiony znajomym symbolem.

– Ślicznie. Mała jętka – wymamrotał.

– Co tam, partnerze? – Amerykanin znowu wychylił się z za przepierzenia.

Charlie wcisnął guzik. Po kilku sygnałach odebrała kobieta.

– Tak, panie Ruck? W czym mogę pomóc?

– Jak długo jeszcze do wykładu?

– Ponad czterdzieści minut. Czy mogę coś podać?

– Chciałbym skorzystać z łazienki.

– Oczywiście, panie Ruck. Zaraz podejdzie do pana opiekun.

Opiekun zjawił się po dwóch minutach. Zostało trzydzieści osiem. Mężczyzna był przysadzisty, mniej więcej jego wzrostu, ale lżejszy. Z takim Charlie normalnie nie wszczynałby bójki, ale możliwości miał ograniczone i czasu mało.

– Tędy, proszę pana.

Opiekun dał znak, aby szedł za nim. Miał skandynawski akcent, może duński. Charlie ruszył za nim, w myślach go poganiając. *No, dalej, pieprzony żółwiu. Czas leci!*

Dotarcie do łazienki zajęło im niecałe trzy minuty. Zostało trzydzieści pięć. Opiekun pchnął drzwi i wprowadził Charliego. Nie było pisuarów, tylko rząd pięciu kabin.

– To toaleta dla mężczyzn? Na drzwiach nie było oznaczenia.

– To jest łazienka dla specjalnych klientów – wyjaśnił opiekun.

– Więc niewiele kobiet płaci za specjalne miejsca?

– Z tego, co wiem, żadna.

Charlie z całej siły walnął opiekuna w żołądek. Cios nie był zabójczy ani nawet nie unieszkodliwiający, ale wystarczył, aby zniechęcić do odwetu. Szok

wywołany nagłym usunięciem powietrza z płuc uniemożliwił opiekunowi krzyk lub ucieczkę; mężczyzna osunął się bezwładnie po drzwiach.

Pozbawienie człowieka przytomności to delikatny zabieg. Zbyt wielka siła może zabić; niewystarczająca – niesie ryzyko zwrócenia uwagi.

Charlie się pochylił.

– Teraz słuchaj. Wolałbym cię nie skrzywdzić, ale zrobię to, jeżeli krzykniesz. Jak ci to odpowiada?

– Kur...wa, kim jesteś? – wystękał opiekun.

– Przyszedłem po te kobiety.

– Co? Oszalałeś?

– Gdzie one są?

Kaszłąc i plując, opiekun się zaśmiał.

– Zwariowałeś.

Udało mu się wciągnąć trochę powietrza w płuca, podparł się ręką i zaczął wstawać.

Charlie chwycił go za rękę i wykręcił mu nadgarstek. Mężczyzna znowu upadł, sycząc z bólu.

– Gdzie są kobiety przeznaczone na dzisiejsze przedstawienie? – spytał, tym razem bardziej zdecydowanie.

– Wszędzie jest pełno strażników... nie myśl, że stąd wyjdiesz!

Charlie wykręcił mu rękę mocniej i opiekun zwinął się z bólu. Następnie oparł kolano o pierś opiekuna i gwałtownie nacisnął.

– Ożeż kurwa!

– Słuchaj, cierpię na rozszczepienie osobowości.

– Co...

– Co? To znaczy, że łatwo się nudzę i złamać ci nadgarstek czy inną kość to nie jest dla mnie wielki problem.

Ich spojrzenia się spotkały. Priest zobaczył panikę... i zrozumienie. Rozluźnił chwyt, odrobinę. Zaproszenie, nic więcej.

– Piwnica z winem – wydyszał opiekun. – Zawsze je tam trzymają.

Charlie skinął głową, chwycił mężczyznę za kołnierz i zaciągnął do umywalki. Zdjął mu pasek i przywiązał go do rur. Zacisnął pasek jak najmocniej – wystarczająco, aby powstrzymać przepływ krwi w dłoniach jeńca. Po paru minutach będą odrętwiałe i bezużyteczne. Kiedy skończył, opiekun się zaśmiał, chociaż twarz wykrzywiał mu ból.

Charlie zdjął mężczyźnie jeden z butów i czarną skarpetę.

– Myślisz, że uda ci się wyjść stąd żywym? – wycedził strażnik.

Priest wepchnął skarpetę mężczyźnie do ust, obwiązując mu głowę sznurowadłem, żeby została na miejscu. Potem chwycił go za podbródek, zmuszając, aby spojrzał mu w oczy.

– Szanse są równe. Ale jak kłamiesz o piwnicy, to wiem, gdzie cię szukać.

Jessica wyszła drzwiami obok gromadki szepczących osób w kapturach. Jedna z nich spojrzała na nią. Jessica ją zignorowała i skierowała się korytarzem w lewo. Nie miała pojęcia, dokąd idzie, ale brakowało jej odwagi, żeby wrócić do sali, w której spotkała McEwena. Dobrze, że alkohol przeszkodził mu w trzeźwym osądzie.

Kiedy oddaliła się wystarczająco od przyjęcia i odgłosów bawiących się ludzi, zdjęła kaptur. Było jej za gorąco w twarz i z trudem oddychała. Włosy miała w nieładzie. *Ludzie płacili dziesiątki tysięcy funtów, żeby tu się znaleźć?*

Skręciła po raz kolejny, teraz jakby pewniej czując się w tym domu. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł; poczucie, że te wnętrza nie są tak nieznanymi, jak początkowo podejrzewała. Z początku wzięła to uczucie za *déjà vu* – to był taki sam korytarz ze starymi obrazami po obu stronach i grubą aksamitną tapetą, które można spotkać w wielu wielkich domach otwartych dla publiczności.

Jednak było coś jeszcze.

Zatrzymała się przy drzwiach. Popatrzyła na nie uważnie. *Za nimi są schody prowadzące na dół.* Była tego pewna. Nacisnęła klamkę, pchnęła drzwi. Przed nią drewniane schody zniknęły w mrocznej przestrzeni poniżej. Jessica przełknęła ślinę. Ogarnęło ją poczucie niepewności. Znała ten dom. Rozpoznawała układ pomieszczeń.

Powoli zeszła w ciemności.

Po omacku szukała włącznika światła. Na dole schodów majaczyło nad nią następne olejne malowidło. Matka trzymająca dziecko odziane w nedorzeczne falbany. Czas usunął farbę, więc tylko twarz matki pozostała wyraźna. Błada, melancholijna plama na czarnym płótnie.

Wróciło do niej wspomnienie z dzieciństwa: sześciolatki, która bawiła się w dużym pokoju położonym za tymi podwójnymi drzwiami.

Drzwi. Z owadem wyrzeźbionym w górnym panelu.

Jessica zamarła, to nie *déjà vu*. Była tu kiedyś.

Charlie nie mógł ryzykować powrotu po Jessicę. Gość specjalny, który zrezygnował z takiego dobrego miejsca, zwróciłby niepotrzebnie uwagę. Teraz Jessica będzie musiała uważać na siebie; według jego obliczeń zostały dwadzieścia dwie minuty.

Trzymał się blisko ścian, gdzie deski podłogowe mniej skrzypiały; poruszał się tak szybko, jak miał odwagę, aż dotarł do spiralnych metalowych schodów. Prowadziły tylko do góry. Cofnął się rozwścieczony.

Musiał się skupić. Oczyścić umysł. Brakowało mu jednego szczegółu, niewyraźnego elementu, który musiał dojrzeć. *Co to jest? Myśl!*

Próbował przestawić wszystkie elementy, jakie zebrał, rozebrać je na części i złożyć z powrotem. Fotografia Milesa Ellindera po rytualnej śmierci, lista Sandry Barnsdale, zgorzknienie Bertiego Rucka, testament Evy Miller.

Jego policyjny kontakt, Giles, powiedział coś mimochodem podczas ich ostatniej rozmowy. Co to było? *Diabeł tkwi w szczegółach, Priest.*

Sięgnął po telefon i wyświetlił raport z sekcji zwłok, który przesłał mu Giles. I wtedy... *Tak, pasowało. Oczywiście!*

Wiedział, co musi zrobić. Spojrzał w prawo na podwójne drzwi. *Przejdźcie...*

Zdjął kaptur i wrzucił go do doniczki. Potem wygładził zmierzwione włosy. Przeszedł drzwiami, podążając za odległymi głosami rozmów i brzękiem naczyń. W końcu dotarł do kolejnych podwójnych drzwi. Otworzyły się przed nim gwałtownie i niemal zderzył się z kelnerem, któremu mało co nie wytrącił tacy z kanapkami.

– Uważaj! – krzyknął kelner.

– Bardzo przepraszam – odpowiedział, przemykając niezdarnie obok, ale wyciągając kelnerowi białą ścierkę, którą tamten wetknął sobie do tylnej kieszeni.

W kuchni przygotowywano jedzenie. Zapach ryby był silny. Sola, jeżeli się nie mylił. *Od tego zaczęła się cała ta przykra sprawa.*

– Uważajcie, żeby olej nie był za gorący – polecił jednemu z kucharzy, który manewrował patelnią nad fajerką. – Łatwo się przypala.

– Kim jesteście?! – krzyknął z dala szef kuchni. Był wysoki i miał twarz porytą zmarszczkami.

– Pan Ruck zamówił dwie butelki Château Mouton Rothschild.

Mężczyzna najwyraźniej wyczuł coś niewłaściwego; tego kelnera nigdy nie widział. Ale Charlie w takich podbramkowych sytuacjach umiał się zachować. Ojciec go nauczył.

– Nie mamy dwóch butelek.

– A coś podobnego?

– Dobra. Marco, ty idź. – Szef kuchni skinął na kelnera stojącego przy drzwiach. Mężczyzna miał wojskową fryzurę, szerokie ramiona, a bicepsy pęczniały pod jego czarnym garniturem.

Dwadzieścia minut. Może mniej.

Marco poprowadził go szeregiem korytarzy i schodów. Szedł szybko, ale każdy krok to kolejne stracone sekundy. Charlie starał się rejestrować, ile czasu zostało do początku wykładu, niemal co do sekundy. Wątpił, czy to wystarczy.

Kiedy skręcili za róg, Marco zatrzymał się tak gwałtownie, że Charlie niemal wpadł mu na plecy.

– Co jest? – zapytał, starając się ukryć panikę.

– Nie pracujesz tutaj.

Charlie poczuł ucisk w żołądku. Udało mu się ominąć szefa kuchni, ale nie tego cholernego osiłka.

– Nie pracujesz tutaj – powtórzył Marco.

Wziął się w garść.

– Kim jesteś?

– Facetem, który skręci ci kark, jeśli nie posłuchasz.

Marco skinął głową, jakby już to wiedział. Charlie poczuł niepokój... coś było nie tak.

– Przyszedłeś po dziewczyny?

– Właśnie.

– Ktoś ci powiedział, że są w piwnicy z winami?

Charlie się zawahał. Marco był zupełnie niewzruszony. A on milczał.

– Kazali im mówić, że są w piwnicy z winami. Wiesz, jeżeli ktoś się wedrze tu potajemnie – wyjaśnił Marco.

Charlie pomyślał o ochroniarzu przywiązanym w łazience. Możliwe, że skłamał. Ale nie miał żadnych innych wskazówek. Chwila...

– Kim jesteś? – zapytał osiłka.

Marco patrzył na niego przez chwilę, potem zawrócił tam, skąd przyszedli.

– Hej... – Charlie schwycił go za ramię.

– Na dół. – Marco wskazał drzwi po lewej. – Tędy dochodzi się do wielkiej sali. Przejdź tą drogą na drugą stronę. Zobaczysz schody prowadzące do celi. Tam znajdziesz dziewczyny. Ale pośpiesz się. Powiem szefowi, że dostałeś wino i zaraz je zanieziesz.

Charlie odwrócił się do drzwi. Były oznaczone symbolem czarnego owada o długich skrzydłach.

Kiedy się odwrócił, Marco już zniknął.

Wielka sala Domu Jętki była okrągła. Z sześcioma gigantycznymi kolumnami podtrzymujący kopułę sufitu. Jedyne oświetlenie zapewniał księżyc, który sączył się przez wąskie okna wycięte w podstawie kopuły, oraz ciąg słabych lamp ustawionych dookoła sali.

W odległym końcu, jak mu powiedział kelner, były drzwi prowadzące do celi, gdzie znajdzie Georgie i Hayley, ale w sali ktoś był. Charlie zatrzymał się gwałtownie.

Pośrodku stał okrągły stół, a dookoła dwanaście krzeseł, na jednym z miejsc siedział ktoś plecami do Priesta. Odgłos otwieranych drzwi odbił się od nagich ścian, ale postać pośrodku się nie poruszyła.

W odległym krańcu pomieszczenia stała inna postać, z pistoletem wycelowanym w niego. Mężczyzna miał zasłoniętą twarz, ale rozpoznał faceta, który wtargnął do jego rodzinnego domu. Skinął na Charliego i wskazał pistoletem krzesło z wysokim oparciem w narożniku. Charlie usiadł. Po raz pierwszy od wielu dni głowę miał czystą, ogarnęło go dziwne uczucie spokoju. *To koniec. Ostateczne rozwiązanie.*

Otworzyły się inne drzwi w pobliżu, ukryte w mroku. Nikt się nie poruszył. Jessica zrobiła kilka niepewnych kroków naprzód. Rozglądała się dookoła, ogarniając wszystko – olbrzymi stół, zamaskowanego mężczyznę po drugiej stronie, Priesta siedzącego w rogu, ponurą postać z przodu.

– Co to jest? – Jej głos drżał, ale nie wiedział, czy ze strachu, czy ze złości. Podobnie jak on, też zdjęła kaptur.

Charlie się odwrócił. Nie mógł znieść widoku jej przerażonej twarzy i wzroku pełnego nadziei. Wiedział, co ich czeka, czego ona doświadczy. Zdrada będzie nie do wybaczenia.

Postać przy stole wstała powoli, krzesło zaszurało o marmurową podłogę. Odgłos został spotęgowany dziesięciokrotnie w przepastnym pomieszczeniu.

Jessica stanęła nieruchomo.

– Jessico – odezwała się postać.

Przez chwilę nikt się nie poruszył.

Lucia Ellinder odwróciła się twarzą do córki. W Dower House Priest spotkał słabą i przypominającą zjawę kobietę, której potulność była zarówno wzruszająca, jak i żalosna. Tutaj z kolei była osobą w pełni sił.

– Co... co tu robisz? – wyjąkała zaszokowana Jessica.

Lucia się uśmiechnęła.

– W pewnym sensie zawsze tu byłam.

– Ale... tata...

– Moja droga, jest bardzo chory. Bardzo. Ale my się nie poddajemy, prawda?

– Nie rozumiem.

– Ależ rozumiesz, Jessico. Rozumiesz.

Jessica spojrzała na Priesta. Na jej twarzy zamiast dezorientacji pojawił się sprzeciw. Znowu Charlie starał się wytrzymać jej spojrzenie.

– Przykro mi, Jessico – powiedział. – To ona. Jętką.

– Nie wydaje się pan zaskoczony, Priest. – Lucia Ellinder odwróciła się do niego. Była prawie tego samego wzrostu co Priest, miała na sobie prostą czarną szatę z niewielkim dekoltem i białymi falbanami wokół nadgarstków. Pod jej spojrzeniem zjeżyły mu się włosy na karku.

– Wiedziałem, że to ty.

– Oczywiście, że wiedziałeś.

– Jesteś...? – Jessica odezwała się cicho, jakby nieswoim głosem.

– Och, daj spokój, Jessico! – krzyknęła Lucia. Charlie podejrzewał, że Jessica nieczęsto słyszała ten ton. Cofnęła się kilka kroków. – Ależ oczywiście! – rzuciła Lucia cierpko. – Jakże to mogłam być ja? Twoja żalosna matka, dla której nie miałaś krzty szacunku!?

Jessica była zaszokowana.

– Mamo, przecież...

– Zamknij się! Jessico, nie żywię do ciebie z tego powodu urazy. Skąd miałabyś wiedzieć? Twój ojciec był takim wielkim człowiekiem, a ja tylko fragmentem jego cienia. A przynajmniej tak myślał.

– Ale... on cię kocha...

– Och, jakież to marne! Naprawdę myślisz, dziecko, że małżeństwa wśród uprzywilejowanych są zawierane na tak kruchych podstawach? Twój ojciec nie kochał mnie bardziej od samochodów. – Machnęła ręką z rezygnacją. – Teraz... – zwróciła się do Priesta – interesują mnie pańskie wnioski ze

śledztwa. W końcu moja rodzina zobowiązała się zapłacić za pańskie usługi. Może powinniśmy sprawdzić, czy towar jest wart ceny?

– Rzeczywiście – przyznał Charlie. – Oczywiście wynajęto mnie, abym odkrył, co się stało z Milesem. A pani wiedziała to przez cały czas, prawda?

Jessica otworzyła usta, ale nie padły żadne słowa.

– No, dobrze, panie Priest – zadrwiła Lucia Ellinder. – Jessica zasługuje na prawdę, nie sądzi pan?

Charlie potrzebował chwili na zastanowienie. Nakłonienie go do opowiedzenia całej historii było częścią przedstawienia, zostało szczegółowo zaplanowane. Na tyłach sali obserwator w kapturze przestąpił z nogi na nogę. Nie zmieniał pozycji od wejścia Priesta. Ogarniało go wręcz bolesne przecucie, że nadeszła chwila wydania wyroku.

Próbował odchrząknąć, ale coś mu utknęło w gardle. Powietrze w pomieszczeniu było nieruchome, przytłaczające. Zapach ten znał z pierwszych lat pracy w policji: śmierć i zepsucie.

Odzyskał panowanie nad sobą.

– Żyła sobie niegdyś niejaka Eva Miller – powiedział powoli. – Była maszynistką i stenotypistką podczas wojny, została przydzielona oficerowi wywiadu w mrocznych czasach po wojnie. Przypisano ją do operacji Jętką, brudnej tajemnicy brytyjskiego rządu. W dniach po wojnie Europa w spustoszonych krajach szukała odpowiedzi na pewne pytanie. Jak dotąd w historii Holokaust był największym aktem czystki etnicznej, a jednocześnie nikt nie rozumiał, co leżało u podstaw nazistowskiej obsesji śmierci na tak ogromną skalę. Eva Miller była jednym z tych pechowców wystawionych w młodym wieku na mrok świata. To ją zepsuło. Wdarło się pod skórę. Zaznała podniecenia strachem. To między innymi ona zapoczątkowała łańcuch wydarzeń, które ostatecznie doprowadziły do tego zła. Ona była pierwszą Jętką. Z czasem Eva rozbudowała siatkę, wyjątkowy klub, którego członkowie mieli przeróżne motywacje co do swego w nim uczestnictwa, ale których łączyło wspólne zainteresowanie – chcieli, aby kontynuowano pracę nazistowskich lekarzy. Alianci mogli uważać, że eksperymenty na ludziach, które odbywały się w obozach koncentracyjnych, należą do przeszłości – błąd w tkaninie normalności – ale wynaturzone umysły doszukały się w tym czegoś o wiele bardziej znaczącego. Czegoś cennego. Pojawiało się wielu chętnych, którzy wręczali Evie gotówkę, byleby mogli być tego świadkami. Jednak tajna siatka rzadko pozostaje tajna wiecznie. Prokurator generalny sir

Philip Wren założył grupę operacyjną do zbadania działalności Jętki. Ty zagroziłaś jego rodzinie, aby zmusić go do odwołania śledztwa, i to zadziałało, aż Sandra Barnsdale przysłała mu listę nazwisk. Dowiedziałaś się o tym; co nietrudne, jeżeli ma się ludzi we właściwych miejscach. Postawiłaś więc Wrenowi ultimatum: odda listę albo zabierzecie mu córkę. Jak mi idzie?

– Nadzwyczajnie – pochwaliła Lucia. – Może jednak nie zmarnowaliśmy tych pieniędzy.

– Problem polegał na tym, że wtedy Wren zdążył już mi wysłać pendrive. To odkrył Miles. Wren nie miał karty przetargowej poza nazwiskiem osoby, do której wysłał dane. Podał je wam, ale wy i tak porwaliście Hayley.

– Wren od dawna był nam solą w oku. Zasługiwał na nauczkę.

– Jednak mimo to musieliście odzyskać dane.

– Rzeczywiście wiadomość, że narażono nasze dane, była bardzo denerwująca.

– Więc wysłaliście Milesa, aby je odzyskał.

– Co? – wtrąciła Jessica. – Wysłałaś Milesa?

– Oczywiście, że wysłała – odpowiedział Charlie, wstając z krzesła.

– To prawda – potwierdziła Lucia. – Kiedy Milesowi nie udało się na początku, próbowaliśmy odzyskać dane od ciebie przez Hayley... zważywszy na powiązania z tobą... ale okazała się całkiem bezużyteczna.

– Charlie... – Jessice uwięzły słowa w gardle. W oczach miała łzy, a jej głos, kruchy, ledwo słyszalny w wielkiej sali, stracił ostrość. – Charlie, co ty mówisz? – Nie spuszczała oczu z matki.

Zignorował ją. Musiał dokończyć. Nie było czasu.

Lucia Ellinder znowu się uśmiechnęła.

– Ty jej powiedz.

– Przepraszam, Jessico – rzekł delikatnie.

– Co? – wyjąkała. – Mów!

– Eva Miller to twoja babcia.

Jessica się nie poruszyła.

– Eva Miller i Bertie Ruck mieli dziecko, Jessico – kontynuował. – Ruck nie chciał narażać Ewy nie dlatego, że jego nazwisko było na liście, ale ponieważ wiedział, że ich córka przejęła rolę matki. Widziałaś zdjęcie na stoliku u Rucka i dopatrzyłaś się podobieństwa rodzinnego, prawda? Lucia to córka Ewy i Bertiego. – Spojrzał na Jessicę. Był zmartwiony. Jasność, która spłynęła na niego, gdy wszedł do wielkiej sali, ustąpiła. Wróciła czarna zasłona. *Nie*

teraz, Boże, proszę, nie teraz. Nie, kiedy zostało tylko dziesięć minut...

Jessica przerwała ciszę.

– Ty mnie tu przywiozłaś – zwróciła się do matki. – Do tego domu. Kiedy byłam dzieckiem, tak?

– Tak – przyznała Lucia, a jej oczy nabrały blasku. – Tak, Jessico. Pamiętasz!

– Pamiętam ten dom i tę salę. Powiedziałaś, że to nasze dziedzictwo. Dar naszej rodziny dla świata.

– Przywiozłam cię tu, aby ci pokazać. Bawiłaś się tam, przy stole.

– Skłamałaś! – krzyknęła Jessica. – To żaden dar. To trucizna. Ty jesteś trucizną!

– Nie możesz uciec przed przeznaczeniem, Jessico.

– Matko, jesteś chora. Potrzebna ci pomoc... – Jessica umilkła, jakby coś przyszło jej do głowy. – Powiedziałaś, że Miles cię zawiódł. Zabiłaś go?

Lucia powoli opuściła ręce i usiadła z powrotem przy stole, odwracając się do nich plecami.

– Ona nie zabiła Milesa, Jessico – rzekł Priest. *No, już.* Walczył, aby pozostać w terażniejszości, mocno uszczypnął się w czubek nosa. *No, już! Tu i teraz.* Ból go ograniczał, ale jak długo?

Dziewięć minut.

Jessica gwałtownie odwróciła głowę i znowu wbiła w niego wściekłe spojrzenie.

– Więc kto to zrobił, na miłość boską? – wyszeptała.

– Nikt. – Słowa Priesta odbiły się od kamiennych ścian jak rykoszetująca kula.

– Nie rozumiem. Jak to... nikt?

– Miles nadal żyje. – Ruchem głowy wskazał zakapturzoną postać. – To ten tam.

Przez cały czas mężczyzna stał nieruchomo, z rękami założonymi na piersi. Jego pierś unosiła się i opadała powoli, rytmicznie, w takt oddechów. Teraz się poruszył, zdjął kaptur i rzucił na podłogę.

Jessica chwyciła powietrze, zatoczyła się do tyłu i oparła o filar.

– Witaj, Miles – rzucił Charlie.

Miles Ellinder uśmiechnął się szeroko, błyskając zębami. Wyglądał lepiej niż w noc, kiedy groził mu wiertarką. Ciemne włosy miał czyste, zaczesane do tyłu; oczy jak łebki szpilek, ledwo widoczne z tej odległości. Charlie pomyślał, że jest w nich coś gadziego – martwe spojrzenie. Przypomniał sobie o Worku.

Nie skojarzył go wystarczająco szybko.

– Żyjesz – wyszeptała z przerażeniem Jessica. – Więc kto...?

– Kto został nabity na pal w magazynie Ellindera? – powiedział Charlie. – Jakiś emigrant, włóczęga? Ktoś zgarnięty z ulicy?

Lucia wzruszyła ramionami.

– Jego nazwisko nie jest teraz istotne.

– Wątpię, czy nawet je znasz. Nie brakuje bezimiennych imigrantów, z których można wybierać. Chociaż nadal nie rozumiem, dlaczego musieliście go nadziać na pal. To wygląda na poządanie sensacji, nawet jak na ciebie.

– W takim razie masz ograniczoną percepcję – parsknęła Lucia.

– Ale jak? – dopytywała się Jessica. – Jak wszyscy mogli myśleć, że to był Miles?

– Bo jego matka zidentyfikowała ciało. Widziałem to we wstępnym raporcie z autopsji, ale wtedy nie pomyślałem, że to istotne.

Lucia wstała i odepchnęła krzesło na bok.

– Oczywiście, że to ja zidentyfikowałam ciało! Cóż innego mogła uczynić wierna żona dla chorego i zrozpaczonego ojca? A poza tym nie była to tajemnica, że Miles był mój, a nie Kennetha.

– Nikt nie kwestionował potwierdzenia przez matkę tożsamości własnego syna – odparł Priest. – I oczywiście masz McEwena. Jest częścią siatki, prawda? I patologa, który prawdopodobnie przeprowadził sekcję. On też należy do ciebie.

Lucia uniosła brew.

– McEwen? Patolog? Przerosłeś moje oczekiwania, Priest. Wątpiłam, że uda ci się zidentyfikować wszystkich moich żołnierzy.

Diabeł tkwi w szczegółach. Priest.

– To łatwe, skoro nazwisko człowieka, który podpisał raport z sekcji Milesa, także pojawia się na liście Jętki – wyjaśnił Priest.

– Ale... – wyjąkała Jessica. – Dlaczego?

– Miles musiał sfingować własną śmierć i podejrzewam, że dzieli miłość twojej matki do teatru.

Lucia skinęła głową i klasnęła w ręce. Charlie usłyszał w oddali stłumiony szum zgromadzonych; czekali na przedstawienie, niespokojni i wygłodniali. Za sześć minut ich oczekiwania zostaną zaspokojone.

– Ale dlaczego? – powtórzyła Jessica. – Dlaczego Miles musiał sfingować własną śmierć?

– Myślę, że były dwa powody. – Charlie wbił wzrok w Lucię. – Po pierwsze, Philip Wren zbliżył się za bardzo do rodziny Ellinderów; to był główny problem. Więc Miles musiał zginąć w spektakularny sposób, aby rodzinę postrzegano jako ofiary, a nie sprawców. Mam rację?

Lucia skinęła głową.

– Wren stawał się problemem, ale zabicie go jedynie pogorszyłoby sprawę; bez wątplenia ktoś zająłby jego miejsce. Musieliśmy zmylić śledztwo i dać Milesowi swobodę działania z ukrycia.

– Skończyło się na tym, że musiałaś i tak wykończyć Wrena, kiedy odkryłaś, że wszedł w posiadanie listy Jętki.

– Nie rozumiem... – Jessica spojrzała na Priestę, jakby błagała go o wskazanie sensu w tym wszystkim.

Uważaj, Jessico, o co prosisz.

Priest dalej zwracał się do Lucii Ellinder.

– Druga korzyść ze sfirowania śmierci Milesa była taka, że dawała szansę dotarcia do mnie. Musiałaś odzyskać dane, ale także ustalić, co wiem. Milesowi nie udało się odzyskać listy za pierwszym razem, więc zabiliście zastępcę i podrzuciliście mu moją wizytówkę. Potem nakłoniłaś męża, aby zlecił mi śledztwo w sprawie śmierci Milesa. Jessica miała mnie śledzić. W ten sposób można mnie było wciągnąć w siatkę Jętki, a McEwen miałby wymówkę do odzyskania danych... ta jego nieudana próba przeszukania mojego biura.

– Brawo, panie Priest. – Lucia Ellinder znowu klasnęła w dłonie.

– Ale skąd mój udział? – zapytała Jessica.

– To twoja inicjacja. Abyś sama odkryła chwalebny groźbę tego, co cię czeka. Twoja matka już to powiedziała, Jessico: to twoje przeznaczenie, twój dom. Ta instytucja przechodzi na ciebie. Jak Eva przekazała swoje dzieło własnej córce, tak z kolei twoja matka przekaże je tobie. Jesteś uczniem. Jesteś następną Jętką.

Jessica pokręciła głową.

– To szaleństwo – wyszeptała.

Lucia Ellinder wyciągnęła do córki rękę.

– Jessico, nie widziałaś tego cudu, jakiego doświadczyliśmy? Kontynuacji dzieła Kurta Schneidera.

– Torturujecie ludzi. Dla zabawy.

– Jessico, żyjemy. Przez strach na nowo definiujemy nasz związek z Bogiem.

Osiągamy szczyt. Władza i kontrola w naszych rękach w tym domu, Jessico. Wyobraź sobie stworzenie bezpośredniego połączenia z Nim... Stwórcą.

– Ludzie wam płacą, aby patrzeć, jak torturujecie innych.

– I te pieniądze umożliwiły nam utrzymać stopę życiową na poziomie, do jakiego przywykłaś. Nie zapominaj o tym. Firmy twojego ojca by nas nie utrzymały. Jednak tu nie chodzi o pieniądze. Tu chodzi o Jętkę. O ewolucję.

Jessica ukryła twarz w dłoniach.

– Nie rozumiem.

– Bez wątpienia pan Priest rozumie. – Lucia Ellinder przekrzywiła głowę w jego stronę.

– Z łatwością można to określić jako obłąkańczy kult śmierci – powiedział powoli Charlie. – Ale to byłoby zbyt łatwe wyjaśnienie. Powiedziałaś, że chodzi o ewolucję, co zakrawa na ironię, zważywszy na to, że chodzi o Boga.

Lucia uśmiechnęła się szerzej.

– Mów dalej.

– Wierzysz, że możesz być bliżej Boga... a pewnie nawet Go zobaczyć... poprzez niewyobrażalne cierpienie innej ludzkiej istoty. To jak obrzęd seksualny, gdzie dostęp do Boga jakby otwiera się w momencie orgazmu, tutaj kanał jest otwierany przez ból i strach.

– Nigdy nie słyszałam o czymś tak niedorzecznym – wyszeptała Jessica.

– Idea poświęcenia życia ludzkiego, aby przeprosić jakiegoś boga, towarzyszy nam od najwcześniejszych cywilizacji – rzekł Charlie. – To jest... w pewnym sensie... ewolucja tej idei. Tego próbował dokonać Kurt Schneider.

– To się nie dzieje...

– Obudź się! Dziecko, to twoje dziedzictwo! – Lucia, nagle rozwścieczona, ruszyła w stronę Jessiki.

Charlie się zastanawiał. Potrzebował więcej czasu, ale jego szanse słabły. Miles stał dwadzieścia metrów dalej, może mniej, i trzymał pistolet. Wystarczyło, żeby był zupełnie przeciętnym strzelcem, aby go trafić.

W oddali zegar wybił pełną godzinę. Nikt się nie ruszył. Wtedy, z początku łagodnie, deszcz zaczął bębnić o ciemne okna wokół okrągłej sali. Już. Minął czas.

– Dosyć tego – zdecydowała Lucia. – Chodź ze mną, Jessico.

Miles uniósł pistolet i dał znak, aby poszli za nim do drzwi w odległym końcu sali. Charlie pomyślał o Georgie i o tym, co ją czeka. Gdy Lucia zniknęła za drzwiami, zerknął na Jessicę. Policzki miała czerwone, wyglądała na

wyczerpaną, ale nie była pokonana. Zdecydowanie nie.

– Miles – odezwała się nagle. – Cholera, co ty wyprawiasz?

– To, po co się urodziłem, siostrze.

– Nie urodziłeś się dla tego mroku, Miles. Otwórz oczy, na miłość boską!

– Boską, siostrze? Myślałem, że jesteś niewierząca?

– Jestem. Nie powiesz mi, że wierzysz w te bzdety, durniu.

Miles się zaśmiał.

– Hm, może wyjdziemy tam i spotkamy się z Nim; zobaczymy, czy masz rację.

Miles wyprowadził ich kolejnym korytarzem z wielkiej sali, słabo oświetlonym, a potem ruszyli szerokimi schodami na balkon wychodzący na teatr. Kiedy dotarli do ostatnich podwójnych drzwi, Miles się zatrzymał. Ze środka wyraźnie dochodziły głosy gości. Przedstawienie jeszcze się nie zaczęło. Może Georgie i Hayley nadal żyły, ale Charliemu w głowie wirowało. Nie miał planu.

– Ostatnia szansa, Miles – ostrzegła brata Jessica.

Miles był rozbawiony.

– Zawsze była z ciebie ciasna cipa, Jessica. Nie obchodzi mnie, czy przyłączysz się do mnie i mamy, ale masz to we krwi. – Przyciągnął ją szorstko do siebie. – Przyznaj się – wyszeptał. – Chcesz zobaczyć, jak ta suka cierpi.

Charlie widział, jak Jessica trzęsie się ze strachu.

Miles wprowadził ich na balkon. Przed nimi tłum ludzi w kapturach starał się dojrzeć, co dzieje się za balustradą, przepychali się i wiwatowali. Hałas był ogłuszający. Jeżeli piekło istnieje, pomyślał Charlie, to tak wygląda przejście przez jego bramy.

Miles poprowadził ich na tyły tłumowi, który rozrósł się dwukrotnie, od kiedy Priest stąd wyszedł. Po bokach pomieszczenia ustawiono monitory ukazujące scenę w dole. Na każdym pokazywano Lucię Ellinder kłaniającą się publiczności.

– Przyjaciele! – Jej słowa były ledwo słyszalne w panującym rozgardiaszu. – Witajcie. Witajcie!

Charlie odwrócił się w prawo. Miles wepchnął mu pistolet w żebra. Po jego lewej stronie Jessica patrzyła jak zahipnotyzowana na obraz pokazywany na monitorze. Poczul, jak wsuwa mu dłoń w rękę. Ścisnął ją, a ona to odwzajemniła. Odwróciła się od ekranu. Oczy jej zaszyły łzami. Przed nim Lucia nadal przemawiała, ale słowa mu umykały. Szum tłumowi wydawał się

przytępiony, jakby dźwięk dochodził zza zamkniętych drzwi.

Nie teraz, Boże, proszę, nie teraz... Osuwał się w swoją prywatną krainę snów.

Przyglądał się scenie rozgrywającej się przed nim, widział siebie stojącego na skraju grupy duchów pozbawionych twarzy, kołyszących się do fałszującego zawodzenia niewidzialnej orkiestry. Poruszając się jak jeden organizm, wydawali się zahipnotyzowani przez źródło energii znajdujące się w odległym końcu audytorium. Zobaczył własną dłoń obejmującą coś ciepłego i niosącego ulgę i wiedział, że gdyby ją puścił, mógłby już więcej jej nie odnaleźć.

Nagle obie strony tłumu implodowały, spadały kaskadą do środka. Część duchów zaczęła przewracać się jak drewniane żołnierzyki, inne je tratowały. Hałas przybierał na sile. Rozległy się krzyki – zgiełk towarzyszący panice i przerażeniu. Kiedy obserwował to wszystko, tłum zaczął się rozpraszać, rozgoniony przez mężczyzn i kobiety w mundurach z ciężkimi karabinami zawieszonymi na ramionach.

– Policja! Na ziemię! Na ziemię!

Priest się cofnął. Był odrętwiały, a hałas go ogłuszał. Chciał się zwinąć w kłębek, odciąć od wszystkiego, ale ktoś chwycił go z klapy i pchnął na ścianę.

– Priest!

Otrząsnął się. Był tu i teraz.

– Priest!

– Jessica? – Zamrugał oczyma, wracając do rzeczywistości.

– Priest! Miles. Poszedł tędy!

Wskazała małe drzwi ukryte w ścianie, zamaskowane taką samą tapetą. Zauważył, jak Miles Ellinder znika za nimi.

Dwóch widzów w kapturach chciało uciec, ale odepchnął ich, tak że wpadli z powrotem w tłum. Szarpnął za drzwi.

Charlie biegł po omacku tunelem tak wąskim, że ledwo pozwalał na swobodny ruch. Przez pęknięcia w ścianach przedostawały się promienie światła. Dom był stary, więc pełno w nim było przejść dla służby. Połączeń między światami służby i państwa.

Brnął w ciemnościach, napędzany mroczną energią, która narastała w nim przez ostatni tydzień. Przed sobą słyszał kroki Milesa. Odległość między nimi malała.

Przy następnym zakręcie natrafił na schody prowadzące w jeszcze większą ciemność. Nad sobą usłyszał stąpanie po stopniach i ciężki, zmęczony oddech.

Kiedy zamierzał wejść za Milesem na schody, padły dwa strzały i pociski zrykoszetowały, a następnie przebiły drewniane stopnie, mijając go o kilkanaście centymetrów. Zatrzymał się i zastanawiał nad następnym ruchem.

Z góry dobiegł go krzyk kobiety.

Nie zważając na ryzyko, ruszył schodami, pokonując po trzy stopnie naraz.

– Georgie! – zawołał.

– Charlie!

Jej głos był stłumiony i dobiegał z daleka. Na górze schodów rzucił się przez kolejne drzwi, ale zamiast znaleźć się w następnym przejściu dla służby, przywitał go ryk wiatru i siekący deszcz. Zderzenie z zimnem i wodą, zawieruchą chłoszczącą twarz, zatrzymało go i na chwilę stracił orientację. Ruszył dachem porośniętym mchem.

– Charlie!

Przerażenie w głosie niepokoiło go podobnie jak wiatr i ulewa. Spojrzał przed siebie. Przez deszcz widział, że jest na przestronnej części płaskiego dachu na tyłach domu, otoczonej czterema lub pięcioma wieżami, sąsiadującymi z wieżyczkami wychodzącymi na otaczające tereny, ozdobionymi kamiennymi rzeźbami. W oddali dostrzegł Milesa odwróconego do niego twarzą – stał na krawędzi dachu, jedną ręką obejmował Georgie w pasie, a w drugiej trzymał pistolet, który przykładał jej do głowy.

– Georgie! – Charlie musiał przekrzyczeć odgłos ulewy. Szedł wolno naprzód, zmniejszając odległość między nimi do jakichś trzech metrów. – Miles... oddaj mi ją!

– Spierdalaj, Priest!

Miles cofnął się o krok. Jeszcze dwa kroki, a spadnie z dachu, zabierając z sobą Georgie.

– Georgie! – krzyknął Priest. – Patrz na mnie! Patrz!

Głowę miała odwróconą w bok, ale z wielkim trudem udało jej się spojrzeć na Priesta. Była blada ze strachu, ale poza tym najwyraźniej nic jej nie dolegało.

– Georgie, będzie dobrze – zapewnił ją.

Skinęła niepewnie głową.

– Priest, ty to umiesz kłamać – odezwał się Miles. – Taka umiejętność

przydaje się prawnikowi.

– Miles, to koniec. Nie ma sensu tego ciągnąć. I tak was dopadną. Możesz skorzystać z szansy i pójść z prokuraturą na układ.

Miles się zaśmiał.

– Ale atrakcyjna propozycja.

– Miles, nie masz wyjścia.

– To ja mam broń i tę sukę! Dawaj pendrive.

– Co? Myślisz, że jeszcze masz wyjście?

– Nieważne, co myślę, dawaj ten cholerny pendrive!

Miles był śmiertelnie poważny. Kątem oka Charlie zauważył postać zajmującą pozycję po drugiej stronie wieży. Sprawdził kąt... Miles nie widział tego człowieka.

– Miles, przegrałeś! – krzyknął. – Ceremonia się skończyła. Matka została aresztowana. Te dane są teraz bezużyteczne.

– Priest, zrobię to! – wrzasnął Miles. – Strzelić jej w głowę to dziecięca zabawa w porównaniu z tym, co osiągnąłem!

– I znalazłeś w tym Boga, Miles? Czy tylko sobie dogodziłeś?

– Priest! – ostrzegł go Miles.

Charlie skierował wzrok na Georgie. Ona błagalnie spojrzała na niego. Nie zawiodę cię. Nie staniesz się kolejnym duchem. Powoli sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyciągnął pendrive.

Uśmiech pojawił się na twarzy Milesa.

– Rzuć go mnie – polecił.

Charlie spojrzał na Georgie po raz ostatni. Potem rzucił pendrive w stronę Milesa. Spadł kilkadziesiąt centymetrów przed nim. Rozwścieczony Miles przyciągnął Georgie bliżej i pochylił się nad nią, aby sięgnąć po przedmiot. W tym momencie z drugiej strony wieży padł pojedynczy strzał, rozdzierając ciemność. Trafił Milesa w ramię. Ten krzyknął i upadł, puszczając Georgie, która natychmiast pobiegła do przodu.

Charlie skoczył, ale Miles dźwignął się i otworzył ogień do strzelca. Kula uderzyła w wieżę, nikomu nie wyrządzając szkody.

Charlie rzucił się na Milesa, wytrącając mu pistolet, i obaj upadli na dach. Pistolet poleciał poza ich zasięg. Noga Charliego niebezpiecznie zawisła nad krawędzią dachu, gdy został wytrącony z równowagi i pchnięty na bok.

Za wieży kelner Marco pobiegł po dachu w stronę Milesa, ale poślizgnął się na wilgotnym mchu. Odzyskał równowagę, ale wylądował na jednym kolanie

zaledwie metr przed Milesem, który rzucił się do przodu i uderzył go w twarz.

Kelner padł na plecy, krew ciekła mu z nosa, jego pistolet poleciał po dachu z łoskotem. Marco z trudem zawrócił do wieży, ale znowu się poślizgnął. Tymczasem Miles podniósł pistolet.

Charlie patrzył, jak Marco obrócił się i zajrzał w otwór lufy własnego pistoletu. Po prawej, kilka metrów dalej, Charlie zobaczył pistolet Milesa leżący w kałuży.

– Żegnaj, kimkolwiek, kurwa, jesteś – usłyszał słowa Milesa.

Zanurkował po pistolet Milesa. Spóźniłem się...

Wystrzał przeciął nocne niebo niczym grzmot.

Marco leżał na dachu. Przez moment Charlie myślał, że za późno strzelił, lecz Miles Ellinder zachwiał się i chwycił za bok. A potem poleciał w dół.

Charlie podszedł do krawędzi i spojrzął na dziedziniec. Wyciągnął magazynek z pistoletu i schował go do kieszeni, zanim odwrócił się do Georgie.

– Nic ci nie jest?

– Miałam ciężki dzień. – Próbowała się uśmiechnąć.

– Wierzę.

– Charlie, dziękuję, że przyjechałeś aż tu, żeby mnie uratować.

Wziął ją w ramiona.

– Naprawdę jestem troskliwym pracodawcą – wyszeptał w jej włosy.

– Ładny strzał – zauważył Marco, wstając.

– Zdaje się, że nie pracujesz tu za napiwki.

– Krajowy Zespół do spraw Ekstremalnych.

– Jak długo pracowałeś jako tajniak?

– Od roku.

– Prawie ci to spieprzyłem.

– O mało co, ale naprawiłeś to tym strzałem. Więc może powiesz mi, kim jesteś?

Priest pociągnął nosem i mocniej przytulił Georgie. Deszcz trochę zelżał, ale Priest był przemoczony i strasznie chciało mu się pić. Georgie go nie puszczała.

Wzruszył ramionami.

– Jestem tylko prawnikiem.

Zanim zeszli na dziedziniec, policja już wszystko kontrolowała. Podjazd był zastawiony radiowozami. Kalejdoskop niebieskich świateł odbijał się od kamiennych ścian, gdy skutych kajdankami widzów odprowadzano do więźniarek. Kilku osobom udało się przedostać przez obławę, ale psy ich wkrótce złapią. Jednego mężczyznę znaleziono na piętrze, gdzie groził, że się zastrzeli.

Dom Jętki przedstawiał się żałośnie.

Charlie i Jessica skulili się przy karetkce pogotowia, czekając, aż Georgie zostanie zbadana. Żadne z ich trojga nie odzywało się od momentu zajścia na dachu. Charlie czuł się jak po znieczuleniu, wyprany z wszelkich uczuć.

Dwóch ratowników minęło ich z noszami. Priest chwycił Jessicę za ramię.

– Tylko chwilę – powiedział, dając znak ratownikom, aby zwolnili. Podążył za nimi do drugiego ambulansu.

– W porządku z nią? – zapytał.

– Jest słaba – odparł jeden z sanitariuszy, pomagając wnieść Hayley Wren do karetki. – Organizm przeszedł okropny stres. Tyle mogę powiedzieć.

– Proszę posłuchać – rzekł rozgorączkowany Charlie. – Zatruto ją zmodyfikowaną wersją strychniny. Musicie się skontaktować z głównym inspektorem Rowlinsonem z wydziału śledczego południowej Walii. Ona zna szczegóły dotyczące podobnych przypadków... jego informacje pomogą w leczeniu.

– Dzięki, doceniamy pomoc. Jest pan z policji?

– Już nie.

W karetkce Hayley otworzyła oko i spojrzała na Priestę. Najwyraźniej nie poznawała go z początku, ale gdy drzwi się zamykały, uniosła rękę i uśmiechnęła się. Poczul, że coś odzyskał. Odkupienie może nie było tak nieuchwytnie, jak myślał.

To uczucie trwało krótko.

- O cholera – mruknął.
- Co? – zapytała Jessica.
- Moja eks.

Zastępczyni komendanta Dee Auckland szła zdecydowanie przez żwirowy dziedziniec. Jej twarz wykrzywiała czysta nienawiść. Po obu jej stronach maszerowali dwaj oficerowie. Priest rozpoznał w nich policjantów, którzy towarzyszyli McEwenowi w domu Wrena. Postarzała się, od kiedy ostatni raz ją widział – miała kurze łapki w kącikach oczu, których wcześniej u niej nie widział. Priest wyczuł, że Jessica tężeje.

- Cześć, kochanie – powiedział.
- Zamknij się, Charlie. Myślisz sobie, że w co się bawisz?

Priest się nie spieszył. Jego krótkie małżeństwo z Dee Auckland skończyło się zasadniczo przez to, że nigdy wpierw nie przemyślał tego, co chciał jej powiedzieć.

– Zdaje się, że właśnie odkryłem największy publiczny skandal dwudziestego pierwszego wieku.

Auckland otworzyła usta i głęboko odetchnęła. Wziął się w garść. Jego była chciała coś powiedzieć, ale jej przerwano.

– To ten! To on! Aresztować skurwiela! – McEwen brnął przez dziedziniec z twarzą w czerwone plamy. Gdzieś po drodze zgubił muszkę, a koszula zwisała mu rozpięta, odsłaniając pękata, słabo owłosioną pierś. Z wściekłością wskazywał Charliego.

Dwaj funkcjonariusze towarzyszący Auckland spojrzeli na nią pytająco.

– Inspektorze – odezwała się oschle zastępczyni komendanta. – Proszę mi przypomnieć, jak to się stało, że pana tu znaleźliśmy.

– Pracowaliśmy pod przykrywką, pani komendant. Drażyliśmy tych zboczeńców, zgodnie z rozkazami pani poprzednika.

– Rozumiem. Prawdopodobnie wiedziałabym o tym, gdyby to była prawda, nie sądzi pan? A jakie są dokładnie podstawy do aresztowania Charlesa Priesta?

– Utrudnianie działania wymiaru sprawiedliwości, pani komendant. Priest wtrącał się od samego początku.

– Rzeczywiście. Cóż... – Auckland zwróciła się do dwóch oficerów. – Lepiej go aresztujcie.

- Dee... – zaprotestował Charlie, ale ona uniosła rękę. Zerknął na Jessicę.
- Chyba że – Dee kontynuowała ze spokojem – detektyw McEwen potrafi

wytłumaczyć, dlaczego prawdziwy tajny funkcjonariusz nie może zweryfikować jego alibi.

Zza karetki wyłonił się Marco. Zdjął strój kelnera, a teraz był w ubraniu cywilnym i kamizelce kuloodpornej. Stał za McEwenem z założonymi rękami, blokując mu drogę.

– Pa... pani komendant? – wybąkał McEwen.

– Mieliśmy już tajniaka działającego w Domu Jętki, inspektorze. To Graham Sanderson. Z Krajowego Zespołu do spraw Ekstremalnych.

– Hm... nie miałem pojęcia...

– Nie miał pan pojęcia, że pana wstrętna działalność jest monitorowana? Nie, chyba jednak nie.

McEwen zeszywniał. Charlie zobaczył, jak strzela oczami na boki niczym zwierzę w potrzasku, kalkulujące szanse ucieczki.

– A on? – Auckland wskazała Priesta, kierując wzrok na Sandersona.

– Ellinder wziął jedną z kobiet na dach. Uwolniłem drugą, ale bez niego wszystko skończyłoby się znacznie gorzej. Znalazłem go na dachu, Ellinder miał go zastrzelić, i wtedy otworzyłem ogień.

– Bardzo dobrze. – Auckland odwróciła się do McEwena. – Sanderson, proszę, zabierz mi go sprzed oczu.

Sanderson skinął głową Priestowi, który przyjął to uznanie z oschłym uśmiechem. Następnie tajniak skuł McEwenowi ręce za plecami. Szkot sprzeciwiał się, ale nie miał siły się opierać.

Gdy Sanderson odprowadził McEwena, Charlie i Jessica odwrócili się do Auckland. Charlie pożałował, że nie odwrócił się szybciej – mógłby przysiąc, że Dee uśmiechała się pod nosem.

– Będę potrzebowała waszych zeznań. Wystarczy jutro. Ufam, że dasz radę, Priest?

– Postaram się.

– Tak. Oj, tak. A teraz stąd uciekaj, zanim zmienię zdanie.

Charlie nie należał do tych, którzy darowanemu koniowi zaglądają w zęby. Wziął Jessicę za rękę i odszedł do astona na parkingu.

– Aha... – zawołała Auckland.

Zatrzymał się i oboje się odwrócili.

– Panno Ellinder. – Auckland spojrzała na ich złączone dłonie. – Do kurwy nędzy, nie bądź tak cholernie głupia.

W samochodzie Charlie przesunął ręce po kierownicy. Niebieskie światła

pulsowały rytmicznie w lusterku. Odwrócił się i spojrział na Jessicę. Ona patrzyła wprost przed siebie.

– Co powiesz ojcu? – zapytał.

Odetchnęła ciężko.

– Prawdę.

– To będzie dla niego trudne.

– Może go nawet zabić.

– A Scarlett?

Jessica nie zareagowała. Tylko pokręciła głową.

Charlie zapatrzył się w lusterko wsteczne. Czterech mundurowych ciągnęło kobietę po kamiennych schodach; krzyczała i szarpała się. Suknię miała podartą. Trzymali ją ze wszystkich sił, aby im się nie wyrwała. W końcu wsadzili Lucię Ellinder do jednej z więźniarek i wsiadło za nią czterech policjantów. Nawet kiedy zatrzasnęli drzwi, jej krzyki niosły się przez mgłę.

– Niewierni! Bóg was nienawidzi! Bóg pochłonie wasze dusze, wytnie wam języki, zniszczy ciała...

Poprawił lusterko. Jessica nie obejrzała się, ale wiedział, że słyszała.

– Przynajmniej ją złapali – wyszeptała.

– Nie mogłaś wiedzieć.

– Powinam.

Skinął głową. Czuł to samo w stosunku do Williama.

Tylne drzwi astona ktoś otworzył i wsiadł. Charlie i Jessica gwałtownie się odwrócili.

– Georgie?

– Cześć.

– Powinnaś zostać z sanitariuszami – zasugerował.

– Dali mi tabletki. Już się dobrze czuję.

– Georgie...

– Charlie, nie chcę być uznana za ofiarę. Możemy stąd jechać? Proszę.

Spojrzał na Jessicę. Uśmiechała się. On westchnął. *Cholerni uparci pracownicy.* Uruchomił silnik astona i ruszył w górę podjazdu, a następnie na główną drogę.

– Charlie, zapłacisz mi za nadgodziny?

– Porozmawiamy o tym później.

Wcisnął gaz i Dom Jętki znikł za nimi we mgle.

Za namową Priesta Georgie poszła do miejscowego szpitala. Na szczęście jej obrażenia były lekkie i w ramach leczenia wystarczyło trochę bandażu i snu.

Zaproponował, że z nią zostanie, ale skłamała, że ktoś już jedzie, aby ją odebrać. Podejrzewała, że będzie miał ważniejsze sprawy niż siedzenie w zatłoczonym oddziale ratunkowym w sobotnią noc. Nad ranem poszła pieszo do domu pomimo sugestii młodego lekarza, aby została. Georgie nie wyjaśniła, skąd ma te obrażenia.

Po kilku godzinach niespokojnego snu wstała, wzięła prysznic i zarejestrowała się w lokalnej agencji, aby znaleźć mieszkanie bliżej biura. Kiedy wyszła z pokoju, zastała Li siedzącą w korytarzu.

– Nie chciałam ci przeszkadzać, więc czekałam tutaj – powiedziała Li.

– Dziękuję.

Georgie usiadła obok niej.

– Georgie, co się z tobą działo?

Georgie się zastanawiała. *Co się ze mną działo?* Nie ogarniała tego wszystkiego, ale na odkrywanie prawdy miała całe życie. A jutro musiała wracać do pracy.

– Chcesz ze mną poszukać mieszkania bliżej centrum? – zapytała Georgie.

Li poczekała chwilę. Potem uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Pewnie.

Siedziały w milczeniu przez moment. Potem usłyszały, jak ktoś wchodzi po schodach.

– Li, gdzie byłaś... Och. To ty.

Martin zatrzymał się nagle, gdy zobaczył Georgie, i zaczął wracać. Był taki czas, kiedy Georgie zarumieniałaby się ze wstydu. Ale nie teraz. Wstała.

– W zasadzie, Martin, zaczekaj – odezwała się Georgie. – Proszę.

Zawahał się, a Georgie widziała, że zastanawia się, czy ją zignorować, ale tego nie zrobił. Zatrzymał się i odwrócił do niej.

– Tak? – zapytał.

Georgie podeszła do niego kilka kroków, zamachnęła się i uderzyła go pięścią w twarz. Rozległ się trzask. Padł ciężko, wydając odgłos bólu i zdziwienia. Li wstała.

– Jesteś gwałcicielem – powiedziała Georgie. – Ale nie masz nade mną żadnej władzy.

Charlie zamknął oczy, wsłuchiwał się w głos Sarah w telefonie. Nie miał pojęcia, o czym rozmawiali przez ostatni kwadrans. Słuchał gadaniny Sarah o szklanym suficie, raczej męczącej, choć siostra bez wątpienia miała rację. Dzisiaj jednak ta normalność była cudowna. Przypominała mu, że nadal żyje.

– Masz pojęcie, jaki procent dyrektorów setki firm z FTSE to kobiety? – pytała.

– Nie mam.

– Ja też, ale założę się, że z pięć, nie więcej.

– Sarah. Masz większe jaja od większości mężczyzn.

Odparła coś, ale nie dosłyszała. Właśnie zadzwonił dzwonek do drzwi.

– Słuchaj, Sarah, muszę iść. Uściskaj Tilly, dobrze?

Otworzył drzwi i weszła Jessica, jak zwykle nie mówiąc ani słowa i nawet na niego nie patrząc. Zważywszy na to, co przeszli przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, wyglądała niewiarygodnie, chociaż sądząc po jej ponurej minie, miało to być krótkie spotkanie.

– Napijesz się czegoś?

– Nie zostanę.

Miała na sobie trencz w kolorze złamanej bieli. Z włosami opadającymi na jedno oko i torebką zawieszoną na ramieniu prezentowała się elegancko, ale skromnie.

– Wyglądasz... – Podrapał się po brodzie, szukając właściwego słowa. – Nieskazitelnie.

Jeżeli była zadowolona z komplementu, nie okazała tego. Może minimalnie zadrżał jej kącik ust.

– Jednak zjawiał się specjalny zespół policji – powiedziała. – Obserwowali moją matkę od miesięcy, od kiedy zidentyfikowali ją jako... tego kogoś, kim była.

Pokiwał głową.

- Skąd mogłaś wiedzieć, Jessico?
- To dlaczego tak bardzo czuję się winna?

Nie miał na to odpowiedzi.

– Jętka działała z powodzeniem od dziesiątek lat – rzekł łagodnie. – Wpierw przez twoją babcie, a potem matkę. Sięgała aż do najwyższych rangą w rządzie. W całym kraju przeprowadzane są aresztowania. Prawie każdy posterunek jest w to zaangażowany. Politycy, bankierzy, prawnicy, policjanci. Nawet, kurwa, nauczyciel geografii.

– A ten człowiek, ten kelner, należał do oddziału Philipa Wrena?

– To specjalna, tajna grupa. Pewnie jeszcze z czasów naszego przyjaciela pułkownika Rucka. Dom Jętki miał swoich kolejnych dowódców, i ten oddział także. Gdy Ruck przeszedł na emeryturę, przekazali zadanie szpiegowi z MI5 i ostatecznie wybrali na szefa Wrena, bo miał wojskową przeszłość, a nie był bezpośrednio związany z policją.

Jessica wpatrywała się w podłogę, lekko kiwając głową. Jakby nadal próbowała przemyśleć wszystko, co się wydarzyło. Pragnął wziąć ją w ramiona i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Ale skłamałby. Wątpił, czy kiedykolwiek ta kobieta dojdzie do siebie.

– Jak przyjął to twój ojciec? – zapytał.

– Nie odezwał się od tamtej pory. Siedzi w gabinecie. Scarlett zostaje dłużej, żeby nim się zająć, ale wiem, że chce jedynie wrócić do Stanów i zapomnieć o całej sprawie.

– Współczuję. Pokazała mi kolekcję owadów twojego ojca.

– Wspominałeś, to tylko okazy – mruknęła Jessica. – Ojciec interesował się entomologią. Ostatnio obejrzałam kolekcję. W zasadzie nie ma tam żadnych jętek.

– Rozumiem. Wszyscy po prostu... zakładaliśmy.

Jessica skinęła głową.

– Jeszcze jedno – powiedziała, podnosząc wzrok. – Skąd wiedziałeś, że Miles nie zginął?

– Nie miałem pewności. – Westchnął. – Ale w jednym ze wstępnych raportów z autopsji, które przysłał mi Giles, było kilka ważnych szczegółów, które nie do końca mi pasowały. Po pierwsze, ciało Milesa zidentyfikowała twoja matka, a po drugie, raport toksykologiczny był czysty.

– A ty wiedziałeś, że Miles bierze.

Skinął głową.

– Patolog też był na liście Jętki. Dałem Dee szczegóły. Nie zastali go w domu, ale zgarnęli go w Dover. Musiał usłyszeć, co się stało, i zwiął. – Odwrócił się z powrotem do Jessiki. – Nie mogłaś wiedzieć. Nigdy tam nie byłaś. Miles miał obsesję na punkcie jednego z najgorszych tyranów w historii. Postanowił udać własną śmierć, aby go uczcić.

Jessica wzdrygnęła się i podeszła do akwarium. Skrzydlice pływały pod plastikowymi mostkami. Przyłożyła rękę do szkła.

– Były trzy. A teraz są tylko dwie.

– Jedna zdechła. Chyba je przekarmiłem.

Jessica odwróciła się do niego.

– Przykro mi, Charlie.

Spojrzał na nią.

– Przykro ci, bo nie możesz zostać czy dlatego, że zdechła mi rybka?

– Bo nie mogę zostać. Kupię ci nową rybkę.

Słowa uwięzły mu w gardle.

– Przyszłaś się pożegnać?

Skinęła powoli głową.

– Tak trzeba.

Wzięła go za rękę. Przytrzymała przez chwilę. Jej dotyk był ciepły, pełen życia i obietnic. Pragnął, aby ten moment trwał wiecznie. Wtedy go puściła i odwróciła się do wyjścia.

– Przepraszam, Charlie.

– Nie. Czekał. – Podniósł rękę. – Chcesz powiedzieć, że nigdy już mnie nie zobaczysz. Ale mylisz się. Tak nie musi być. Poczucie winy cię przygniata, prawda?

– Charlie, ci ludzie...

– Wszystkim nam potrzeba błękitnego nieba, Jessico. Też czuję się winny.

– Co powiedziałaś?

– Że też czuję się winny.

– Nie, to pierwsze.

– Że wszystkim nam potrzeba błękitnego nieba. Tak mawiała moja mama.

Tym razem ona się zawahała.

– Nie widzisz tego, Jessico? Jesteśmy tacy sami.

Przygryzła wargę. Zarumieniła się, a w oczach miała łzy. Kiedy stali w milczeniu, poranne słońce przedarło się przez chmury i zalało mieszkanie cudownym kolorem.

Charlie przyglądał się planszy do gry w *Ryzyko*, ale nie wiedział, gdzie się ruszyć. Większość planszy zajęta była przez czerwonych poza małą fortecą we wschodniej Europie kontrolowanej przez niebieską armię.

William zastukał knykциями w stół.

– Ile ci to zajmie, bracie, żeby zrozumieć, że statystyczna możliwość twojej wygranej jest bliska zeru?

– Daj mi chwilę.

Przestawił oddział na zachód i rzucił kostkami.

– Lubię te nasze gry w *Ryzyko* – stwierdził William.

– Wołałem, jak graliśmy w *Zgadnij, kto to*.

– To naturalne, bo nie umiesz grać w szachy... ale za to dobry z ciebie brat.

William zsumował punkty i usunął nadciągający oddział z gry.

– Jak się czułeś, Wills?

– Martwiłem się o ciebie.

– Naprawdę?

– Tak. Dziwisz się? Że jestem zdolny do takich dobrotliwych i altruistycznych myśli po tym, co zrobiłem?

Charlie wskazał planszę.

– Teraz ty.

– Naprawdę? Nie chcesz ruszyć tych żołnierzy? – William pokazał na oddział w odległym wschodnim narożniku.

– Twoja kolej – nalegał Charlie.

William wzruszył ramionami.

– Jak chcesz. – Zaczął sprawdzać swoje karty i przesuwać wsparcie na tereny już i tak ciężko obsadzone czerwoną piechotą. – Więc sprawa, która zajmowała ci czas, została zadowolająco rozwiązana?

– Tak, została, jeżeli o to ci chodzi.

– Słyszałem w wiadomościach, że stowarzyszenie neonazistów

zdemaskowano u ciebie na wsi. Miałeś w tym jakiś udział?

– Mogę cię o coś spytać?

– Oczywiście. Żadnych tajemnic w rodzinie.

– Kiedy mordowałeś tych ludzi... czy spotkałeś Boga w jakimś momencie?

William miał już rzucić kostkami, ale zatrzymał się i podniósł wzrok. Charlie wpatrywał się w oczy brata. Po raz pierwszy, jak sięgał pamięcią, zobaczył przebłysk czegoś ludzkiego.

– Tylko raz.

– Co zrobiłeś?

William siedział w idealnym bezruchu przez moment, zanim rzucił kostkami.

– Poddalem się. Moje dzieło się dokonało.

Charlie szedł przez parking szpitala z pochyloną głową, z rękami wepchniętymi głęboko w kieszenie prochowca. Okoro stał przy samochodzie z założonymi rękami.

– Jak on? – zapytał, gdy zbliżył się Priest.

– Nieźle. Pokonałem go w *Ryzyko*. Traci wyczucie.

– To gra hazardowa, Priest.

– Nie jak wszystko?

– Hm. – Okoro otworzył drzwi od strony pasażera i dał znak Charliemu, aby wsiadał.

– Nie mogę prowadzić?

– Mój wóz? Nie, Priest. Nie możesz prowadzić mojego. Ledwo idziesz. Jesteś wykończony. Kiedy ostatni raz spałeś?

Charlie niechętnie wsiadł od strony pasażera, Okoro zajął miejsce za kierownicą. Wszystko pachniało świeżą skórą.

– Jakby się nad tym zastanowić – rzekł Okoro – McEwen powiedział nam o Jętcie na samym początku. Dlaczego o tym wspomniał? Nie musiał.

– Przez arogancję, głupotę. Chyba podobało mu się, że wie więcej od nas.

Okoro spojrział na niego z palcem zastygłym nad przyciskiem START.

– I co dalej, Priest? – zapytał.

Charlie sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjął piersiówkę. Odkręcił ją i ostatni łyk ciepłej whisky spłynął mu gardłem.

– Okoro, podrzuć mnie do domu. Mam randkę z byłym klientem, muszę się przygotować.

Od autora

Dziękuję trzem najbardziej wpływowym osobom w moim życiu – Olivierowi, Grace i Archiemu. Bez waszej inspiracji i zachęty ta książka nigdy by nie powstała. Wierzę, Archie, że nie miałeś pojęcia o tym, iż piszę, ale wykazałeś się nieocenioną pomocą na własny sposób. Proszę jedynie, abyście wszyscy o mnie pamiętali, gdy staniecie się sławni.

Dziękuję także Pat Hazel – twoje wsparcie i uwaga co do szczegółów były niezrównane. Tata byłby z nas dumny.

Richard i Denise: dziękuję wam za zachętę, szczerość i wsparcie. Przed tylu laty przyjęliście do waszej rodziny rozmamłanego chłystka pragnącego zostać pisarzem, i za to ów chłystek jest wam dozgonnie wdzięczny.

Pozostaję dłużny Nicki Richards i dobrym ludziom w *Totally Entwined*, których umiejętności i niewyczerpana cierpliwość nauczyły mnie pisać.

I na koniec dziękuję mojej żonie, Jo. Winien ci jestem największe podziękowania. Głównie za to, że mnie zносиłaś.

Holokaust pozostaje jednym z najciemniejszych okresów współczesnej historii: ludobójstwo tak niewyobrażalne, że było określane rozdarciem w tkaninie czasu. Sporo czytałem, zbierając materiały do *Jętki*, ale szczególnie wywarła na mnie wpływ książka Vivien Spitz *Doktorzy z piekła rodem*, wstrząsające naoczne świadectwo z procesów lekarzy w Norymberdze.

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Dedykacja

1 | 2 | 3 | 4 | 5 | 6 | 7 | 8 | 9 | 10 | 11 | 12 | 13 | 14 | 15 | 16 |
17 | 18 | 19 | 20 | 21 | 22 | 23 | 24 | 25 | 26 | 27 | 28 | 29 | 30 |
31 | 32 | 33 | 34 | 35 | 36 | 37 | 38 | 39 | 40 | 41 | 42 | 43 | 44 |
45 | 46 | 47 | 48 | 49 | 50 | 51 | 52 | 53 | 54 | 55 | 56 | Od autora

Strona redakcyjna

Tytuł oryginału: The Mayfly

Text copyright © James Hazel 2017

Originally published in the English language as The Mayfly by Zaffre, an imprint of
Bonnier Zaffre, London.

The moral rights of the author have been asserted

Copyright for the Polish edition © 2019 by Wydawnictwo FILIA

Wydanie I, Poznań 2019

Cover design by Books Covered

Cover photograph © Shutterstock.com

Redakcja: Dorota Wojciechowska

Korekta: Jacek Ring

Skład i łamanie: Jacek Antoniuk

ISBN: 978-83-8075-600-7

FILIA

Wydawnictwo FILIA

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona

mrocznastrona.pl